ORBITOWSKI

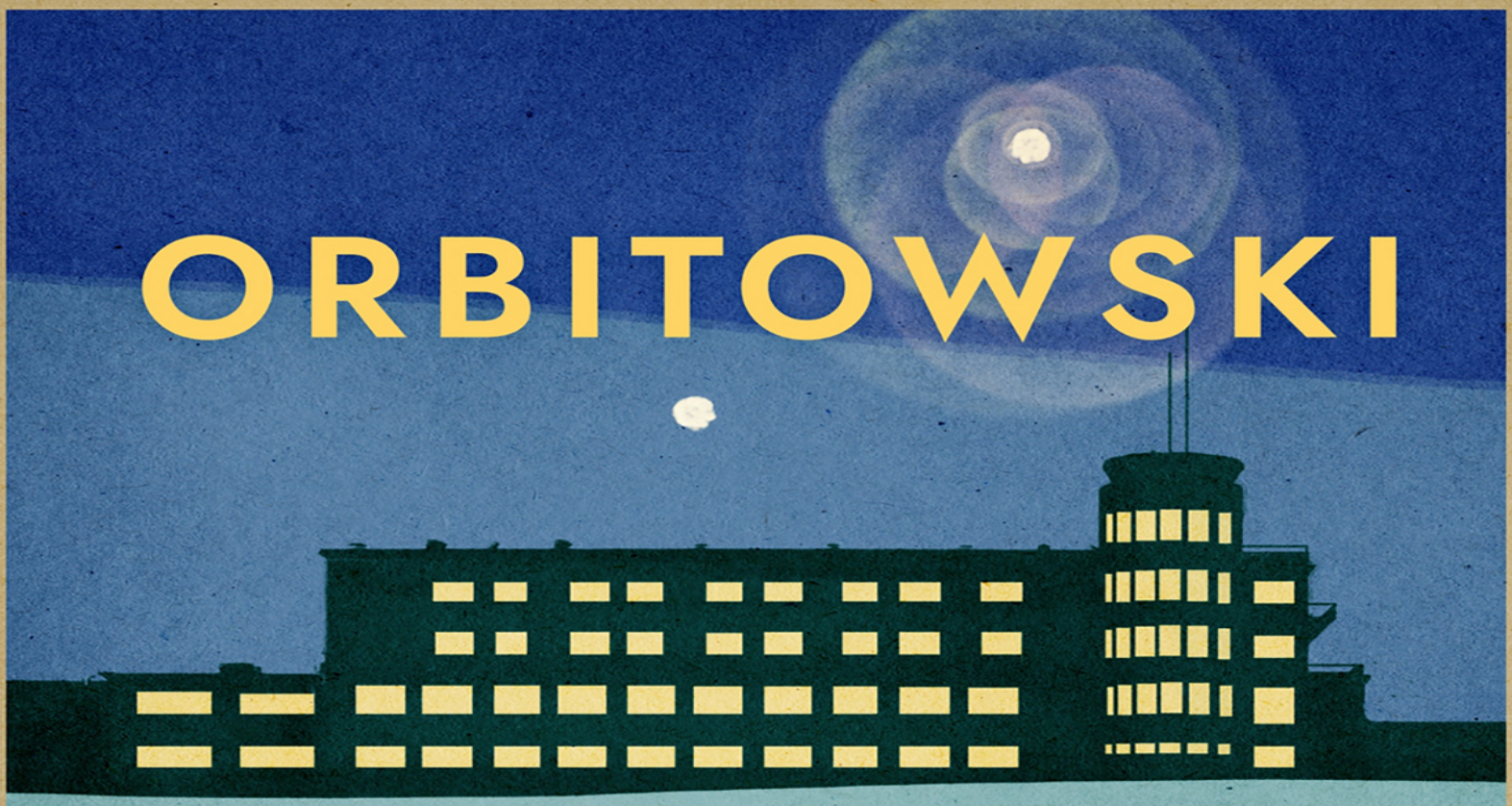

CHODŹ ZE MNĄ

Świat Książki

ORBITOWSKI

CHODŹ ZE MNĄ

Świat Książki
wydawnictwo

Spis treści

Noc pierwsza 1958
Noc druga 1958
Noc trzecia 1959
Noc czwarta 1959
Noc piąta 1959
Noc szósta 1959–1961
Noc siódma 1961–1973
Noc ósma 1973
Noc dziewiąta 1973–1975
Noc dziesiąta 1975 i później
Słowniczek
Podziękowania

Wydawca: *Joanna Laprus-Mikulska*
Redaktor prowadzący: *Iwona Denkiewicz*
Redakcja: *Joanna Mika*
Korekta: *Ewa Grabowska*, *Marzenna Kłos*

Copyright © by Łukasz Orbitowski, 2022
Copyright © for this edition by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2022

ISBN 978-83-828-9671-8
Warszawa 2022

Książkę wydano przy wsparciu finansowym Miasta Gdyni

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Dystrybucja
Dressler Dublin Sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. + 48 22 733 50 31/32
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Musi istnieć prawda, musi istnieć mur.
Virginia Woolf, przeł. Magdalena Heydel

Dla Klaudii

NOC PIERWSZA

1958

pierwszy

wtorek

października

2017

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

O biurku z Ikei

– Twojego ojca, kochanie, poznałam na zabawie w Gdyni – mówi mama. – Od razu wiedziałam, że będą kłopoty.

Przez czterdzieści trzy lata nie powiedziała o nim słowa, no a teraz gada.

Dzieje się to podczas skręcania biurka z Ikei.

Po co jej to biurko, doprawdy nie wiem. Prócz niego zamówiła też mnóstwo segregatorów, kosz, skaner, drukarkę, mazaki we wszystkich kolorach tego nieszczęsnego świata oraz niszczarkę do dokumentów. Kurier zwalił pudła pod bramą i czmychnął. Wie, biedaczyna, z czym musi się mierzyć.

Parę lat temu mama sama wytargałaby ten szajs na piętro, ale siadło jej biodro, więc udaje idiotkę, uważa, że to przejściowe osłabienie i poradziłaby sobie z biurkiem w każdy inny dzień, tylko nie ten jeden.

Kocham ją najbardziej na świecie. Kocham bez dwóch zdań.

Jeśli o mnie chodzi, dałbym kurierowi pół stówki i wytargalibyśmy wszystko w mig po tych niedorzecznie starych schodach.

Mama, też nie najmłodsza, odmawia wstępu obcym za bramkę. Za dzieciaka nie mogłem wpuszczać kolegów do domu i w kółko kombinowałem, gdzie by tu wyściskać dziewuchę. Listonosz omija mamę, jakby właśnie połknęła bombę, najodważniejsi kurierzy docierają do połowy podwórka, a pewien świadek Jehowy, który wylazł aż na piętro, spadł po stopniach, wybił sobie zęby, a na komendzie, sepleniąc, błagał, by nie wnoszono oskarżenia i chyba groził samobójstwem: wolał już stanąć przed swoim strasznym Bogiem niż ujrzeć Helenę Barską na sprawie sądowej.

Kocham ją nad życie, tak jak mówię. Każda prawdziwa miłość jest trudna. Moja żona mogłaby coś o tym powiedzieć.

Więc przyjeżdżam do mamy, jak zawsze w niedoczasie, targam te pudła na górę i tańczę z wkrętarką. Mama zbiera kartony, podaje mi poszczególne elementy i fantazjuje nad instrukcją na temat zastosowań nowego nabytku, nie mówi jednak, co zamierza tam trzymać.

Tak w sumie to lubię skręcanie mebli, z wyjątkiem biurek. Biurka są niewdzięczne i monotonne. Te kruche dna, te prowadnice w szufladach.

Mama jest bardzo piękna. Nie umiem w niej dostrzec starości. Przypomina połączenie koali i kobry. Od kilku lat nosi puchate swetry i ma miękką

twarz, w której płoną mądre, wężowe oczy.

– Trochę nam to zajmie – dodaje. – Twój tato bardzo mnie kochał i gdyby nie ten gość, co zleciał z nieba, pewno kochałby i dziś.

Mało, a przykręciłbym sobie palec do blatu. No nic, mamie czasem miesza się pod czupryną.

Biurko wjeżdża pod okno, obok drzwi na taras. Matka ma widok na dachy willi, zatokę i statki. Poza tym uwielbia gapić się na księżyc, w ogóle osobliwie kocha niebo. Gdy byłem mały, bawiliśmy się w wilkołaki.

– Muszę wreszcie zrobić z tym porządek. Porządek jest ważny. Tak sądzę i zdania nie zmienię – oznajmia i dodaje, że historii, którą mi opowie, nie sposób streścić w paru słowach, na jednym spotkaniu się nie skończy.

To dobrze, bo lubię odwiedzać mamę. Martwię się tylko, że przedawkowała ten księżyc.

Po robocie siadamy, a ona papla całą sobą, zmyślna kobra, staruszka gotowa na psoty. Do teraz zachodzę w głowę, co o tym wszystkim sądzić.

Moje życie jest jasne i proste. Takie chciałem, więc takie mam i już. Tylko dwa trudne pytania mącą mój spokój.

Jedno mniej, drugie bardziej.

Pierwsze pytanie brzmi: kim był mój ojciec? Synowie mają ojców, tylko ja jeden nie. Do wytrzymania. Lepiej urodzić się bez ojca niż bez nogi, moim skromnym zdaniem. Mama nigdy nie powiedziała o nim ani słowa. Jego imię, zawód, dalsze losy tak długo były tajemnicą, aż nauczyłem się z nią żyć. W gruncie rzeczy mama mogła dać sobie spokój z tym tematem. Niech jednak mówi.

Łaknę odpowiedzi na inne, bardziej palące pytanie.

Czemu, do kurwy nędzy, mam na imię Dustin?

O Stylowej

Mój stary nazywał się Nikołaj Siemionowicz Narumow i był kapitanem sowieckiego niszczyciela. Rusek, no. Puknął mamę, kiedy szkolił w Gdyni jakichś Indonezyjczyków, za czarnej komuny, pod koniec lat pięćdziesiątych.

Z tym pukaniem może nietrafnie się wyrażam, bo to musiał być grubszy przelot, skoro urodziłem się w siedemdziesiątym czwartym.

A poznali się na zabawie w Stylowej. Taka knajpa była wtedy u nas przy kościele. Schodzili się tam studenci i inna hołota. Mamę zabrał tam Wacek, jej dawny narzeczony.

Mama wspomina, że Wacek kochał ją leniwie i szczerze, nie dość jednak, aby przyjechać aż na Oksywie. Do centrum tłukła się sama, takim autobusem ogórkiem, nabitym po dach przez lotników i mechaników, co wracali z lotów ćwiczebnych na Babich Dołach. Byli nieprzyzwoicie zalotni, dodaje mama, w odróżnieniu od Wacka, który tkwił w listopadowej plusze, pod gdyńskim Dworcem Głównym, zbrojny w parasol i biednego goździka.

Na moje, kobiecie daje się sto kwiatów albo ani jednego.

No ale było, jak było i poszli do tej Stylowej, mijając postój taksówek, syreny i citroëny, a mama referuje mi każdy szczegół, jakby ten wieczór wydarzył się wczoraj. Wspomina sprzedawcę balonów, urżniętego jak gorzelniany szczur, który dosłownie wisiał na swoim dmuchanym dobytku. Zdaniem mamy byłoby pięknie, gdyby w cudowny sposób te balony uniosły go w powietrze. Niech wrzeszczy i macha nogami w gumofilcach, uczepiony sznurków, aż wreszcie pochłonie go niebo.

Gdynia była ponoć w tamtych czasach jak ten właśnie chłop, pijana i nieoświetlona.

Mama wspomina, że miała na sobie swoją najlepszą sukienkę, taką błękitną, tweedową, bez rękawów. Do tego perły pożyczone od babci, to znaczy jej mamy. W szatni zmieniła buty na gdynki ze świńskiej skóry, na klinowym obcasie. A sukienka najlepsza, bo jedyna.

Umyśliła sobie, ta moja wspaniała mama, że będzie królową wieczoru, co okazało się nie takie znowu trudne. Ponoć Stylową niedawno odnowiono, co smutne, nie odnowiono ludzi. Balującą młodzież zasilili marynarze, cinkciarze i złodzieje zegarków, każdy trzymał ręce przy kieszeni. Królem wieczoru był jakiś rudy gość, co przyniósł wędzone śledzie zawinięte w gazetę. Rozdawał je dziwkom i cieszył się życiem.

Unikam dziwek, nie żyjemy po to, aby się cieszyć, za to śledzie to coś wspaniałego. No ale nieważne – ważne, że swoje istnienie zawdzięczam nienawiści do tańca, poza tym ciągle bolą mnie łydki. Zdaniem Klary ten ból dowodzi samodzielności moich nóg – one po prostu nie słuchają mnie i się droczą, no, chyba że trzeba lecieć do roboty. Ja wiem swoje. A gdyby ten cały Wacek tańczył, nie byłoby mnie na świecie.

Ponoć nie szło go oderwać od stolika. Zamówił kieliszek wódki i kawę, moczył w niej kostki cukru, które zaraz zżerał. Tymczasem zagrała orkiestra, z kontrabasem, pianinem i trąbką. Mamie zaczęła chodzić nóżka. A Wacek nic.

Wtedy właśnie podobno wyrósł przed nią mój fantastyczny stary, wielki na dwa metry, do tego w czarnym mundurze sowieckiej marynarki wojennej. Miał uśmiech dobrego łotra, fryz na brylantynie, bursztynowe oczy i bliznę przez pół ryja, słowem amant po chuju.

Zdaniem mamy, Kola – bo tak na niego mówi – należał do tych tancerzy, którym zapał wynagradza brak poczucia rytmu. Pytał, gdzie mama mieszka i co studiuje, badał, jak nisko może opuścić rękę, i przysięgał, że choć opłynął wszystkie morza świata, nie spotkał takiego cudu jak moja dwudziestoletnia rodzicielka. W końcu odstawił mamę z powrotem do Wacka, strzelił obcasami i ruszył do baru.

Wtedy właśnie wyrósł przed nim, przed starym, ten gość od śledzi. Najwyraźniej już mu się skończyły. Darł się, że Gdynia to nie Moskwa, wara od Polek, w ogóle *poszoł na chuj, kozioł*. Kumple go odciągali. Stary stał i sobie tego słuchał. Na to tamten plunął mu na oficerki i wyszarpnął nóż. A stary ciągle nic. No pięknie, pomyślała mama, za głupi taniec takiego ładnego kapitana ubiją.

Baby się darły, chłopy zrobiły miejsce, a Wacek pociągnął mamę do wyjścia. Ten rudy krążył wokół starego i dziabał powietrze kozikiem. Stary go wyczekał, kopnął podkutym butem w nadgarstek, wytrącając nóż, na tym samym półobrocie przywalił w dziobaty pysk i posłał na parkiet już nieprzytomnego. Chłop grzmotnął zdrowo, obok noża. Normalnie jak na filmie. A może był to tylko film?

Na sam koniec Kola, mój ojciec, wyszukał mamę wzrokiem i uniósł dłoń, jakby uchylał czapki. Potem sobie poszli, ona do domu, on na kielicha. Mama była pewna, że już się nie spotkają.

Wyszło inaczej i oto jestem.

O świętych

Dziś mama ma osiemdziesiątkę, willę na Kamiennej Górze kupioną za żywy szmal i złote dwudziestodolarówki upchane po skarpetach. To

mamine upychanie po skarpetach zmienia zdaniem Klary wiosenne porządki w festiwal niespodzianek.

Nie zawsze było kolorowo. W czasach, kiedy spiknęła się ze starym, zajmowała z dziadkami kawalerkę na Pagedzie. Dziadków jeszcze pamiętam, ten cały Paged też. Mama z pewnością nie przewidziała splendorów złotej jesieni. Teraz nawet w warzywniaku nazywają ją „wicekrólową", a ona śmieje się i złości, pyta, czemu tylko „wice".

Paged to takie osiedle jednopiętrowych bloków na Oksywiu. Całkiem ładne i zadbane, wtedy też takie było. Rodzice mamy wprowadzili się tam dzięki przyjaźni dziadka z niejakim Gruną. Gruna, stary komuch o dobrym sercu, pomagał biednym ludziom i umacniał władzę ludową. Za pierwsze dostał wdzięczność, za drugie kulę w serce. Dziadek z babcią targali meble do nowego mieszkania, a Gruna wykrwawiał się w przedpokoju klatkę schodową dalej. Nikt mi nie wmówi, że życie jest sprawiedliwe.

Śmierć Gruny ściągnęła na głowę dziadka zamęt eschatologiczny. Bo tak: Gruna był najlepszym z ludzi, żyjącym świętym, lecz także bezbożnym komuchem. Czy w takim razie trafi do nieba? Ateiści lądują w zgoła innym miejscu. Dziadek nie potrafił dojść z tym do ładu i w kółko pytał innych o zdanie, nawet pijaczynę, który mieszkał nad nimi i hodował króliki. Wreszcie babcia przekupiła księdza i ten oświadczył, że widział, jak czterej anieli unoszą duszę Gruny, a światłość wiekuista tryska mu z dziur w klatce piersiowej.

Mieszkanie na Pagedzie uchodziło za przedsionek raju. Dziadkowie i mama mieli ogrzewanie, wodę, prąd. Nie o każdej rodzinie w Gdyni dało się tak powiedzieć.

Przedsionek raju był to jeden pokój przedzielony kocem zawieszonym na karniszu. Po jednej stronie kimali dziadkowie w łóżku, po drugiej mama na amerykance. Jak złożyła tę amerykankę, to mogła się uczyć. Poza tym jedli razem i w kółko grali w remika.

Mama wspomina, że dziadek nikomu nie dał pospać i nawet w niedzielę, po zabawie, kiedy poznała mojego tatę, zerwał wszystkich koło szóstej – tak się tłukł. Parzył kawę zbożową. Ostrzył brzytwę o pasek ze skóry. Pomadował wąsy. Nakręcał liczne zegary ścienne i złościł się na czas, że nie pędzi tak jak on.

Gnało go na mszę u Świętego Rocha i modlitwy za Grunę.

Babcia dla odmiany odpalała albatrosa od albatrosa i włączała radio na cały regulator. Mama w tym czasie przyciskała sobie poduszkę do ucha.

– Co ty taka dzisiaj radosna? – zapytała babcia.

Było to w poranek po pierwszym spotkaniu z ojcem. Mama wytrzeszczyła zaspane oczy.

Do kościoła mieli kawałek wiejską drogą, taką wietrzną, gdzie stały parterowe domki rybackie, a psy obszczekiwały młode słupy elektryczne. Dziadek uwielbiał nabożeństwa i wymianę uprzejmości przed kościołem, uważał również, że ksiądz jest mądry jak arcybiskup i taką też mu wróżył karierę. Najbardziej kochał jednak figurę świętego Rocha, co stała i dalej stoi na rogu Bosmańskiej i Dąbka, w ceglanej kapliczce.

Mama twierdzi, że dziadek bardziej niż ludzi miłował to straszydło.

Zapytany o zdanie chętnie powiem, że ten cały Roch, za sprawą kapelusza, wygląda raczej jak kowboj, nie żaden święty. Ściska drąg, unosi kieckę, jakby sobie jaja wietrzył, a u jego stóp waruje kundel z gipsu. Dziadzio padał przed nim na kolana, tak że miał nos naprzeciwko pyska odrapanego przez mewy.

Usiłowałem wyciągnąć od matki, czemu mi o tym mówi. W końcu miało być o tacie, nie o dziadkach, których przecież pamiętam, i jakichś Rochach. Odparła, że każda historia ma swój porządek, a Rochowi zawdzięczamy wiele. Mianowicie ocalił ją i dziadków od więzienia, wyroków śmierci i innych okropności.

Nie chciała powiedzieć dlaczego. Jeszcze nie. Nazbyt cieszy ją ta historia. Długo i spokojnie opisywała dziadka, jak splatał dłonie bez dwóch palców, mrużył siwe oczy i ruszał wąsem, mamrocząc pacierze.

Jej zdaniem modlił się do Rocha, bo nie mógł do Gruny.

O Ricie Hayworth

Tatko wytropił matkę pod uczelnią. Pewno powiedziała mu na tańcach, gdzie studiuje. Mało, a byłaby z tego awantura. Ścięliby im łby brzytwą towarzyską.

Ale po kolei. Mama chętnie zbacza z tematu i nie rozumie, że ciągle się śpieszę. Siedziałem u niej. Myślałem o rodzinie, o pracy, no dobra, głównie o pracy, bo ta rozpycha się w życiu jak pijak w eskaemce, poza tym nie chcę wszystkiego zrzucać na Klarę – i tak ma do wiwatu z zarządzaniem Fernandem, naszą restauracją.

Tymczasem mama sączy herbatę i referuje wędrówkę z Oksywia do Gdańska w dzień zaskakującej, niebezpiecznej randki. Przerywa monolog, bo ciągnie ją na zewnątrz.

Taras jest wielki i zaniedbany, mamie brakuje już sił na dbanie o czystość. Ponoć szaleją ptaszyska i ona je goni. Prawdziwy powód, dla którego wychodzi, jest inny, dojdę do niego potem.

Więc była późna jesień pięćdziesiątego ósmego roku i moja pilna matka jak co dzień wypruła na uczelnię, ledwo wybiła szósta rano.

Tego akurat chmurnego poranka zbierali złom w całej dzielnicy. Jeździł taki furgon, jeszcze z dziurami po kulach, a ludzie wywlekali przed bramy szmaty, makulaturę, zardzewiałe młockarnie, suszarki do tytoniu, koła od traktorów, śruby okrętowe i wykłócali się z kierowcą, żeby to pozabierał. Matkę odprowadzały ryki okurwieńców, trzask drzwi i łomot stali ciskanej na grunt.

Autobus wjechał do centrum, akurat gdy ruszała kolejka miejska, więc mama pognała przez dworzec, ściskając w ramionach torbę z książkami i resztki godności. Podpite chłopy gwizdały za nią na palcach, a jakiś gość w drzwiach pociągu chwycił ją za nadgarstki, wciągnął do rozpędzającego się składu, klepnął w tyłek i pchnął między ludzi. Ormowiec na peronie klął i łapał oddech.

W dzieciństwie widywałem biedaków na wózkach, co im nogi odjęła nasza eskaemka. Jeden taki sprzedawał pornosy na giełdzie elektroniki w Domu Technika.

– Zawsze miałam pod górę – podkreśla mama.

Nie znajduję w niej goryczy ani skargi. Po prostu twierdzi, że życie jest trudne i zawiłe, a tak będzie jej szkoda, gdy przyjdzie się jej żegnać z tym parszywym światem.

Wysiadła przy Politechnice, minęła teatr i pomnikowy czołg, co nim Gdańsk wyzwalali. Na lufie huśtały się dzieci. Potem, właściwie pewna haniebnego spóźnienia, skróciła sobie drogę przez cmentarz. Teraz park tam mamy, wtedy mama brnęła przez chaszcze i strzaskane poniemieckie nagrobki. Wciąż jeszcze było trochę ciemno.

– Bałam się, że wdepnę w trumnę, trumna pęknie i trup mi nogę chwyci – mówi i zaraz dodaje, tak niezbyt wesoło: – Młoda, to duchów się bałam. Teraz się nie boję, bo o duchach wiem wszystko.

Zajęcia mieli w Gdańsku na Orzeszkowej, jeszcze w barakach, a prowadził je sam profesor Scholl, który bredził o wkładach kompozytowych.

Mama i dziś wypowiada jego nazwisko z dobrotliwą trwogą. Pan Scholl bił studentów indeksami po uszach i serio sądził, że dziewczyny z ludu, takie jak mama, mogą studiować, tylko jeśli awans społeczny nie przewróci im w głowach. Zresztą dentystka nie lekarka, mawiał, do grzebania chamstwu w dziąsłach akurat się nada.

Tu ważna rzecz: pan Scholl był ojcem Wacka, chłopaka mamy.

Przyszła spóźniona – ci z Gdyni zawsze przychodzili później – zapytała, czy może wejść na zajęcia, i pan Scholl się zgodził, co nie było takie znowu częste. Pokorna mama wpłynęła na salę i usiadła daleko od Wacka.

Jak znam życie, stary Scholl, gdyby mógł, okładałby ją indeksem po uszach, aż oddałaby ducha, a potem znalazł synkowi kocmołucha z profesorskiej rodziny. Poszedłem do zawodówki również po to, żeby nie mieć z takimi jak on do czynienia. Porobiłby ciul rok na zmywaku, od razu nabrałby serca do ludzi.

Po wykładzie studenci wylegli przed barak. Mieli godzinne okienko, więc Wacek, mama i ich koleżanki zachodzili w głowę, co z tym fantem zrobić. Jedni chcieli do Morskiej na gorącą czekoladę, inni na lody do pana Papugi; ci pierwsi tłumaczyli tym drugim, że lody w listopadzie nie mają sensu, ci drudzy odpowiadali, że te od Papugi smakowałyby nawet po pasterce, a mama stała w tym wszystkim, otoczona przez rozszczebiotane kumpele i półżywa ze strachu, bo pod kasztanowcem warował mój stary.

Miał płaszcz z czarnej wełny, głupkowaty uśmiech pod futrzaną czapą i bukiet frezji wielki jak chwała Armii Czerwonej.

Mama ze wszystkich kwiatów najbardziej kochała właśnie frezje. Udawała, że starego nie widzi. Jakby Wacek się dowiedział, byłoby po związku, a pewno i po studiowaniu. Pan Scholl ponoć mścił się jak wezyr.

Wreszcie towarzystwo poszło na tę czekoladę, mama nakłamała, że coś zostawiła w sali wykładowej, wróciła i wyrosła przed ojcem, żeby mu nawrzucać. Czego, kurde, szuka? Tymczasem stary włożył jej te frezje w dłonie, oświadczył, że w deszczu wciąż wygląda piękniej niż Rita Hayworth pod słońcem Florydy, i zaprosił na sobotę do Inter-Clubu.

Za młodu rzeczywiście przypominała Ritę Hayworth, przynajmniej tak twierdzi Klara.

– Czy powinnam odmówić? No pewnie, że tak – wspomina. – Ruskich się bano, Ruskich nienawidzono. Kola był starszy o piętnaście lat. Chciał tylko jednego. Jeszcze mnie w jaką kabałę właduje, myślałam. Do tego miałam Wacka. To dobry chłopak był. Ale chciałam tego samego co Kola,

nie bałam się w sumie żadnej kabały i miałam dość dobrych chłopaków. No więc powiedziałam, że pójdę z nim do tego Inter-Clubu.

Kwiaty, te frezje, mama nosiła cały dzień pod płaszczem, żeby Wacek nie spytał, skąd się wzięły.

O naszej kuchni

Piszę te słowa u nas w kuchni, tylko tu znajduję spokój.

Mamy dwa pokoje na Witominie, jeden zajmuje Olaf, drugi to salon połączony z sypialnią, gdzie właśnie rozciąga się Klara. Tak ma, tak musi, i dobrze, co wieczór rozkłada matę, wygina się w klucz wiolinowy i słucha podcastu o seryjnych zabójcach.

Nasza kuchnia jest długa i wąska, jak to w blokach z wielkiej płyty, mamy tu podwójny zlew, długie półki pełne przypraw w słoikach i saszetkach, żeliwnych garnków i patelni, które mógłbym wreszcie zanieść do Fernanda, nożyczek do ziół i innych szpejów – jakbym przyrządzał w domu coś więcej poza makaronem dla żony i kotletem dla syna.

Lodówka jest wielka, jakbyśmy jeszcze planowali się mnożyć, a na mojej własnej, osobistej półeczce czekają słoje pełne śledzi. Wyjmuję jeden taki, pełen filetów marynowanych bez skóry w zalewie korzennej, i stawiam sobie obok komputera.

Za mną uchylone okno i popielniczka, palić mogę tylko na końcu kuchennego tunelu, o co Klara i tak się sroży, zresztą jest i ona, w stroju sportowym, z butelką wody i bezprzewodową słuchawką w uchu. Brwi podnoszą się jej jak ptaki podrywające się do lotu, co dzieje się zawsze, kiedy ją czymś zadziwię.

Pyta, czemu tak sobie zasiadłem, ze śledziami i z komputerem. Mówię prawdę, bo nigdy nie okłamię żony: matka zaczęła opowiadać mi o ojcu, więc próbuję spisać tę historię, nim uleci z głowy. Gadam o biurku z Ikei i długim monologu, potem wspominam, kim był mój stary, jak się spotkali i tak dalej, paplałbym jeszcze, ale wyczuwam, że Klarze nie podoba się ten cały pomysł, więc wstaję od komputera, głaszczę ją po twarzy, całuję mądre czoło i mówię, że z jakiegoś powodu to dla mnie ważne. Matka mówi chaotycznie, bo inaczej nie umie, zawsze taka była, a ja próbuję jakoś ułożyć tę historię, ot, wszystko. Wpadnę do niej jeszcze parę razy, opowie mi resztę i będzie po pisaniu.

– Zostaw przeszłość w spokoju – radzi Klara. – Grzebanie w przeszłości jest jak dłubanie w nosie. Może przyjemne. Na pewno obrzydliwe.

Przypomina, że jutro wstaję do Olafa i mam dwanaście godzin na kuchni. Potem zaparza dzbanek herbaty, który stawia na podgrzewaczu, bo wie, jak suszy mnie po śledziach, opróżnia popielniczkę i prosi, żebym nie kopcił jak pojebany.

– Idę pod prysznic i się kładę. Chodź szybko do łóżka – słyszę.

Wiem, że nie podoba jej się to moje pisanie, widzi w tym coś, co jest tylko moje i mogłoby nas rozdzielić. Nie ma racji, bo nie rozdzieli nas nic, jest dwudziesta trzecia, posiedzę do północy, półtorej godziny maks, a rano wstanę wypoczęty. Klara niepotrzebnie się martwi.

Przecież pisanie mnie nie zabije.

O cytrusach

Kiedy przynieśli cytrusy, matka cisnęła z dziadkami w remika.

Dziadkowie robili na dwie zmiany. Babcia w hotelu robotniczym, dziadek w naszej stoczni. Prócz tego zachodził do baru Pod Ryjkiem, gdzie grano w bilard, a szklanki do piwa chłodziły się w wiadrach z wodą. Pałaszował flaczki, walił kielicha i wracał, bo bardzo lubił dom. Czasem chodził na walki bokserskie Floty Gdynia, kibicował Kujdzie, Bauerce, innym dawnym mistrzom, i nawijał o tym, jakie mamy szczęście, że Aleksy Antkiewicz, zwycięzca z Helsinek, żył u nas na Pagedzie.

Nie ma to jak w domu, powtarzał i sprawdzał w „Dzienniku Bałtyckim”, czy nie wygrali w Jantara lepszej chałupy. Jantar przypominał trochę totolotka: zakreślało się cyfry na takim blankieciku, jeśli dobrze rozumiem.

Dziadek tworzył skomplikowane ciągi liczbowe, blankiety pakował do koperty i posyłał mamę do kolektury. Jak wracała, pytał, czy przyjęli kopertę i pieniądze, w ogóle czy wszystko dobrze poszło, bo szczęściu trzeba pomóc.

Babcia potakiwała i wracała do zapieprzania na froterce. Mama zwykle chciała jej pomóc, ale babcia ani myślała się zgodzić.

– Powinnaś się uczyć – mawiała. – Zrobisz studia jako pierwsza z Kreftów.

Tak to mniej więcej szło: mama siedziała za kocem z nosem w książce, babcia skakała od szczotki do garnków, a dziadek nastawiał zegary, analizo-

wał rozgrywki w miesięczniku „Szachy” i myślał o niebieskich migdałach, gdy zaś robota babci dobiegała końca, podrywał książęcy zad i obwieszczał, że jej pomoże w tych ciężkich porządkach. Ona odmawiała. Kłócili się o to bez złości i biegły sobie dni.

Dziadek chciał pomóc, bo spieszył się do remika.

Remik był jak apel w wojsku, smród w gaciach i kucharz z nerwicą – po prostu nie szło go uniknąć. Dziadek z biskupią powagą kreślił tabelę i wołał rodzinę do stołu, a karty tańczyły w jego dłoniach.

Zdaniem mamy remik przypomina życie: drwi ze sprawiedliwości, premiuje zwycięzców. Lubiła tę grę, pewno dlatego, że dużo gadali. Powiedziała, że brakuje jej tych rozmów, i ja nawet jej wierzę.

Tego akurat wieczoru dziadek narzekał, że w robocie kazano mu nosić kask. Całe życie pracował w czapce, a teraz to. Kask uwierał, nie szło się skupić. Przez te idiotyzmy strajk będzie, tak właśnie mówił, i dodał jeszcze, że do roboty stawił się ostatnio Albańczyk. Niby walczył na wojnie, a mały i śmieszny, kask mu z głowy leci, nie da sobie z nim rady, bez dwóch zdań.

Babcia, która kochała słuchać radia, przyniosła wieści z jeszcze dalszych światów. Jakiś profesor opowiadał, że za pół dekady skolonizujemy Marsa, a ludziom będą odrastały amputowane ręce i nogi, gnane chemicznym postępem medycyny. Kto wie, może i dziadkowi wrócą palce, co mu je piła w Rypinie wzięła?

Tak gadali, aż zastukano do drzwi.

Mama otworzyła. Dziadek huknął, że kiedyś ją zabiją jak Grunę.

Na klatce stał ruski marynarz, piękny jak z defilady. W czerwonych dłoniach ściskał kosz pełen cytryn i pomarańczy. Takie cuda szabrowano u nas w porcie pod osłoną nocy. Mama w życiu nie widziała tylu owoców naraz. Rusek wręczył te skarby i poszedł.

Dziadek zaraz oświadczył, że nie tknie cytrusów. Nie wiadomo, kto je przyniósł i po co, wróg pewno, bo przyjaciel nie działa w ukryciu. Należy je zwrócić albo wyrzucić. Tak narzekał, a babcia chwyciła nóż i obrała pomarańczę.

Mama wspomina, jak pałaszowała ten wspaniały owoc, jak rozsmarowała miąższ na podniebieniu, wysysała skórki napełnione słońcem. Nagle jesień zmieniła się w lato, Paged w plażę. Szukała śladów soku na wargach. Czy gwiazdy są słodkie, spytała mnie dzisiaj, i stwierdziła, że owszem, próbując zaszczepić mi część tamtego zachwytu.

Jestem kucharzem, więc nie lubię jeść. To chyba jasne.

Dziadek tymczasem doszedł do wniosku, że całą rodzinę Kreftów czeka katastrofa. Wąż wręczył Ewie owoc i jak to się skończyło?

Babcia przykryła koszyk serwetą i schowała za drzwi, na potem. Odtąd gra szła im marnie. Mama myślała o pomarańczach i o tym, od kogo pochodził ten dar, a dziadek klepał pacierze, aż zapadł w płytki sen z Bogiem na ustach.

Nocą mama posłyszała go w ciemnościach. Ściągnął kosz z półki i po kryjomu wpieprzał pomarańczę.

O sukience

Mama uważa, że mamy wielkie szczęście, bo rzeczy są dziś bardzo tanie i możemy podróżować po świecie. Jej młodość dla odmiany upłynęła na marzeniach, chciała, żebym miał inne, bogate, wspaniałe życie, bo tak mnie kocha.

Nie opuszczała Gdyni, choć chciała zobaczyć Zakopane i kombinowała, jak by to było pojechać na wczasy do Jugosławii. Dziadek rozważał uskładanie na taki wypad, ale doszedł do wniosku, że nie miałby sensu, bo na miejscu, w Trójmieście, mamy lasy i morze, czego chcieć więcej.

Czasem do świetlicy na Pagedzie przyjeżdżało kino. Wyświetlali głównie radzieckie gnioty o żołnierzach i pionierach, musicale z Niemiec Wschodnich, choć trafiały się i filmy o poszukiwaczach złota czy coś takiego.

Poza tym mama patrzyła na statki, zastanawiając się, dokąd płyną, i czytała na okrągło reportaże zagraniczne zamieszczane w „Przekroju”.

Przyznam, że trochę tego nie rozumiem, bo moim zdaniem, jeśli czegoś pragniesz, po prostu o to walczysz – nawet jak wiesz, że łatwo nie będzie. Marzyłem o gotowaniu, więc zostałem kucharzem. Chciałem rodziny, no i mam rodzinę. Łaknąłem pięknej, mądrej żony, więc oto i Klara.

Gdy mówię o tym mamie, śmieje się tak długo, że zaczynam się złościć.

Nie jestem jednak głupi, wiem, że nigdy nie polecę w kosmos ani nie otworzę knajpki na Piątej Alei. Niech każdy człowiek pozna swój mur, a wtedy może marzyć do woli, w granicach rozsądku. Dla mamy murem stała się sukienka. Ponoć nosiła taką sama Sophia Loren.

Mama wypatrzyła tę kieckę w domu mody na Czołgistów, po drodze na uczelnię. Była ponoć jak z bajki, jakże różna od pastelowych swetrów, kan-

ciastych płaszczy, pszczółek, sputników i innego dziadostwa. Do tego leżała jak druga skóra, perły od babci świetnie by do niej pasowały, słowem – ten przepiękny łach pozostawał wolny od wad poza jedną.

Chodzi, rzecz jasna, o cenę.

Dziadek, wróg zbytków, pracowałby na tę sukienkę cały miesiąc. Mama powtarza, że musiałaby wygrać w Jantara, aby ją sobie kupić. Odradza jednak wiarę w szczęśliwe przypadki. Los, jak mawia, gra znaczonymi kartami.

Stanęło więc na tym, że mama zachodziła na Czołgistów raz, może dwa razy w tygodniu, mierzyła sukienkę przed lustrem i robiła głupie miny. Postępowała w ten sposób, aż sprzedawczyni poprosiła ją, by przynajmniej pokazała forsę. Zapytałem, po co jej właściwie to było, takie łażenie za sukienką, a mama powiedziała coś takiego:

– Wyobraź sobie, kochany, że nagle w twoim życiu pojawia się ktoś, kto spełnia marzenia, a do tego daje ci cuda, o których nawet bałeś się pomyśleć. Stajesz bezbronny w wielkim szczęściu. Tak jest i zdania nie zmienię.

O Inter-Clubie

Gapię się na zdjęcie mojego taty.

Mama dobyła je z albumu, spośród innych nieznanych mi fotografii. Między kartkami, gdy przerzucała je w drobnych palcach, mignęły mi zasuszone kwiaty, liście, wstążka.

Nie pamiętam tego albumu z dzieciństwa. Najwidoczniej mama porobiła w domu najróżniejsze schowki.

Tatko ma brwi jak szuwary, oczy ciemne jak kadzie z piwskiem, swoją drogą takie same jak moje, i sklejone wargi, które przecina głęboka blizna. Sięga policzka i schodzi na podbródek. Po bokach gęstej czupryny sterczą małpie uszyska.

Mimo tych uszu przystojny chłop, a i owszem. Dziś ludzie za gruby hajs robią sobie takie skaryfikacje.

Podobno brakowało mu też zębów, czego nie widać na zdjęciu. Pół szczęki czarne jak grzech.

Tata miał trzydzieści pięć lat, więc był najmłodszym dowódcą niszczyciela w całych Sowietach. Gadano, że prędko zostanie admirałem, może

nawet dowódcą całej sowieckiej floty. Chyba nie wypaliło, a ja wiem, kogo winić.

Stoję przed lustrem i zerkam na fotkę ojca w komórce. Mama w życiu nie dałaby oryginału. No i nie wiem… Wygląda na to, że odziedziczyłem po starym głównie oczy i uszy. Dobra, oczy zwłaszcza. Nic z tego nie wynika. Masa ludzi ma właśnie takie oczy, duże i ciemne. A jednak się gapię, na siebie, na niego. Dosyć. Wracam do pisania. Zabieram z blatu garść suszonych śledzi, sojuszników wszelkiego namysłu.

Z tego, co mówi mama, Inter-Club był trochę jak Nowosopocka teraz, tylko bardziej, każda dziewczyna posprzątałaby piekło, byleby tam trafić.

W barze lali wódę sprowadzaną z każdego kontynentu, śpiewały panny ze szkoły muzycznej na Szenwalda, a na piętrze leciały amerykańskie filmy o ucieczkach i strzelaninach. Myk polegał na tym, że wpuszczali tylko marynarzy, najchętniej dewizowych.

Mama okłamała Wacka, że ma moc nauki, rozbiła trzy jajka, wywaliła białka na twarz, szczelnie zasunęła koc i zaległa na amerykance. Dziadek nakryłby się nogami, gdyby zobaczył, jak jego jedynaczka robi się na bóstwo. Babcia z kolei pożegnała ją słowami:

– Córuś, ale ten Wacek ma szczęście.

Mama starym zwyczajem chciała cwałować na autobus, ale pod blokiem czekała już czarna warszawa z włączonym silnikiem. Rusek, ten sam, który przyniósł cytrusy, opierał się o dach i kopcił białomora.

Nazywał się Płaton. Mama wspomina o nim z wielkim smutkiem, dosłownie dławi się tym nazwiskiem. Tego jednak wieczoru Płaton okazał się wesoły i bezproblemowy. Mama obojętnie minęła warszawę, bo sąsiedzi gapili się z okien, ten od królików na pewno. Płaton zgarnął ją dopiero na Dąbka, więc prócz dobrego humoru miał też rozum.

Przez całą drogę morda mu się nie zamykała, chwalił dobrego kapitana Nikołaja Siemionowicza i swój własny los. Dalej żyłby ze świniami, gdyby nie marynarka wojenna. Kto wie, może kiedyś zamieszka w Moskwie? Czy istnieje piękniejsze miasto niż Moskwa? – pytał i patrzył na drogę. Mama przysięga, że ani razu nie mrugnął.

Stary czekał przed Inter-Clubem, w znajomym już płaszczu i garniturze z prawdziwej wełny. Mama mówi o tym, jakby chodziło o papieską tiarę. Ujął ją pod rękę i poprowadził do środka.

Parter wyłożono mahoniem, na ścianie wisiał głośnik, Gomułka surowo spoglądał z portretu. Ojciec wpisał ich do księgi gości, machnął książeczką

żeglarską i tak weszli dalej.

Kelnerki w białych czepkach roznosiły wódkę i talerze z plastrami szynki konserwowej, Bułgarzy i Jugole rżnęli w bilard, wszyscy pili, ale się nie bili, i nawet kurwy były jakieś takie porządniejsze.

Pół knajpy kręciło się wokół hrabiny Potockiej z Ameryki. Siedziała w czarnym kostiumie odsłaniającym pomarszczony dekolt, miała złoty naszyjnik z rubinem, włosy w kok i papierosa w lufce. Chłopy łamały nogi, żeby dać jej ognia i wręczyć kieliszek z szampanem.

Ponoć przychodziła tam codziennie, chlała na umór i bredziła o swoich amerykańskich milionach. Mieli za ten szmal Gdynię podźwignąć z ruiny. Na razie miasto dało jej hotel i szofera, a knajpa – chlanie na kredyt.

– Jacy wy piękni jesteście – wybełkotała hrabina.

Ojciec prowadził matkę delikatnie za rękę, głaskał po twarzy i nie nazywał inaczej jak Gwiazdką, *moja Zwiozdoczka*, tak właśnie mówił.

Tego wieczoru mama zakochała się w jazzie. Gdzie takie dźwięki dla dziewuchy z Pagedu? Swoją drogą, chciałbym, żeby dzisiejsi młodzi, co mają Spotify i słuchawki za tysiąc dwieście, gadali o muzyce tak jak ona.

Mama mówi całą sobą, a jej ręce tańczą.

Opowiadała o szalonym pianinie, zawadiackiej trąbce i ptakach w brzuchu, co kłębiły się i zrywały do lotu. Dźwięki biegały jak chmara dzieciaków, łapały się za ręce i wirowały w pękających okręgach, mówi moja mama, oszałamiały na podobieństwo wiosennych pocałunków, ciągnęły na łąkę i turlały się z zielonego stoku. Jakaś wolność w tym brzmiała, radość życia, co ją łatwo zapomnieć, bo praca, nauka i trudy. Tę muzykę chciało się zabrać jak kwiaty, poniosłaby ją nad morze, na uczelnię i do rodziców także.

– Myślałam, że nigdy nie zapomnę tego wieczoru – dodaje. – Ale teraz wszystko się zaciera. Dlatego, synuś, mówię.

Tatko tańcował z matką i rwał się do całowania.

– *Ja by tiebie wies' mir podarił, Zwiozdoczka* – zapewniał. – *Wsielennuju i griobanuju Gdyniju.*

Cała twarz mu się śmiała: oczy, kurze łapki, usta i czoło, w ogóle wszystko. Dużo gadał o swoim niszczycielu, o wyporności, sterowności, o masakrowaniu okrętów podwodnych i tych cholernych Indonezyjczykach; mówił o psie z dzieciństwa i o tym, jak nauczył go sztuczek; wspominał woń drzew powalonych w tropikach i chrzest równikowy, gdzie oddał duszę Neptunowi, prócz tego w kółko dolewał mamie wino i rozładowywał

furgony komplementów. Sam grzmocił wódkę, ale stał prosto i gadał z sensem, jak to Ruski.

– Czemu nie widziałam tego wcześniej? – pyta mama i zaraz dodaje, że nagrzmocony tatko za nic nie kojarzył się z pijakami, których znała. Pijacy to byli ci brudni goście, co wytaczali się z Rybitwy i Oazy, albo ten chłop, co go tak wyrzucali z Targowej, że biedaczynie pękła noga. Frajer od królików z piętra wyżej raz biegał w delirium po całym osiedlu i brodził w błocie jak obłąkany król z Biblii, bo niby prysnęły mu te bezcenne zwierzęta. No ale tatko był inny, czysty, w mundurze, nie plątały mu się język ani nogi.

Tak balowali do drugiej, kiedy zamykali ten cały Inter-Club. Wtedy nie było zmiłuj, jak tylko wybiła ostatnia godzina, won na mróz. Tatko zaproponował dalszą zabawę w pokoju na ostatnim piętrze Hotelu Centralnego. Mama się zgodziła.

– Bardzo dobrze się stało – mówi – trzeba korzystać z życia.

Łatwo zapominamy, że rodzice też są ludźmi. Pieprzą się, zdradzają i tęsknią za myśleniem tylko o sobie.

Ciekawe, co Olaf myśli o nas, o mnie i Klarze.

Mama i tatko ruszyli do wyjścia z Inter-Clubu, sklejeni jedno z drugim, i wpadli na hrabinę, walczącą o utrzymanie pionu. Weź wymijaj arystokratkę. Potocka omiotła rodziców nieprzytomnym wzrokiem, dziabnęła jego i ją paluchem czarownicy.

– On dla ciebie zabije – obwieściła. – A ty zabijesz dla niego?

Upadłaby, lecz stary ją podtrzymał.

O wołaniu mew

W kolejnych tygodniach rodzice zdrowo się szlajali, a mama kipiała szczęściem.

Na przykład ojciec wyczarował bilety do Stoczni Gdańskiej na koncert Kiepury i jakiejś Marty Eggerth. Takie wieści boleśnie uprzytomniają upływ lat – matka jest tak stara, że słuchała Kiepury na żywo.

Trochę się o ten koncert pożarli, bo mama bała się, że ludzie ją zobaczą z Ruskiem. Niby włóczyli się po barach i dancingach, ale sala koncertowa to co innego, tam jest jasno i wszyscy się gapią.

– No, będą się gapić. Na Kiepurę – odparł mój stary, który miał odpowiedź chyba na wszystko. Prócz tego załatwił najlepsze miejsca, tak że mama doskonale widziała złotą czuprynę tej całej Marty i łysinę sławnego tenora. W kółko bisowali, tylko arię zdusił gwizd przejeżdżającej lokomotywy.

Stary się połapał, że mama kocha filmy, a zmyślone przygody otwierają jej serce. W gruncie rzeczy tak jest do teraz i nie wiem, czy ta jej opowieść ma cokolwiek wspólnego z prawdą. W każdym razie ojciec zabrał ją do kina Warszawa, gdzie mieli palarnię, kawiarnię, do sali pompowano gorące powietrze, do tego na suficie błyszczały obce słońca i dalekie planety. Tatko wyszukiwał dla mamy nowe gwiazdozbiory, a jego rozżarzony kiep krążył w ciemnościach jak sputnik.

Raz puścili coś takiego jak *Kapral z Madagaskaru*, ramotę o chwale żołnierzy niskiej rangi, i mama zapytała, czy takie rzeczy jak tam, w tym filmie, są w ogóle możliwe. Dałoby się tak porwać okręt z nabrzeża i prysnąć ku przygodzie?

Stary odparł trzeźwo, jak nie on, że w życiu – ustrzeliliby ich zaraz za Helem.

Pierwszą prawdziwą kolację zjedli w sopockim Grand Hotelu. Mama rozwodzi się nad tym, bo ponoć frapuje mnie jedzenie. Gówno prawda, w żarciu szukam spokoju, a nie smaków.

Grand Hotel to rozległy budynek nad samym morzem, przykryty czerwonym dachem z iglicą pośrodku. Ponoć rezydował tam Hitler, a gość, co nadzorował powojenny remont, powiesił się i czasem w suszarni rozbrzmiewa jego charkot. Z kolei dyrektor, ten sam, który giął się w pas przed moim starym, był sowieckim szpiegiem, kutym na cztery nogi. Dostał ten Grand Hotel za sukcesy operacyjne w Niemczech.

Tatko czekał na mamę w zarezerwowanej dla nich sali, pod kryształowym żyrandolem. W kuble mroził się szampan. Pianista, urżnięty w sztok, wygrywał jakieś wiedeńskie melodyjki, rzucając swe bezwładne cielsko na trzeszczący instrument. Ubawiony tym stary ciskał mu rublówki na spodek po kawie, po czym gapił się w mamę, chwytał ją za kolano i sprzedawał głodne kawałki.

Wtedy właśnie opowiedział jej o harpunach. Z kolei o zębach nie chciał gadać ani wtedy, ani później, gdy mama go podpytała. Rzucił jedynie, że po to umawia się z dentystką, żeby skompletować utraconą klawiaturę.

Mama wspomina, że nigdy wcześniej nie widziała, by ktoś wlewał w siebie tyle wódki. Ojciec pił na szklanki, a jednak gadał z sensem i tylko jaśniały mu oczy. Zawstydzona twierdzi, że imponował jej jak olbrzym żonglujący płonącymi kulami.

– Głupia byłam – słyszę.

Prócz tego tatko kupował jej prezenty. Przecież na cytrusach się nie skończyło.

Płaton przyniósł na Paged pończochy, nylonowy płaszcz, perfumy Rapsodia, co cała produkcja szła na Węgry, i wodę kwiatową w kryształe z rozpylaczem. Mama składowała te skarby na dnie szafy, za amerykanką. Ale mowę jej odjęło dopiero, kiedy dostała sukienkę.

To była ta sukienka ze sklepu na Czołgistów, gładka i miękka jak plecy Sophii Loren. Skąd stary wiedział? Matka przeraziła się, że kazał ją śledzić, i wierciła mu o to dziurę w brzuchu, tymczasem ojciec, szczerze tym ubawiony, za każdym razem gadał co innego.

Raz stwierdził, że sukienkę wybrał samodzielnie Płaton, co było niedorzeczne: zacny marynarz nie odróżniłby wazy chińskiej od chomąta. Kiedyś znów złożył palce jak do przysięgi i rzekł, że sam ją wyszukał pod koniec morderczych rajdów po sklepach odzieżowych, a był o krok od uruchomienia znajomości w świecie mody dalekiego Leningradu. A innym razem golnął setkę czy dwie i wyznał, że mieli cały kontener takich właśnie, czerwonych sukienek. *Oni lubomu dawali, lisz by nie prognili.* Rechotał jak kumak, a matka chciała go dusić.

Siedzimy w kuchni, od mamy bije smutek i patrzy na mnie trochę tak jak wtedy, gdy powiedziałem jej, że hajtam się z Klarą.

– Ja przedtem nie wiedziałam, że można tak kochać – mówi.

Kola, mój ojciec, pojawiał się w jej myślach zaraz po przebudzeniu i nie opuszczał ich do zmroku. Zastanawiała się, co robi, jak się ma, czy spał i co zjadł. Liczyła dni, godziny do spotkania. Potem wściekała się na siebie, bo przecież to niedorzeczne tak kochać, powinna myśleć o czymś poważnym, na przykład o przyszłości.

Zacinał śnieg, wiatr porywał czapki, mama wlokła się przez mroczny Paged, a pod płaszczem, pod bluzką, grzały ją powidoki dotyku dłoni taty. Mewy, ciemne okna, chmury i klaksony wołały: Kola, Kola, Kola.

Nie była Heleną Kreft, była Zwiozdoczką.

Miłość rozsadzała ją od środka i jak dziecko chciała się wydostać na świat – na taką właśnie metaforę pozwala sobie mama. Najchętniej powie-

działaby o ojcu wszystkim: koleżankom z uczelni, których jeszcze miała mnóstwo, dziadkom, panu Leonowi z warzywniaka, samemu Ratajczakowi, co prowadził sklepik na Pagedzie, nawet temu pijanemu frajerowi od królików z piętra wyżej, i tylko Wacek był wyłączony z tego marzenia.

No ale nie mogła powiedzieć nikomu.

O harpunach

Tatko zarobił bliznę w pojedynku na harpuny. Mama prosi, żebym nie podniecał się tą historią, bo miał pełne kieszenie podobnych. Czy rzucał je, jak drobne pianiście, każdej dziewczynie, którą bajerował?

Na te harpuny bił się ponoć w szkole morskiej gdzieś na północy. Dorabiali sobie, polując na wieloryby. Mieli wyrzutnię, podobną do armatki, i trochę harpunów miotanych ręcznie, kutych jeszcze za cara. Cóż, każdy napycha portfel jak umie.

Wychodzi na to, że stary był raczej obrotny, bo prócz dziurawienia ssaków morskich szmuglował peruki, kawę, skóry i kolorowe flamastry. Ponoć peruki i ortaliony schodziły jak kondomy na festiwalu chorób wenerycznych.

Do tego całego biznesu, do peruk i wielorybów, tatko miał kumpla, którego imienia mama na razie nie chce wypowiedzieć. I raz ten kumpel, wesoły, fajny facet, wrócił z roboty i obwieścił, że go capnęli. Oddał fanty, żeby nie trafić do pudła. Ocalił też ojca, tak mówił.

Po miesiącu paradował w nowej kurtce, no a stary nie był głupi. Polazł to niego i powiedział: ty taki owaki, chodź, *dawaj drat'sja na garpunach*.

Mama pokazuje na łyżkach i cukiernicy, jak to było.

W odległości pół rzutu wyrysowali okręgi. W nich stanęli. Żaden nie mógł przekroczyć linii okręgu.

Tamten kolega miotał pierwszy, no bo wyzwał go mój nieustraszony stary. Wziął więc ten harpun i podrzucał sobie wesolutko, oceniając ruchliwość celu.

Stary tymczasem stał spokojnie. Słyszał tylko, jak serce woła o życie. Tkwił w miejscu, bo widział już podobne pojedynki: jak harpun leci, nic nie pomoże. Niejeden skakał w bok i się nadziewał na oszczep.

Chłop rzucił. Zastygło lodowate powietrze czy coś.

Harpun szarpnął policzek pomnikowego taty.

Stary strząsnął krew z podbródka, schylił się po swój harpun. Tamtym miotało, patrzył, gdzie by tu skoczyć, palił go grunt w okręgu. Ojciec obserwował jego ruchy i rzucił. Słusznie ocenił kierunek ucieczki, bo trafił chłopa pod lewy bark, i to tak, że harpun okręcił nim i pchnął między gapiów.

Ponoć typ, znoszony z pola walki, piszczał, jakby mu jaja pilnikiem rżnęli. Przesiedział kwartał w lazarecie i nigdy nie wrócił do jednostki. Poszedł do wywiadu wojskowego czy coś. Mama robi się bardzo tajemnicza, kiedy porusza tę sprawę, zaznacza tylko, że niedługo dowiem się więcej.

Zajuszonego ojca żołnierze zanieśli do kantyny, wśród braw, gwizdów, brzęku szkła i jęku akordeonu. Tam nad gorzałką zszył sobie ranę. Puchnący pysk obłożył pajęczyną, żeby uniknąć zakażenia, i pił dalej. Położyli go na pryczy razem z tym zwycięskim harpunem.

– Mniej więcej taki był ten twój ojciec – mówi mama.

O Muminkach

Jest trzecia w nocy, przerywam pisanie. Pójdę po wodę. Może zostały jakieś śledzie?

Nic z tego, dalej walę w laptopa.

Klara ma rację, z pisaniem mi nie po drodze, mówi też, że jestem człowiekiem czynu, wystarczy dać mi robotę, a będę tyrał do upadłego, gdybym strugał świątki, szybko brakłoby drewna i miejsca w kościołach. Za dzieciaka próbowałem coś czytać, ale matka wypychała mnie na podwórko, nad rzeczkę na Kaczych Łęgach, albo ładowała w malucha i wiozła do Malborka, na wydmy przy jeziorze Łebskim, do wiatraka na Kociewiu.

Latem puszczaliśmy latawce i graliśmy w badmintona, przy czym matka była nie do zajechania, jakby urodziła się z rakietą w dłoni.

Jesienią i zimą rżnęliśmy w karty przy kuchennym stole, w remika, w tysiąca, potem także w pokera i kości. Pamiętam długie tabele z wynikami zapisanymi maczkiem: duży strit, ful, kareta, poker.

Najdłuższym, co dotąd napisałem, było podanie o rozłożenie podatku na raty. Jak wyszedłem od mamy, stwierdziłem, że przysiądę i zanotuję, co mówiła, w paru prostych słowach. Doprawdy, świetnie mi poszło.

Chociaż nie, było jeszcze coś, pamiętam.

Piszę i spokój spływa na mnie jak przelew natychmiastowy na puste konto. Przestaję, to serce wali, kręci mi się we łbie, lodowacieją kichy. Ojciec to, ojciec tamto, i tak straszliwie zakochana mama.

Ma lekkiego pierdolca na moim punkcie, strach pomyśleć, co się działo, jak była młoda i w jej życie wjechał mój wielki, mundurowy stary.

Chciałbym zobaczyć ją, dwudziestoletnią, jak siedzi w knajpie nad kieliszkiem, jak tańczy i śpiewa, ale z ojcem, o dziwo, nie mam żadnego kłopotu. A przecież w gruncie rzeczy długo nie wiedziałem, co to takiego. Tatko, tatuś, tata, stary – jeśli wypowiadałem te słowa, to jako dorosły i mając na myśli siebie w odniesieniu do Olafa.

Pierwsze, co pamiętam z dzieciństwa: stoimy z mamą nad Bałtykiem, ona płacze, a ja nie wiem dlaczego.

Dalsze wspomnienia to już Witomino, ulica Polskiego Czerwonego Krzyża: nasze dwa pokoje, widok z okna na Półwysep Helski, dzwony kościoła bijące w niedzielę o świcie i śmietnik ze skarbami.

Mama lepiła mi pierogi, pulchne uśmiechy z cienkiego ciasta wypełnione gorącym mięsem, urządzała teatr cieni, a gdy byłem trochę starszy, zabierała do kina na filmy o Rambo i Harrym Callahanie.

Problem wypłynął, gdy przeczytałem opowieści o Muminkach.

Stary Muminka siedział na werandzie, walił grog, pozwalał dzieciakom wędrować do wulkanów, a na sam koniec oszalał i powiódł rodzinę we własny smutek, na jakąś kamienną wyspę, do nieczynnej latarni morskiej. Czymś takim jest tata? Ofiarowuje światło, a potem zabiera? Nie mogłem tego zrozumieć, aż w końcu wyrosłem przed mamą, zajętą akurat tłuczeniem bitek, i spytałem:

– Czy jak miałbym tatę, toby mnie skrzywdził?

Myślałem, że przyłoży mi tym tłuczkiem, przysięgam.

Zamiast tego uklękła i przeprosiła. Powiedziała, że ukrywała przede mną pewne rzeczy z głupoty i troski, co często idzie w parze. Potem wyjaśniła, że niektórzy ojcowie znikają, inni znów nie. Mój akurat przepadł, nim się urodziłem. Chciałem wiedzieć, kim był, jak wyglądał i czy może popłynął do czarnych skał, na spotkanie ze ślepą latarnią. Mama potrząsnęła mną, wycedziła zimno, jak wtedy, gdy ją męczyłem o psa:

– Nie interesuj się ojcem.

Po tej rozmowie kupiła piłkę do nogi, zachęcała, żebym strzelał jej gole, których broniła jak Włodek Żemojtel. Za to wbijanie goli szło jej gorzej i pamiętam nawet, jak stałem na polanie przy radiostacji, dwa kamienie

wyznaczały granice bramki, mama rozpędzała się, jakby leciała z taczką, a piłka frunęła w niebo, między drzewa, w pole – wszędzie, tylko nie do mnie.

Wracaliśmy spoceni, zieleni jak trolle i mama klęła, że nie dopierze ubrań z trawy. Zalegały potem w misce wody z proszkiem do prania, a ona zapominała o nich, zawsze zapominała, tak właśnie było.

Kupiła dwa rowery, mnie wigry, sobie rometa, i zasuwaliśmy na długie wycieczki, czasem i do Rewy.

Od dziadka wydębiła sprzęt wędkarski. Ja łapałem na chleb, mama na muchę i dość powiedzieć, że gdyby nie facet, co obok łowił prądem, wróciliby śmy do domu z pustymi rękami.

Ten wielki trud mamy obrócił się wniwecz, gdy poszedłem do szkoły, gdzie stawił się cały legion ojców. Pojąłem, że ojciec jest wąsatym stworzeniem w swetrze, skórzanej kurtce bombce, ostatecznie nosi prochowiec i odpala carmena w chwili, gdy dzieciak puszcza jego rękę, by podrałować na lekcję.

Ojcowie byli robotnikami, stoczniowcami i taksówkarzami. Ja nie mogłem się pochwalić nikim podobnym. I tak miałem przegwizdane ze względu na imię i kombinowałem, jak by tu uniknąć kłopotów.

Dustin Barski, co to w ogóle ma być? Kto tak się nazywa na Witominie?

Koledzy pytali mnie czasem, co porabia mój stary. Działo się to w tych przyjemnych momentach, kiedy wyciągnęli już mój łeb z klopa.

Odpowiadałem zawsze to samo.

Mój tata dawniej pływał na statkach, a teraz pisze pamiętniki. Wyda je i zyska wielką sławę.

Mój tata ma czarny cylinder, laseczkę i pije wyszukane trunki, nie chrzczone piwko jak wasi pojebani ojcowie.

Tata przez cały czas siedzi w domu, zawsze znajduje dla mnie czas i opowiada różne fantastyczne historie. Nie krzyczy i pozwala mi chodzić, gdzie tylko chcę, poza tym zabijał potwory i kiwał głupich milicjantów, więc weźmie zemstę na każdym, kto spróbuje mnie skrzywdzić.

O dobrych butach

Do kuchni zagląda Klara i pyta, co ja wyrabiam o takiej godzinie. Całą noc tak siedzę? Jeszcze nie skończyłem historii Heleny?

– W robocie będziesz nieprzytomny – ostrzega.

Wiem, o co jej chodzi. Boi się, że biorę narkotyki.

Większość kucharzy jedzie na dragach, ale nie ja, ja nawet nie piję.

Obiecałem jej. Zawsze dotrzymuję słowa. No ale muszę jakoś się wytłumaczyć z tej dziwnej sytuacji, że siedzę, palę fajkę za fajką, żrę śledzie i ciągle coś klepię, choć obiecałem, że nie zamarudzę.

– Próbuję dojść do ładu ze sobą – zdobywam się na takie mgliste wyjaśnienie.

Klara patrzy na mnie tak, jak może patrzeć tylko ktoś, kto zna cię na wylot, rozumie i kocha mimo tej wiedzy, tego zrozumienia.

– Długa droga, skarbie – słyszę. – Weź lepiej dobre buty.

O listach

Z tym pisaniem to trochę minąłem się z prawdą.

Owszem, w zawodówce z polaka dostawałem wyłącznie trójki na szynach, wyjąwszy jedną piątkę. Dali mi ją po wielkich bojach. Baba od polskiego przeczytała moje wypracowanie, zaciągnęła mnie do dyrektora i we dwoje usiłowali się dowiedzieć, od kogo ściągałem. Wściekłem się, jak tylko może dzieciak rozjuszony niesprawiedliwością świata i fałszywym oskarżeniem, i streściłem własny tekst, dodając drugie tyle nowego. Babie w końcu szczęka zjechała na cycki, no i dostałem tę piątkę.

Pisałem wtedy o *Panu Tadeuszu*, o tym, co tam żarli: o wędzonych szynkach, bulionach z kury, o galaretkach migdałowych i skrzydlikach ozoru. Naprawdę, gdyby pisarze w Polsce pochylili się nad żarciem, zniknęłyby problemy z czytelnictwem.

Ale też pisywaliśmy z Klarą do siebie, jak byliśmy młodzi, o czym przypominam sobie właśnie w tej chwili, w środku nocy, kiedy Gdynia zawisła w zupełnej ciszy, a ja sobie siedzę, dziwnie pusty, jakby ktoś obcy i piękny nagle mnie wycałował, kiepuję do słoika po śledziach, bo nie chce mi się odwracać do okna, gdzie czeka popielniczka, przedłużam tę chwilę, dodaję słowa do bzdur, nie chcę, żeby noc dobiegła końca, nawet nie myślę o śnie.

Po studiach Klara wyjechała do Stanów, bo w Polsce nie było roboty dla socjologów. Pracę w korpo złapała dopiero jakiś czas później. Planowaliśmy wspólny wyjazd, ale Klara dostała wizę, ja nie dostałem, więc pojechała sama. Tam sprzątała domy bogatych Amerykanów, ja zahaczyłem się

w pizzerii w Rumii, no i tęskniliśmy za sobą jak papugi o popękanych sercach.

Telefony były drogie i Klara zaczęła pisać. Pierwszy list był długi, opowiadała trochę o tym, jak jej tam jest, o życiu z bandą współlokatorek w przyziemiu jakiegoś cholernego kondominium w Jackowie, o giełdzie pracy pod polskim kościołem, zupach z puszki i kurczakach wielkich jak krowy, a trochę o tym, jak się ma, co czuje i tak dalej. Zdziwiłem się, bo o wszystkim już wiedziałem albo mogłem się domyślić, ale te proste rzeczy, te uczucia, nazwane i wbite w papier, zyskały siłę, że ja pierdolę. Aż dziwnie miękko się zrobiło. Nauczyłem się tego listu prawie na pamięć, jak tych potraw z *Pana Tadeusza*, chciałem zaraz dostać kolejny, problem w tym, że najpierw musiałem napisać swój.

Okrutnie się nad tym biedziłem. Ja nie zaglądam w siebie, bo mało co tam jest, więc napisanie czegoś o uczuciach szło mi słabo. Kocham, tęsknię, zerżnąłbym cię – to raczej głupio brzmi, zwłaszcza jeśli ma, spisane, przefrunąć ocean. Streściłem, co robię dzień po dniu, i wyszło, że mało się u mnie dzieje, nic tylko kręcę pizzę i jeżdżę eskaemką. Po co jej tym głowę zawracać.

W końcu postanowiłem, że nie napiszę o tym, co jest, ale o tym, co będzie i jakie zdarzy się nam życie. Jak to ominą nas pijaństwo i zdrady, jak zamieszkamy razem, zrobimy sobie dziecko, którym się zajmę, bo skoro nie miałem ojca, to sam będę najlepszym na świecie, no i koniecznie otworzymy restaurację.

Udało się, przyszedł kolejny list. A dziś mamy wszystko, co sobie wtedy wymarzyłem. Restauracja, Olaf, dom.

Dopiero teraz, kiedy to piszę, uświadamiam sobie, czemu tak naprawdę wysnułem ten farmazon. Przecież nie miałem grosza przy duszy, a z tego, co Klara zarabiała na sprzątaniu, nie starczyłoby nawet na metr restauracji. Wcześniej nawet nie myślałem o dzieciach – po prostu przeraziłem się, że ją stracę, półroczna wiza się skończy i Klara zostanie w tej Ameryce, będzie sprzątała cudze domy tak długo, aż kupi sobie własny. Bo co w tej Polsce dwadzieścia lat temu na nią czekało? Tylko ja. Myślała o tym, czułem między słowami.

Nie mogłem do niej polecieć ani nawet zadzwonić, więc wymyśliłem nasze marzenia, żeby tylko wróciła.

O burzach na Słońcu

To była dziwna jesień, wspomina mama. Morze pociemniało i stało się nieprzeniknione. Wczesnym popołudniem zapadał zmrok, na targowisku ginęły pomidory i jajka, uwolnione szaliki tańczyły wysoko wśród ptaków nad Pagedem.

Wszystko było inne, a mama wypierała się tej zmiany. Weźmy tego całego Wacka, któremu w kółko nawijała makaron na uszy. Mówiła, że dużo uczy się z koleżankami, że głowa ją boli, senność męczy i tak dalej.

Wacek, idiota, pytał, czym zawinił, i przysięgał, że zrobi wszystko, aby pomóc. Mama marzyła, żeby zniknął w obłoku gryzącego dymu. Niech przynajmniej ta sprawa rozwiąże się bez jej udziału.

Był dobry i bezbronny, mówi, takich się okłamuje, lecz nie rzuca. Wackowie tego świata chodzą przesyceni troską, a potem giną od noża w plecy.

Bała się też jego ojca, pana Scholla, tego wampira z Orzeszkowej. Wiosną zdawała u niego egzamin z protetyki.

Pod koniec listopada aresztowano hrabinę Potocką, tę modną staruchę z Inter-Clubu. Nazywała się zresztą całkiem inaczej, a z arystokracją miała tyle wspólnego, ile krowa z jazdą na łyżwach.

Przyjechała do Gdyni bez grosza przy duszy. Nie chciała pracować, więc ogłosiła się hrabiną, bredziła o tym spadku w Stanach, piła szampana, żarła małże i robiła długi. Nabrała urzędników, hotelarzy, żigolaków i zawodowych oszustów. Milicjantom oświadczyła, że mogą kropnąć ją choćby i teraz, wszystko jej już jedno, przynajmniej dwa lata przeżyła jak trzeba.

Jak ją zamknęli, dziadek ucieszył się i obwieścił, że takich jak ona należy wozić w klatce i obrzucać błotem. Pół Gdyni głoduje, a ona piła sobie najlepsze wina, rzekł i dodał, że ci, co fundowali jej zbytki, też powinni dostać jakiś wyrok.

Prócz tego przejmował się swoimi zegarami, bo mu nierówno biły.

Miał trzy duże zegary ścienne i jeden mniejszy, z dworkiem szlacheckim wymalowanym na tarczy. Regulował je, sprawdzał z radiem i ręcznym poljotem, w końcu pakował taki niesforny zegar w koc i maszerował z nim

pod pachą przez całe Obłuże, poboczem Marchlewskiego, aż do centrum, na Portową, do zegarmistrza.

Ten zegarmistrz, przedwojenny spec, pytał dziadka, czemu lezie do niego bite dwie godziny, skoro są autobusy, a dziadek odpowiadał, że przecież autobusem zarzuci, ktoś go trąci i będzie po zegarze.

Z kolei babcię martwiły burze na Słońcu. Dowiedziała się o nich z radia. Wcześniej myślała, że nasza wspaniała gwiazda trwa w spokoju. A tu nie. Babcia zawędrowała nawet do biblioteki po jakieś broszury na ten temat. Nic nie mieli. Wtedy przypomniała sobie, że jak jest sztorm na Bałtyku, to spać się nie da, więc z tymi huraganami na Słońcu pewno jest podobnie. Kto wie, może wojny i zdrady dzieją się przez gwiazdy?

Babcię ekscytował też człowiek, który bywał na Wenus, legitymował się kosmicznym paszportem i zapowiadał desant latających spodków na Berlin. Przez parę dni radio nadawało informacje głównie o nim.

Gość zbierał pieniądze na otwarcie ambasady dla przybyszów z Wenus, aż wreszcie aresztowali go we Włoszech. Powiedział wówczas, że jest synem Adolfa Hitlera.

– Naprawdę nie wiem, jak miałoby mu to pomóc – dziwiła się babcia nad balią pełną prania.

Raz wzięła mamę na rozmowę. Dziadek był wtedy w pracy. Mama przeczuwała, co się święci, i próbowała uniknąć całej tej gadaniny. No ale babcia ją przymusiła.

– Co ty, córuś, wyprawiasz? Wszyscy mówią tylko o tym sowieckim kapitanie.

Mamę cokolwiek zatkało, bo naprawdę myślała, że ze starym pozostają niewidoczni, że chroni ich jakaś nieprzepuszczalna bańka, co obejmuje dancingi, restauracje i pokój w Domu Marynarza.

Odpowiedziała głupio, że Kola to tylko znajomy.

– Kola, no tak. – Babcia cmoknęła i przypomniała, że tacy właśnie znajomi strzelali do ludzi w Poznaniu całkiem niedawno i nawet zabili jakiegoś chłopca.

Mama się wściekła, bo mój stary nikogo przecież nie mordował, przynajmniej w Polsce, w ogóle nie zrobił niczego złego, wprost przeciwnie. Panie pokrzyczały na siebie i tyle było z rozmowy.

Mama bardzo się bała. Chciała tylko lepszego życia, tak właśnie mówi.

Gorsze życie zaczęło się od tego sąsiada, co hodował króliki. Nie ukłonił się dziadkowi przed mszą świętą i dziadek wrócił do domu zaraz po nabo-

żeństwie, nie zamienił z nikim ani słowa.

Szacunek dla dziadka był wszystkim.

Coraz częściej siedział Pod Ryjkiem, gdzie żalił się kumplom na swój paskudny los i szukał rady tak długo, aż wreszcie ją znalazł.

Czekał na mamę do nocy, poważny, jakby cały dzień wstrzymywał oddech. Posadził ją przed sobą i rzekł:

– Kapitan Narumow ma żonę i syna w Leningradzie. Wiedziałaś o tym?

No nie wiedziała, skąd miałaby wiedzieć, tak twierdzi, a ja jej wierzę.

Mama przyjęła rewelację dziadka spokojnie i poryczała się dopiero za kocem, na amerykance.

Następnego dnia tatko czekał na mamę pod kinem Neptun w Orłowie. Zamiast wejść z nim do środka, mama oddała ojcu sukienkę wraz z radą, aby wręczył ją żonie. Potem strzeliła go w mordę i poszła, niesiona rozpaczą i dumą, pewna, że skończyła z tym sukinsynem na zawsze.

NOC DRUGA 1958

drugi

wtorek

października

2017

O śmierci

Mama opowiada mi tę historię, bo umiera. Przynajmniej tak twierdzi i zaklina, żebym się tym nie przejmował. Nic prostszego. Umiera, odkąd pamiętam.

Zazwyczaj odwiedzam ją raz w tygodniu, najczęściej we wtorki, bo początki tygodnia mam wolne, w ogóle moje życie wisi do góry kołami: robię do wieczora, mam luźne poranki, najwięcej zapieprzam w weekendy i święta, za to kocham pierwszą połowę stycznia, gradobicia i wichury. Kocham też śmiech mojego syna, dziki jak gwizd pijanego łotra, niech biega młody i się tłucze.

Przychodzę więc do mamy we wtorek, jak co tydzień niosę siaty z zakupami. Wstaję wcześnie i myślę o ojcu. Wszedł mi, Rusek jeden, w łepetynę. A jak zacznie mi się myśleć, to nie ma zmiłuj, muszę te myśli rozchodzić, zadeptać, żeby wrócił spokój.

Bardzo lubię spokój. Chcę, żeby zawsze było tak samo, chcę, aby było tak, jak jest.

Mamę zastaję nad biurkiem, w okularach i z lupą studiuje rachunki, pisma na maszynie, odbitki zdjęć i polaroidy. Chodzi skaner, w niszczarce utkwił papier, wchodzę, a mama zgarnia ten kram jak dzieciak złapany nad pornosami taty.

Czy tatko lubił ślizgacze? Co najchętniej oglądał w telewizji? Wstawał wcześnie czy spał do późna? Darł się na swoich żołnierzy, a może dręczył ich w ciszy? Uprawiał sport, a jeśli tak, to jaki? Dłubał czasem w nosie? Gadał do siebie? Nie mam pojęcia o tym wszystkim i łapię się na tym, że chciałbym jednak wiedzieć.

– Opowiem ci wszystko, tylko powoli. Mamy jakieś pół roku. Potem, no cóż, potem mnie nie będzie. I dobrze. Ja już się nażyłam. Żal tylko, że już cię nie zobaczę – obwieszcza mama.

Ciągnę za język, dopytuję, czy jest na coś chora. A ona nic. Ot, umrze, a świat będzie kręcił się dalej.

Z tym jej umieraniem miałem sto pociech. Na przykład jak kończyłem podstawówkę, dostała półpaśca. Najpierw obsypało jej plecy. Wysypka paliła ją jak żarna, więc ściskała w rękach chochlę, termofor, splatała dłonie

jak do modlitwy, wszystko, byleby się nie drapać. Raz złapałem ją, jak drze gazetę na cienkie, równe paski.

Za wysypką przyszła gorączka. Mamą trzęsło. Mówiłem: idź do przychodni, mamo, ale nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała, że sama jest lekarką i świetnie zna się na takich prostych chorobach. Potem zamknęła się w pokoju i zabroniła wchodzić. Jeszcze złapię ospę i umrę. Sama wolno odchodziła w śmierć, nie miała żadnych wątpliwości. W końcu dla osób w jej wieku półpasiec bywa zabójczy.

Przez drzwi słyszałem jęki i westchnienia. Cały czas powtarzała, żebym się nie martwił, bo tak właśnie musi być. Wychowała mnie. Wyrosłem na wspaniałego chłopaka i tylko patrzeć, jak dam sobie radę bez żadnej pomocy.

– Synku, to nawet lepiej – mamrotała. – Ja nigdy nie chciałam być stara. Los oszczędzi mi lumbago, demencji i innych przyjemności, padnę, a nie zwiędnę. Nie może mi się zdarzyć nic lepszego niż ta śmierć.

Prędko wróciła do życia, minęło trzydzieści lat, nie dostała żadnego lumbago, a pamięć ma lepszą niż delfin.

Za to gdy dekadę temu przyplątała się jej katarakta, upierała się, że doskonale widzi. Chwaliła swój sokoli wzrok, by za chwilę przyrżnąć skronią we framugę.

Siłą zawlokłem ją na operację. Jeszcze przed kliniką zarzekała się, że nie przeżyje narkozy i bardzo dobrze, bo taka spokojna śmierć jest łaską.

Jak zmarł mój ojciec?

Z biodrem temat przebiegł podobnie. Wysiadło trzy lata temu. Wcześniej wszędzie było mamy pełno, regularnie odwiedzała Klub Filmowy na Waszyngtona i nigdy nie przegapiła naszego festiwalu filmowego, prócz tego śmigała po warzywa aż do hali targowej i piła koniak w Szmaragdowej na Kamiennej Górze albo w jednym z tych pawilonów, co je porobili nad morzem. Skoro już przy morzu, dało się ją też spotkać przy samym brzegu, z bosymi stopami w gorącym piasku, jak gapi się na wodę.

Biodro siadło, chodziła dalej. Kupiłem jej kijki do nordic walking, ale ciągnęła je za sobą jak połamane skrzydła bądź wyrzuty sumienia. Tych nigdy nie miała, no nie.

Wkrótce skończyło się morze, skończyła się Szmaragdowa. Odtąd mama kuśtykała po ogródku. O operacji nie chciała jednak słyszeć. Bała się, że całkiem przestanie chodzić albo lekarze ją ukatrupią.

Doktorzy w Polsce, jak wiemy, zajmują się głównie mordowaniem dentystek starszych niż wszechświat.

– Oj synku, nawet nie wiesz, kogo oni tu zabili – mówiła i tajemniczo zawieszała głos.

W końcu, gdy nawet droga do furtki zmieniła się w golgotę, mama poczyniła odpowiednie kroki i pomknęliśmy do szpitala wojskowego w Redłowie. Tam przyjęli ją lepiej niż Buddę w Nepalu, dostała osobną salę i stado pielęgniarek, które mogła rozstawiać po kątach.

– Dziękuję ci, synku, za wszystko – usłyszałem na odchodnym. – Nie ma co płakać nad kończącym się życiem.

Operacja się udała i mama szybko wróciła do zdrowia. Stało się tak jednak dzięki nienawiści. Mama powtarza, że prędzej wkroczy do wężowiska, niż wróci między fizjoterapeutów.

Dziś biurka rzecz jasna nie dźwignie, ale z teczkami tańczy po pokoju jak młoda sekretarka.

Na mój widok zgarnia papiery i wpycha je do teczek. Obiecuje, że wszystko pokaże już niedługo, we właściwym porządku. Patrzę na nią. Myślałem – dalej myślę – że ona nigdy nie umrze, bo nie może umrzeć, odpędza śmierć tą histeryczną gadaniną. Nawet Klara twierdzi, że mama przeżyje nas wszystkich, i ja jej wierzę.

– Rzuciłam go, ale co z tego? – słyszę. – On nie chciał o tym słyszeć.

O siekierze

Siekierę mieli od zawsze. Dziadek przywiózł ją po wojnie z Rypina. To tam, gdzie piła tarczowa ścięła mu palce.

Mama pamięta, jak w tym Rypinie dziadek hartował ogniem trzonek siekiery i jeszcze ciepły nacierał oliwą. Miała pół metra długości i ostrze jak uśmiech. Po co komu coś takiego na pięknym Pagedzie? Dziadek miał na ten temat swoje zdanie.

Gdynia szykowała się do świąt, a dziadzio zamontował przy kuchennym stole imadło ze stoczni. Babcia pytała, czy rozum mu odjęło, a on mamrotał groźby i mruczał. Szarpnięciem sprawdził, czy imadło dobrze siedzi, i pobiegł do piwnicy po narzędzia, w tym siekierę.

Mama opowiada, jakby to zdarzyło się wczoraj.

Dziadek wyłożył gazetami stół i kawałek podłogi, porozkładał pilniczki i osełki, wkręcił siekierę w imadło i zamarł nad tym żelastwem jak kowal z uszkodzonym błędnikiem.

Pilnikiem wyrównał ostrze i sięgnął po osełkę. Jak zapamiętała mama, mrużył przy tym oczy i macał wąsy językiem.

Szlifował pomalutku, wykonując koliste ruchy, jakby babci rozczesywał włosy (czasem zresztą to robił). Pozwalał sobie na majestatyczne pauzy. Garbił się, zasłuchany w pieśni szlifowanej siekiery.

W końcu wykręcił siekierę z imadła i poszedł pod blok, ocenić ją w intensywnym jesiennym słońcu. Stał tak, w kamizelce, spodniach podciągniętych pod mostek, i gapił się na ostrze, a śnieg sypał mu się do gumowców. Wrócił, poszlifował jeszcze i długo ciął siekierą karteluszki.

Mama twierdzi, że dziadkowi zawsze pogarszało się na zimę. Dużo mówił o śmierci, a w szachy grał tylko czarnymi. Babcia spytała go w końcu, czy znowu będzie wojna, bo chyba się do niej szykuje.

Dziadek zignorował te drwiny, poskładał narzędzia do skrzynki, każde do właściwej przegródki, po czym sięgnął po młotek i wielki gwóźdź.

Nad łóżkiem dziadków wisiały krzyż i kopia jakiegoś flamandzkiego dziadostwa z Matką Bożą, Jezuskiem i małym Janem Chrzcicielem.

Dziadzio wbił gwóźdź między jednym a drugim i tak zawiesił siekierę. Babcia na ten widok omal nie upuściła gara z grochówką.

Nawrzeszczała na dziadka, że siekiera ma zniknąć, bo jeszcze nocą zerwie się z gwoździa i wszystkich pozabija. Albo duch ją pochwyci i na żywych ruszy. Dziadek zapewnił ją, że do czegoś takiego nie dojdzie. Strzegą jej święci. Jezus mały i duży, jego matka i kolega od chrzcielnicy. Poza tym ostrzył ją w szlachetnym celu, Bóg takim sprzyja.

Umyślił sobie, że zarąbie mi starego.

O Krzyżakach

Z tego wszystkiego przypomniałem sobie dziadków, a raczej to, jak mało ich pamiętam. Umarli, jak byłem jeszcze mały, on pierwszy, babcia zaraz po nim, prawie widzę, jak zawzięcie kuśtyka do trumny. Ile lat miałem? Jakoś tak siedem, poszli w piach zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego.

Głupio trochę, bo mama ciągnęła mnie na Paged, a ja nie chciałem tam przychodzić. Babcia była, moim durnym zdaniem, niedorzecznie stara.

Pytałem, czy widziała Hitlera albo Krzyżaków, w ogóle na punkcie Krzyżaków miałem małego pierdolca, byli mega, bo nosili brody oraz płaszcze i chodzili jak esesmani.

Babcia jakoś znosiła te moje wygłupy. Robiła mi galaretki, obierała i ćwiartowała dla mnie jabłka, które podawała na takim talerzyku ze złotym obrysem, kupowała lody Bambino.

Mieszkanie pamiętam ciemne, parterowe, przygniecione przez rzeczy: wysokie zegary, encyklopedie i leksykony, szkło, wytartą szachownicę, klasery, stosy kopert. Pamiętam duchotę i słońce na ciężkich firankach.

Siedział tam też dziadzio i w tym cały klops, nie chciałem przychodzić ze względu na niego. Człowiek czuły jak mebel, potwór Frankensteina.

Zawsze tkwił przy stole ustawionym daleko od okna, z krzyżówką albo „Dziennikiem Bałtyckim” na ceracie.

Brakowało mu dwóch palców u prawej dłoni, miał też zdemolowaną dolną szczękę, cofniętą pod samą szyję, jakby pies odgryzł mu pół żuchwy. Maskował ten defekt brodą, co niewiele dawało, bo zarastał słabo i przez kępki siwych włosów prześwitywały blade blizny. Wyobrażałem sobie z obrzydzeniem, jak dotyka ich swoim czarnym językiem.

Kiedy przychodziliśmy z mamą na Paged, podnosił się i dreptał ku mnie, przytulał, a ja tylko patrzyłem, jak czmychnąć, i czekałem, aż puści. W końcu się połapał, że średnio mi to leży, i przestał wstawać z krzesła.

Mama czasem zostawiała mnie u dziadków na noc albo na parę dni.

Zimą dziadek brał mnie na sanki, latem nad morze, choć sam ledwo lazł, stopy grzęzły mu w śniegu albo piasku. Nie chciałem. Bez przerwy zagadywał, a ja mówiłem byle co. Dziś wiem, że szukał kontaktu i mnie kochał, tak jak starcy kochają swoje wnuki, w końcu to jedyna świeża miłość, jaka im została, nim wykorkują.

Trochę przywykłem do dziadkowej mordy, przestałem się tak bać, po prostu mnie nudził. Aż raz, jak zagadałem babcię o tych Krzyżaków, dziadek złożył gazetę na czworo w sekwencji dokładnych, kanciastych ruchów i rzekł, że babcia może nie, ale on doskonale tych Chrystusowych rycerzy pamięta.

Rzekł to tym swoim metalicznym głosem, niby obojętnie, ze wzrokiem wbitym w święty obraz.

Dodał zaraz, że to właśnie Krzyżacy urżnęli mu dwa palce, a w szczękę oberwał buzdyganem od jakiegoś Brandenburczyka pod Grunwaldem. Czułem, że to farmazon, ale pragnąłem słuchać, więc dziadzio zaczął gadać

o okrutnych komturach i komnatach tortur w Malborku, opisywał rodzaje broni i to, jak widział Żmudzinów palonych żywcem, wreszcie sięgnął po atlas i pokazał mi, gdzie jego zdaniem Krzyżacy pochowali skarby. Tak, gdy tylko podrosnę, pójdziemy ich poszukać.

Chciałem więcej. Dziadek opowiadał, jak widywał diabły i mamuny w prasłowiańskim borze, zdał relacje z kampanii w legionach Cezara i odkrywania Ameryki. Mówił to wszystko na jednym przeciągniętym tonie, z tym wzrokiem wbitym w obraz albo blade zdjęcie Gruny, nie uśmiechał się w ogóle, spoglądał na mnie rzadko. Z czasem jego opowieści stały się dłuższe i bardziej okrutne, słuchałem jednak, a babcia donosiła te galaretki i lody Bambino, które topniały na talerzyku.

Stało się tak, że już chętnie przychodziłem na Paged.

Prosiłem nawet dziadka, by pokazał mi jeszcze jakieś blizny.

W głębi serca wiedziałem, że to wszystko nieprawda, wolałem wierzyć w co innego i powiedziałem kiedyś, że to super jest sytuacja, bo skoro dziadek żył tak długo, to jeszcze pożyje, zobaczy, jak będę dorosły i nawet sam będę miał wnuki. Na to dziadek oderwał wzrok od obrazu i powiedział po prostu:

– Będzie inaczej.

Protestowałem, o żadnej innej możliwości nie chciałem słyszeć, uparty i zawzięty, jak to dziecko.

Słaby już był, nie zdołał mnie podnieść, zgarbił się tylko, przytulił, nie chciał puścić.

– Wiem lepiej – usłyszałem.

O dziwności

Mamy nie zdumiewało zachowanie dziadka, bo w Gdyni w ogóle działy się różne dziwne rzeczy.

Na przykład w okolicy grasował Zorro. Miał czarną pelerynę, kapelusz i maskę naciągniętą na sumiaste wąsy. Zamiast rumaka wystarczał mu pordzewiały rower. Matka widywała go, jak pedałuje pod wiatr po brukowanych garbach Oksywia.

Muzykalny był, chętnie przystawał i śpiewał pieśni robotnicze. Lubił zwłaszcza *Łodziankę* i *Zgasły dla nas nadziei płomienie*. Milicja nie wiedziała, co z nim zrobić. Pewno dawno by go zapuszkowali, gdyby nie ten

śpiew. Głos miał zresztą ładny, trochę jak Kiepura, tylko metaliczny i zdarty od albatrosów.

Ponoć Zorro nie miał najgorzej, bo śmigał na swobodzie, robotą gardził, dostawał darmowe flaki Pod Ryjkiem i piwa do woli w Delfinie przy naszym kościele. Dzieciaki z Pagedu zbierały grosiki do kupy, żeby zamordował im panią od matematyki.

U Albańczyka, tego, co pracował z dziadkiem, działo się nieco gorzej. Chłop przeżył rozczarowanie Polską i narobił wszystkim kłopotu.

Zaczęło się od wódy, podkreśla mama, z niej biorą się wszystkie nieszczęścia. Naprawdę w to wierzy i pewno dlatego pije wyłącznie koniak na serce, orzechówkę na żołądek i czerwone wino, żeby ocalić marzycielskość duszy. Inna rzecz, że po raz pierwszy zobaczyłem, jak sączy alkohol, dopiero po jej przeprowadzce do willi. Wcześniej w ogóle nie piła, nawet na imieninach czy tam w sylwestra, i martwiła się mną, kiedy byłem młody i najebany.

Tak więc Albańczyk odkrył żytnią, a doił jej tyle, że kumple z pracy byli nim przerażeni, choć nikt tam za kołnierz nie wylewał. Marudził i wynosił rzeczy z zakładu. Dziadek bał się, że wszyscy za to bekną. W końcu Albańczyk zakolegował się przy flaszce z jakimś Szwedem i wymyślił sobie, że da dyla z Polski do skandynawskiej floty handlowej. Wcisnął Szwedowi pięć tysięcy złotych, schował się u niego w kajucie na statku „Margaret Johnson” i czekał, aż wypłyną.

Za pięć koła dawali tygodniową wycieczkę do Leningradu i Moskwy, z żarciem i zakwaterowaniem. Starczyłoby też na bilet do teatru Bolszoj i parę kilo kawy, do pogonienia na pniu, już w Polsce, z potężnym zyskiem. Wszystko byłoby dobrze, gdyby Albańczyk nie rozpił wcześniej Szweda. Ten, jak zobaczył pieniądze, zaraz poleciał do knajpy, gdzie stawiał wszystkim, i w końcu zdradził cały szwindel nad butelczyną.

Zaraz ich zamknięto, Szweda i Albańczyka. Ten pierwszy jakoś się wykaraskał. O Albańczyku słuch zaginął.

– Co w tym złego? – pyta mama. – Chciał lepszego życia no i tyle.

Mama twierdzi, że to przez zimę ludzie tak wariowali, stąd ten Zorro i próba ucieczki za wodę. Lodowaty wiatr przenikał człowieka do kości, matowe słońce stało na niebie za woalem mgły. Wieczorami nad Gdynią przetaczały się posępne burze i mrukliwe zawieruchy. Plaża posiniała, morze srożyło się, fale spuchły. Niedziwne, że niektórym biło na dekiel.

Powiedziałem na to, że mieszkam w Gdyni od zawsze i pozostałem normalny. Mama akurat szła na taras, niby przepędzić ptaszyska.

– Kiedyś zimy były całkiem inne – usłyszałem. – A z tym mieszkaniem w Gdyni po prostu nie masz racji.

O tęsknocie

Mama nie była już Zwiozdoczką. Znów stała się Heleną.

Wciąż spotykała się z Wackiem i myślała o starym. Wacek wyczuł pismo nosem, zaczął ją zabierać do kina i do kawiarni, paplał coś o nartach w Waksmundzie i fantazjował na temat ślubu. To ostatnie wpędziło ją w przerażenie.

– Ledwo wytrzymywałam na tych randkach, a on wyskoczył z małżeństwem – wspomina. – Wściekałam się na niego, a potem na siebie. Co był winien, że nie równał się z Kolą?

Zadręczała siebie Wackiem, lecz nade wszystko tatą. Coś nieprawdopodobnego. Słuchałem jej i zachodziłem w głowę, czy jakaś dziewucha cierpiała tak przeze mnie. No, chyba że mój stary był jakimś nadczłowiekiem.

Matka właśnie tak o nim mówi.

Zaraz po rozstaniu doszła do wniosku, że ojciec z tęsknoty zapije się na śmierć. W gruncie rzeczy oczekiwała czegoś podobnego. Rozpacz po stracie tak wspaniałej dziewczyny wydawała się jej oczywistością, jak unikanie mięsa w piątek.

Tatko nie należał do tych pijaków, co zamarzną w zaroślach, poza tym pilnował go Płaton, mógł jednak wypaść przez burtę bądź wystrzelić z działa. Od takich rzeczy zaczynają się wojny i rewolucje. Milion ludzi się pozabija, bo studentka rzuciła kochanka.

Gdy mama mówi o tym, to nie wiem, czy tęskni za ojcem, czy za sobą z młodości. Nabija się z własnej głupoty, ale mnie nie jest do śmiechu, no nie. Ta przepiękna głupota splątała jej gdyńskie ścieżki. Mama zachodziła pod Inter-Club, oczywiście przypadkiem, kręciła się pod Domem Marynarza i raz pojechała kolejką aż do Grand Hotelu. Zastanawiała się, czy tatko znalazł już sobie nową dziewczynę.

W tym czasie wypadło jakieś sowieckie święto. Na tę okoliczność niszczyciel taty zacumował w Basenie Prezydenckim, otoczony przez czerwone flagi. Takie czasy były. Ludzie lecieli, żeby popatrzeć na okręty.

Wśród gapiów znalazła się i mama.

Niszczyciel był szarosrebrny, długi, z pokładem gęstym od anten i wieżyczek, z zawadiacko uniesionym dziobem, wesoły, pełen ruchliwych marynarzy i lin nabłyszczonych smarem, przynajmniej takim go pamięta. Wymienia nawet numer na burcie: pięćset osiemdziesiąt pięć. Stała tak sobie, myśląc, jak mądry i dzielny musi być człowiek, co zawiaduje taką potęgą.

– Wielkie rzeczy – dodaje. – Można być jednocześnie odważnym, wspaniałym kapitanem z blizną po harpunie i małym, niewiernym gnojkiem. To się przecież nie wyklucza.

I tu się z mamą zgadzam. Inni kucharze w kółko sypiają z kelnerkami, ale ja w życiu nie zrobiłbym czegoś takiego. Zdradzają tylko słabi.

Mężczyzna powinien być z jedną kobietą. W trwaniu przy sobie, w poznawaniu siebie, w uczeniu się wzajemnych słabości, w tej cierpliwości i w zakochiwaniu się od nowa w tym samym człowieku mieszka prawdziwa miłość. Naprawdę liczyłem, że polubię mojego starego, ale teraz mam z tym kłopot i jest mi źle, bo z niego, z ojca się wziąłem, jakkolwiek by było.

Niewierny gnojek przysyłał prezenty.

Płaton przyjeżdżał codziennie, walił w drzwi, a mama darła się z amerykanki, żeby wywiózł te judaszowe dary aż za Ural. Na cholerę jej figi z ananasem, pomadka i ortaliony, skoro wyrosły z kłamstwa i krzywdy?

Raz Płaton zebrał się na śmiałość i zostawił na progu grubą angielską czekoladę. Gdybym go poznał, zaraz poradziłbym, żeby tego nie robił.

Matka zleciała na dół i rozsmarowała tę czekoladę na przedniej szybie warszawy, mimo mrozu. Wycieraczki, chętnie dopowiem, źle radzą sobie z cukrem.

Nasz dzielny marynarz wycwanił się i przyjeżdżał, jak mama wybywała na uczelnię. Kiedyś wróciła i zastała dom cały w różach i frezjach. Wypełniały wazony, wiadra, garnki i miednice.

Zdaniem mamy kwiaty są piękne, bo bezsensowne. Jak papierosy. Kochamy je, bo tak prędko gasną.

Pośród bukietów srożył się dziadek, a uszczęśliwiona babcia wzdychała i klaskała w dłonie. Mama zaraz naskoczyła na nią, że w ogóle wpuściła Płatona z tymi wiechciami.

– Daj spokój – powiedziała babcia – czy te kwiaty kogoś skrzywdziły?

W kolejnych dniach matka włóczyła się po mieście, jeździła na uczelnię i praktyki i kuła do egzaminów, tatko orał Płatonem, mijali się i myśleli o sobie, aż ryknęły trąbki.

O orkiestrze

Zaczęło się od tego, że Płaton przyniósł zaproszenia na koncert orkiestry wojskowej. Grali w kinie koło portu u nas na Oksywiu. Mama przeczytała treść zaproszenia, udała głęboki namysł i oświadczyła, że jest i pozostanie bardzo zajęta. Płaton ma to przekazać swojemu kapitanowi. Niech wiedzą, ile się u niej dzieje. Ponoć trzasnęła drzwiami tak, że zadrżały wszystkie okręty w porcie, nie wyłączając niszczyciela.

Przez resztę dnia mamie towarzyszył doskonały humor, w końcu nie złamały jej ani kwiaty, ani zaproszenie na koncert, choć muzykę kochała najbardziej na świecie. W gruncie rzeczy dalej ją lubi. Założyłem jej konto na Spotify, więc śpiewa przed komputerem ze słuchawkami w uszach i nawet o tym nie wie. Kiedy była młodsza, zabierałem ją na koncerty, na przykład Depeche Mode i Korna, który oceniła jako fajnie skocznych, lecz zbyt hałaśliwych.

Prawdziwi mężczyźni, zdaniem mamy, są jak Tom Waits albo Leonard Cohen. Nie wrzeszczą, nie awanturują się, po prostu załatwiają swoje sprawy w tych twardych piosenkach.

Płaton zwinął się z biletem, a rano na Pagedzie zawyły trąbki, klarnety i puzony, aż mewy prysnęły z parapetów.

Mama myślała, że to nic nowego, bo na osiedlu mieli muzykującą rodzinę, takich Sokołowskich. Wychodzili przed klatkę i grali w słoneczne dni, póki im się nie znudziło. Był jednak grudzień, więc mama przykleiła nos do oszronionej szyby.

Pod jej oknem dwunastu Ruskich w czarnych mundurach galowych rzępoliło, jakby świat miał zaraz spłonąć. Obok tamburmajor, piękniejszy niż Spartiata, wymachiwał batutą.

Grali, dziwnym trafem, *Gdzie jesteś, moja ukochana?*

Matka nie poszła na orkiestrę, więc orkiestra pofatygowała się do niej i przyznam, że tutaj ojca rozumiem, bo trzeba walczyć o to, co kochamy, tak jak ja walczyłem o Klarę, kiedy byłem młody – malowałem mury, odpa-

lałem race, odkładałem napiwki na pierścionek, przez co wracałem do domu na piechotę.

Stary Sokołowski wystawił łeb z klatki schodowej i zrobił minę, jakby połknął osę. Do Ruskich zleciały się brzdące, w oknach pojawiały się zachwycone gęby, baby odstawiały siatki na ziemię, a chłopy przystawały, gmerając w swoich papierośnicach. Ruskie grały tęskno i z życiem, przytupując w śniegu.

– Tak cieszył się Bóg, kiedy świat tworzył – zauważyła babcia, a dziadkowi dym szedł z uszu.

Dalszy bieg wypadków łatwo przewidzieć. Po koncercie Płaton przybiegł z liścikiem. Ruskie w tym czasie brały dzieci na barana. Mama zgodziła się na spotkanie.

Oznajmiła, że przyjmie ojca nie od razu, tylko najwcześniej za tydzień i tylko na moment, najlepiej w Ermitage'u, bo ma w miarę blisko. Po prostu powiedzą sobie parę słów i tyle, niech ten głupi Kola nie robi sobie żadnych nadziei.

O zębach

Mamie w życiu zdarzyły się dwie wielkie miłości. Pierwszą był mój fantastyczny stary, drugą stomatologia. Do dziś oczy jej płoną, gdy rozprawia o mostkach i chorobach przyzębia. Czyta o skanerach, co wykrywają próchnicę, o termometrach do mierzenia temperatury dziąseł, cieszy się tym i smuci.

– Nauka tak bardzo idzie do przodu, a ja jestem stara i nie mogę w tym uczestniczyć – mówi i zerka w komputer.

W tamtych czasach, kiedy tata walczył o jej dumne serce, odbywała praktyki w gdańskiej przychodni stomatologicznej na Dębowej. Chętnie mówi, że w dawnych czasach dorosłość zaczynała się wcześniej: maturę zdała w wieku siedemnastu lat, potem cztery lata studiów i heja, zapierdalaj do starości.

Dopiero my, moje pokolenie, mamy młodość, słyszę.

Budynek przychodni przypominał bunkier czekający na łaskę nalotu. Pacjenci kopcili albatrosy, w rogach zatłoczonej poczekalni stały splu-

waczki, pachniało kamfenolem.

Woń kamfenolu, zdaniem mamy, przypominała perfumy włoskie z nutką detergentu. Tak właśnie woniała nowoczesność.

Sam gabinet był właśnie postępowy. Mieli wiertło z przekładnią Doriota, fotel obszyty brezentem i lampę, pod którą mama pociła się jak szczur przy koksowniku.

Pacjenci lubili ją, bo zawsze wyrywała właściwy ząb. Nie o wszystkich dentystach dało się to powiedzieć.

W tamtych czasach nie każdy słyszał o pastach Polfy, ludzie szorowali zęby węglem drzewnym, i to jak szli do ślubu, kościoła czy urzędu. Kolektywna paszcza społeczeństwa cuchnęła tabaką i zgnilizną.

Mama wspomina o pewnym urzędniku średniego szczebla, który wpadł do gabinetu przerażony, że właśnie wybiła jego ostatnia godzina. Połknął bowiem koronkę. Do nieszczęścia doszło, gdy pałaszował kanapkę z mortadelą.

Od mamy usłyszał obietnicę długiego życia. Co najwyżej pęknie mu klozet.

– Lekarz powinien nieść ulgę w bólu i pocieszenie – prawi mama.

Pewien starzec przychodził co drugi dzień i przeklinał swoją sztuczną szczękę. Źle leżała, tak twierdził. Zakładał górną na dolną i odwrotnie, czego nie dał sobie wytłumaczyć. Na moje, potrzebował uwagi, niczego więcej.

Znam te i inne historie, matka opowiadała je w kółko, nie mówiąc jednak o tacie.

Tajemnica mojego imienia, że o nazwisku nie wspomnę, również leży odłogiem.

Z tych opowieści najlepiej pamiętam tę o nodze. W przychodni zjawił się pacjent, jeden z tych, co myją się tylko w święta państwowe. Ból mu rozum zabierał. Typ odmówił znieczulenia, bo słabo działało, właściwie tylko dodawało cierpień.

Należało usunąć dolną piątkę. Mama elegancko odseparowała tkankę miękką, chwyciła kleszcze i rozhuśtała się na zębie. Piątka pękła, co się czasem zdarza. Trzasnęła bezgłośnie jak grudka błota wysuszona słońcem.

Pacjentowi za to odpadła noga. Tak właśnie było.

Gość pisnął, a kończyna wystrzeliła pod sufit i głucho prasnęła o podłogę. Mamie mowę odjęło. Facet osunął się na fotelu z ustami pełnymi zakrwawionej ligniny.

Korzystając z tego, że jest nieprzytomny, mama usunęła korzeń, wyskrobała ziarninę z zębodołu i zaszyła ranę, po czym obficie zalała ją solą fizjologiczną. Zdążyła też zamontować protezę, nim pacjent wrócił do siebie.

Gdy to nastąpiło, wycałował mamę po rękach, ofiarował kobiałkę jaj, kurczaka i masło. Nie mówił nic o pękniętym zębie, o nodze w ogóle nie pamiętał i okropnie się cieszył.

– Dlatego dentystka to najpiękniejszy zawód świata. – Tę mądrość mamy znam akurat na pamięć. – Chirurg operuje i zostawia pacjenta pod narkozą. O ginekologach w ogóle lepiej nie gadać. Za to do dentysty przychodzisz z bólem, a wychodzisz prawie bez bólu. Proste. Przez całe życie dostawałam coś cudownego. Ludzką wdzięczność.

O Fernandzie

Pragnąłem własnej knajpy, odkąd pamiętam.

Inne chłopaki marzyły o samochodach, o kobietach, chcieli się ustawić za granicą – a mnie umyśliła się knajpa. Knajpa w Gdyni. Moje miejsce jest przecież właśnie tutaj i żadnego innego nie potrzebuję, choć zobaczyłem trochę świata – matka zabrała mnie do Egiptu, do Czech i na Węgry. Olaf z kolei marzy o brytyjskim muzeum czołgów, ale namawiam go na Wilczy Szaniec i pewno przy tym zostaniemy.

W podstawówce, kiedy chowałem się na kuchni, wyobrażałem sobie, jak przyrządzam zrazy, pulpety, klopsy i za ich sprawą zdobywam życzliwość swoich prześladowców. Dziś wystarcza mi Fernando i rodzina, nie pozwolę, aby ktokolwiek ją skrzywdził.

Zasuwałem jako pomocnik w pizzerii w Rumii, wracałem nocną eskaemką i szedłem piechotą na Witomino. Potem w piekarni lepiłem bułki do świtu i robiłem te pierdolone hamburgery na skwerze Kościuszki dla tipsiar, tribalowców i turystów. Bolały mnie plecy, łydki, nie mogłem się wysrać, napić ani zapalić, a w pionie, prócz miłości do żony i resztek kindersztuby, trzymała mnie ta nadzieja: otworzę własną knajpę z mięsem.

No i proszę, oto i jest.

Nie przyszło to jednak łatwo.

Najpierw uroiłem sobie, że będę oszczędzał, i rzeczywiście odmawiałem sobie wszystkiego poza kartonami chesterfiedów. Niestety, odpalenie

knajpy kosztuje jakieś ćwierć bańki, zbierałem stówkę do stówki, choć równie dobrze mógłbym osuszać Bałtyk wiadrem.

Coś jednak zebrałem, teściowie dołożyli swoje, tak samo mama. Wstydzę się, że nie dałem sobie rady bez tych pieniędzy.

Miejsca na knajpę szukaliśmy prawie rok.

W Gdyni brakuje lokali, wszystkie były za drogie albo za daleko, nie spełniały standardów sanepidu czy też limitów zużycia energii. W końcu znaleźliśmy taki malutki, ale wymarzony.

Klara zbajerowała właściciela budynku, załatwiła koncesję na alkohol i odbiór bhp, prócz tego do dzisiaj buja się ze skarbówką, dziękuję kochanie, jesteś najwspanialsza.

Ja wystarałem się o lodówki, fryturę, maszynki do mięsa, zdobyłem okapy i piec konwekcyjny Rationala w niewygórowanej cenie. Wypoziomowałem podłogi, położyłem gładź, wymieniłem okna – właściwie zrobiłem wszystko prócz elektryki.

Fernando, oaza zapierdolu i szczęścia, mieści się w centrum miasta, na Świętojańskiej, w doskonałym miejscu, jakieś sto metrów od kina Warszawa. Obok jest jeszcze irlandzka knajpa, a za nią sklep ze śmiesznym szajsem.

W sali stoi siedem stolików. Wnętrze wykończyliśmy w czerni i bieli, pod mądrym okiem Klary, ocaliliśmy też ścianę z czerwonej, żywej cegły, wisi na niej wielki byczy łeb, no i podświetlona strzałka celująca w stronę baru.

To najpiękniejszy moment dnia: wchodzę do Fernanda i kieruję się na zaplecze, gdzie leżą siaty cytryn, papryki i ogórki w wielkich plastikowych pojemnikach, stosy jaj, tuby z sosem czosnkowym i ketchupem, a Kuba akurat wyjmuje coś z lodówki. Ściskamy się na powitanie bez zbędnych słów.

Kuba jest wielki i rudy jak zapałka, pali jeszcze więcej ode mnie, co stanowi jedną z wielu zalet tego chłopa. Z nim nigdy nie ma problemu, robi swoje, nie skarży się, nie narzeka i w kółko lata za kelnerkami. Ktoś w tej robocie w końcu musi.

Czekają kuchnia i grill, wielkie kosze na śmieci, każdy z klapą w innym kolorze. Pod sufitem biegną rury ciepłownicze. Na ścianie wiszą chochle i szufla do pizzy, której nie używamy, nad zmywakiem mamy pełno stalowych półek i pudła pełne sztućców, kawałek dalej czeka chłodnia, tak wielka, że zmieściłby się tam człowiek.

Zachodzę na magazyn – nie byłbym sobą, gdybym zrobił inaczej – i tam z kolei piętrzą się ziemniaki w wielkich workach, kartony soków, stoją skrzynki z piwem i wódą.

W kuchni mam swoje noże przyczepione do magnesu nad blatem, nikt poza mną nie ma prawa ich dotknąć. Krótki do filetowania owoców. Japoński, uniwersalny nóż szefa kuchni o drewnianym trzonku. Nóż z długim i wąskim ostrzem, które przepięknie leci wzdłuż ścięgien i błon, zakrzywiony do ostryg, nóż do filetowania i łagodnie zwieńczony do serów, którego nie używam.

Odbieram boniki, szykuję zamówienia; już trzy obłożone stoliki generują wielki ruch. Klara, Kuba i pozostali wiedzą, żeby mi nie przeszkadzać, jak jedna taka kelnerka zawracała mi głowę, rzuciłem w nią antrykotem i już u nas nie pracuje.

Wymarzyłem sobie, no i jest. Wychodzę na fajka, kopcę sobie na podwórku przy naszym ogromnym śmietniku i wspominam tego gościa, u którego smażyłem po nocy hamburgery. Wołaliśmy na niego Buldog, jak nie słyszał, bo był brzydki i dożarty skurwysyn, no i Buldog poradził mi, żebym w życiu nie otwierał własnej restauracji. Zapytałem go dlaczego, skoro sam ma cztery, owszem budy nad morzem, ale zawsze. A on odparł, że to biznes dla ludzi po pięćdziesiątce. Nie mogę mieć knajpy, usłyszałem, bo stracę rodzinę.

Chciałbym, żeby tu przyszedł i zobaczył, jak nam idzie, wtedy może odszczekałby te pierdoły.

O papierosach

Z mamą udajemy przed sobą, że nie palimy. W tym kłamstwie mieszka wielka bliskość.

Przerabiam do dwóch paczek chesterfieldów dziennie i ani myślę przestać. Papieros kojarzy mi się z wolnością, także dlatego, że nikt go nie lubi. Szkodzi i okropnie smakuje. Jest piękny, bo bezsensowny, tak jak te frezje.

To środkowy palec pokazany światu, który domaga się planów, rozsądku i ładu we wszystkim. Zresztą gastroferajna kopci jak elektrownia w Bełchatowie.

Uwielbiam swoją robotę i nie zamieniłbym jej na żadną inną, ale żyję w kieracie morderczego zapierdolu.

Do Fernanda przychodzę na jedenastą, przebieram się, choć nie muszę – po prostu kocham te jebane fartuszki – i sprawdzam listę zadań. Wyciągam mięso z mrozu, gonię wiarę, by szykowała zupy, sosy i inne półprodukty.

Godzinę później otwieram knajpę, ludzie przychodzą żreć, kelnerzy ganiają z bonikami, a ja szykuję hamburgery, steki i pstrąga alpejskiego, w kółko przerzucam porcje mięsa pod otłuszczonym okapem. Zawsze o tym samym smaku, identycznej gramatury. Uwielbiam powtarzalność.

Tak przez dziesięć, dwanaście godzin. W międzyczasie czyszczę blaty, szuflady i kuchenki, a kelner przylatuje i mówi, że jakiemuś bucowi się spieszy, jest głodny, to wkurwiony, piwem się nie naje, głupi, nawalony chuj.

Każdy czegoś chce, bez żadnej przerwy.

Rwie mnie dół pleców, często łupie w skroniach, łydki mam wyrzeźbione lepiej niż kolarze.

Oszalałbym, gdyby nie szlugi.

Jak mi się uzbiera, wychodzę na podwórko i wciągam z dymem spokój. Niech się tam kotłują w środku.

Naprawdę nikt nie umarł od tego, że dostał żarcie pięć minut później. Te minuty, ten papieros to tyle, co mam z życia. I żeby nie było, uwielbiam tę robotę, ale gdybym nie palił, tobym nie uwielbiał.

W domu kopcę przy oknie w kuchni i na balkonie, Klara jakoś to znosi i tylko Olaf mnie opierdziela. Boi się, że umrę, i pyta, czy jestem głupi.

Syneczku, jeszcze tak mało wiesz.

Pierwsze papierosy podbierałem mamie z torebki. Chyba odkryła ten proceder, bo szlugi przeniosła do szuflady pod ścierki, a potem do kieszeni w szlafroku.

Pamiętam, jak złapałem ją w środku nocy. Miałem może dziesięć lat. Stała z carmenem i patrzyła na ciemne Witomino i swój ukochany Półwysep Helski.

– Ja tylko sobie pykam – tłumaczyła. Próbowała mnie przekonać, że zatrzymuje dym w ustach dla smaku i się nie zaciąga. W ten sposób cieszy się papierosem, zarazem dbając o zdrowie, no i z całą pewnością nie jest uzależniona od nikotyny.

Zimą łazienka pachniała tymi carmenami. Ten sam zapach znałem z gabinetu mamy. Widywałem ją też, jak osłania płomyk zapałki przed wiatrem, kuląc się za wiatą przystankową.

Teraz przerywa opowieść, narzuca dodatkowy sweter na ramiona i znika na tarasie – ponoć przepędzić ptaszyska. Zamyka za sobą drzwi. Rolety są opuszczone.

Robi tak średnio co pół godziny, dlatego trudno się jej słucha.

Mnie woła paczka z kurtki, ale nie śmiem po nią sięgnąć. Trudno stwierdzić czemu, podobnie jak tylko przeczuwam, dlaczego nigdy nie siądziemy sobie z mamą i nie zapalimy jak dorośli. No w życiu. Ona pyka, ja się wkurwiam. Wiemy, jak jest naprawdę.

Gdy mama sięgnie po fajkę na moich oczach, stanie się coś strasznego.

O wielkiej władzy

Mama wybrała Ermitage, bo nie zaglądali tam z ojcem. Tłumaczy, że chodziło o neutralny teren, miejsce, gdzie czułaby się pewniej. Obrywamy równe cięgi na swojej i cudzej ziemi, jeśli mnie o to spytacie.

Ermitage działał przy Świętojańskiej. Przesiadywali tam głównie malarze i poeci, a także waluciarze i milicjanci w cywilu. Matrona z wielkim kokiem dyrygowała stadkiem zadbanych kurewek.

Te mewki, wspomina mama, najchętniej utopiłyby ją w cebrzyku, zwłaszcza jak podeszła wprost do stolika, gdzie czekał odstrzelony stary. Wstał, powiedział:

– *Moja Zwiozdoczka*.

Matkę zalewały naprzemiennie fale żaru i chłodu.

Z tego wszystkiego zamówiła aperitif wiśniowy i zaraz potem drugi. W tym czasie tata wydobył z siebie wszystkie bzdury, jakie plotą faceci przyłapani na zdradzie. Poznałem wielu takich. Zawsze pierdolą to samo.

Zaczął, a jakże, od przeprosin. Powinien od razu wspomnieć o tej żonie i dziecku, z drugiej strony nigdy tego nie ukrywał i nawet myślał, że mama o tym wie, skoro wszyscy wiedzieli.

– *Wsie, kromie mienia* – przypomniała.

Na to sprytny ojciec przywołał wszystkie cudowne chwile spędzone z mamą i przysięgał, jak każdy, komu pali się dupa, że w życiu nie był taki szczęśliwy. Dopiero w Gdyni poznał, jak wygląda szczęście. Wcześniej jego życie było jak ciemna strona Księżyca. No i milczał o swojej rodzinie, żeby nie zniszczyć tej radości, wiadomo, jak jest: gmerasz przy szczęściu, to zaraz coś się popieprzy.

Żona starego nazywała się Natalia, a synek Jurij.

Tatko bronił Leningradu przed Hitlerem, bił się po knajpach i na harpuny, lecz te dwa imiona ledwo przeszły mu przez gardło.

Każdy, kto zdradza, twierdzi, że żona mu nie daje. To też rzekł mój ojciec, tylko ładniej ujął, próbował też ujmować dłonie mamy.

Ta zapytała, czemu się nie rozwiedzie. Generał Kriponos się rozwiódł, to chyba on też może, co nie? Tatko najpierw zasłonił się synem, którego nie widział od roku, i w końcu wykrztusił z siebie prawdę: Natalia była córką pewnego admirała.

Tak oto wyszło, że stary zawdzięczał karierę czemuś więcej niż odwadze i szczęściu.

Trzymał skołowaną mamę za dłonie, czarował maślanym spojrzeniem i przysięgał, że nigdy już jej nie okłamie, bo kocha ją najbardziej na świecie, od tego dnia zamieszka między nimi jedynie *lubow' da istina*.

W mamie roztrzepotało się serce i próbowała nie słuchać taty. Zapytała, skądinąd rozsądnie, jak stary wyobraża sobie przyszłość. Będą po prostu się spotykali? Miała egzaminy u profesora Scholla. Przecież to się wyda. Rodzicom pęknie serce. Co powiedzą na Akademii Medycznej?

Na te słowa stary, jeszcze chwilę temu potulny, uniósł głos tak, że aż mewki poobracały głowy.

– Nie będę żył pod dyktando innych, *suka blat*'! – grzmiał. – Dla ciebie świat bym podpalił, a ty mnie zostawiasz, bo komuś będzie smutno?! Wszyscy rodzice mają własne grzechy, wara im od cudzych. Kto kocha – zakończył filozoficznie – jest poza dobrem i złem.

Mama słuchała tego zachwycona i przestraszona. Stary uklęknął, ujął jej twarz w dłonie, ścierał łzy szorstkim kciukiem.

– Jest dla nas droga – rzekł. – Nie wiem jeszcze jaka, ale jest. Całe życie na ciebie czekałem. Ty na mnie. Znaleźliśmy się. To cud, *Zwiozdoczka*, to cud.

Przyznaję, tata był mistrzem głodnych kawałków. Miał jednak trochę racji. Gdybym żył tak, jak chcieli inni – z mamą na czele – nie zbudowałbym rodziny ani nie otworzył Fernanda.

W postawie ojca przeszkadza mi raczej ta brawura i kłamstwo.

Do szczęścia dochodzimy małymi krokami, a i ono nie powinno okazać się zbyt wielkie. Inaczej zeżre człowieka i wypluje.

W każdym razie ojciec palnął tę przemowę, klęcząc przed matką, a kurwy płakały jak bobry. Myślały, że pan oficer się oświadczył.

– Ja trochę wiedziałam, że Kola gada bzdury i zrobi wszystko, żeby mnie zatrzymać – wyznaje mama. – Powinnam od niego pójść. Obiecałam sobie, że tak postąpię. Okłamywałam się, jadąc na spotkanie. Ale prawda jest taka, że Kola kochał mnie, a ja jego i nic nie szło z tym zrobić. Więc wróciłam. Potem podziało się wiele ważnych, strasznych rzeczy i czasem się zastanawiam, czy mogłam postąpić inaczej. Nie mogłam i już.

Nocą w Domu Marynarza nie zdołała zasnąć. Stary chrapał jak niedźwiedź, a ona truchlała na myśl o władzy, jaką nad nią zdobył.

O opowiadaniu

Znad klawiatury wyrywa mnie Klara. Siada przy stole, w koszuli nocnej do kolan, odsłaniającej ramiona, w ogóle ramiona kobiet są piękne, jej szczególnie, drobne i mocne od tej jogi, z bielą skóry i drobinami pieprzyków, kocham nawet drobne zmarszczki na jej dekolcie, kocham ją całą. A jednak złoszczę się, że przyszła.

Siada naprzeciwko tak, abym patrzył na nią, nie w ekran, i pyta, czemu znowu marudzę po nocy. Uśmiecha się, poprawia włosy, bawi się pierścionkiem. Tak robi, gdy jej nieswojo.

Mówię, że piszę, przecież byłem u mamy, nagadała się znowu, notuję, nim wyleci mi z głowy.

Klara wyjmuje mi papierosa spomiędzy palców, zaciąga się i oddaje. Rzuciła parę lat temu, kiedy doszła do wniosku, że trzeba o siebie zadbać, bo często wstaje zmęczona, bo bolą plecy i czuje się zmięta. Kupiła sobie rower, tylko weź tym jedź, jak wieje. Przeskoczyła na ciężarki, z ciężarków na wiosło i bieżnię na siłce, no a teraz jest joga. Mówi, że ją wzmacnia i pomaga zaprowadzić porządek w głowie. Mimo to czasem trzeba jej dymka, cała nasza rodzina ma dziwne przygody z paleniem.

– Opowiedz mi – prosi. Niby wesoło i lekko, ale przecież rozpoznaję ten smutek i tę troskę. My naprawdę nie mamy przed sobą tajemnic. – Chodź – słyszę. – Co będziesz tu klepał, położymy się i opowiesz mi o ojcu i o tym, jak z mamą rozrabiali. – No chodź ze mną.

Wypada posłuchać. Leżymy już, kładzie mi dłoń na brzuchu, a potem niżej.

– Nie złość się, mój Borsuku.

Powtarza swoją prośbę, więc streszczam mniej więcej, co już wiem: spotkanie w Stylowej, rozstanie i powrót, chlańsko i rąbańsko, wypadające zęby i jasną siekierę. Zamykam objawieniem dziadka pod świętym Rochem, czego Klara nie słyszy, bo śpi.

Nie potrafię spać, leżąc na plecach, przekręcam się na bok i wtulam się w ciało żony, twarde od tych sportów i przyjazne jednocześnie, ale to nie wystarcza, żebym zasnął i ja. Myśli tłuką się we mnie jak złom zrzucany na Pagedzie.

Wstaję bardzo cicho, Klara mamrocze coś przez sen, często jej się to zdarza, a potem przysięga, że tego nie pamięta. Zamykam drzwi, te od sypialni i od kuchni, piję lemoniadę od Klary, żeby się nawodnić, zapalam papierosa i wracam do pisania.

Ten szajs wlazł mi na plecy i muszę go zrzucić.

O czekoladkach

Matka przełknęła niewierność taty i borykała się z własną. Umyśliła sobie, że powie Wackowi prawdę: hej, skarbie, sypiam z żonatym Rosjaninem.

Doprawdy, trudno o właściwy moment dla takich słów.

Tymczasem Wacek przysięgał, że jego ojciec pomoże im zdobyć mieszkanie, i gadał o dzieciach. Mama siadała z nim w kawiarni, zbierała się na odwagę i w końcu nie mówiła nic, całkiem jak stary o żonie. Wacek jawił się jej nazbyt dobry i łagodny, jak szczenię, co nie zna kija.

Za to z ojcem żyli na całego. Włóczyli się po knajpach, ale i teatrach. Stary dzień w dzień fundował kolejne atrakcje i osaczał miłością. Znam tę metodę, Klara potwierdzi, że działa.

Załatwił bilety na *Zbrodnię i karę* do Teatru Wybrzeże z Edmundem Fettingiem. Był kiedyś taki aktor jak Fetting.

Jego Raskolnikow miał twarz cierpiącego anioła i przepięknie ganiał z siekierą. Po przedstawieniu stary wypalił, że oni, Rosjanie, mają najwspanialszą kulturę na świecie. Mama przypomniała, że wcale nie Ruskie grały w tym przedstawieniu.

Chyba dużo gadali ci moi rodzice. Dobrze to rozumiem.

Jestem żonaty kawał czasu, całe dorosłe życie spędziłem z Klarą i wiem, że większość życia upływa na rozmowie. Ale mama drążyła temat i pytała

tatę, czy ten cały Dostojewski ma rację, że każdy może zabić człowieka. No chyba nie.

– Oczywiście że tak, nawet ty – odparł mój ojciec i spojrzał na nią tymi oczami, co widziały stosy trupów w Leningradzie.

Mama powtarza jego słowa z niezrozumiałą zgrozą.

Wypowiada je i zaraz frunie na taras.

Katastrofa zdarzyła się dopiero na przedstawieniu kukiełkowym *Divadelko*. To byli chyba jacyś Czechosłowacy. Mama opowiada o dwóch drewnianych ludkach, co wyczyniały cudności: goniły za psem, wpadały do studni, jeden nawet śmigał na hulajnodze, a ich władca mieszkał w ciemności nad nimi. Marionetki oczarowały moją mamę i wszystko przebiegłoby pięknie, gdyby w drzwiach YMCA nie wpadła na Wacka.

Mama szła ze starym pod rękę.

Wacek targał pudełko czekoladek z Włocławka.

Potem wyszło, że pojechał z tymi czekoladkami na Paged, a durna babcia powiedziała, że matka wybrała się na to *Divadelko* i nieszczęście było gotowe.

Wacek cisnął czekoladki w śnieg, stężał, jakby urosły mu kości, i odwrócił się na pięcie. Mama wspomina, że nagle poczuła się brudna. Miała padlinę w sercu i żyły zapchane szlamem.

Mój nieoceniony stary oświadczył, że dobrze wyszło, sprawa się rozwiązała, kłopot z głowy.

Otóż nie. W domu czekał dziadek z awanturą.

W odróżnieniu od sąsiadów, zazwyczaj wściekał się po cichu. Cedził obelgi i zgrzytał zębami. Tacy ludzie są najgorsi.

Ten sąsiad od królików obrywał od żony chochlą w łeb za smród w mieszkaniu. Guzy mu rosły, więc nie chciał zdejmować kapelusza w kościele. Nieraz też Paged trząsł się od dźwięku tłuczonych talerzy, darły się bite bachory i tylko dziadek mruczał pod nosem, z nienawiścią.

Teraz było inaczej. Facet dostał szału.

Mama niechętnie powtarza treść tych ryków, te słowa ciągle bolą.

Dowiedziała się, że nie tak ją wychował. Nie na kurwę. Już te mają więcej honoru, bo nie prowadzają się z mordercami. Mama skompromitowała rodzinę Kreftów i zniszczyła sobie życie. Dostanie robotę z wiadrem albo w szatni, w najlepszym razie. A oni, dziadkowie, odmawiali sobie wszystkiego, żeby studiowała. Ruski w końcu pójdzie, mama zostanie tutaj. Żaden chłopak jej nie zechce. Nikt nigdy jej nie pokocha.

Dziadek tak wrzeszczał, aż dostał ataku kaszlu. Babcia przyniosła mu wody z cukrem. Zapłakana mama schowała się za kocem.

– Chciałam wyjść. Trzasnąć drzwiami i nigdy nie wrócić. Ale nie mogłam – mówi.

Następnego dnia dziadek przyniósł z pracy imadło i naostrzył siekierę.

O miłości bliźniego

Ten chłop od królików nie kłaniał się już dziadkom i przygryzał dolną wargę na widok matki, dzięki czemu przypominał jedno ze swoich zwierząt. Dużo gadał z innymi sąsiadami i próbował nie patrzeć w jej kierunku, jak drałowała do zaparkowanej przez Płatona warszawy.

Kiedyś tylko zapytał, czy skoro matka daje dupy na prawo i lewo, to on też się załapie.

Dziadek samotnie wojował z zegarami. Gramolił się na stołek, obracał wskazówki, delikatnie unosił ciężarki, potem siadał na tym swoim stołku i gapił się w tarcze, wyczekiwał dźwięku gongów i wrzasku blaszanych kukułek. Do zegarmistrza na Portową już nie poszedł. Stwierdził, że to stary człowiek, wstyd mu głowę zawracać.

Z dziadkiem nie gadał już taki jeden Racławski, co prowadził budkę z gazetami na osiedlu. Dziadek od lat wpadał do niego po „Dziennik Bałtycki” i na pogaduchy. Przed Gwiazdką ten Racławski się zbiesił, gazetę ciskał bez słowa, a od mamy w ogóle nie przyjął kuponów na Jantara. W innych kioskach też mają loterię, tak powiedział.

Pan Leon z warzywniaka uznał, że matka nie zasługuje na marchew, a ciul w spożywczaku brał od niej szmal w dwa palce, jakby mu złotówki śmierdziały.

Dobre imię budujemy latami, gadał dziadek, tracimy w jednej chwili.

Najgorzej było w kościele. Pytałem mamę, czemu nie mogła tego odpuścić. Twierdzi, że wydała z siebie jeden krzyk wolności i brakło jej sił na kolejne.

Na mszę przychodzili prawie spóźnieni. Dziadek gapił się wprost na ołtarz, pierwszy padał na kolana i ostatni z nich powstawał. Nikt nie witał się z nim ani z jego rodziną. Raz podczas komunii ktoś syknął matce w ucho:

– A ty nie pójdziesz. Wstyd ci teraz, co?

Mama podkreśla, jakie to szczęście, że dziś każda dziewczyna może się bujać z Niemcem albo Ukraińcem, wychwala też Murzynów i chciałaby, żeby było ich u nas jak najwięcej.

Proszę, żeby nie używała tego słowa, wie jednak lepiej i zachowuje się, jakby miała z czarnoskórymi mnóstwo do czynienia. Pewno chodzi o jej dom, o willę, ale o tym potem.

Podczas nabożeństw rozmyślała o nieszczęściach tego świata i szukała pocieszenia w Bogu. Pytała, czemu musi tak cierpieć, skoro tylko posłuchała serca. W końcu zerknęła na drogę krzyżową i doszła do wniosku, że Jezus miał gorzej, więc nie ma co się mazać.

Spisuję tę historię i chętnie zaprosiłbym tych ludzi na spacer po królestwie wpierdolu.

Unikam przemocy, ale czasem brakuje innej drogi. Tłuczesz mendę w pysk, aż jej sumienie wróci. Tak właśnie sądzę. Życie przywiodło mamę ku czemu innemu.

– Wiesz, czemu ludzie źle robią? Bo są głupi – wyłuszcza mi taką mądrość, zgarbiona nad niszczarką do dokumentów. Próbuje rozpracować to ustrojstwo, nie dopuszcza pomocy, wpycha na siłę ulotki z pizzerii i popłacone rachunki. – Co mnie baba z różańcem i dziad ze sklepu, skoro był Kola? Oni go nie znali. Nawet tata, jakby go poznał, toby mnie zrozumiał. Było ciężko, jasne. Pomyślałam o Koli i znikały wszystkie lęki. No, może z wyjątkiem jednego.

Mama ciągle studiowała.

Na zajęciach u tego potwornego Scholla siadała z tyłu. Koleżanki przestały się odzywać, pewno dlatego, że kręcił się przy nich Wacek. Pan Scholl kroił matkę stalowym spojrzeniem i gadał o gruszkach do usuwania ubytków. Aż raz, nim skończył wykład, kiwnął na mamę paluchem arcyksięcia i powiedział:

– Na twoim miejscu w ogóle nie przygotowywałbym się do egzaminów.

O przyjaźni z Don Diego

W przychodni na Dębowej zameldował się Zorro.

Matka w ogóle dobrze wspomina tę przychodnię i ludzi, co tam robili, bo każdy interesował się głównie sobą, zapieprzał i brakowało czasu na pakowanie nosa w cudze sprawy.

Roboty było tyle, że technik, z zawodu mistrz kadłubowy, przyuczony do zawodu wskutek braków kadrowych, otrzymał łaskę kontaktu z pacjentem. Rwał zęby jak świeże wiśnie i podtykał je mamie pod spocony nos, cały zadowolony.

Mama wygotowywała igły i też rwała zęby, ślizgając się po lastryko w chmurze aerozoli.

W tamtych czasach nikt nie zapisywał się do dentysty na godzinę, wiara po prostu przychodziła, gnana bólem, i poczekalnia wyglądała jak lazaret po ataku gazowym. Chłopy trzymały się za spuchnięte pyski, babeczki przyciskały policzki do kufajek, wszyscy kopcili, że aż w oczy gryzło.

Na to właśnie któregoś dnia przyjechał Zorro. Mama akurat wystawiła głowę z gabinetu, żeby ocenić, ile orki ją czeka.

Zorro nawet w grudniu nie odpuścił roweru. Jechał na nim po lodzie aż z eskaemki. Po staremu nosił maskę, kapelusz i mokrą pelerynę. Klapnął sobie na stołku, prosty jakby połknął szpadę, i zastygł tak z ramionami skrzyżowanymi na chudej klatce piersiowej.

Pacjenci wchodzili i wychodzili, a on sobie tkwił w kapeluszu nasuniętym na czoło, przez pół dnia, jeśli nie lepiej. Wpuszczał nawet tych, co stawili się po nim.

Zrobił się wieczór, w poczekalni nastały pustki. Mama zagoniła go na fotel bez zbędnych ceregieli i zmusiła do zdjęcia kapelusza, co uczynił niechętnie, odsłaniając łysinę. Maska została tam, gdzie była.

Zęby miał tej samej barwy co pelerynę.

Gdyby przyszedł dzisiaj, dałoby się uratować prawie wszystkie, mówi mama, ale w tamtych okropnych czasach rzadko kiedy używano bormaszyny. Rwało się i do widzenia.

Bormaszyna. Mama uwielbia to słowo.

Zorro z przerzedzoną klawiaturą wyglądałby cokolwiek głupio, więc mama powiedziała, że zawalczy o te zęby pod warunkiem, że przyjdzie jeszcze parę razy, no i wysupła na koronki z własnej kieszeni.

Władza fundowała rwanie, lecz już nie koronki i protezy.

Zorro oświadczył, że w takim razie wyśpiewa sobie nowe uzębienie. Mama odniosła się życzliwie do tego pomysłu, byle nie darł japy w gabinecie.

W sumie zaimponował jej ten cały Zorro, bo przyszedł z zapaleniem miazgi korzenia. Siedział cały dzień prosto i nawet nie jęknął, tylko drżał podczas rwania, zaciskał palce na oparciu i wytrzeszczał oczy.

Matka, lekarka z wieloletnim doświadczeniem, twierdzi, że z bólem zapalenia miazgi równa się tylko atak rwy kulszowej albo pierwszy stolec po usunięciu hemoroidów.

Na koniec Zorro zsunął się z fotela i chyba próbował zasnąć.

Matka poderwała go na nogi, poprawiła pelerynę i nasadziła kapelusz na mokry łeb. Przypomniała, żeby wrócił do gabinetu, bo każdy leci do dentysty, gdy boli, a tak nie można. Zorro podziękował i wsiadł na rower.

Zaraz z niego zleciał, taki był osłabiony. Mama go pozbierała.

Powiedziała mu, że rower w grudniu to głupi pomysł, zwłaszcza po takim rwaniu, i Tarzan by z liany zleciał, żaden wstyd.

W efekcie poszli we dwoje na eskaemkę, gadając o pierdołach, a rower skrzypiał między nimi. Pod gdyńskim dworcem Zorro poprawił maseczkę i powiedział, żeby mama w żadnym razie nie przejmowała się nienawiścią i dyrdymałami, które na jej temat wygadują. Mają one, te bzdury, tyle mocy co kocięta rzucone do rzeki.

– Jesteś inna, jesteś wspaniała, a ludzie tego nie wybaczają – wypalił i popedałował w stronę baraków na Abrahama.

Odtąd regularnie przychodził do gabinetu.

O moim imieniu

Długo myślałem, że matka mnie nienawidzi.

Jasne, każdy małolat tak twierdzi, zwłaszcza jak stara weźmie mu bongo albo da szlaban na kompa za pyskowanie. Mój powód był głęboki i mroczny, związany z tajemnicą.

Uważałem, że matka mści się za coś, co zaszło przed moim narodzeniem, albo po prostu nienawidzi świata. Walnęła we mnie, bo świat jeszcze by oddał. Swoje rozczarowanie, ból i wściekłość zamknęła jak wiedźma w tym przeklętym imieniu.

Nazywam się Dustin Barski, dzieciństwo spędziłem u schyłku komuny na wielkim gdyńskim osiedlu, goniony przez Jacków, Tomków i Bartków.

Inni mieli gorzej, nie przeczę, bo znałem kolesia, co go skopali po jajach, i to tak, że spędził miesiąc w szpitalu na placu Kaszubskim. Rzecz się zdarzyła na balu ministranta. Chłop nigdy nie doszedł do siebie.

Mnie co najwyżej przytapiano w kiblu na ostatnim piętrze, gdzie nawet woźny bał się przychodzić. Wypluwano na mnie przeżute jedzenie

i szczano mi do tornistra. Nic, czego nie dało się przeżyć.

Był też masaż wora. Biedaczynie od ministrantów chyba urządzono coś podobnego.

Do zabawy potrzeba kogoś takiego jak ja i trzech innych gości. Chłopaki obalały mnie na plecy, dwóch rozciągało mi nogi w szpagat, a trzeci, król tej igraszki, wbijał obcas w krocze, i to tak, że czułem, jak jajca szorują o miednicę.

Nie wiem, dlaczego o tym piszę. Przecież te dawne czasy nie mają żadnego znaczenia, jestem mocny i daję drobne dawnym prześladowcom.

Widuję ich czasem, jak drzemią na przystankach albo krążą pod Żabką jak oślepione ryby. Przegrywałem w szkole, wygrałem w życiu. Jestem długodystansowcem.

Ale piszę o tym teraz, o trzeciej trzydzieści nad ranem, śmierdzący od fajek i śledzi, choć to żaden temat. Miało być o ojcu i mamie, nie nadaję się do tego przecież, gdzie ja z pisaniem i tym, co ono robi człowiekowi: przecież teraz widzę nasz kremowy korytarz szkolny, paprotki na oknach, królów Matejki w ramkach ze sklejki, papierowe szarfy dyndające z tablic korkowych. Pachnie pumperniklem i mokrą kredą, niesie się łoskot butów i wesołe wołanie: „Dastin-Dżastin, Dastin–Dżastin”.

Klara nazywa mnie najczęściej Borsukiem. Jej zdaniem przypominam właśnie tego nocnego, dużego i agresywnego czyściocha, co kocha dom i warczy na wszystko inne: Borsuczek, Borsuń, niech będzie nawet i Borsuczysko.

Kiedyś nie byłem Borsukiem. Pamiętam rysunki w szkolnym kiblu, jak sram pod siebie albo liżę krowie dupę.

Raz wpierdoliły mi dziewuchy.

Mieliśmy w szkole bandę starszych panien z kłopotliwych rodzin: powtarzały klasy, pilnowały potomstwa swoich starszych braci i paliły pod śmietnikiem. Wysokie i wesołe. Dopadły mnie na korytarzu, wytrzaskały tak, że gęba mi spuchła, w końcu zepchnęły ze schodów i poleciały na jabola.

Zrobiły tak, bo mogły.

Ponoć z tych schodów spadałem malowniczo i pięknie, jak pająk albo jaszczurka z glutów, mieliśmy takie zabawki wtedy, ciśnięte w okno spływały powoli po szybie.

Nikomu nie mówiłem o bezlitosnym masażu wora, o tych dziewuchach to w ogóle, bo wstyd, poza tym dopiero miałbym przegwizdane. Kto mnie

miał ochronić, pedagog czy pani od muzyki? Bez jaj może.

Pomogły kucharki. Chowałem się w stołówce szkolnej. Patrzyłem, jak szykują kopytka z truskawkami, makaron z twarogiem i cukrem oraz pomidorową na szmacie, obierałem kartofle, porcjowałem dorsza i zastanawiałem się, szczęśliwy i bezpieczny, co zrobić, żeby danie smakowało lepiej. W jakiś sposób dzisiejszy sukces zawdzięczam dawnemu okrucieństwu.

Nie należy przeklinać swojego losu zbyt pochopnie.

Matka czuła pismo nosem i pytała, czy wszystko w porządku. Zasznurowałem ryj. Nie będę latał z płaczem do własnej starej, tak sobie mówiłem, aż raz wróciłem z mordą obitą przez te wielkie panny, matka poprosiła, żebym wreszcie powiedział prawdę, no i się sprułem, co tu kryć.

Nakłamałem tylko, że to kumple bili.

Myślałem, że mama ukręci jakąś awanturę, poleci do dyrekcji, do kuratorium, zawlecze mnie do lekarza i na komendę, słowem, ściągnie na mnie monstrualny wstyd. A tu nie.

Powiedziała, żebym oddał. Innego wyjścia nie ma. Muszę tym prześladowcom przyjebać, aż takiemu nerka nosem wyjdzie. Tak powiedziała, słowo w słowo. Dodała jeszcze, że szanse na zwycięstwo mam marne, pewno znów oberwę, no ale i tak obrywam, więc w sumie żadna różnica.

Nie nadstawiaj drugiego policzka, synku, nie nadstawiaj nawet pierwszego, usłyszałem od niej, Wielkiego Inkwizytora Witomina. Oddawaj, aż wreszcie dadzą ci spokój, bo siła szanuje tylko siłę.

Pytanie, jak mam oddać dziewczynie, zostawiłem dla siebie.

– Kopnij go pod kolano. Wbij but o tutaj, w rzepkę od dołu. – Pokazała gdzie na sobie, tą delikatną dłonią, którą rwała trzonowce. – Weźmiesz go z zaskoczenia, ból go złoży, będzie twój. A jak nie trafisz, bierz nogi za pas.

Następnego dnia pojechaliśmy do klubu karate na Chwaszczyńską. Trener, jak mnie zobaczył, załamał ręce, po czym powiedział, że nawet Bruce Lee musiał od czegoś zacząć. Miał rację. Miała ją też mama. Po paru zajęciach postawiłem się prześladowcom i wkrótce zyskałem spokój.

Pamiętam lęk przed wyprowadzeniem pierwszego ciosu i sam kopniak niesprawnie puszczony z biodra, drżenie ciała i ogłuszający huk serca, ale też bolesne zderzenie buta z goleniem i oczy wroga wyłażące na wierzch w zdumieniu. Coś pięknego. Kopy, które zebrałem po tym, też siedzą w głowie.

Mama utrwaliła mi się najmocniej właśnie tamtego dnia, gdy panny mi wpierdoliły. Wstała, zgasiła telewizor, usiadła i patrzyła na mnie przez

chwilę jak porażona prądem. Potem mówiła. Nie próbowała przytulać. Siedzieliśmy daleko od siebie. Zobaczyłem w niej winę, żal i wstyd. Chwaliła siłę, a tkwiła krucha na brzegu kanapy.

Pewno myślała: czemu dałam mu tak na imię?

O Barskich

Do osobliwego imienia dochodzi jeszcze kłopot z miejscem urodzenia, no i nazwiskiem.

Przyszedłem na świat w Szwecji, przynajmniej tak mam w papierach.

Za dzieciaka pytałem matkę, o co chodzi z tą Szwecją i dlaczego nie mieszkamy w Sztokholmie. Odpowiadała, że na północy ludzie są pochmurni, a morze jest zimne, nie to co w naszej Gdyni. Ma rację, tu nie jest źle, choć Szwed pewno nie zapierdala od rana do nocy przy najskromniejszym interesie. Mama czochrała mi włosy, mówiła, że jestem mądry i mam nie zawracać sobie głowy głupotami. Wyczuwałem, że mnie zbywa.

W końcu, jak podrosłem, mama przyznała się, że pod koniec ciąży pojechała na konferencję stomatologiczną do Sztokholmu i tam niespodziewanie wyrwałem się na świat.

Może to i prawda. Kocham śledzie, więc przyszedłem na świat w ich królestwie.

Ten Sztokholm mi śmierdzi, zresztą odkąd wypłynął temat ojca, zrobiłem się podejrzliwy i czuję się trochę, zwłaszcza teraz, jakby ktoś obcy przycupnął mi za plecami. Klops mam również z nazwiskiem.

Nazywam się Dustin Barski, dziadkom było Kreft i mama w młodości też tak się nazywała. Teraz jest Barska, zapewne po starym. Miałem może dwanaście lat, gdy doszedłem do takiego wniosku, i kombinowałem dalej w tym kierunku. Matki bałem się pytać, bo znowu mogłaby się zjeżyć. Więc pomyślałem sobie, że sam się zakręcę i znajdę swojego tatę.

Wyrwałem kartkę z książki telefonicznej i pozaznaczałem wszystkich Barskich. Wymyśliłem sobie, że prysnę z budy i zacznę go szukać, więcej nawet, zaplanowałem jakąś wielką wyprawę w stylu poczciwych Muminków, z kosturem i kanapkami w węzełku. Powędruję od domu do domu, będę pytał: „Czy ty jesteś moim tatusiem”, aż w końcu jakiś mężczyzna w skórzanej kurtce odrzuci camela, uklęknie przede mną i powie: „Tak, to ja. Gdzie byłeś tak długo?”.

Tylko bałem się iść. Jak zostawałem sam, gapiłem się w tę kartkę, zaznaczałem adresy na mapie, aż w końcu mama znalazła jedno z drugim.

Najpierw myślałem, że mnie walnie w łeb, tak trzęsła się nad tymi papierzyskami. Ale nagle zmiękła, usiadła obok mnie, tak jak powinien to zrobić mój własny, wymarzony stary, i powiedziała, że ojciec w żadnym razie nie nazywał się Barski, tylko zupełnie inaczej, a nasze nazwisko wzięło się z jakiejś jeszcze odmiennej awantury i tak, opowie mi o wszystkim, tylko potem. Jak będę mądrzejszy. Jak dorosnę.

Dzieci uwielbiają takie odpowiedzi. Nie nalegałem jednak, nie próbowałem błagać, by zmieniła zdanie, bo wiedziałem, że nic nie wskóram, i chyba nawet tego dnia trochę zmądrzałem i dorosłem, kiedy mama paliła kartkę z książki telefonicznej i moją mapę w zlewie.

– Przykro mi. Ja chcę ci tylko odjąć smutku – powiedziała potem, futrując mnie lodami. – Nie znajdziesz go. Latami próbowałam.

O telefonie

Tatko był okrutnie zajęty, więc mama usychała z tęsknoty. Przypominała las podgryzany przez pustynię albo wątrobę alkoholika.

Dla odmiany jej zdaniem tęsknotę dało się porównać do kropli stygnącej smoły, co rodzi się w sercu i skapuje do brzucha. Zastanawiała się w kółko, czy ten mój ojciec zjadł śniadanie, czy się wyspał, czy wciąż kocha i co w ogóle robi.

Z tego, co mówi, stary tłumaczył Indonezyjczykom forsowanie morskich rubieży obrony i zasady zespołowej współpracy okrętów, cokolwiek to znaczy. Cementował przyjaźń polsko-radziecką w kantynie oraz fraternizował się z jakimś chińskim admirałem, co do nas zawitał, i nocami zwalał się na łóżko z głową ciężką od nadmiaru obowiązków służbowych. Z tym jeszcze mama potrafiła się pogodzić. Rozumiała, że stary musi błyszczeć w towarzystwie. Nie darowała jednak motorówki.

Ta miała jakieś siedem metrów długości, niewielką kabinę i reflektor na dziobie. Wpisano ją w papiery jako kuter osobisty dowódcy. W rzeczywistości stary wypływał nią na ryby.

Matka nie mogła zrozumieć, czemu tatko wybiera wędkowanie, skoro ma taką dziewczynę jak ona. Mądry ojciec znalazł radę i na ten kłopot –

niech popłyną we troje: on, mama i Płaton przy sterze. Poprosiła, żeby puknął się w głowę trzonkiem podbieraka.

Bała się lodowatego wiatru za Helem, fal i turbotów ciągnących w głębinę. Myślała, że tatko odpuści. Gdzie tam. Zabrał Płatona, a mama została, stęskniona i wściekła.

– Często przychodziły mi do głowy różne rzeczy, które natychmiast chciałam mu powiedzieć – wspomina. – Nie mogłam, bo był na łódce albo u tych pieprzonych Indonezyjczyków.

Z tego, co rozumiem, stary żył, jak chciał, i pilnował, by matka nie osiągnęła stanu wrzenia. W końcu się nabiedził, żeby do niego wróciła. I tak o szóstej rano na Paged wpadli robotnicy w drelichach i kufajkach, wczorajsi, każdy z kiepem w ryju.

Mama szorowała się w misce. Wanny używali tylko w niedzielę.

Dziadek był pewien, że to ubecy albo ci z podziemia, zastrzelą ich wszystkich, całą trójkę, za zdradę, jak wcześniej Grunę.

Robotnicy zażądali kawy i wódki. Pokręcili się chwilę po klatce schodowej, jeden wylazł na słup koło domu i coś tam instalował. Reszta rozwierciła ścianę przy oknie; dziadek myślał, że robią podsłuchy, babcia doszła do radosnego wniosku, że na osiedlu telewizję montują. Skakały filiżanki w kredensie. Zleciał obraz ze ściany. Drżała siekiera.

Chłopy przeciągnęły kable między słupem a blokiem, zamontowały gniazdko i czarny aparat telefoniczny, taki z tarczą i słuchawką stworzoną do trzaskania. Ten na zewnątrz pogmerał w skrzynce doczepionej do słupa i telefon zadzwonił. Trel brzmiał czysto i przyjemnie.

Robotnicy zostawili numer na karteluszku i poszli, a dziadkowie i mama zostali z tym telefonem. Babcia zaraz zaczęła sprzątać tynk i błoto naniesione na buciorach.

Dziadek twierdził, że telefon ściągnie na nich nieszczęście. Wylądują w Irkucku przez takie nowoczesne fanaberie. Co gorsza, sąsiedzi dowiedzą się o aparacie i będą przychodzić na dzwonienie.

– Zapomniałeś, że nikt się do nas nie odzywa? – zapytała babcia.

Dziadek burczał i się srożył, ale nie śmiał usunąć telefonu.

Odtąd mama dzwoniła do taty na okręt. Pytała, czy zjadł śniadanie, jak się ma i tak dalej. Dziadkowie udawali, że tego nie słyszą.

Babcia zgarnęła trochę gazet, pozakreślała numery i wydzwaniała do konserwatora zabytków w Gdańsku i Spółdzielni Spożywców „Zgoda”. Pytała o przebudowę gdyńskiego dworca, kondycję pomidorów szklarnio-

wych i inne duperele; dosłownie kwitła ze słuchawką przy uchu. Oczy jej pojaśniały, z twarzy ubyło lat. Któregoś dnia powiedziała, że telefon to wspaniały wynalazek, bo dzięki temu zawsze będą razem, nawet jak kogoś, na przykład moją mamę, los rzuci gdzieś daleko.

– Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym opuścić Gdynię – mówi mama.

O jednorękim

Usłyszałem też dziś o niejakim Jedunowie. Mama unikała tego tematu tak długo, jak mogła.

Igor Iwanowicz Jedunow miał zimne, nieruchome oczy i uszy spłaszczone jak u zapaśnika. Lewą rękę trzymał sztywno przy ciele. Chodził niezdarnie, jakby wyrywał nogi z bagna, uwielbiał jednak tańczyć.

Był wicekonsulem ambasady w Gdańsku, wielkim przyjacielem morza i marynarzy, przynajmniej tak o nim mówiono.

– Taki z niego konsul jak z wilka pastuszek – ostrzegł matkę mój stary.

Poznali się na występie Zespołu Pieśni i Tańca Kozaków Kubańskich w klubie garnizonowym. Tatko po raz pierwszy zabrał mamę między swoich.

Przez całą drogę Płaton gadał, że warto być taką piękną panią, bo można uczestniczyć w istotnych wydarzeniach kulturalnych. Sam znał swoje miejsce, ale zbierał na gramofon. Zamierzał słuchać sobie marszy wojskowych i pieśni o miłości, co grzeją serce bardziej niż bimber.

Mama bała się trochę, bo nie wiedziała, jak na nią zareagują inni oficerowie. Płaton zaparkował przed masywnym klubem garnizonowym i zagapił się w rząd rozświetlonych okien.

Sala galowa w klubie mogła pomieścić jakieś pięćset osób, przyszło ich może pięćdziesiąt. Jedunow siedział nieopodal w towarzystwie jakiejś szatynki. Miała czarną satynową sukienkę bez ramiączek, toczek i fryz na pazia. Upudrowała policzki jak mewka i tkwiła sztywno przy tym Jedunowie.

Próbowali na siebie nie patrzeć, on i mój stary. Szczęśliwie na scenie sporo się działo.

Mama wspomina, że ci Kozacy naprawdę dali czadu, w każdym razie pajace z Korna mogłyby się uczyć. Brodacze w żupanach podrzucali dziewczyny, aż korale unosiły się nad głowy, iskry strzelały z oczu i spod obca-

sów. Grały bałałajki, akordeony i tamburyny. Pieśni były jak ptaki walczące z wiatrem, wspomina mama z nutą dobrego smutku, zerkając na taras.

– One były, te piosenki, o samotności, walce i śmierci – dodaje jak nie ona. – Miałam dwadzieścia lat! Nic nie wiedziałam o takich rzeczach. Czułam tylko, że się dowiem.

Po koncercie poszli na bankiet. Podano kawior, bakłażany, rydze i rybę na srebrnym półmisku, wódka błyszczała w kryształach, parkiet lśnił od wosku, a całe towarzystwo, te konsule i oficery, rzuciło się na żarcie, jakby nie jadło od bitwy o Berlin.

Jedna mama wykrawała drobne kęsy z kuropatwy i tylko moczyła usta w wódce.

Pito za tych, co na morzu, za klęskę Niemców i szczęśliwe chłopstwo. Mój stary walił gorzałę z Jedunowem. Sprawiali wrażenie, że znają się od zawsze i szczerze nienawidzą. Dlatego byli dla siebie tacy uprzejmi. Gadali o fatalnych warunkach sanitarnych na Kamiennej Górze i jakimś frajerze, co zanim go capnęli, przemycał dolary w mydle Palmolive.

– W tamtych czasach przyjęłabym takie mydło i bez zielonych – śmieje się mama.

Panowie łoili wódę, więc mama zagadywała kochankę Jedunowa. Słabo to szło. Ta narzekała, że jedzenie jest zimne, i gryzła tylko prawą stroną ust. Mama połapała się, skąd ten mocny makijaż – przykrywał podbite oczy.

Rozpoczęły się tańce do dźwięków parnych jak letni step. Flaszki skakały na stołach, bujały się żyrandole. Mama tańczyła z ojcem, Jedunow zażądał odbijanego.

W ogóle mu nie szło przez tę bezwładną rękę. Dyszał wódką, zapuszczał mamie żurawia w dekolt i deptał jej po palcach. Obok stary wywijał tą dziewczyną od Jedunowa. Wreszcie się zmęczyli i wszystko byłoby dobrze, gdyby zaraz potem, już przy kielichu, Jedunow nie powiedział, że kto jak kto, żołnierze tańcują najlepiej.

Mama zakrztusiła się bakłażanem. Stary rzekł drwiąco:

– Żołnierze? A nie siedziałeś ty całej wojny w Moskwie?

No i było po zabawie. Mama przeraziła się, że Jedunow po prostu wyjmie broń i ojca kropnie. Ten rwał się do bitki i matka pociągnęła go w stronę szatni, pytając, czy upadł na łeb.

Wsiedli do warszawy, stary wydał instrukcje Płatonowi.

Pojechali na Babie Doły, gdzie dawniej wiedźmy latały na miotłach, a teraz mieszkali pracownicy lotniska i ich rodziny. Stary pod zimowym

księżycem powiódł mamę po skarpie nad skuty lodem Bałtyk. Widziała zarys torpedowni, otwarte morze, w świeżym śniegu zwielokrotniły się gwiazdy.

Stary powiedział czule, że czasem przyjeżdża tutaj, żeby odzyskać spokój. Mama nie mogła zrozumieć: po co prowokował tego faceta z bezpieki? Tatko zarechotał. Jedunow od dawna chce mu zaszkodzić, szuka tylko sposobu.

– Wiesz, *Zwiozdoczka*, to właśnie jego podziurawiłem tym harpunem.

O Wigilii

W Nowy Rok stary poprosił matkę, żeby wyjechała z nim do Moskwy. Rozwiedzie się, jakoś to będzie, tak właśnie rzekł. Najwyżej go zdegradują i będzie łowił foki na kutrach.

Foki w tamtych czasach wylegiwały się jeszcze na lodowcach. Ubijano je pałką i skórowano w pięć minut. Mamie mowę odjęło, nie tylko dlatego, że wyobraziła sobie te biedne zwierzęta i ojca całego we krwi.

W tamtych czasach końcówka grudnia była naprawdę magiczna, jak wyraziła się dziś mama: w zimnym powietrzu dało się wyczuć pewną czarodziejskość. Teraz zdaniem matki Boże Narodzenie przypomina przedłużony weekend, sylwester jest zwyczajną zabawą do późna, mamy tyle różnych radości, że coraz trudniej się cieszyć.

W kościele na Oksywiu zamontowano mechaniczną szopkę, po prawdzie – kawał pałacu z mnóstwem mechanicznych części. Jezus bujał się w kołysce, Józef szarpał piłę, kłaniały się głowy królów, owce i gęsi krążyły po zagrodzie.

Szopka nijak nie wpłynęła na wzrost pobożności, a nawet przeciwnie. Ksiądz z ambony wyklinał złodziei: buchnięto figurkę krowy i śliczną Matkę Boską.

Mama od szóstej rano stała po chleb, a dzieci po wódkę. Dawali tylko po pół litra na głowę. Taki gnojek, pięcioletni może, tupał sobie na mrozie, rodzic przychodził w ostatniej chwili, brał flachę, wysyłał gówniarza z powrotem na koniec kolejki, a sam gdzieś szedł. Niektórym przymarzały do nosów szmaragdowe śpiki.

Co do chleba, sprzedawali go bez limitu w piekarni koło magla, więc każdy porywał popękane bochny i pakował je, jeszcze ciepłe, do toreb,

jakby nadchodziła nowa wojna.

Po Pagedzie grasowali kolędnicy. Herod miał przekrwione oczy i drąg zamiast berła, diabeł – płaszcz podziurawiony przez kule, aniołowi gniły zęby. Syn sąsiada, tego od królików, na ich widok wdrapał się na szafę i ani myślał schodzić.

W eskaemce krążyła grupa wyrostków z przemoczoną szopką, w którą powpychano obrazki wycięte z prasy katolickiej. Ich kolędy przypominały jęki potępionych. Ludzie wytrząsali grosze z pularesów, byle tylko kupić ciszę. O facecie, co przebrany za Dziadka Mroza łaził po skwerze Kościuszki, można powiedzieć tyle dobrego, że choć stale pijany, miał anielską cierpliwość do dzieci.

Do tego zmarł Jan Radtke, wójt jeszcze sprzed wojny. Dziadek, który sam przecież budował Gdynię, przeżył tę śmierć, jakby stracił rodzonego brata, i zaciągnął matkę na pogrzeb do Witomina. Za trumną wlokła się młodzież ze Zrzeszenia Kaszubskiego, a jak szedł kondukt, to każdy zdejmował czapkę, nawet pijaki i marynarze z zagranicy.

– Wkrótce Radtke zaczął straszyć w swoim dawnym domu na 10 Lutego – dodaje mama, jakby chodziło o przepis na kompot śliwkowy.

Drzewko, które przytargał dziadek, szorowało czubkiem sufit. Mama rozwiesiła przedwojenne bombki, malowane w bałwanki i gwiazdy, łańcuchy i orzechy w sreberkach po czekoladzie. Te sreberka zbierali przez cały rok do klasera. Babcia froterowała podłogi, myła okna i wietrzyła szafy.

Mama patrzyła na jej zniszczone dłonie i zastanawiała się, czy kiedyś też będzie miała takie.

Dało się wyczuć świątecznego pierdolca. Rozmowy stały się krótkie, powietrze ciężkie i przesycone zapachem grzybów, siekiera jaśniała w blasku świec.

Dziadkowie prosili mamę, żeby przy gościach nie mówiła o starym, bo wstyd. Nalegali też, by ubrała się skromnie. Spodziewali się brata babci z żoną, jakichś kuzynów, ciotki – dość prochu na uzbrojenie bomby wigilijnej.

Mama z babcią rozkładały talerze na haftowanych serwetkach. Matka chodziła z nosem na kwintę, bo święta chciała spędzić razem ze starym.

Rodzina przyszła i przez moment mama myślała, że wszystko naprawdę się uda. Wspomina tych ludzi jak cienie, bez imion i twarzy. Wtedy jednak byli pyskaci i głodni, wiekowa ciotka sączyła wódkę z naparstka, piętro

wyżej ten od królików wywrzaskiwał kolędy takim głosem, jakby Herod mu dziecko ubił.

Wszystko pewno przebiegłoby bezboleśnie, gdyby rozmowa nie zeszła na moją mamę. Goście mówili, że przepięknie wygląda, chyba jej życie odmieniło się na lepsze, jakiś kawaler się zjawił czy coś. Pytali o ślub, o dzieci, o książeczki mieszkaniowe, tak w kółko.

Mama migała się, popijała wódkę, dziadek truchlał na honorowym miejscu przy stole.

– Właściwie nie wiem, dlaczego to zrobiłam – mówi mama głosem człowieka doskonale pewnego swoich czynów. – Każdy czegoś ode mnie chciał, każdy instruował. W końcu ta ciotka poradziła, żebym za bardzo nie przywiązywała się do studiów, bo chłopem się trzeba zająć, dzieci rodzić, nie ma co myśleć o pracy, z takich marzeń nic nie wyjdzie, tak wygląda życie.

Sama ciotka pochowała trzech mężów, własnych dzieci nie miała, a cudzym rzucała pod nogi kamyki zawinięte w kolorowy papier.

– Miałam tego wszystkiego dosyć – dodaje mama.

Popatrzyła po gościach i powiedziała, że owszem znalazła narzeczonego, i to w wojsku sowieckim. Jest kapitanem i ma mnóstwo pieniędzy. Rozwiedzie się i kupi jej najpiękniejszą willę w Sopocie.

Zapadła martwa cisza. Tylko dziadek tłumaczył, że to takie żarty. Wujek zarechotał i tyle było z wigilijnej atmosfery.

Dziadek zamilkł na dobre. Przez całe święta babcia naciskała mamę, żeby go przeprosiła, ale ona nie chciała o tym słyszeć.

Tydzień później stary wyskoczył z propozycją wyjazdu. Poparł ją złotymi kolczykami z perłową łezką oraz wełnianym płaszczem zdobnym w futrzany kołnierz. W Inter-Clubie, gdzie witali Nowy Rok, tańczono kwelę.

Kwela polega na trzymaniu się za ręce i waleniu piętami we własne pośladki w rytm skocznej muzyki. Taka właśnie zabawa na wesoły czas. Rozumiem już, czemu tylu piło na umór.

– Tak prosił: *Zwiozdoczka to, Zwiozdoczka sio, my budiem koroli*. A ja mu odmówiłam – opowiada mama. – Nie było to łatwe, bo po tych świętach najbardziej na świecie chciałam uciec z domu. Nikt nie odzywał się do mnie na uczelni ani na Pagedzie. Z drugiej strony ta Moskwa… Co niby miałam tam robić, sama jedna bez studiów? Tak właśnie myślałam. Bałam się, że ten admirał zniszczy Koli karierę, a rodzice umrą z rozpaczy.

Mój roztropny stary odpowiadał, że wszystko się ułoży, i paplał coś o tych fokach.

Mama poprosiła o noc na decyzję. Mrok drżał. Wszystko, czego się chwytała, wymykało się jej z dłoni.

Stary zasnął, a ona znów nie mogła zmrużyć oka. Patrzyła na niego, jak chrapie goły w skołtunionej pościeli, na elegancko złożone ubrania i buty ustawione równo pod drzwiami, zastanawiała się, w co właściwie weszła, ku czemu zmierza i czy warto.

Dziwnie się tego słucha.

Ponoć stary miał zajoba na punkcie butów.

– Chciałam kochać i być kochana – słyszę – nie zastanawiałam się nad konsekwencjami.

Do świtu w myślach pytała o radę wszystkich, których znała, łącznie z Zorro.

W końcu powiedziała staremu, żeby się rozwiódł, ale ona nie pojedzie z nim do Moskwy. Muszą wymyślić coś innego.

O głosach

W Nowy Rok prezydent Eisenhower przemówił z kosmosu, a dziadek zabrał się do mordowania mojego taty. Piękną miałem rodzinę.

O tym Eisenhowerze wiem, bo babcia nim się przejmowała. Szło chyba o to, że facet po raz pierwszy gadał poprzez świeżo wystrzelonego satelitę, co transmitowało radio nawet w Polsce Ludowej. Mówił po angielsku, więc babcia nic nie pojęła z mechaniki tego cudu i dopytywała w bibliotece na Kuśnierskiej, czy to prawda, że nad nami, wysoko, fruwają sputniki pełne prezydentów.

Dziadek woskował trzonek siekiery i łowił ostrzem słońce. Ślęczał nad mapą Gdyni, na której dorysował wojskowe budynki. Kręcił się po porcie wojennym i zaszedł pod niszczyciel, skąd go przegonili. Ponoć pojawił się też pod Inter-Clubem. Siedział i gapił się na Rosjan. Babcia w końcu zapytała, co zrobi, jak już zamorduje tego całego kapitana.

Odparł, że nic. Wyrówna rachunki krzywd, siądzie i zaczeka na milicję. Tak rzekł, wsuwając bitki.

Mędrzec, nie ma co.

Matka, z tego co mówi, była serio przejęta i zastanawiała się nad ostrzeżeniem starego. Powiedziałaby mu: Skarbie, biada i mor, dybie na ciebie cieśla bez paluchów w prawicy.

Bała się, że stary każe aresztować dziadka albo, co gorsza, ją rzuci. Na co mu córka wariata?

W końcu powiedziała prawdę i poprosiła, by tatko uważał na siebie, no i nie traktował dziadka nazbyt surowo, jak go już przyskrzyni. To dobry człowiek, tylko trudny, mówiła, nie rozumie uczuć i dlatego lata z siekierą.

Stary oznajmił, że nie widzi problemu i wszystko na pewno się poukłada. To prawdopodobnie była jego odpowiedź na każdą sytuację. Nie wiem czemu, ale widzę go, jak unosi dłonie na wysokość piersi i uśmiecha się pobłażliwie, mrużąc te ciemne oczy, co po nim dostałem.

Noc przed planowanym mordem dziadek klęczał, odmawiając bolesne tajemnice różańca. Próżno babcia błagała, żeby wrócił do spania.

O świcie włożył białą koszulę, czarny krawat i płaszcz ze świeżo wymienioną podpinką. Długo pastował buty. W kredensie przy gromnicy leżała fiolka z wodą święconą. Dziadek skropił siekierę, wyciął krzyż w powietrzu i wyszedł na mróz.

Mama z babcią czekały na to, co będzie. Za oknem wstawał kolejny paskudny dzień, sąsiedzi wlekli się do pracy, lekarz w radiu straszył epidemią syfa i nie puścili ani jednej ładnej piosenki. Zastanawiały się, co dalej, czy nie polecieć na milicję, każda przejęta troską o swojego faceta. Tak moim zdaniem buduje się bliskość.

Zgłoszą, to dziadek pójdzie do więzienia, nie zgłoszą – stary padnie pod toporkiem, weź rozplącz taki kłopot.

– Nie mogłaś się trzymać tego Wacka? – zapytała babcia.

Stary nie odbierał telefonu i mama przeraziła się, że dziadek już go zabił jak nasz sąsiad królika. Albo stary zastrzelił dziadka. Trudno stwierdzić, co gorsze. Matka chciała nawet lecieć do portu, na niszczyciel.

Czas pełzł jak wombat przez zasieki, na kaloryferze schły albatrosy, w końcu babcia wyjęła orzechówkę i gdy dziadek w końcu wrócił, obie miały mocno w czubie.

Strzepał śnieg z butów, odwiesił płaszcz i usiadł do tej orzechówki.

Nie wyglądał na zabójcę. Był raczej rozanielony.

Od mordowania odwiódł go sam Bóg. Otóż dziadek prosto z Pagedu podreptał na róg Dąbka z Bosmańską, pod kapliczkę świętego Rocha. Padł na kolana i prosił o siłę, by zdołał wytrwać w swym krwawym zamierzeniu.

O dziwo, Roch rozłożył ramiona i przemówił. Konkretnie zażądał triumfu miłosierdzia nad sprawiedliwością i upomniał się o duszę nieśmiertelną mojego starego. Jeśli dobrze rozumiem, siekiera posłałaby ojca wprost do piekła. Na taki ciężar dziadek nie był gotowy. Dlatego wrócił do domu.

Nie kierowały nim trzeźwa ocena sytuacji czy brak odwagi, lecz napomnienie wielkiego świętego.

Obiecał, że znajdzie inny sposób, by policzyć się z tym okropnym Rosjaninem.

Tak właśnie rzekł i zaniósł siekierę z powrotem do piwnicy.

NOC TRZECIA

1959

drugi

piątek

października

2017

O pomieszaniu zmysłów

Matka oszalała. Jej opowieść to rojenia wariatki.

Dostała szmergla. Bije jej na dekiel. Peron rozumu odjechał. Ma burdel na strychu. Nazywajmy rzeczy po imieniu.

Przeczuwałem, a jednak dałem się nabrać. Nawet nie wiem, czy istniał jakiś Nikołaj Siemionowicz Narumow.

Klara uważa, że mama nigdy nie była specjalnie normalna, zresztą my, ludzie, w ogóle jesteśmy popierdoleni i trudno strugać z tego banału jakąś awanturę. Trzeba kochać bliskich mimo ich szaleństw i głupoty, może nawet dla nich, kto tego nie pojął, temu miłość pasuje jak krowie deskorolka.

Chodzi raczej o to, że mama jest bardziej jebnięta niż inni.

Żeby daleko nie szukać, uwielbia internet i chłonie teksty o nowinkach technologicznych, ale nie używa mejla i próżno jej szukać na portalach społecznościowych. Gdy pomagałem jej z zakupem kompa i instalowałem internet, domagała się bezpiecznego łącza i licznych firewalli.

Można pomyśleć, że żadna z niej dentystka, tylko, nie wiem, handlarz bronią, ktoś taki.

Obiecałem ściągnąć kumpla, żeby jej doinstalował te całe zabezpieczenia. Odmówiła, bo nie wpuszcza do siebie nikogo, odkąd pamiętam. Z kumplem siedzieliśmy u mnie, mordując się nad tym nieszczęsnym komputerem.

Przywieziony sprzęt obchodziła z tydzień, nim odważyła się go włączyć. Teraz śmiga po sieci, wszędzie tam, gdzie nie chcą hasła. Co do telefonów, używa starej nokii, gdyż geolokalizacja wpędza ją w przerażenie.

Z pieniędzmi sprawa wygląda podobnie. Matka odmawia płacenia kartą i gardzi bankowością elektroniczną. W jej świecie istnieje wyłącznie gotówka.

Co miesiąc maszerujemy do banku na Piłsudskiego, przy Urzędzie Miasta. Matka wpada tam jak księżna między damy dworu, w delikatnej zawiesinie perfum Diora i ze sznurem pereł na szyi. Gada o wyborach prezydenckich albo trąbach powietrznych na Śląsku, a obsługa udaje zainteresowanie i potakuje: tak, pani Heleno, to tamo, pani Heleno. Ja stoję z tyłu niby ciul w ulewie.

Matka wypłaca czasem pięć, czasem siedem koła. Liczy i wsuwa kopertę do torebki, delikatnie jak głos do urny.

Dlatego jej towarzyszę – żeby nie łaziła po mieście z taką fortuną. Wlokę się z nią do auta, a potem na pocztę, gdzie pracowicie wypełnia blankiety przelewowe.

Chętnie poznałbym prawdę, co dzieje się z tymi pieniędzmi. Matka je mało co i jest chuda jak bocian. Ile można wydać na perfumy i koniak w Szmaragdowej?

Kiedyś sądziłem, że ma młodszego kochanka bądź po kryjomu odwiedza kasyna, ale nie. Moim zdaniem chomikuje ten szmal, starzy ludzie tak mają.

Raz za książkami znalazłem pudełko pełne studolarówek z lat siedemdziesiątych, barwy patyny i mocnych jak żagle. Wiem też, że rozwierciła nogę kuchennego stołu i coś tam trzyma. W dzieciństwie złapałem ją, jak otwiera w nocy kineskopowy telewizor i wkłada pakunek do środka.

Jej dom – biała kuchnia, sypialnia z żelaznym łóżkiem, dębowa biblioteczka, wanna w kształcie pytajnika i morskie widoki na ścianach – to fasada skrywająca tajemnicę.

Podobnie z ogrodem. Ogród za domem stanowi dowód jej szaleństwa. Zakopała tam skarby, idę o zakład.

Dawniej, nim wysiadło jej biodro, sadziła miętę, rozmaryn, lubczyk i tym podobne. Teraz brak jej już sił, zioła trzyma na parapecie.

W ogródku rośnie też stary kasztanowiec z dziuplą na wysokości mniej więcej dwóch metrów. Kiedyś, jak przycinałem gałęzie, utkwiła mi tam stopa.

W sezonie koszę ten ogródek, a matka pracowicie grabi trawę i liście kasztanowca. Potem pije kawę na krzesełku ogrodowym. Gdy opada kolejny liść, odkłada filiżankę na pieniek i chwyta grabie.

Trawnik był równy i czysty jak murawa na Ejsmonda.

Z pięć lat temu, czyli jeszcze przed biodrem, tuż przed Świętem Zmarłych zastałem matkę na drabinie. Jedną ręką trzymała się pnia, w drugiej dzierżyła grabie i strząsała liście z drzewa. Tak drągiem poganiała jesień.

Przez moment chciałem dzwonić do wariatkowa w Kocborowie. W końcu zapytałem ładnie, co ona, kurde, wyrabia i po co.

– Nie mam siły do tych liści – odpowiedziała z drabiny. – Pograbię i zaraz jest ich pełno tu na dole. Strząsnę je wszystkie, sprzątnę i oszczędzę sobie pracy.

Tak właśnie mówiła, przepełniona wiarą we własny rozsądek.

Wszedłem na drzewo, uważając na dziuplę, i strząsałem liście razem z nią.

Nie jestem szalony. Po prostu się bałem, że mama zleci z drabiny.

O upiorach

Wszystko zaczęło się od duchów i nowej gwiazdy.

Jan Radtke powrócił zza grobu. Jego śpiew brzmiał na roratach w kościele Najświętszej Marii Panny, gdzie nasz wójt bywał za życia. Darł się zresztą strasznie w swej szczerej pobożności. Pacjentka mamy usłyszała go wyraźnie tuż za sobą, ale ostatnia ławka w kościele była pusta.

Ludzie pytali, jak do możliwe, i w końcu doszli do wniosku, że religijny Radtke chwali Boga i na tamtym świecie. Tak sądzono, aż pewien druciarz dostrzegł bladego, wąsatego starca w oknie gabinetu zmarłego. Wywrócił się ten druciarz o własny wózek i opowiadał, że Radtke poszedł do piekła i straszy, żeby ostrzec żywych.

Gdynianie narobili w gacie z przerażenia. Jak taki dobry człowiek trafił między diabły, to co będzie z nimi, wielkimi grzesznikami?

To jeszcze nic. Mama, przejęta i zasmucona, mówi o duchu dziecka na Kamiennej Górze. Ponoć żyła tam sobie kurewka z paroletnią córką. Zajmowała jedną izbę i jak przychodził klient, marynarz czy tam ktoś, dziewczynka szła na korytarz. Miała tam czerwone krzesełko. Siadała i czekała, aż mewka dopełni swoich kurewskich zobowiązań. Ta kobieta piła i się bawiła, zaniedbała córkę i dziewczynka zmarła podczas zimy.

– Jak można tak skrzywdzić dziecko? – pyta mama.

Dziewczynka poszła w piach, kurewka do mamra, na korytarzu pozostało czerwone krzesełko.

Tu robi się cokolwiek upiornie, bo tego mebelka nie szło ruszyć. Niejeden się z nim szarpał i nic. Taka jest siła krzywdy dziecka. W styczniu pięćdziesiątego dziewiątego siłacz z tego cyrku, co czasem rozkładał się pomiędzy klubem Riviera a kościołem, przyjął zakład, że podniesie krzesełko. Przyłożył się, szarpnął, myśleli już, że ruszy. Ale on tylko wrzasnął i spadł ze schodów.

Gdy ciągnął to krzesło, poczuł trupi oddech i dwie lodowate dłonie na policzkach. Niedługo potem wyjechał z Gdyni.

– Myślę czasem o tej dziewczynce, że ona ciągle tam siedzi, zmarznięta i niewidzialna, na tym krzesełku – mówi mama. – Jak byłeś mały, to bałam się, że umrę. Ale od dawna już gwiżdżę na śmierć.

U dziadków rozdzwoniły się głuche telefony, a w piwnicy stopiła się szyba. Nikt nie wiedział, jak to możliwe, i ten gość od królików oskarżył dziadka, że ten specjalnie zniszczył okienko opalarką. Dziadek zapytał go, czy chce w mordę, i tak to się skończyło.

Szyby zresztą topniały w całej Gdyni. Łączono to z trójkątem, co zawisł na niebie. Sama matka nie ma pojęcia, co to był za trójkąt. Znaleźli się tacy, co go widzieli. Wisiał wysoko nad ulicą 10 Lutego, nieruchomy i jasny od złota. Babiny pod nim klęczały na mrozie z różańcami.

– Jak patrzysz pod słońce, czasem widzisz głupoty – dodaje mama. – Inaczej z gwiazdą, ona była prawdziwa, widziałam, to wiem.

Babcia zobaczyła ją, wracając z nocnej zmiany. Obudziła resztę rodziny. Dziadek wypadł na dwór w płaszczu narzuconym na pidżamę, a matka za nim, ostro przejęta.

Jaśniała noc. Na niebie wisiała łezka, srebrzysta jak rozpalony kamień. Nie szło od niej wzroku oderwać. Babcia zastanawiała się głośno, czy patrzą na jedno z tych dzikich ciał niebieskich, co się zerwały ze sznurka i gnają na oślep przez bezkresny kosmos. Dziadek obok tupał z zimna.

Należał do tych, co patrzą pod nogi i wolą nie zadzierać głowy.

– Policzyłaś wszystkie gwiazdy na niebie? – zapytał. – Jak nie, to skąd wiesz, że przegapiłaś tę jedyną?

O kłótni

Rodzice w kółko żarli się i godzili. Matka twierdzi, że kłótnie są dobre i zdrowe. Człowiek zrzuca ciężar z wątroby i zaraz mu lepiej. Nasze emocje bywają większe niż my sami. Ciekawe, bo z mamą żyliśmy zgodnie, z jednym tylko wyjątkiem.

Gdy kończyłem podstawówkę, matka wymyśliła sobie, że pójdę do ogólniaka imienia Marynarki Wojennej. To dobra szkoła. Łatwiej potem zdać na studia. Nigdy nie powiedziała tego wprost, ale chciała, bym też został dentystą i przejął jej gabinet.

Odparłem, że idę do zawodówki gastronomicznej na Morską i zdania nie zmienię. Wbiła we mnie wzrok jak w lustro.

Oczekiwałem czegoś w stylu: „Jasne, synku, zrób, jak uważasz”. Mama była najbardziej otwartą osobą, jaką znałem.

Ona tymczasem popatrzyła na mnie tymi swoimi wężowymi oczami i rzuciła tylko:

– W życiu.

Próbowałem ją przekonać, ale stwierdziła, że w zawodówce się zmarnuję, a muszę sprostać wyzwaniom stawianym przez własny potencjał. I że dostanę w dupę, do emerytury smażąc ryby dla turystów. Przypomniała, ile mam lat. Czternastolatek nie będzie decydował o własnej przyszłości, tak właśnie powiedziała.

– Taa, lepiej, żeby ktoś decydował za niego.

No to usłyszałem, że jestem głupi i trochę minie, nim nauczę się życia.

Może i gówno wiem o życiu, znam za to swoje jedyne marzenie. Tak odpowiedziałem. Chcę gotować. O niczym innym nie myślę, tylko o pizzy i szaszłykach z boczkiem. Pizzę mało kto wtedy robił, tak swoją drogą. Podsumowała:

– Nic tylko byś żarł.

Na koniec stwierdziła, żebym szedł do normalnej szkoły i gotował po lekcjach, kupi porządne garnki, skoro mi tak zależy.

Poradziłem jej na to, żeby pocałowała mnie w dupę.

Zerwała się z krzesła, żeby dać mi w pysk, i zastygła z uniesioną dłonią. Stałem sztywno, z piętami wkręconymi w podłogę. Syn naprzeciw matki. Kłótnia dobiegła końca. Złożyłem papiery na Morską. Zostałem przyjęty.

Mama dorzuciła się do Fernanda, chciałem uzbierać pieniądze, ale sobie nie poradziłem.

Na otwarcie wparowała w zielonej sukni i wielkim kapeluszu. Wsuwała antrykot, aż jej się kolczyki trzęsły. Zwiedziła zaplecze, obejrzała lodówki, krany, stoły, wielki gar z pomidorówką i deskę z przypiętymi pierwszymi zamówieniami, wreszcie zawiało ją do magazynu, skąd wyniosła flachę wina. Stuknęliśmy się. Usłyszałem:

– Dustin, miałeś rację, a ja byłam głupia.

Jeśli chodzi o ojca, najczęściej wściekała się o te buty, o czym jeszcze napiszę, lecz irytował ją też sposób, w jaki stary gasił szlugi. Normalny człowiek po prostu dusi kiepa, on musiał inaczej.

Najpierw wykruszał żar do popielniczki. Obok strząsał ocalały tytoń. Wreszcie odkładał nadpalony ogryzek bibułki. Wszystko to robił bardzo

powoli. Mama wywracała oczami i starała się nie zwracać mu uwagi. Złościła się, jak ojciec wyjeżdżał do Leningradu bądź marudził na okręcie.

Tej nocy, kiedy Amerykaniec spadł z nieba, bardzo się pokłócili.

Zastępca wydzwonił starego w Grand Hotelu. Tatko oznajmił mamie, że musi wracać na okręt, bo radar zwariował i pokazuje samoloty latające w najróżniejszych kierunkach. Nie uwierzyła i uznała, że ojciec po prostu ma jej dosyć. Nazwała go egoistycznym mopsem, który traktuje ją jak przedmiot.

– Przedmioty nie wrzeszczą – odparował mój stary.

Nagle w pokoju zgasło światło. Na korytarzu też panowała ciemność, ktoś tłukł w drzwi windy, burza waliła w okna Grand Hotelu.

Rodzice siedzieli na łóżku, przy zapalniczce, i trzymali się za ręce.

– Tak było między nami – wspomina. – Te kłótnie brały się stąd, że tęskniłam za Kolą i zawsze było mi go mało. Więc jak oznajmił, że musi wracać, to nie wytrzymałam. Powiem ci też, że jak padła ta elektryczność, to cieszyłam się, bo myślałam, że Kola zostanie ze mną.

Gdzie tam. Po kwadransie włączyli światła. Stary powiedział mamie, że z rana przyjedzie po nią Płaton, i popędził na okręt.

O niszczycielu

Radar na okręcie rzeczywiście zwariował. Pokazał eskadrę nieznanych samolotów pędzących z północy i wkrótce potem padł.

Stary zadzwonił do komendy portu i tam mu powiedzieli, że ich radary niczego nie pokazują. Może ten na okręcie oszalał przez burzę? Ojciec przeszedł nad tym do porządku dziennego. Jego zdaniem niszczyciel był do dupy, ciągle coś tam się psuło. Na przykład armaty zacierały się, więc ojciec wysyłał żołnierzy, żeby kręcili nimi aż do znudzenia.

Dowodził jednostką typu „Śmiałek”, skierowaną do zwalczania lotnictwa i okrętów podwodnych. Stąd te armaty i pięciorurowe aparaty torpedowe. Osiem takich okrętów sprzedano Indonezji, co tłumaczy obecność taty w Gdyni. Wszystkie już dawno poszły na żyletki.

Na razie przy okręcie warował Jedunow. Przyszedł na dzień przed Amerykańcem i pewno wiedział, że coś się szykuje. Stary chciał go wyrzucić za burtę i powinien to zrobić, tak przynajmniej twierdzi mama.

W zamian tatko pomyślał chwilę i wepchnął Jedunowa w ramiona zastępcy do spraw politycznych. Na każdym okręcie mieli kogoś takiego.

W tym wypadku mowa o starym wilku morskim, który stracił serce do otwartych wód i żeglował wyłącznie w alkoholu. Dogadali się migiem. Potem stary wypytał go, czego właściwie szukał Jedunow. Zastępca odparł tylko, że to straszny, lecz bardzo miły człowiek.

Stary szkolił Indonezyjczyków i siedział w papierach, na tym właśnie polegało dowodzenie. Tłumaczył tym chłopom z drugiego końca świata zasady rozpoznania szlaków komunikacyjnych i klarował, co należy zrobić w wypadku ataku bronią masowego rażenia. Ale przeważnie zatwierdzał przepustki i zmianę warty u oficera wachtowego, biedził się z dziennikiem szkolenia bojowego, odbierał protokoły od dowódców działów i robił inne równie fascynujące rzeczy. Do tego opisywał szczegółowo każdy rejs. Kupa czasu na to schodziła, kosztem miłości.

Niszczyciel nie pływa, lecz wychodzi w rejs, tłumaczy mama, przywołując figurę ojca nad stolikiem w kajucie, obłożonego przez wieczne pióra, kartki na brudno i wymazywacz do atramentu. *Komandowanije eto gramm pławanija da tonna pisanija*, powtarzał, nalewając sobie wódki.

Tatko rekompensował sobie te trudy, wchodząc do portu na pełnym silniku, co było surowo zabronione. Łamał regulamin, bo czuł, że wtedy naprawdę żyje.

Mama malowniczo kreśli obraz tego długiego, sinego okrętu, jak sunie przed siebie w donośnym ryku turbin. Dziób kroi wodę, wzbudzając podwójny wachlarz piany, mokry pokład lśni, kotłują się marynarze, a mój stary, ten olbrzym, tkwi na dziobie, nieruchomy i nieusuwalny jak część tego monstrualnego urządzenia, z papierosem między kciukiem i palcem wskazującym, podpiera się po kowbojsku, a w oczach jaśnieją mu miedziane iskry.

Pytam, czy kiedykolwiek była na tym okręcie. Otóż nie. W takim razie jak zobaczyła te jego oczy, kiepa i marynarzy na pokładzie?

– To bez znaczenia, ty synku głupi jesteś – odpowiada.

Taki właśnie mamy pożytek z jej historii.

O świetle

Burza ucichła. Radar naprawili przed szóstą rano i stary szykował się do snu. Zasypiał momentalnie, w każdej sytuacji. Tak jak ja do niedawna.

Ledwo zamknął oczy, a już Płaton walił w drzwi kajuty, krzycząc, że niebem wstrząsają okropności. Dostrzegł, hen tam, kulę światła. Lśniła na pomarańczowo, spowita różowawą mgłą.

Płaton, jak doszedł do siebie, utrzymywał, że nie była to taka całkiem kula, lecz spłaszczony trójkąt, jak zwał, tak zwał, w każdym razie obiekt sfrunął z wysokości, zatrzymał się nad miastem, wystrzelił ku zatoce, gdzie zakreślił okrąg, i pomknął w stronę nabrzeża. Płaton w życiu nie widział takiej zwrotności i przyśpieszenia, więc obudził starego. Ten wybiegł na pokład wkurwiony, że marynarze robią sobie jaja.

Otóż nie. Stali, zadzierając głowy ku upiornie różowemu niebu, szeptali modlitwy, żegnali się, choć nawet chrzczeni nie byli, a i stary przypomniał sobie popa z cerkwi w Kowalowie.

Na niebie dostrzegł ognistą kulę większą niż Księżyc, przynajmniej tak twierdzi mama, i dodaje, że ojciec w tej trudnej chwili myślał tylko o niej.

Sądził, że wojna wybuchła i zaraz zginie, daleko od ukochanej.

Byłby pierwszym, który na tej wojnie poległ, głupio tak, swoją drogą.

Kula rosła w oczach i nagle runęła, niemal pionowo, wciąż ogarnięta przez płomienie, w ryku rozrywanej stali, z gwizdem, prosto w kipiel parującej zatoki. Marynarze klęczeli albo pędzili do dział. Naprawdę sądzili, że ktoś ich ostrzeliwuje.

Stary dla odmiany doszedł do wniosku, że spadł satelita. Zadzwonił do dowództwa w Kaliningradzie, zgarnął Płatona i motorówką popędzili na miejsce upadku. Towarzyszył im drugi marynarz, Kirył.

Kirył, wedle słów mamy, należał do tych chłopaków, co idą do wojska, żeby zmężnieć, i rozczarowują się srodze. Miał miłą twarz ze zrośniętymi brwiami i pięknie grał na akordeonie, zwłaszcza gdy obok czekały samogon i słonina.

Droga z Portu Wojennego na Nabrzeże Polskie zajmuje parę minut. Dął lodowaty wiatr. Sterował Płaton, przejęty Kirył tłumaczył mu, gdzie płynąć,

a stary dochodził do ładu z tymi dwoma. W basenie cywilnym numer cztery czekały bulgocząca woda i elektryczny blask.

Na pokładzie statku „Jarosław Dąbrowski” miotał się jakiś doker, ktoś stał przy brzegu, poza tym – nikogo.

Stary przejął stery i pożeglował ku światłu, prosto w obłoki pary. Zgasił silnik i wyszedł na pokład. Kirył z Płatonem już patrzyli za burtę, w szkarłatny wir.

Tonący obiekt okazał się walcem długim na cztery metry, szerokim może na dwa. Wykonano go zdaniem ojca z czegoś, co wyglądało na folię szklaną. Wewnątrz chlupotała gęsta ciecz i to ona tak świeciła. Przejęty Płaton rozpoznał w niej iperyt, zapowiedź rychłej śmierci. Stary ocenił, że to raczej zbiornik paliwowy zerwany ze sputnika. Wysłał chłopaków pod pokład po haki i liny, żeby wyłowili beczkę, ale ta przygasła i poszła na dno.

Woda uspokoiła się, czerwony blask zniknął.

Stary wkrótce pożałował, że w ogóle tam popłynął.

Na razie, o świcie, na tej motorówce nie bardzo wiedział, co zrobić. Na chuj mu jakiś zbiornik paliwowy?

W basenie pojawiły się dwie motorówki polskiej marynarki wojennej i statek ratowniczy „Feliks Dzierżyński”, na nabrzeżu zaparkował moskwicz i gazik z karabinem maszynowym, więc ojciec uznał, że nic tam po nim. Wymienił parę słów z polskim oficerem na motorówce i odpłynął.

Mama twierdzi, że ta rozmowa miała poważne konsekwencje.

Motorówkę taty, pod banderą Floty Bałtyckiej, widzieli ci z gazika i „Feliksa Dzierżyńskiego”, co również wieszczyło kłopoty.

Tatko spieszył się na podniesienie bandery punkt ósma. Gdyby nie wrócił, jego ludzie uznaliby, że zdarzyło się coś złego i narobili głupot.

– Beczki lecą z nieba, ale rozkład dnia jest święty – tłumaczy matka. – Twój tato powtarzał: *W etom raznica mieżdu wojennym czełowiekom i niegodiajem.*

Sama dała łapówkę, żebym nie szedł w kamasze, ale co ja tam wiem.

Przemarznięty i skołowany stary stanął na tym podniesieniu bandery i głowił się, co właściwie zaszło. Załoga patrzyła tylko na niego. W końcu flaga wjechała na maszt, zagrał gwizdek bosmański i tatko wrócił do kajuty, gdzie znów się napił i próbował zasnąć.

Przeleżał może kwadrans, na pewno nie dłużej.

Potem zawołał z koi te dwa zmarznięte psy, Płatona z Kiryłem, i powiedział, że ta sprawa nie daje mu spokoju.

O Amerykańcu

Tak zwanego Amerykańca znaleźli na plaży przy Kępie Redłowskiej. Pełzł przez lodowaty piach.

Stary uznał, że katapultował się z satelity – takie mniej więcej miał pojęcie o kosmonautyce.

Ale po kolei. Tato zostawił okręt zastępcy. Razem z Płatonem i Kiryłem władowali się do gazika i popędzili na zwiad do miasta. Nie bardzo tak mogli, dodaje mama, i wyraża nieśmiałą tęsknotę za ojcowską brawurą.

Na moje, stary łamał prawo, kiedy tylko mu pasowało. Przecież zdaniem mamy powtarzał, że jak człowiek słyszy wołanie, to nic nie zrobi, musi odpowiedzieć czynem na ten zew.

Więc pognali na Grabówek, potem w stronę cmentarza u nas, na Witominie, i obrali kurs ku centrum miasta. Przepytali taksówkarzy pod dworcem i jeden z nich przyznał, że widział dzwon na niebie, złoty i obsypany snopami iskier. Wisiał nad domem „Opolanka” przez dobrą minutę, zżarł trzy mewy i zniknął.

Pod sklepem radiowym spotkali staruszkę. W ogóle nie bała się Ruskich. Szarpała Płatona za guziki i wyglądała, jakby bomba właśnie rozerwała jej najbliższych.

Miała wilczura imieniem Liliput i ten wilczur zniknął. Nie że uciekł, po prostu szedł przy niej i nagle wyparował. To pewno przez hitlerowców, co produkowali magiczną broń w bunkrach Chyloni. Tak mówiła i podtykała ojcu spaloną smycz na dowód. Płaton w międzyczasie pokazywał palcem na niebo.

Stary rzekł, że zrobi, co może, i pojechali. Za kortami wtoczyli się na dziką, leśną drogę. Po lewej ciągnęła się plaża. Sieci rybackie wchodziły w stalową wodę. Łódki leżały dnem do góry.

Płaton krzyknął, żeby stanąć, i wypruł z gazika.

Po plaży biegał Liliput, cały i zdrowy, z obrożą na szyi. Obaj z Kiryłem planowali pochwycić wilczura. Stary poszedł za nimi i wtedy go zobaczył.

Amerykaniec nie potrafił wstać ani nawet unieść głowy, po prostu pełzł wzdłuż brzegu. Nie miał kurtki ani butów, tylko jednoczęściowy kostium

pilota, przynajmniej tak zdaniem mamy utrzymywał mój niezorientowany ojciec.

Kostium był giętki, miękki i błyszczący. W dotyku przypominał metal. Stary w życiu nie widział niczego podobnego, twierdzi mama, bardzo przejęta. Nadgarstek Amerykańca zdobiła błękitna bransoleta.

Kirył z Płatonem zanieśli chłopa do gazika. Tam stary spróbował się z nim dogadać, bo znał odrobinę angielski. Pytał, co zaszło, czego facetowi trzeba, no i, co najważniejsze, czy ktoś jeszcze mógł przeżyć katastrofę. Drugi pilot też skoczył?

Równie dobrze mógłby gadać do wiadra.

Kirył pobiegł do Domu Marynarza po pomoc, a stary długo szukał pulsu rozbitka. Bał się, że ten wykorkuje i będzie z tego skandal międzynarodowy. W końcu wyczuł na szyi słabe tętno.

Ułożyli Amerykańca na tylnym siedzeniu. Płaton chciał mu porozcierać kończyny, ale ojciec mu zabronił. Plecy i uda obłożyli biedaczynie kocami ze schowków, wcisnęli też uszatkę Płatona na ogromny łeb.

Podsunęli herbatę, wódkę. Amerykaniec nie chciał pić.

Starszy marynarz Kirył próżno dobijał się do Domu Marynarza i ojciec doszedł do wniosku, że nie ma co czekać. Posadził Płatona za kółkiem i kazał jechać do Oliwy, do Szpitala Marynarki Wojennej.

Rozbitek chwycił przegub ojca i nie chciał puścić.

Jego dłoń liczyła sześć palców.

Mierzył może metr czterdzieści, miał niekształtny, jajowaty łeb i ogromne, całkiem czarne, nieruchome oczy. Pozbawiony nosa, łapał powietrze w wąskie usta bez zębów i warg.

Mama mówi to wszystko jakby nigdy nic, a ja słucham z otwartym pyskiem. Oszalała. Moją starą pojebało do szczętu.

– Twój tato naciągnął biedakowi uszatkę głębiej na głowę i ruszyli. A za gazikiem pognał Liliput.

O czarnym spojrzeniu

Przerywam w końcu mamie, próbuję się zorientować, co o tym naprawdę sądzi. Drwi ze mnie, rzeczywiście oszalała albo coś knuje. Naprawdę wierzy, że na plażę zleciał jakiś dziwny Amerykanin, i to z satelity?

Mama prosi o cierpliwość, obiecuje, że wszystkiego się dowiem, bo ona też długo nie wiedziała, co zrobić z tą historią. Jak gdyby nigdy nic idzie do kuchni, krząta się chwilę i po paru minutach podsuwa mi pod nos kanapki z twarożkiem, szczypiorkiem i grubym plastrem wędliny.

Martwi się, bo jem głównie kubełki z KFC, hot dogi z Żabki i śledzie, no i nie sypiam. Wyraża tę troskę i wraca do ojca.

Rozumiem coraz lepiej, że w tej historii liczy się tylko stary, te Płatony, dziadkowie i ufoki wirują wokół niego jak wokół otłuszczonej gwiazdy, łowiąc okruchy blasku.

No ale pytam, czy stary wierzył, że to naprawdę Amerykanin. Otóż tak, bez żadnych wątpliwości, choć nie był wtedy jeszcze w Stanach.

– Kola wspominał kolegę z Leningradu, co miał siedem palców u każdej stopy – opowiada mama i nadgryza swoją jedyną kanapeczkę. – Żył zresztą z nich, pokazywał je za pieniądze i wódkę. Stopy tego chłopca przypominały kacze płetwy, więc szyli mu buty na miarę. Przyszła wojna, ktoś ukradł te buty, szewc padł od kuli, jak to w życiu, więc kolega taty obwiązywał stopy szmatami, ale i tak mu odmarzły, trzeba było uciąć. Stracił zdolność chodzenia i źródło zarobku. Jeździł na wózku i mówił, że miał najbardziej niezwykłe stopy w całej Rosji, tylko zabrał mu je Hitler i mróz.

Z tej opowieści wynika mniej więcej tyle, że życie jest gówno warte, a stary niczemu się nie dziwił i naprawdę wierzył, że pod nosem rozbił mu się kosmonauta z Ameryki.

Dlatego się nim zajął, bo co z tego, że wróg, imperialista? Żołnierz pomaga żołnierzowi. Zresztą śmierć, mówi mama, bardzo zbliża ludzi.

Na miejsce zajechali koło dziesiątej rano. Szpital Marynarki Wojennej mieści się w dwupiętrowym budynku na górce, otoczony przez drzewa, łysą łąkę i poniemieckie wille dostosowane do potrzeb placówki. Wartownik przy bramce zobaczył czarny mundur taty i zaraz ich wpuścił.

Kirył z Płatonem zostali w gaziku. Ojciec wezwał komendanta szpitala, lekarzy, sanitariuszy i kogo jeszcze tam mieli. Powiedział, że przywiózł ofiarę wypadku lotniczego z obcego państwa, trzeba się nią natychmiast zająć.

Wkrótce przyszli doktor z kozią bródką i w kitlu narzuconym na mundur oraz dwa patałachy z noszami. Amerykaniec tymczasem doszedł trochę do siebie i nawet próbował siadać.

Jeden z sanitariuszy twierdził, że to żaden Amerykanin, tylko Mongoł, pełno widział takich podczas wymiany międzynarodowej w Ułan Bator.

Drugi dopatrzył się w nim Brytyjczyka ze względu na kolor munduru, a stary poganiał ich wszystkich, bo trzeba ratować życie.

– Tak właśnie mogłyby wyglądać zaświaty dla twojego ojca – mówi mama i układa swój pusty talerzyk na moim. – Stałby sobie w paradnym mundurze, ściskał szklankę i wrzeszczał przez całą wieczność.

Amerykańca wzięli do sali operacyjnej, stary został na korytarzu. Przynieśli mu kawę. Tak go sobie wyobrażam: siorbał, palił, wodził wzrokiem po ścianach gęstych od kabli i strzykał śliną w blaszane spluwaczki.

Ludzie zlatywali się, jakby kto lał wódkę za darmo. Technicy medyczni, piguły, sanitariusze znikali w sali operacyjnej. W końcu przyszło dwóch tajniaków, jeden w kitlu, drugi z aparatem fotograficznym, i stary nie zdzierżył.

– Między korytarzem a salą operacyjną znajdowała się przebieralnia, w niej strażnicy pod bronią. Odmówili Koli wstępu, więc wszedł razem z drzwiami – dodaje mama.

Amerykaniec, wciąż przytomny, dygotał pod brudnym prześcieradłem i wielką lampą w kształcie spodka, a ludzi wokół, tych trupojadów, było tylu, że stary przesunął tajniaka z aparatem fotograficznym, żeby się dopchać. Pielęgniarki szeptały między sobą. Znad masek błyskały przejęte spojrzenia. Srebrne butle z tlenem ustawione po kątach przypominały bomby.

Na widok ojca Amerykaniec z trudem obrócił głowę, tymczasem lekarz z bródką i reszta brali go w obroty. Próbowali zdjąć mu ten dziwny strój, jeden podważał, drugi ciął skalpelem i w końcu odsłonili kawałek piersi.

Tam skóra była mniej szara, a bardziej błękitna.

Ojciec mówił mamie, że Amerykaniec patrzył tylko na niego, stary czuł ten wzrok, choć oczy tamtego były czarne jak perła. Odbijały się w nich kleszcze chirurgiczne, nożyce i broda doktora.

Tajniak robił zdjęcia. Jego kumpel gdzieś pobiegł, najpewniej zadzwonić.

Doktor podważył palcem bransoletę na przegubie Amerykańca i sięgnął po skalpel. Wtedy w starym odezwał się żołnierz, co widział niejedno umieranie, przynajmniej tak twierdzi mama, dość powiedzieć, że aż w nim wyło, żeby nie ruszali tej bransoletki.

Krzyknął na lekarza, ale ten nie słuchał. Spróbował wyrwać mu skalpel i nawet wskoczył na stół, lecz doktor wykonał cięcie, bransoleta spadła na ziemię.

Amerykańcem zatrzęsło, ściągnął usta, drobne stopy kopały prześcieradło.

– Tamci rzucili się na ratunek. Kola chciał ich rozgonić, bo było już za późno – wspomina mama i dodaje z żalem: – Umieramy tak samo, pod swoją albo obcą gwiazdą.

Doktor naciskał rytmicznie błękitną pierś, piguła podłączała tlen, a mój stary ukląkł przy konającym, tak aby ich twarze znalazły się naprzeciw siebie, i ujął szarą rękę. Amerykaniec wzmocnił uścisk. Słabnący oddech pachniał strachem i popiołem.

Tamci ludzie, doktor, strażnicy z tajniakiem próbowali odciągnąć ojca, więc stary wyszarpnął spluwę i ciągle klęcząc, zagroził, że wara od człowieka, bo pozabija.

Amerykaniec nie potrzebował już lekarza, tylko kogoś, kto potrzyma go za rękę. Patrzyli na siebie, aż czarne oczy zmatowiały, uścisk zwiotczał.

Martwy lotnik był kruchy jak złudzenie.

Stary schował pistolet, otrzepał spodnie, opierdolił doktora i wyszedł z sali operacyjnej. Potem opowiadał, że zrobił wielki błąd, powinien zabrać ze sobą tego trupa.

Albo chociaż bransoletę.

O ironii losu

Z zamyślenia wyrywa mnie Klara pytaniem, czy upadłem na głowę.

Jej zdaniem zawsze jak wracam od starej, to siedzę do rana, wypalam paczkę chesterfieldów i zjadam pół kilo śledzi. Na dowód pokazuje pusty słoik i zwraca uwagę, że wpieprzyłem nawet cebulę.

Zaparza w dzbanku herbatę, nalewa i stawia ją na podgrzewaczu, podsuwa mi parujący kubek pod nos, do tego magnez, potas, witaminy, szklanka wody. Patrzy, jak przełykam.

Pyta, co mnie tak frapuje. Najpierw się bronię i streszczam, co usłyszałem: ogień na niebie, katastrofę, Amerykańca, szpital i śmierć, starego w tym bałaganie. Wypalamy przy tym chesterfielda na spółkę, różowieje noc nad Witominem. Mija chwila, nim Klara ułoży sobie w głowie, co usłyszała.

– To bardzo smutne – rechocze i krztusi się dymem. – Powiedz mi, czy dobrze rozumuję: ten Amerykaniec, jak mówi Hela, przyfrunął tutaj

z jakiejś innej planety, z Marsa, Syriusza czy skądś tam?

Potwierdzam z braku lepszego pomysłu, a Klara rozumuje dalej:

– Pewno na tym Marsie wybierali go tak, jak my wybieramy naszych kosmonautów, z dziesiątków tysięcy kandydatów. Był najlepszy z najlepszych. Potem przeszedł wieloletnie szkolenie i wsiadł do nowoczesnej, bardzo drogiej rakiety. Nad całym lotem czuwały największe umysły Marsa, a cała zabawa kosztowała tyle, ile budżet małego państwa, dobrze mówię?

No jasne, że tak, kochanie. Słucham jej, trochę zachwycony i bardzo zły, bo chcę pisać, muszę skończyć, nim zasnę, jeszcze tyle tego.

– Ten dzielny pilot w piekielnie drogiej rakiecie przeleciał przez kosmos. Mijał mgławice i gwiazdozbiory, ścigał się z kometami i unikał meteorów. – Klara rozkręca się, zmierzając ku puencie. – A kiedy w końcu, po tym wielkim wysiłku własnym i marsjańskiego narodu, wylądował, natychmiast zabili go lekarze w Polsce. Dobrze mówię?

O trzech powodach

Zdaniem Klary matka zmienia się z uroczej wariatki w rąbniętą staruchę.

Prosi, żebym kochał matkę mądrzej niż dotąd.

Nie wiem, na czym polega takie mądre kochanie, zapytałbym nawet, poprosiłbym, żeby mi pokazała, skoro jestem taki głupi. Milczę, bo znam powody, dla których żona tak mówi.

Dziewczyny miały piękny początek, potem wszystko się spierdoliło.

Klara poznała matkę i zakochała się w niej na zabój, wolała spędzać czas z nią niż ze mną.

Jej rodzice mozolnie pchali kulkę gnoju zwaną życiem, matka tymczasem ciągnęła do Warszawy i Berlina, chciała gadać o muzyce, filmach i facetach, pytała nawet, jaki jestem w te klocki, fundnęła kolorową balangę po naszym ślubie, choć wolałbym forsę do kieszeni.

Ja byłem bardzo dumny, w sumie dalej jestem, i nie prosiłem mamy o pomoc, ta trzymała z Klarą i ciągnęła ją za język, czy czegoś nie potrzebujemy. Żona zaprzeczała, więc matka fundowała nam wakacje, a żonie prezenty, ciągała ją po Gdyni, jakby chciała wepchać jej do głowy swoje kochane miasto, no i pilnowała, czy wciąż się kochamy, bo ma na moim punkcie pierdolca. Klara przez lata siedziała u niej, piły sobie z dziubków, a ja, jak przychodziłem, zastawałem je na tarasie, nad popielniczką, gdzie

piętrzyły się niedopałki ze śladami dwóch różnych szminek. Podrywały się, trzepocząc ramionami – dwie zakochane w sobie sowy.

Potem nastał Olaf i wszystko się spieprzyło. Dzieci wymagają cierpliwości i rozsądku, a matka to diabeł tasmański, brak jej jednego i drugiego.

Najpierw zgubiła czteroletniego Olafa na Witominie. Bawili się w wilkołaki. Prosiłem, żeby tego nie robiła.

Mały przepadł na prawie cztery godziny, w czasie których obdzwoniliśmy wszystkie komisariaty, szpitale, Morską Służbę Poszukiwania i Ratownictwa, pobiegłem pod przedszkole i nasz stary żłobek, a Klara, dosłownie oszalała ze strachu, brodziła w zbiorniku retencyjnym za pływalnią. Był jakoś tak kwiecień i Olaf w końcu się znalazł, zresztą tuż przy tym zbiorniku, chrapał w krzakach przy drodze na Kacze Łęgi, schował się tam i znudzony usnął.

Mama udawała, że sprawy w ogóle nie ma. Przecież ja jako dzieciak biegałem sam od rana do wieczora, z kluczem na szyi, a ona łaziła po spalonych czołgach i transporterach opancerzonych, co zostały po wojnie, po dachach Pagedu i po piwnicach. Nikomu nigdy nie stała się krzywda, poza tym Olaf się znalazł. Klara przerwała jej krótkim:

– Mogłabyś się przynajmniej nie tłumaczyć.

Nie rozmawiały przez rok.

Olaf mógł odwiedzać matkę tylko ze mną. (Teraz jest jeszcze gorzej, bo w ogóle nie może przychodzić). Zamykali się wtedy w łazience, gdzie przy latarce opowiadali sobie straszne historie, urządzali też bitwy morskie, podpalając w wannie papierowe okręty. Czas zrobił swoje. Klara odpuściła. Do dziś twierdzi, że tego żałuje.

Pal sześć, że matka wpychała w to dziecko czekoladki i żelki i woziła do Maca, gdzie Olaf nabierał lody frytkami – przecież co druga babcia tak robi. Ale nie co druga babcia zabiera wnuczka na strzelnicę, wpycha glocka w małe dłonie, do tego klaruje, że trafianie do ruchomego celu kiedyś bardzo mu się przyda. Dobrze wiem, co działo się na tej strzelnicy, mnie też tam zabierała.

Olaf był zachwycony i chciał tam wracać, nagadał w szkole, że pozwalamy mu się bawić bronią, że zostanie komandosem i będzie zabijał ludzi za wielkie pieniądze.

Klara jakoś to przełknęła.

Wściekła się dopiero o Bornholm.

Matka chętnie zabiera Olafa na wycieczki, byli w Legolandzie i Ogrodach Tivoli w Kopenhadze.

A na ten Bornholm wzięła go, nie mówiąc ani słowa. Mieli spędzić ze sobą sobotę i to wszystko, ona tymczasem zadzwoniła jak gdyby nigdy nic, że świetnie bawią się w Rønne. Klara się wściekła, ja tłumaczyłem, że to nawet dobrze, Olaf poznaje świat z babcią, my nie mamy czasu, zatyrani jesteśmy.

Mama wzięła go na rejs wokół wyspy, nie zmieniła mu mokrych skarpetek ani spodni. Olaf wrócił przejęty i szczęśliwy, ale zaraz zaczął gorączkować i paskudnie kaszleć, dostał zapalenia płuc, i to takiego, że dusił się, gdy pędziliśmy do szpitala.

Klara powiedziała matce, że nie wpuści jej do niego, będzie czuwać przy synu od rana do nocy, jeśli zajdzie taka konieczność, w ogóle Olaf jest dla niej stracony, dwa razy omal go nie zabiła, trzeciej szansy nie będzie, może go widywać u nas w domu, raz w miesiącu, jeśli koniecznie musi. Pożarły się wtedy strasznie. Zdaniem matki dzieci po prostu chorują i nie ma co wydziwiać, Klara kazała jej zjeżdżać, odpieprz się od naszej rodziny, powiedziała, tak sobie pogadały i nie gadają do dziś.

O pomieszaniu mowy

Tatko przeżywał bliskie spotkania trzeciego stopnia, a mama szalała ze złości.

Z Grand Hotelu miał ją odebrać Płaton, ale nie przyjechał. Próżno wydzwaniała ojca z recepcji, w końcu spakowała rzeczy i pojechała prosto na praktyki, gdzie czekał nieszczęśliwy Zorro.

Jak nie on, wpychał się pierwszy, maskę miał krzywo, płaszcz niedbale zarzucony na ramiona, a w czarnej rękawicy ściskał jajko na twardo. Ponoć czekał od szóstej na mrozie. Mama zaraz zaciągnęła go do gabinetu.

Tam pokazał jajko, a w nim trzy poczerniałe siekacze. Pod wąsem lśniły dziąsła, nagie jak płat gotowanej wołowiny.

Przerażony Zorro wyjawił, że zrobił sobie eleganckie śniadanie. Przy pierwszym gryzie siekacze utkwiły mu w jajku, a reszta zębów zadzwoniła o talerz jak w złym śnie albo Piśmie Świętym. Przepadły nawet te, co mu je mama naprawiła. Zorro nie mógł pojąć, co zaszło, zwłaszcza że już o te zęby dbał i codziennie płukał usta octem.

Matka nie rozgryzła tej tajemnicy, więc obiecała protezy po taniości.

W tym czasie na Pagedzie panował zamęt.

Zegary zaczęły chodzić do tyłu i dziadek głowił się, co z tym począć. Stawał na stołku i wolno przesuwał wskazówki. Próżny trud. Zerkał na swojego poljota i maminą sławę, ale one też obrały kurs wstecz. Zrozumiałby, gdyby jeden tak się odkręcił, ale wszystkie? Poprosił babcię, żeby napisała pismo do prasy, może tam coś poradzą.

Babcia w tym czasie miała inny kłopot. Przepadła jej ukochana szczotka do włosów, jeszcze przedwojenna, dosłownie wyrwana z hitlerowskiej zawieruchy. Dziadek rozczesał włosy babci przed snem, położył szczotkę na stoliku przy łóżku, jak zawsze zresztą. A rano jej nie było.

Babcia przetrząsała szafy, gotowa rwać nierozczesane włosy z głowy, jak również klepki podłogowe. Dziadek przysięgał, że jutro pójdzie do domu towarowego na Jana z Kolna i wróci z nową szczotką. Babcia go ofuknęła:

– Głupi jesteś, nikt nam nic nie sprzeda!

Wracając z praktyk, matka natknęła się na zbiegowisko. Pod blokiem stał ten gość od królików w towarzystwie sąsiadów i oszołomionej żony. Przemawiał po francusku, jakby przyjechał wprost znad Sekwany. Ukończył cztery klasy podstawówki i najdalej był w Sztumie, gdzie garował za kradzież rozbójniczą, mówił jednak płynnie i pięknie, upajając się rytmem słów, niemal jak generał de Gaulle w oswobodzonym Paryżu. Zagadany o tę nową umiejętność, przysięgał, że nigdy nie uczył się francuskiego i w życiu nie spotkał Francuza. Po prostu zbudził się i gadał jak Molier. Rozważał w związku z tym karierę nauczyciela albo nawet w dyplomacji.

Ludzie mieli na Pagedzie różne zdanie na ten temat. Część sąsiadów trwała w zachwycie. Nikt tam nie mówił po francusku, więc padł pomysł ściągnięcia kogoś z konsulatu. W ten sposób stwierdziliby, czy ten od królików w ogóle mówi z sensem. Dziadek twierdził, że to diabeł przemawia przez chłopa. Po sąsiedzie spodziewał się wszystkiego, co najgorsze.

Żona poligloty prosiła, żeby przestał się wygłupiać. Jej zdaniem nauczył się francuskiego po kryjomu, z czystej złośliwości. Przysięgała, że zachomikował w domu słownik albo jakiegoś przeklętego Diderota.

– Następnego dnia wszystko się naprostowało – opowiada mama. – Zegary chodziły już normalnie. Szczotka wróciła na nocny stolik. Ten od

królików znowu mamrotał po naszemu. Tylko biednemu Zorro zęby nie odrosły.

O zamkniętej bramie

Wieczorem tego samego dnia ojciec wrócił do szpitala w Oliwie. Stwierdził, że nie może inaczej. Po drodze kłócił się z Płatonem, który chętnie uniknąłby awantury z imperialistycznym pilotem w roli głównej. Kto wie, może sanitariusz miał rację i to był Mongoł?

Stary machnął ręką na tę gadaninę i kazał patrzyć na drogę.

Pytam matki, po co tam wrócił, ale mama milczy. Mówi tylko, że na upór ojca nie było żadnej siły. Zawsze wiedział lepiej i z tą swoją wiedzą odszedł z tego świata.

Dopytuję, jak umarł, i słyszę, że jego historię muszę usłyszeć we właściwym porządku. Najwyraźniej mama bardzo chce mnie regularnie widywać. I tak bym przecież przychodził, przychodzę co wtorek. Wściekam się, bo coś mi mówi, że nie poznam prawdy, stara wariatka bredzi.

Klara znajduje powód dla tej bajdy. Uważa, że jakiś Rusek puknął matkę dawno temu, potem puścił w trąbę i oto jestem. Na stare lata wspomnienia wróciły i mama fantazjuje, żeby zabić nędzę porzucenia. Ono, to porzucenie, słabo licuje z jej dumą i pięknem.

Wychowywała mnie w pogardzie i upokorzeniu, jak wszystkie samotne matki w tamtych czasach, dlatego zmyśliła dzielnego oficera i rozbitka z innej planety. Tak właśnie było, nie inaczej.

Jest przesadnie, bezsensownie dumna, uważa Klara. Nie tłumaczy tylko, dlaczego słyszę tę historię dopiero teraz, w wieku czterdziestu trzech lat.

No ale dobra, jedziemy z opowieścią, zaraz będzie rano. Więc zdaniem mamy mój stary, niesiony przez niezrozumiały zew, zajechał pod szpital i posłał Płatona do stróżówki. Jednak Płaton wrócił z niczym. W tej sytuacji, chcąc nie chcąc, do strażnika pofatygował się ojciec. Dowiedział się tego samego. Nie wejdą i już.

Stary uważał się za wszechmocnego, tak zresztą mówi o nim mama. Załatwiał bilety na Kiepurę i mógł zastrzelić człowieka w biały dzień, gdyby tylko zechciał. Cały on, rozpieszczony jak warchlak w truflach, z tym niszczycielem wchodzącym do portu na pełnych obrotach. Ale tu dostał fangę w nos.

Wyobrażam sobie, jak miota się na podjeździe i kopie koła gazika. We wszystkich oknach szpitala palą się światła, za siatką stoi mnóstwo samochodów wojskowych, moskwicz, łada i ze dwa citroëny. Każdy metr obsadziły niebieskie berety z jednostki we Wrzeszczu, pod bronią, z psami na krótkich smyczach, a bezsilny stary obserwuje ich przez kraty.

Takim go właśnie widzę.

– Przy szpitalu, na łysej polanie, wylądował śmigłowiec – opowiada mama. – Żołnierze biegali między nim a szpitalem, nosili teczki i torby.

Wreszcie wynieśli drobne ciało przykryte prześcieradłem, przytwierdzone pasami do noszy. Za nimi szło paru oficerów w długich płaszczach. Kulawy człowieczek, który im przewodził, jedną rękę trzymał sztywno w kieszeni, drugą przytrzymywał kapelusz, żeby nie odleciał, porwany podmuchem wywołanym przez śmigło.

– Igor Iwanowicz Jedunow załadował Amerykańca do helikoptera i popatrzył leniwie za siebie, wprost na twojego tatę.

O kamykach

Z tymi butami było tak, że stary ustawiał je równo, piętami do ściany, czyli inaczej niż wszyscy normalni ludzie na tym smutnym świecie. Zdarzało się, że nocą też poprawiał buty. Matka w tym czasie zgrzytała zębami.

– Myśmy byli dla siebie bardzo czuli – zwierza się, a mnie się robi jakoś niezręcznie. Nie nawykłem do takiej mamy. – Wyobraź sobie teraz, synku, że leżę przy Koli, pomalutku zasypiam, a on, orangutan jeden, zrzuca mnie z siebie jak kołdrę i idzie sprawdzić buty.

Mowa o oficerkach z cielęcej skóry, wysokich pod kolano, na twardym obcasie. Jak stary kroczył, niosło się bombastyczne echo.

Pucował je sam, odmawiając pomocy ofiarnej kochanki bądź usłużnego Płatona. Siadał na zydelku, zakładał nogę na nogę, wsadzał łapsko w cholewę i długo szczotkował but. Zanurzał irchę w wosku i nakładał go, wykonując powolne, koliste ruchy.

– Żeby mnie tak częściej po policzku głaskał – śmieje się mama. W jej głosie dźwięczy miłość i smutek.

Na sam koniec stary unosił but na wyprostowanym ramieniu, oceniał i albo woskował dalej, albo sięgał po drugą oficer kę. Schodził na to kawał poranka.

Palił, pił jak zdun, spał mało co, nie dbał o siebie, tylko właśnie o te buty. Matkę bardziej wkurwiało inne dziwactwo.

Stary zawsze, nim włożył oficerki, wkładał rękę do środka. Macał, odwracał obcasem do góry, wytrzepywał i dopiero wkładał. Powodował nim upiorny przymus, wspomina matka, nie było siły, żeby wzuł but bez takiego sprawdzania.

Co do mnie, bardzo lubię czyste buty, może dlatego, że robię w żarciu, w tłuszczu, pośpiechu i gnoju, wracam do domu wieczorem albo w nocy, nieraz brakuje czasu i spokojnej chwili, zwłaszcza w ostatnich dniach, gdy borykam się z matką.

Najłatwiej wskoczyć w dres i zużyte adiki. Każdy, kto tak robi, wkrótce sam się zużyje, i pewno ojciec myślał podobnie.

Nie stroję się, to nie przystoi, ale dżinsy i koszule zawsze mam własnoręcznie wyprasowane, a że świat jest brudny, to przemierzam go w czystych butach. Tu starego rozumiem i tylko nie mogłem pojąć, dlaczego tak grzebał w tych swoich oficerkach.

Matkę dręczyło podobne pytanie. Ojciec długo nie powiedział prawdy.

– Zbywał i żartował, jak to on. W końcu się przyznał. Chodziło o krok defiladowy.

W kompanii karnej, gdzie trafił podczas wojny, ćwiczono go całymi godzinami. Taka radość młodego żołnierza.

Podoficerowie wrzucali trepom kamyczki do butów.

Kto nie sprawdził, ten miał przejebane.

Podczas marszu nie staniesz ani nie zwolnisz, na tym właśnie polega kompania karna i radziecki krok defiladowy. Po paru godzinach z takim kamyczkiem ciało zmienia się w ranę i pali tak, że lepiej już w ogień włożyć.

Nocą z koi sterczały zakrwawione, opuchnięte stopy. Nie szło ich opatrzyć, przykryć, nawet ułożyć. Stary po takiej przygodzie nie zmrużył oka.

Rano czekał go znajomy but i krok defiladowy.

Przez to właśnie do końca życia sprawdzał swoje buty.

O uścisku dłoni

Parę dni po katastrofie Jedunow wezwał mojego ojca. Stary schował dumę do kieszeni i pojechał do Górnego Sopotu.

– Od tego tak naprawdę zaczęły się nasze nieszczęścia – wspomina mama.

Jedunow zajmował dziewiętnastowieczny dworek myśliwski niedaleko stadionu, taki drewniany, piękny, z ceglanym podpiwniczeniem i obszerną werandą.

Na ambonie koło dworku stał żołnierz pod bronią. Ruskie obsadziły też pobliski lasek, stary musiał zdać makarowa i czuł się nietęgo, jakby ktoś z ukrycia celował mu między oczy.

Wewnątrz na pobielanych ścianach wisiały wypchane orły, głowy łosi, dzików i jeleni. Zostały po wysiedlonych mieszkańcach. Gospodarz przyjął ojca w pokoju pełnym książek w najróżniejszych językach, taki właśnie był z niego poliglota. Polał koniaku.

– Twój tato odmówił, bo sądził, że z wrogiem walczy się na trzeźwo, a pije dopiero po zwycięstwie. Pięknie zwyciężył, nie ma co!

Żaden nie kwapił się, by usiąść. Wyobrażam sobie tych dwóch naprzeciw siebie, olbrzymiego ojca o włosach zaczesanych na brylantynie i tę kulawą żyłę z niesprawną lewą ręką, jak próbuje spojrzeć tacie w oczy, zadzierając kościsty łeb.

Z tego, co mówi matka, początek rozmowy przebiegł spokojnie. Jedunow pytał, co właściwie zaszło, i stary powiedział, że wedle jego najlepszej wiedzy nad Gdynią rozpierdolił się amerykański pojazd nowego typu, a on wraz z żołnierzami natknął się na pilota, który niestety wykorkował w Szpitalu Marynarki Wojennej.

– Macie ciało, to wiecie – przypomniał stary.

Jedunow zrobił głupią minę i dalej cisnął o szczegóły. Kto z okrętu był świadkiem katastrofy? Z kim popłynął motorówką i pojechał na patrol? Stary chciał kryć Płatona i Kiryła, ale przypomniał sobie, że widziano ich w basenie portowym numer cztery i pod szpitalem, więc nie było sensu kłamać.

Wzięli udział w patrolu na jego osobisty rozkaz, tak rzekł.

Wówczas Jedunow zagadał o mamę. Jaką rolę w tej sprawie odgrywa panna Helena Kreft z Oksywia? Wie coś o Amerykańcu? Pewno myślał, że tym załatwi starego.

– To kretynka, tyle że ładna – rzekł błyskotliwie ojciec. – Dopuszczasz swoje kurewki do poważnych tematów? Ja tak nie robię.

Mama powtarza te słowa z zachwytem.

Na taką gadaninę Jedunow uświadomił ojca, że nikt nie zleciał z nieba, nie było żadnego Amerykańca, szpitala, nic z tych rzeczy. Tak ukręcali sprawie łeb. Stary chętnie to przyklepał.

Już się zbierał do wyjścia, kiedy Jedunow powiedział, że jeśli ojciec kiedykolwiek zmieni zdanie, świat dowie się o pannie Kreft, zaczynając od teścia, wielkiego admirała. Dodał jeszcze, że odtąd stary chodzi na jego smyczy i ma szczekać na rozkaz. Zadowolony z siebie wyciągnął rękę.

– Twój tato zawahał się, ale w końcu ją uścisnął. Naprawdę mógł dać sobie spokój.

W ten uścisk włożył całą swoją siłę oficera po wojnie i kompanii karnej, który, jak twierdzi matka, podczas pijackich zawodów w kantynie kładł na rękę po kolei każdego ze swoich ludzi. Jedunow szarpał się, wyrywał, a tato stał, słuchając jego pisków i rozkosznego gruchotania kości. Hau, hau, skurwysynu.

Puścił. Jedunow osunął się za biurko, a stary jebnął drzwiami i poszedł.

– Taki potężny i taki głupi!

Zmiażdżył chłopu tę jedną sprawną dłoń, co ocalała po walce na harpuny.

O tym, co pewne

Już jasno. Pisałem całą noc. Zaraz skończę.

Ponieważ Klara wstawała do mnie, sam obudzę Olafa. Będzie jak zwykle, tak, jak powinno być.

Z młodego trzeba zrywać kołdrę, tak właśnie robię, jemu zresztą trąby mogłyby zadąć w ucho, a tylko zmarszczy nos i dalej będzie chrapał. W końcu zsuwa się z łóżka, którego ani myśli składać, i drepcze do kuchni w samych majtkach, jak wódz spóźniony na pole bitwy.

W kółko mu o czymś przypominam: żeby zamknął szuflady w komodzie, włożył nowe skarpetki, ale nowe spodnie już nie, bo w tych, co ma, chodził ze dwa razy, więc są czyste.

Na śniadanie przyrządzam jajecznicę albo parówki, dzieci jedzą głównie takie rzeczy, a my z tym nie potrafimy już walczyć. Co sobotę zgadzam się na bułkę z nutellą, no ale dziś nie jest sobota.

Do tego pijemy herbatę, którą parzę w tym samym dzbanku, w którym przyrządza ją Klara. Olaf wypija ją duszkiem, kiedy przestygnie, choć

pewno wolałby colę, i zawsze odstawia filiżankę krzywo na spodek. Ja wtedy udaję złość, srożę się i burczę złowrogo:

– Jak ty stawiasz tę herbatkę?!

Śmiejemy się z tego, odkąd pamiętam, tak samo jak codziennie walczymy o mycie zębów. Olaf powtarza, że przecież zęby nie brudzą się jak ręce albo buty, poza tym ich szorowanie to najnudniejsza rzecz na świecie, nawet szczoteczką elektryczną.

Od tego roku Olaf chodzi sam do szkoły na Uczniowską, to jakieś siedemset metrów, wystarczy, że przetnie bezpieczne skrzyżowanie Małokackiej z Rolniczą i już, zresztą obserwuję go przez okno, jak maszeruje, ważny taki, w seledynowej kurtce i plecaku zwisającym z ramienia.

Klara się bała, że dostawczak go dupnie, byłem przeciwnego zdania i wyszło na moje.

Jak pójdzie, przytnę komara, bo na dwunastą jedziemy do Fernanda. Klara zostaje na parę godzin. Pilnuje dostaw, rozlicza faktury, dogląda mediów społecznościowych i lata po urzędach. Potem wraca na Witomino.

Ja jestem na kuchni do dziesiątej, ale dzwonię do domu, kiedy wychodzę na peta. W międzyczasie narzekam na ból pleców oraz głupotę ludzką i marzę o śnie.

Kiedy wracam, zastaję Klarę na macie, to czas tylko dla niej, nie wchodzę wtedy do salonu. Potem, jak się uda, znajdujemy chwilę dla siebie.

Dlatego śniadanie odgrywa tak doniosłą rolę, na co dzień to mój jedyny czas z synem. W poniedziałki, kiedy pracuję mniej, mogę wyskrobać ze dwie godziny dla niego, przejdziemy się do kina czy aquaparku, latem nad morze, w sumie to jebać morze, najczęściej rżniemy w *Fifę* i *Mortal Kombat* rozwaleni na kanapie.

Kocham swoje życie, wypracowane, zbudowane, wywalczone życie, choć w poniedziałki ledwo dycham.

Odkąd pamiętam, tkwię na Witominie, a wszystko, co dla mnie ważne, leży między Świętojańską w centrum miasta i drogą na Chwarzno. Kiedy się z Klarą pobraliśmy, matka oddała nam swoje mieszkanie, dosypała forsy i czasem narzeka, że wygnaliśmy ją z własnego domu. Żyje w willi na Kamiennej Górze, my ciągle na dwóch pokojach.

Chcemy kupić coś większego, lecz szmal od matki zżarł byczek Fernando. Ludzie budują domy, ja marzę tylko o większym mieszkaniu, najlepiej w naszym bloku. W końcu nam się uda.

Gastroferajna podróżuje, zatrudnia się tu i tam, zbiera doświadczenie w zagranicznych restauracjach. Ja nie jeżdżę za mięsem. Mięso przyjeżdża do mnie.

Jesteśmy z Klarą małżeństwem od siedemnastu lat. Wzięła sobie synka z zawodówki, to ma. Wiem, że są inne kobiety, inne miasta – co z tego? Jestem głuchy na trujące wołanie świata. Pójdę, to zaginę.

Czasem wspominam, jak robiłem w burgerowni Buldoga przy skwerze Kościuszki i przez całą noc żarłem się z pijakami. Na ciemnym Bałtyku leżały pogubione światła. Wracałem do domu na butach, bo nie mieliśmy auta, bo taksówki drogie, na autobus nocny nie chciało mi się czekać, zresztą gnój był w nim straszny, gówniarze chlali, pluli, palili i zaczepiali meneli, a kierowca trząsł się zamknięty w kabinie. Więc szedłem. Miasto spało i tylko w bramach bledły amfetaminowe duchy. Wędrowałem pod górę, przez park, trąbiły na mnie auta, a mnie dzwoniło w głowie, że kiedyś będzie dobrze, bo musi być dobrze.

Z tej porannej herbatki, codziennego zapierdolu i wieczorów z Klarą zbudowałem sobie mur. Trwam mocny jego siłą.

Szaleństwo matki, jej spokojna, obłąkana opowieść sprawia, że ten mur drży od lęku.

O bólu brzucha

Naprawdę to napisałem?

Stary tłumaczył matce, że Jedunow użyłby go i zniszczył. Z takimi się nie współpracuje. Zresztą za dumny był na to. Matka miała inne zdanie i wieszczyła awanturę. Czekała, aż ten admirał z Leningradu dowie się o romansie i każe ją zastrzelić.

Do niczego takiego nie doszło, ale do żony ojca zawitała bezpieka. Pytali, jak się układa w małżeństwie, czy tato widuje się z synem, czy śle pieniądze, a jeśli tak, to ile. Posiedzieli parę godzin i poszli. Stary dostał szału, kiedy się o tym dowiedział. Dyszał i szarpał się na hotelowym krześle, tak wspomina go mama.

Czyli co: mam brata gdzieś w Rosji? Chłop, jeśli żyje, jest jakieś ćwierć wieku starszy ode mnie. Wie w ogóle o moim istnieniu? Ożenił się? Gotuje dla swojej rodziny? Też nie śpi po nocach?

Za dużo tego.

W moim życiu byli tylko dziadkowie i matka. Brat? Ja w ogóle nie wiem, co to znaczy.

Mam wielkie dłonie, pełne odcisków od tasaków i noży, od rozładowywania dostaw i wykuwania mięsa z lodu. I właśnie teraz, nie wiem czemu, bardzo chciałbym zobaczyć łapy tego mojego brata Jurija.

Wygooglałbym go, ale brakuje odwagi. Ciekawe, na czym zeszło mu życie i czy złapalibyśmy jakieś porozumienie. Jeśli oczywiście istniał ten cały Jurij.

Matka miesza prawdę i kłamstwa, muszę jakoś odróżnić jedno od drugiego.

Więc w tej bzdurnej części opowieści mój stary kazał Płatonowi z Kiryłem zawrzeć ryje. Jedunow zaraz ich przesłuchał, ale podobno nie puścili pary z gęby. Mimo to sprawa wyszła na jaw.

Ludzie dostrzegli światła na niebie i samochody pędzące ku nabrzeżu. Ten doker z okrętu poleciał do „Wieczoru Wybrzeża", gdzie napisali parę słów.

Sprawdzam ten artykuł i wychodzi, że mam rację. Nie ma tam słowa o kosmitach ani moim ojcu. Coś gruchnęło z nieba, pewno mały meteor albo kawałek satelity. Taki właśnie pojazd o nazwie Atlas rozpadł się poprzedniego dnia nad Pacyfikiem.

W Gdyni mówiono o próbach atomowych i eksplozji tajemniczej broni, którą naziści porzucili w rejonach torpedowni na Babich Dołach.

Do basenu portowego zjechali geolodzy z Gdańska i dali nawet ogłoszenie w prasie, żeby każdy, kto widział coś dziwnego, natychmiast się zgłosił. Nagroda była warta tyle, ile trzy kilo bananów. Lud ruszył tłumnie. Geolodzy dostali złom, szkło opłukane przez wodę i mnóstwo niewybuchów.

Nurkowie pracowali cały dzień, ale niczego nie znaleźli.

Płaton wypracował własną teorię na temat katastrofy. Jego zdaniem pilot podleciał do słońca i poparzony runął do morza. Tak właśnie kończy się fruwanie. Dlatego mądry Płaton wylądował w marynarce.

– „Przyznam, że mnie groza brała, jak patrzyłem na tego Amerykańca". – Mama zniża głos, naśladując Płatona. – „Jakby to był diabeł z innego świata. *Djawoł, da biez rogow*. Tylko proszę nie mówić o tym kapitanowi, jeszcze weźmie mnie za tchórza".

Dla odmiany wymaglowany przez Jedunowa Kirył zbratałby się i z diabłem, gdyby ten przyniósł pół litra.

– Powtarzał, że wszyscy jesteśmy zgubieni, odkupienia szukał w butelce i wył nad akordeonem, aż marynarze go sprali, bo spać nie dawał.

Ponoć stary, owładnięty wyrzutami sumienia, wysłał Kiryła na nocne wachty i groził karcerem, byleby go zmusić do zachowania trzeźwości.

Klara twierdzi, że wyrzuty sumienia są jak garb. Da się z nimi żyć, po prostu rzadziej widujemy słońce.

Mama słabo się przejmowała Kiryłem, bo miała inne kłopoty. Ktoś kręcił się pod drzwiami na Pagedzie i raz nawet zapukał. Myślała, że to Płaton z prezentami, ale na klatce nie zastała nikogo, za to nocą pod oknem mignął ludzki cień na tle drzewa. Rano w tym miejscu znalazła niedopałki.

Po staremu chodziła na uczelnię. Zawsze pod górę. Mijała zmarznięte psy i dzieci, co zjeżdżały z pagórków na tekturze. Wiatr podrywał śnieg z zasp, a za matką sunęła biała pobieda. Zauważyła ją od razu. Wtedy w Gdyni jeździło mało samochodów.

Po zajęciach ci faceci z pobiedy stali sobie w watowanych kurtkach w tym samym miejscu co kiedyś ojciec. Nic nie robili, tylko patrzyli tak, że bolał brzuch.

– Bałam się, że mnie zastrzelą – wspomina. – Kiedy człowiek jest młody, śmierć wydaje się czymś niedorzecznym jak zmarszczki. Wiesz, o czym myślałam? Niech zabijają, trudno. Ale kto wtedy zajmie się Kolą?

O białej głowie

Miesiąc po katastrofie doktor z kozią bródką rozstał się z życiem. Prasa wydrukowała nekrolog pełen zasług, ozdobiony zdjęciem. Było nawet coś o medalu za męstwo podczas wojny. Chłop padł w laboratorium, coś tam sknocił. Tak napisali. Wiem, bo czytam. Sprawdzam archiwa w sieci, szukam prawdy.

– Kola powiedział, że jak ktoś bił się o Berlin, *nie gibniet stol' głupym obrazom* – mówi mama. – Wietrzył spisek i mord.

Następnego dnia nie przyjechał po nią.

Mama odchodziła od zmysłów. Wybierali się na *Maszynę do liczenia* w Teatrze Wybrzeże i matka, jak ją znam, odstrzelona tak, by budzić nienawiść i podziw, próżno wyczekiwała starego. Zadzwoniła na okręt i tam powiedzieli, że kapitan dawno wyjechał.

Wspomina, że spruła się zupełnie pod surowym okiem dziadków. Szlochała, a oni sobie patrzyli. Babcia powiedziała chyba, że miłość prowadzi do zguby.

Wreszcie na Pagedzie zameldował się Płaton z rozbitą głową. Matka chciała wciągnąć go do środka, bo ranny i zmarznięty, ale dziadek zabronił.

– Powiedział: „Albo ja, albo Ruskie w tym domu”. A ja znowu się rozpłakałam.

Płaton, oparty o framugę i półprzytomny, oznajmił, że stary żyje, trochę oberwał, ale nic mu nie będzie.

Otóż odstrzelony, pachnący perfumami miłości tatko wskoczył do warszawy i kazał się wieźć na Paged. Płaton wbił gaz do dechy, tak by cała Gdynia wiedziała, że obywatel kapitan zmierza do swojej dziewczyny.

– Zaraz za bramą, przy śrubie, tam, gdzie tory i szkoła marynarki wojennej, autem targnął wybuch – wspomina mama z przejęciem. – Warszawa poleciała na lewo i zawirowała wokół własnej osi, krzesząc iskry, a stary siedział, skamieniały ze strachu, i wytrzeszczał oczy, aż oberwał w łeb i stracił przytomność.

Gruchnęli w słup trakcyjny i stanęli na torach. Płaton wytargał nieprzytomnego ojca z samochodu. Dobrze, że żaden pociąg nie jechał.

Tatko rozwalił sobie łuk brwiowy i połamał żebra. Zaraz ze szpitala chciał pędzić do matki, ale Płaton go powstrzymał i poszedł sam, choć też oberwał.

– Ponoć oponę dosłownie rozerwało na strzępy. Nic z niej nie zostało. Normalnie, jak łapiesz gumę, robi się flak. Tu jakby rozsadziło ją od środka. Dźwięk też był inny, głośniejszy, jak przy wybuchu.

Ruski prokurator zajechał na miejsce wypadku, stwierdził przebitą oponę i rzekł, że sprawy nie ma.

Ojciec ocalał, lecz nie o wszystkich można tak powiedzieć. Starszy marynarz Kirył przepadł na nocnej wachcie. Nie zameldował się na porannej zmianie i nie przyszedł na apel.

Ponoć pił całą noc – przynajmniej tak twierdził ten ruski prokurator, który przyjechał zobaczyć ciało. Facet schlał się i wypadł z okrętu.

Rzeczywiście za burtą, w lodowej szczelinie, przyprószona porannym śniegiem tkwiła biała głowa marynarza Kiryła.

NOC CZWARTA

1959

trzeci

wtorek

października

2017

O tajemnej wiedzy

Napisałem, że z matką pokłóciłem się tylko raz, o tę zawodówkę. Nieprawda. Żremy się o jej dom, o willę.

Nie złoszczę się, że siedzę z rodziną na dwóch pokojach, a ona zajmuje całe piętro, w żadnym razie. W końcu to jej zawdzięczam mieszkanie na Witominie i suty przelew, za który otwarliśmy Fernanda.

Chodzi mi o rasizm, o głupotę i wstyd.

Willa stoi na Kamiennej Górze. Kiedy człowiek idzie ku morzu ulicą Piłsudskiego, rzuca mu się w oczy taki szary skurczybyk na zboczu. Wygląda, jakby zawadiacko stał na łapkach, z tarasem zwróconym w stronę Bałtyku. Obok rośnie kasztanowiec. Matka pewnie i dziś strząsałaby z niego liście, gdyby tylko mogła.

Na willę składa się parter, piętro i strych pełen nudnych tajemnic. Tarasy w sumie są trzy, matka używa jednego.

Kiedyś mama zaproponowała, żebyśmy zajęli parter, ale Klara stwierdziła, że prędzej zamieszka z wilkołakiem, niż wprowadzi się do rąbniętej wariatki. To było już po tym, jak mama zgubiła Olafa.

Sam w sumie nie miałbym nic przeciwko przenosinom do mamy, bo miejsce jest piękne, reprezentacyjne, no i do Fernanda miałbym z buta jakieś dwadzieścia minut. Klara wie lepiej i pewno ma rację, problem stanowi też napis nad wejściem.

Brzmi on: Dom pod Murzynem.

Prosiłem mamę, żeby skuła to dziadostwo albo chociaż puściła tam bluszcz. Nie chce o tym słyszeć i dziwi się, o co właściwie mi chodzi z tym Murzynem.

Mówi się czarnoskóry, mamo.

Tłumaczę jej, że świat się zmienił, a w słowach drzemie zaklęta przemoc. Zdaniem matki świat jest ciągle taki sam, a słowa, ludzie i zdarzenia są niczym więcej jak czystym okrucieństwem.

Zwracam uwagę, że to wstyd, tak po prostu, po ludzku żyć w domu, gdzie straszy taki tekst. Mama wzrusza ramionami, mówi, że puszczała się z Ruskiem, więc o wstydzie wie wszystko, poza tym wykuwali to prawie sto lat temu, a tradycja coś znaczy. Dziwne, że akurat ona upomina się o tradycję.

Kombinuję od innej strony. Przypominam rozliczne nieszczęścia, które spadły na czarnoskórych, wspominam plantacje bawełny, poczynania Ku Klux Klanu, gadam nawet o tym, jak kropnęli Martina Luthera Kinga, a matka się śmieje.

– Wiem lepiej, synku, wiem lepiej.

Z czymś takim w ogóle nie da się żyć. Mam mocne argumenty, co zrozumie każdy normalny człowiek, raz na kilka miesięcy tłumaczę i proszę, by usunęła niedorzeczny napis, a matka ma tę moją gadaninę w dupie. Bo wie lepiej. Coś przeżyła. Zna świat. A ja muszę się uczyć.

Źródło tej wiedzy, jak i jej treść, pozostają zakryte, ona wie i już, zamyka tym dyskusję jak bar przed awanturnikiem.

Swoją drogą trochę się nachodziła wokół tej willi.

Kiedy byłem mały i brała mnie nad morze, czasem zawiewało nas i tutaj. Matka patrzyła na budynek, chaszcze i rdzewiejącego malucha przy siatce. Pytałem, czemu tu przystajemy. Odpowiadała, że to piękna willa, no i cześć.

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy rozhulała już swój gabinet, postanowiła ją kupić. Problem w tym, że właściciel nie chciał o tym słyszeć.

Wydzwaniała do niego co miesiąc, pytała, czy już się zdecydował. Za każdym razem podbijała stawkę. Próbowałem dociec, na cholerę jej ta chałupa, skoro jest sama jedna i ma metr pięćdziesiąt sześć wzrostu w trampkach i berecie.

W końcu chłop uległ, powiedział mi, że sprzeda tylko dlatego, żeby się uwolnić od mojej matki.

Towarzyszyłem jej przy spisaniu umowy notarialnej. Stawiła się w białym kostiumiku, z walizeczką i opaską na głowie. Z tej walizeczki wyjęła szmal, setki tysięcy złotych w paczkach, każda owinięta gumką recepturką. Wyłożyła te cegiełki na stół, jedna obok drugiej. Można było pomyśleć, że kupuje furgon kokainy.

Kazała facetowi przeliczyć te pieniądze, każdą cholerną stówkę. Tak właśnie powiedziała: niech pan sprawdzi, czy wszystko się zgadza. No i gość przesuwał banknoty w mokrych palcach, pocił się przy tym i wiercił jak dziecko, a matka siedziała, cała zadowolona, z nogą założoną na nogę i wzrokiem wbitym w godło.

Willa była w opłakanym stanie. Matka nie chciała słyszeć o żadnych robotnikach, więc we dwoje sobie jakoś poradziliśmy z pionowaniem ścian

i poziomowaniem podłóg. W ścianach siedzi miedź, więc matka raczej nie spłonie od spieprzonej elektryki, przez stare, zakitowane okna świat wygląda nawet piękniej, a kran kaszle rdzą najwyżej raz w tygodniu.

Zapierdalałem wtedy u Buldoga na skwerze Kościuszki po dwanaście godzin dziennie, pomagałem, jak mogłem, raczej z doskoku.

Mama sama pomalowała mieszkanie i wymieniła zamki. Zawiesiła też lampy przywleczone z Komnaty Skarbów na Chyloni. Mieszkańcy Kamiennej Góry mogli też dostrzec drobną, kruchą panią, jak zwisa z balkonu w trampkach, a kaszmirowy sweter łopocze jej na wietrze.

Tak matka montowała antenę satelitarną.

W ten sposób znalazła przystań na jesień życia, a my z Klarą przejęliśmy mieszkanie na Polskiego Czerwonego Krzyża. Willa jest zresztą piękna, tylko ten napis szpeci.

Tłumaczę w kółko to samo: wstyd pod takim żyć.

Matka powtarza, że wie lepiej, no i tyle z tego.

Dziś przychodzę z samego rana, ona staje przy oknie, uchyla zasłonę i gapi się w dal takim zdumionym wzrokiem, jakby dachy sąsiadów, plażę i morze widziała po raz pierwszy w życiu.

– Mieszkałam tutaj z twoim ojcem – mówi. – Byliśmy szczęśliwi, ale bardzo krótko.

O znikaniu

Stary lizał rany, a babcia zaczęła znikać.

Pracowała na trzy zmiany w hotelu robotniczym na Żeglarzy, blisko stoczni. Był to długi budynek o ponurych oknach. W środku były dziesiątki pomieszczeń, ściany pokryte lamperią i kantorek – królestwo babci.

– Gniotła się tam wśród stosów prześcieradeł, poduszek, fartuchów i swetrów, przy stoliku pełnym puszek z herbatą i popielniczek – opowiada mama.

Chcę wiedzieć, jak to było z tą willą, ale uparła się zacząć opowieść od babcinej pracy. Choć znam ją, pozwalam mamie mówić.

– Tylko to sobie wyobraź: lampowe radio grało na cały regulator, a ona paplała do słuchawki telefonu, obtłuczonej zresztą jak stara kość od ciągłego walenia w kant stołu.

Hotel zajmowali głównie dokerzy, robotnicy sezonowi i marynarze. W teorii babcia wydawała pościel i klucze oraz pilnowała księgi gości, w praktyce kłóciła się z ludźmi i wywijała gazrurką.

Pijak nie trafiał kluczem do dziurki, więc darł się na babcię, że drzwi się spierdoliły. Ciągle wyłączali wodę we wspólnych łazienkach. Po podłodze ganiały karaluchy wielkie jak szczury i szczury ogromne jak sam nie wiem co, a grube, nagrzmocone dziwki w szpilkach spadały ze schodów. Tak właśnie wyglądał tamten hotel.

Babcia trwała na posterunku z gazrurką. Gazrurka mierzyła pół metra i świetnie leżała w dłoni.

– Jak tylko ktoś mordę otworzył, jak zaczynał pyskować, zaraz po nią sięgała – wspomina mama, wgryzając się w ciastko. – Najpierw waliła nią w stół, tak na postrach, a jak ktoś nie zawarł jadaczki, obrywał pod kolano i na to, powiem ci, synku, nie było zmiłuj, mendzie zaraz wracała świadomość klasowa.

Babcia zmieniała osraną pościel i wykłócała się z kurwiszonami, by starczyło na studia dla córki. Sama ledwo skończyła podstawówkę i większość życia przesiedziała na Pagedzie.

– Czasem wracała przed północą, czasem wstawała przed czwartą rano i żartowała, że zimą bywają tygodnie, kiedy w ogóle nie widuje słońca – wspomina mama. – Szła koło stacji pomp, a jak było jasno, skrótem przez las. A wszystko po nic. Przecież wiedziałam, że ten stary cymbał Scholl obleje mnie na egzaminie.

Babcia zawsze wracała punktualnie. Dziadek mógł regulować pod nią zegary.

Nocą budził się, siadał na brzegu łóżka, gapił się przez okno i jadł bułkę z cukrem. Jak babcia wracała, udawał, że śpi, obsypany okruchami. Tak było, aż babcia zaczęła się spóźniać.

Najpierw o pół godziny, potem o całą, wreszcie o dwie i dłużej. Tłumaczyła, że nagle zjechali kajakarze z Bułgarii i musiała szykować pokoje, że jakaś rura pękła, że lało, że trzasnął zamek w kantorku.

Dziadek nic na to nie mówił, tylko przygryzał wargi. Matka dobrze wie, co chodziło mu po głowie.

Bał się, że babcia poszła jej śladem, znalazła sobie kochanka i dlatego tak znika. Albo donosi na naszą rodzinę. Jeszcze wszyscy wylądujemy w ubeckiej katowni na Pułaskiego, wołał do mamy, oczywiście przez tego potwornego Rosjanina.

Po jakimś czasie doszedł do wniosku, że babcia w życiu nie wyrządziłaby mu takiej krzywdy, więc ukrywa coś innego, najpewniej straszną, śmiertelną chorobę. Śmiga po konowałach sekretnie, by nie martwić rodziny.

– Po tym poznasz człowieka porządnego. Poświęci siebie, żeby tylko nie troskać najbliższych – taką właśnie mądrością dziadek podzielił się z mamą. Ta w zamian poradziła mu, żeby poszedł za babcią, to dowie się, gdzie tak znika, i nastanie spokój.

Tamtej wiosny nikt nie liczył na spokój, ale dziadek posłuchał. Babcia szła na popołudnie, więc wyruszył za nią. Podniósł kołnierz płaszcza i wbił kaszkiet na łeb, jakby planował tropić zbrodniarzy wojennych. Bezgłośnie wymknął się na klatkę schodową. Matka widziała, jak sunie przez Paged w cieniu bram i drzew.

Zaraz wrócił. Mama niewiele wtedy rozmawiała z rodzicami, ale zapytała, czemu zmienił zdanie.

– Wróciłem – odparł dziadek – bo jeszcze dowiedziałbym się czegoś złego, i co wtedy?

O willi

Po Wigilii mama nie pogodziła się z rodzicami. Wspólne posiłki stały się chmurne, przestali grać w remika. Dziadek ucieleśniał pretensje, babcia rozpaczliwą troskę, co zeszło się w koszmar.

Z ojcem włóczyli się po hotelach, jak zwykle.

– Zazdrościłam mu domu w Leningradzie. Domowych obiadów. Domowego łóżka. Wyobrażałam sobie, jak tam przychodzi, zdejmuje buty w przedpokoju, bierze synka w ramiona i całuje lodowatą żonę. Bolało, ale nie mogłam o tym przestać myśleć. Co z tego, że kochał mnie, a nie ją?

Zdaniem matki miłość po grób to bzdura, chyba że kogoś prędko pochowają.

Mówi, że ludzie, którzy żenią się młodo, jak stary, nie wiedzą, co robią. Tato miał dwadzieścia lat i ślubował miłość na całe życie. Przecież nie miał pojęcia, co znaczy choćby dekada razem, dlatego małżeństwo przed trzydziestką to wielki błąd, powiada.

Poznaliśmy się z Klarą, gdy miałem dwadzieścia trzy lata, pobraliśmy się, jak wróciła ze Stanów. Niedługo będę żył dłużej z nią niż bez niej.

– Oj, ty to co innego – słyszę.

No ale do rzeczy. Podobno stary po wyjściu ze szpitala zachowywał się dziwnie. Mniej mówił, częściej się spóźniał. Matka myślała, że to przez ten wypadek albo śmierć Kiryła.

Był początek kwietnia, matka po staremu zeszła do warszawy, gdzie prócz Płatona czekał tatko z kiepem i łobuzerskim uśmiechem. Zazwyczaj spotykali się już w Kaszubskiej, w Morskim Oku albo w tym całym Inter-Clubie. Ponoć ojciec miał minę, jakby wygrał w karty złoty zegarek.

Posadził mamę na tylnym siedzeniu, zawiązał jej oczy czarnym kawałkiem materiału.

Próbowała odgadnąć, dokąd jadą, ale szybko straciła orientację.

Na miejscu pachniało solą i morzem. Stary wywlókł mamę z warszawy, odliczył od pięciu i ściągnął opaskę.

Stali na Kamiennej Górze, przed Domem pod Murzynem. Matce aż zakręciło się w głowie. Przecież życie spędziła za kocem, gniotąc się z rodzicami w jednym pokoju.

– Czasem ktoś daje ci tak dużo, że nie wiesz, co powiedzieć – wyznaje. – Czujesz się onieśmielony, winny, no i płaczesz.

Willa stała pusta od czasów, kiedy na parterze męczono ludzi. Stary, świadom tej smutnej przeszłości, naszykował dla matki piętro, z brudną kuchnią, jasną łazienką i pokojem dziennym prowadzącym na taras.

– O, dokładnie tu dziś siedzimy – cieszy się mama.

Na schodach pachniało kurzem i zwierzęciem. Ktoś niedawno hodował tu nutrie czy tam jenoty.

W sypialni czekała toaleta z kryształowym lustrem i szafa trzydrzwiowa, a w niej więcej wieszaków, niż mama miała sukienek. Stary już ciągnął ją dalej, do łazienki, gdzie nad wanną lśniły złote kurki, przez pokój dzienny, koło pustych regałów, zapchlonych foteli i dziurawego szezlonga, aż na taras, skąd rozciągał się znany mi widok na falochrony.

Na podłodze walały się kinkiety, kufry, komody i żelazko bez duszy.

Stary już odkorkowywał szampana.

Matka twierdzi, że w jego radości kryła się jakaś nieustępliwość, upór wojownika. Biczem by zaganiał innych ku szczęściu.

Wybuchnęła płaczem. Stary zaraz zapytał, co zrobił źle. Najwyraźniej sądził, że wszystko ma związek właśnie z nim – jak matka beczy, to pewno coś spieprzył, kiedy się cieszy, to też z jego przyczyny. W sumie Klara też mogłaby powiedzieć coś na ten temat.

Mama płakała, bo myślała o babci pracującej na trzy zmiany, a także o bosych dzieciach, co ganiały po gruzowiskach między praniem rozwieszonym na tyłach ulic Abrahama i Świętojańskiej, gdzie ludzie gnietli się w ruinach bez prądu i wody. Myślała o mleczarzu pchającym wózek o czwartej nad ranem, o bezzębnym Zorro i innych biednych ludziach, co to Gdynia czerniała od ich smutku. A tutaj taka willa!

– Młoda byłam, to i wrażliwa – śmieje się teraz.

Ojciec wziął ją za ręce, całował powieki, ocierał łzy szorstkim palcem i pytał, co jeszcze może dla niej zrobić. Mama popatrzyła na zwiędłe kwiaty, na linoleum i rogi ścian poczerniałe od dymu, na brudną kuchnię i zagracony taras. Spytała:

– Pożyczysz mi na tydzień Płatona?

O kasztanowcu

W Gdyni znów dobrze się działo. Wacek spotykał się z nową panną. Matka orała Płatonem.

Wacek chyba należał do tych gości, którym porzucenie służy. Zaczął chodzić prosto i patrzył na innych, jakby chciał, aby czyścili mu buty. Na zajęciach perorował ze swadą, zapowiadał, że kupi sobie syrenkę, i kłaniał się tylko najstarszym profesorom.

Wyszukał sobie dziewuchę z drugiego roku, ponoć zagubioną i ładną, urabiał ją sobie, strugał z błyskotki na gwiazdę. Gapiła się zresztą na niego jak koza na anielski hufiec.

Ponoć przesiadywali w Morskiej i wkładali sobie nawzajem bezy do ust. Ona mu jeszcze rękę pod brodę podstawiała, żeby się chłopu krawat nie upaprał.

Uszczęśliwiona matka liczyła, że Wacek o niej zapomniał, a z nim zapomniał też Scholl, przez co przepuści ją na egzaminie.

– Prędzej diabeł by mi darował – słyszę.

Matka wspomina, że zakuwała paranoicznie, dosłownie wbijała podręczniki na blachę, akapit po akapicie, za tym swoim kocem, umordowana po uczelni i praktykach. Aż nastał czas prac na Kamiennej Górze.

Płaton zdaniem matki był nie do zdarcia. Takie osły świat zawojują.

Zaczęli od wyrzucenia mebli, tych z tarasu, i dziurawego szezlonga. Płaton ukochał sobie ten szezlong i pytał, czy może go zatrzymać. Matka

chciała wiedzieć, po co mu on, skoro mieszka w kajucie. Płaton zapewnił, że kiedyś otrzyma dwa pokoje w Moskwie. Razem tam pojadą, on i szezlong.

– Będę na nim leżał jak cesarz – rzekł i przeraził się własnych słów, bo przecież w jego wspaniałym kraju cesarza zastrzelili.

Prócz tego dużo fantazjował o żonie, którą sobie znajdzie. Chyba lubił zwierzęta, bo mówił, że taka żonka musi być pracowita jak wół, cicha jak nietoperz i chętna jak kotka w marcu. Tak gadał i potem milkł, strapiony jakąś tajemnicą. Ciekawe, co by teraz usłyszał na taką paplaninę.

– *Ty jemu nie wier'* – powtarzał ojciec.

Robota szła naprzód. Pod zerwanym linoleum czekała piękna kamienna posadzka, za tapetami przedwojenna sztukateria. W ścianie zamknięto pudełko ze skarbem dziecka: były tam żołnierzyk, wagonik i grudka ołowiu z wtopioną szmatką.

– Co stało się z tym chłopcem? – duma moja sentymentalna mama. Uważa, że wszelka pamięć po człowieku prędzej czy później przepadnie i nic z tym nie zrobimy.

Zdaniem Klary dlatego właśnie opowiada tę historię: chce żyć trochę dłużej, odzyskuje młodość w swoich własnych słowach.

Na strychu znaleźli sofę w typie ludwikowskim, stolik szachowy idealny pod koniak i krzesełko nożycowe, na którym nikt nie chciał siedzieć. Mama wyrzuca z siebie te nazwy, które znaczą tyle, ile ten ołów z włóczką.

Wszystkie meble, łącznie z barkiem dla ojca, stargał ze strychu sam Płaton, choć matka chciała pomóc. Rzekł, że to nie zajęcie dla panny, i sam prawie że zleciał po stopniach. Nogi plątała mu wódka.

Za sadzonkami pojechali pod Miejską Halę Targową. Przed wejściem stały furmanki. Sprzedawano z nich jaja, masło z formy i mleko w blaszanych kankach, a także zrolowane dywany i spodnie z Ameryki. Bezzębne baby w krótkich kurtkach liczyły forsę, warchlaki szarpały się na sznurkach, brzmiał klekot chodaków.

– Mieli róże, hortensje, begonie. Niestety, strasznie łatwo oszukać na sadzonkach – powiada matka, strzelając minę znawcy. – Wciskali takie, co korzeń już usechł, pędów było mało, robale podgryzły tak, że liście zżółkły, naprawdę trzeba bardzo uważać z tymi sadzonkami.

W końcu znalazła odpowiednie. Handlarka chciała krocie.

Matka, mistrzyni sztuki wyrzeczeń, próbowała zrozumieć, że zmarnowała pół dnia i jeszcze wróci bez kwiatów. Stary podsypał szmalu, lecz

wszystko pochłonęła willa.

Kazała się zabrać na Paged, zwiozła na targ cytrusy od starego, dała babie i na Kamienną Górę wróciła z sadzonkami. Wreszcie te pomarańcze przysłużyły się czemuś więcej niż łakomstwu. Za domem spulchniła ziemię i zabrała się do wsadzania.

– To było bardzo wzruszające – dodaje. – Po raz pierwszy budowałam dom, i to dla kogoś. Wcześniej nie wiedziałam, jak to jest. Tak chciałam, żeby Kola był u siebie, siedział latem na tarasie, popijał, gapił się na morze i palił papierosy. Niech będzie to jego miejsce na ziemi, niech innego nie szuka. Zdobyliśmy nawet parasol i dwa krzesełka ogrodowe po Niemcach, to znaczy Płaton wychodził, a ja go posłałam jeszcze do delikatesów na Świętojańską, żeby kupił Koli tę wódkę, co lubi.

Stary miał inne zdanie na ten temat i się złościł. Burczał, zrzędził i dawał do zrozumienia, że dręczy go samotność.

Matka uczyła się, pracowała, szorowała taras z rdzawych śladów po klatkach i walczyła z odorem po jenotach, a on ciągnął ją na dancing albo do hotelu, straszył nawet, że odbierze Płatona, i głośno żałował wynajmu tej willi. Ze szczęścia wyszło nieszczęście, mówił.

A matka nic. Sypała herbatę do puszek po cukierkach i oliwiła zamki, bez słowa i jawnej złości, aż z ojca wreszcie schodziło powietrze, siadał i nie wiedział, co ze sobą zrobić, tak było mu głupio.

– Przepraszał, jak tylko Rosjanin umie – dodaje mama i radośnie streszcza, jak wyglądały takie przeprosiny.

Już nawet przywykam do jej świństw, ale ich tu nie spiszę.

Kuchnia lśniła, w łóżku czekała świeża pościel, pod wieszakiem w przedpokoju stary mógł ustawić swoje wypastowane buty. W barku czekało grube szkło. Matka wyszła na taras, klapnęła na krzesełku, popatrzyła na ogród, na te róże i hortensje. Stwierdziła, że czegoś brakuje.

Łaknęła czegoś niezniszczalnego, na miarę ich wielkiej miłości.

Zawołała Płatona i znów pojechali pod halę. Wrócili z drzewkiem.

Płaton naszykował dół. Kopał tak, aż zatęsknił za musztrą.

Matka wlała tam nawóz z pokrzyw i wsadziła drzewko. Podcięła pędy i posmarowała kikuty wapnem. Kasztanowiec sięgał jej mniej więcej pod brodę. Teraz, po sześćdziesięciu latach, ledwo pień obejmę, drzewo wyrosło ponad dach, tak że sąsiedzi się złoszczą i proszą, by przycinać gałęzie. Ma tę ostrą dziuplę pełną liści i pajęczyn, wiosną dosłownie eksploduje bielą, a jesienią pęcznieją na nim kolczaste, zielone łby i wszystko aż drży od

życia. W gałęziach urzędują wiewiórki, kuny, kosy. Mama stuka palcem w szybę, mówi:

– Przetrwał dłużej niż miłość. W sumie nic trudnego.

O niespodziankach

Podążam za starym, zauważam pokrewieństwo naszych zwyczajów i śmieszności. Czy ruszam nosem, kiedy się wściekam? Nie siadam plecami do drzwi? Czy tak jak on jem łapczywie i garbię się nad talerzem, wbijając łokcie w blat? Wolałbym nie. Chcę być podobny do siebie samego i do nikogo więcej.

Z kolei Klara uważa, że gniewam się całkiem jak matka. Ponoć gdy jestem obrażony, robię się teatralnie uprzejmy. Bzdura kompletna, gdy coś mnie wkurwia, zaraz zrzucam z wątroby.

Można powiedzieć: wściekam się jak stary.

Tak źle i tak niedobrze. Plączę się między rykiem widmowego ojca i zwodniczym entuzjazmem mamy. Tak swoją drogą, kupę wrzasku znajduję w jej historii.

Zdaniem matki zawsze wszystko jest w porządku. Czasem nie zadzwonię, odwołam wizytę (swoją drogą, ostatnio tak się nie dzieje), bo przecież mam na głowie Olafa, Fernanda i żonę, robota pali się w rękach. Mówię wtedy mamie, że nie przyjdę, nie mogę, innym razem.

Nigdy nie wyraziła najmniejszych pretensji. Prosi tylko, żebym się, nie daj Boże, nie przemęczał.

Czuję się z tym potwornie, o czym ona doskonale wie.

Przetrzymali jej raz okulary w serwisie. Przy odbiorze podziękowała wylewnie, a na koniec uświadomiła nieszczęsnego optyka, że ten jest potrzebny światu jak przemarsz Hunów. Biedak nie wiedział, czy go chwali, czy może obraża, i pewno poczytał sobie w telefonie o królu Attyli.

Jak jej spieprzą obcas w bucie, sprzedadzą nadgnitą gruszkę albo taksówkarz za ostro zahamuje i zaraz przeprosi, matka mówi mniej więcej to samo: super, wspaniale, bardzo mi się taka postawa podoba, ludzie powinni być dla siebie mili. Komplementuje szewca czy tam chłopa z warzywniaka tak długo, aż ten załamie się dokumentnie. Uwielbia też chwalić idiotów i wpycha ich głębiej w pułapki własnych kretynizmów, a raz jak taksówkarz niby żartem powiedział jej, że miejsce kobiety jest przy garach, to zapropo-

nowała mu małżeństwo i nie chciała wysiąść z taksówki. Twierdziła, że na takiego junaka czekała całe życie, aż chłop poszarzał, zaczął się trząść i puścił ją bez zapłaty: uznał, że od diabła nie bierze się pieniędzy.

Zdaniem matki połowa problemów wynika ze złych priorytetów.

Ale nie o tym miałem pisać. Zastanawiam się, nie rozumiem – czemu takie rzeczy się ze mnie ulewają.

Z matką nienawidzimy niespodzianek. Ta żywiołowa niechęć jednoczy i spaja naszą bliskość.

Matka nienawidzi, gdy ktoś sprawia jej niespodziankę, za to chętnie robi je innym – stąd problemy z Olafem i niechęć Klary.

Niespodzianka łączy się z niebezpieczeństwem i zaburza harmonię świata. Jako dziecko nienawidziłem Gwiazdki, a pudła pod drzewkiem wiały niekłamaną grozą. Wolałem niczego nie dostać niż dostać coś, czego nie chciałem. Sporządzałem listy prezentów na każde stosowne święto.

Były to najczęściej noże, patelnie, krajalnice i inne takie.

Gdy Olaf wyskakuje na mnie zza drzwi, chcę urwać mu głowę.

W dawnych czasach, jeszcze kiedy mieszkaliśmy razem na Witominie, matka konsekwentnie unikała listonosza. Bała się telegramów czy wieści z jakiejś niedorzecznej ambasady.

– Pięknie mnie kiedyś załatwili przez niespodziankę – słyszę. – Twój ojciec uwielbiał je i myślał, że tak zdobędzie moje serce. Ono i tak było jego, więc czemu mnie dręczył?

Wyskakiwał z biletami na koncerty i przedstawienia teatralne. Minęło trochę, nim pojął, że takie wyjścia należy zaplanować z wyprzedzeniem. Matka musiała dostroić się wewnętrznie do wydarzenia, no i przemyśleć kreację. Poza tym miała na głowie studia, praktyki i zaniedbaną przez remont willi naukę do egzaminów.

Wiosną stary wymyślił sobie wycieczki. Taki był głodny poznawania świata. Sadzał Płatona za kółko i proponował jazdę do Łeby czy nawet Torunia. Uważał przy tym, że jest fantastyczny w tej spontaniczności.

Matka mówiła, że pojechałaby chętnie, ale w przyszłą sobotę. Stary próbował to przełknąć i chyba drżał, że ich miłość słabnie.

– Kochał mnie jak zwierzę, dawał, ile mógł, i jeszcze więcej, miał garście pełne tej dzikiej miłości – dodaje mama, tonąca w jednym ze swoich puchatych swetrów, o dłoniach mumii obciążonych przez bransolety.

Dlatego myślała, że konkurs to jego sprawka.

Na krótko przed jej wyprowadzką listonosz przyniósł na Paged kopertę specjalnie dla mamy. Napisali z „Wieczoru Wybrzeża”. Matka myślała, że chodzi o Amerykańca. A tu nie.

Przyjęli ją do konkursu „Szukamy Najmilszej Dziewczyny” organizowanego przez tę gazetę. Pozytywnie rozpatrzono jej biogram, spodobało się zdjęcie, zapraszali na finał w gdańskim kinie Leningrad.

Mama mruga, jakby wciąż miała tę kartkę przed oczami, i wzdycha.

– Naprawdę myślałam, że to Kola mnie zgłosił.

O zagładzie świata

Oboje chodzili podminowani. Ojciec coś skrywał. Matka musiała powiedzieć rodzicom, że się wyprowadza.

Rozmiękczała ich delikatnie. Oznajmiła, nieszczęśliwie przy niedzieli, że od teraz trochę mniej będzie na Pagedzie. Wyniesie parę swoich rzeczy. Po prostu zacznie częściej nocować poza domem, ale przecież nie zostawi dziadków, jak by w ogóle mogła.

– Dom to nie hotel – zbiesił się dziadek.

Babcia dla odmiany nabrała wody w usta.

W ten sposób matka pojęła, że kroczy drogą bez powrotu. Na Pagedzie znów nastały ciche dni. Posiłki jadali w milczeniu.

– Jasne, zastanawiałam się, czy robię dobrze – mówi mama. – Czasem chciałam ich zranić jak najmocniej. Czasem żałowałam, że tak ich zraniłam.

Pakowała się powoli. Do komisu odzieżowego zaniosła stare sukienki. Podręczniki z ogólniaka oddała do liceum urszulanek.

Kiedy szła przez osiedle, odprowadzały ją gwizdy i złe spojrzenia.

Ktoś cisnął błotem w okno. Ktoś inny wołał, że ogolą jej głowę, zostanie z sępim łbem i bliznami od brzytwy.

Ponoć w jeden wieczór rozłożyła przed sobą prezenty od ojca: tę wymarzoną sukienkę, broszki w kształcie motyli, pończochy ze szwem paryskim i łodzianki ze świńskiej skóry. Gapiła się na nie, na walizkę i zastanawiała się, czy warto. Tylko jak wrócić do zwykłego życia, gdy już się je przekreśliło?

Babcia zastała ją właśnie w tej chwili ponurego namysłu. Wsunęła się za koc, klapnęła na amerykankę. Sięgnęła po łodzianki. Ładne były jej zdaniem.

Poprosiła mamę, by jeszcze raz przemyślała swoją decyzję.

– Ten Rosjanin może i jest wspaniałym człowiekiem, ale kiedyś przepadnie. Łączy was niewiele, a dzieli wszystko. Wiek, pozycja, język, rodzina.

Nie można budować życia na uczuciu, powiedziała jeszcze. Mama powtarza te słowa z gorzkim zrozumieniem.

Klara dla odmiany twierdzi, że musimy się kochać, bo jakbyśmy nie musieli, tobyśmy się nie kochali.

Babcia zaznaczyła, że prosi nie w swoim imieniu, ale głównie dziadka. Ten był zbyt dumny, żeby pogadać z córką, lecz pękało mu dobre, choć surowe serce. Kruszało, rzekłbym, jak miłość między narodami.

Dobry, choć surowy człowiek leżał na łóżku za kocem i słuchał. Dlatego matka powiedziała głośno:

– Naprawdę nie robię nic złego.

Następnego dnia rano wytaszczyła walizkę na klatkę schodową i dalej, pod blok, gdzie czekał Płaton. Nie chciała, żeby podszedł pod drzwi. Widzę ją nawet, jak idzie z głową uniesioną wysoko, w sukience w groszki i krótkiej kurteczce, ściągając ze stopni tę wielką walizkę o rdzewiejących zatrzaskach.

Za nią ciemniał maleńki, miniony świat: amerykanka, zegary, stosy „Przekrojów” i „Przyjaciółek”, i matka, co chlipie, krztusząc się dymem z albatrosa.

– Dzień był taki piękny, synku, chyba pierwszy prawdziwie wiosenny. Między parapetami suszyło się pranie, pod dachem szalały sikorki. Wszyscy na osiedlu zamarli: muzykanci, gęby w oknach, baby, co wracały z magla, dokerzy i moczymordy. Cmokali, gwizdali. A ja szłam do samochodu z tą walizką.

Sąsiedzi radzili matce, by wynosiła się do Moskwy. Takiego wstydu jeszcze nie było na Pagedzie.

Rodzice klękali przy dzieciach i pokazywali, jak wygląda kurwa, niech zapamiętają, ta wiedza się przyda.

– Chciałam nawrzeszczeć na nich wszystkich. Poradziłabym, żeby mnie ukamieniowali, skoro tak im się nie podobam, ale do tego trzeba odwagi, więc wiesz – słyszę.

Płaton przejął walizkę, rozejrzał się po sąsiadach i grzecznie zapytał:

– *Komu-nibud’ mordu nabit’?*

– Po prostu stąd jedźmy – poprosiła mama.

Oszołomiona, jakby z brudem na twarzy, wsiadła do samochodu. Ruszyli. Kamień rąbnął w dach, gruda błota plasnęła w tylny zderzak. Te właśnie dźwięki odprowadzały ich, gdy wyjeżdżali z Pagedu.

O muzyce

Matka wspomina dawne koncerty i chyba uważa, że muzyki nie przeżywamy jak kiedyś. Sama trwała przy początkach wszechświata i jak ją znam, jest gotowa przysiąc, że widziała, jak Bóg lepi słońce z iskier.

Muzyka jej zdaniem sprzyja znikaniu i o to właśnie, o nic innego chodzi w sztuce.

Chodzili na koncerty poświęcone przyjaźni polsko-sowieckiej, obejrzeli kameralny występ jakiegoś ślepego pianisty z Węgier. Potem stary bajdurzył o harmoniach i tonacjach, widział w nich zresztą krajobrazy, muzykalny jak większość Ruskich, a mama wspominała własny zanik w dźwiękach. Jej zdaniem życie przypomina taniec, tak szybko przemija.

Przy okazji znowu złapałem ją na kłamstwie.

Jej opowieść kołysze i wciąga, chcę przecież wiedzieć o ojcu i o tym, co wyprawiała, jak była młoda, słucham, wędruję za jej słowami, zaczynam wierzyć w starego, Amerykańca i Płatona, tonę w tej bajdzie, aż coś zaczyna uwierać, kłuć i wracam do rzeczywistości.

Matka twierdzi, że była na pierwszym rockowym koncercie w Polsce, kiedy zespół Rythm & Blues wystąpił w Rudym Kocie.

Sprawdzam w sieci, zdarzyło się coś takiego. Rudera po tej knajpie straszy w Gdańsku do dziś.

Trafili tam przypadkiem. W gazecie stało, że na koncercie zaprezentują muzykę uciśnionych chłopów i robotników z Ameryki, tylko nowocześniejszą. Skrzypce zastąpiono gitarą elektryczną, w każdym razie wieczór nie łączył się w żaden sposób z kapitalistycznym wyzyskiem. Matka chciała iść, stary z oporem uległ. Pływał po świecie, słyszał coś tam o rocku, wydedukował, że to tylko wrzaski.

Pojechali do Gdańska. Przed wejściem do knajpy czekało trochę zbuntowanej młodzieży i stary w czarnym garniturze wyróżniał się, a nawet budził popłoch. Bilety zaraz się znalazły.

W środku grzmiał jazz. Nie szło się dopchać do szafy grającej ani nawet do baru. Stary podjął ten trud i wielkim wysiłkiem osiągnął zwycięstwo.

Ludzie zajęli wszystkie miejsca, zwisali nawet z antresoli, więc rodzice siedli na podłodze z popielniczką, winem i kieliszkami.

Zespół stroił się na scenie. Mieli saksofon, kontrabas, dwie gitary, w tym tę elektryczną. Stary zaraz sięgnął po flaszkę, dopytywał się, kiedy zagrają.

– No i zagrali, kochany synku, to było naprawdę piorunujące – wzrusza się matka i zanurza usta w koniaku. – Ja w ogóle nie wiedziałam, że tak można grać, tego się słuchało uchem i brzuchem, całe ciało się rwało do tańca, do tej muzyki wesołej jak deszcz i mocniejszej do sztormu. Tak tańczyłam, aż mi skrzydła w kolanach urosły, i chciałam, naprawdę chciałam ponieść te dźwięki na ulicę, żeby wszyscy je usłyszeli.

Dziewuchy piszczały, bulgotał kontrabas, perkusista miał złamany nos i trzymał pałeczki jak kiełbasę, wszędzie było mnóstwo dymu, a matka wywijała marynarką ojca nad głową, a stary gubił krok.

Po koncercie, przepoceni, poszli na jesiotra i w to jedno – w rybę – jednak wierzę. Ojciec wpieprzył ją w paru przepastnych kęsach i orzekł łaskawie, że koncert był nawet znośny, tylko zbyt chaotyczny. Poza tym ciężko się tańczy do takiej łupanicy. Rock and roll przeminie szybciej niż boogie-woogie, tak stwierdził. Matka się z niego śmiała.

Chciałbym ją zobaczyć, młodą, w takiej chwili. A jeszcze bardziej tańczącą z tą marynarką. Jego też, starego.

Szkoda, że to nieprawda, że nic takiego się nie zdarzyło.

O chwilach dla siebie

Rozmawiam z Klarą o tych kłamstwach już wieczorem, dawno po wizycie u matki. Zamknęliśmy Fernanda i wracamy na Witomino, żona siedzi na fotelu pasażera ze stopami na desce rozdzielczej.

Na kuchni pracuję prawie do końca, zamówienia przyjmujemy jeszcze pół godziny przed zamknięciem, z reguły wbija wtedy podpity, spóźniony klient albo umiarkowanie zakochana para, która musi się nażreć. Realizuję bonik, zrzucam sztućce, garnki, narzędzia na zmywak, czyszczę blaty, deski, szuflady i podłogę. Kuba mógłby mnie wyręczyć, ale nie zrobi tego tak dobrze jak ja, nie chcę robić mu przykrości, choć pewnie jednak robię.

Już chyba to pisałem: Klara zarządza naszą restauracją, pilnuje rozliczeń, po południu zamawia półprodukty na następny dzień, dwa razy w tygodniu mięso, więc wraca do domu wcześniej, ale czasem zostaje.

Czeka przy stoliku, stuka w telefon, a ja się grzebię. W tym czasie Olaf pewno gra bez umiaru, wchodzi na krzesło, zdejmuje nutellę z najwyższej półki i je palcami, oglądając patostreamerów. Trochę mamy to w dupie, bo czeka nas chwila dla siebie.

Mało tych chwil. W weekendy od rana jestem w restauracji, w poniedziałek i wtorek otwieramy o czternastej, ale na ósmą wyprawiamy Olafa do szkoły, wieczorem Klara przysiada nad papierami i ma swoją jogę, której nie odpuści, choćby nie wiem co. Ja łapałem więcej luzu, no ale teraz piszę.

Klara prosi, żebym dzisiaj podarował sobie pisanie, targujemy się, szorując o siebie jak dwie wytarte części starej maszyny. Obiecuję, że o dwunastej będę w łóżku, sprawdzam, minęła pierwsza, więc średnio mi wyszło.

Lubię te chwile, kiedy Olaf ma ferie albo łapie przeziębienie i w poniedziałkowy poranek leżymy z Klarą w łóżku nawet do dziewiątej. Budzimy się obok siebie, uprawiamy seks, który może nie jest dziki, ale na pewno radosny, gadamy sobie, potem szykuję śniadanie – tylko dla niej, sam rano nie jem. Serek, szczypiorek, plaster łososia, pieczywo i kawa wjeżdżają do sypialni na drewnianej tacy, Klara wsuwa, traci luz, robi się syta i nerwowa, napina się przed nadchodzącym dniem.

W tygodniu chwil dla siebie mamy niewiele i wszystkie są wyszarpane: pod prysznicem, w windzie, na zakupach, w samochodzie na krótkiej trasie między centrum Gdyni a Witominem.

Kiedyś było inaczej, ale zrobiliśmy dziecko, otworzyliśmy restaurację i dopadło nas życie. Kiedyś otworzę drugą restaurację, kolejnego dziecka już sobie nie zrobimy.

Tak właśnie będzie, obiecuję żonie: rozkręcimy Fernanda i otworzymy coś jeszcze, może prawdziwą włoską knajpkę na jakimś osiedlu w Trójmieście, gdzie teraz serwują tylko wielkie studenckie pizze na grubym cieście i carbonarę zalaną wiadrem stopionego sera. Damy ludziom prawdziwe jedzenie, zatrudnimy menedżerkę, ja przyuczę kogoś do kuchni i znajdziemy więcej czasu dla siebie. Wrócą randki. Spokojne wieczory w domu. Może wybierzemy się na prawdziwe wakacje.

Klara łyka te obietnice bez popitki, radości i wiary, po prostu przytakuje. Ot, trzeba w coś wierzyć, więc obierzmy kurs na światło.

Na razie w drodze do domu rozmawiamy o matce i bzdurach, które gada. Wyrażam głośno swoją troskę: boję się, że stanie się jej krzywda, bo wysią-

dzie jej drugie biodro albo władуje wszystkie pieniądze w piramidę finansową.

– Już po zawodach – zauważa Klara, ciągle z nogami na desce rozdzielczej i wzrokiem utkwionym w czerwone światła rozmazane deszczem na szybie. – Ganiasz do niej co chwilę, zachwycasz się nią, wciskasz Olafa, pozwalasz na te głupoty, słuchasz, spisujesz. Helena kocha być w centrum uwagi i jest taka przez nas. To myśmy jej na to pozwolili.

O podłodze

Słucham o tej zwierzęcej miłości ojca i myślę sobie, że był z niego waran albo leniwy kocur, żaden tam wilk. Miłował szaleńczo, lecz w pewnych granicach.

Matka zdaje się tego nie widzieć.

Zacznę może od tego, że jak przyjechała z walizką z Pagedu na Kamienną Górę, ojca tam nie było. Miał swoje obowiązki, co jeszcze mogła zrozumieć, bo sam wiem świetnie, jaka praca jest ważna. Płaton rozpakował matkę i też poszedł.

Perspektywa wspólnego mieszkania rozpaliła wielkie nadzieje.

Matka zdawała sobie sprawę, że ojciec ma własną kajutę na okręcie i tam spędzi większość nocy. Willę przeznaczył dla niej. Ale liczyła na dłuższe wspólne poranki w soboty i niedziele, leniwe wieczory, czytanie książek i muzykę z patefonu. Niech mijają dni, miesiące, lata. Znaleźli miejsce na ziemi. Zaczęli budować życie.

Wybiegała myślami w przyszłość. Widziała pomarszczone morze za oknem i gołego starego w pościeli. Kiedy człowiek planuje, Bóg otwiera szampana.

Tego pierwszego dnia wspólnego życia postanowiła naszykować kolację. Był z tym nielichy kłopot. Płaton przywiózł jej mięso na zrazy, dobre, tylko twarde. Gotowało się trzy wieczności i matka drżała, że z niczym nie zdąży. Tatko przecież na pewno już wyciągał nogi do swojej wspaniałej dziewczyny.

Połapała się, ilu rzeczy brakuje. Nie mieli kieliszków do wina. Goła żarówka raziła szpitalnym światłem. Mimo to mama naszykowała te zrazy razem z mizerią, wbiła świeczki w wosk na spodeczkach i nastrój się zrobił jak w jakiejś Weronie. Było przepięknie, tylko stary nie przyszedł.

Brakowało jej czegoś, co odciągnęłoby uwagę od trosk i zdusiło niepokój: książek, gazet, rozmów z rodzicami. Wszystko to zostało na Pagedzie.

Matka patrzyła na stygnące jedzenie i co chwilę wychodziła przed willę, licząc, że dzięki temu tatko wreszcie wróci. Myślała o kamieniach spadających na głowy i wybuchach samochodów, a łzy spływały jej w dekolt.

Stary spóźnił się trzy godziny. Błyszczały mu oczy. Powiedział, że koledzy przydybali go w kantynie. Na taką gadkę matka podsunęła mu zimne zrazy pod nos i przypomniała, że jak ktoś kocha, to nie idzie między moczymordy.

– Jasne, że cię kocham – wypalił tatko, zdolny do dowcipu, lecz już nie do skruchy. – Jakbym cię nie kochał, w ogóle bym nie przyszedł.

– Byłam wobec niego bezbronna – wzrusza się matka.

Ojciec miał podobno włochatą klatkę piersiową, ślad po kuli pod pępkiem, mocne ramiona całe w bliznach i mnóstwo pieprzyków na plecach. Właśnie te plecy, rozszerzające się na podobieństwo tarczy, moja zmysłowa rodzicielka ukochała najbardziej, a ja rozumiem coraz lepiej, że bez pewnych informacji naprawdę mógłbym się obyć.

Idę do łazienki, biorę małe lusterko Klary, staję tyłem do lustra i liczę sobie pieprzyki. Wracam do komputera.

Rodzice leżeli pod kołdrą, matka założyła czapkę starego i jedli palcami zimne mięso. Tak najlepiej. Wokół płonęły świeczki, walały się literatki.

– *Dawaj bieżat' otsiuda* – powiedział ojciec.

To spadło nagle jak Amerykaniec. Nawalony tatko patrzył matce w oczy i gładził ją po udzie. Ta najpierw nie wiedziała, o co dokładnie mu chodzi, przecież już kiedyś odmówiła. Nie zamieszka w Związku Radzieckim.

– Ucieknijmy na Zachód. Do Niemiec. Albo do Szwecji. Nawet do Peru. Tam, gdzie nas nie dopadną.

Każdemu zakręciłoby się w głowie, więc mamie też. Trochę minęło, zanim zrozumiała, co tak naprawdę uroił sobie stary. Co to za wściekła idea? Miała rzucić wszystko?

A stary rzekł, że inaczej zginie. Stanie się z nim to samo, co z Kiryłem. Wyłowią go z morza. Wyciągną ze spalonej warszawy. Matka szukała właściwych słów i w końcu zauważyła, że tatko przesadza, bo Płaton też widział Amerykańca, a kwitnie i ciągle się śmieje.

– Płaton donosi – ostrzegł ojciec. – Na ciebie również.

Świat zadrżał, wszystko, co sobie wyczarowali, wydało się kruche. Mogę się tylko domyślać, co to właściwie znaczy. Siedzę sobie bezpiecznie

i piszę, mam jedzenie, papierosy i noc. Nic mi nie grozi, nie boję się niczego. A oni leżeli w odpicowanej willi. W ogrodzie rósł młody kasztanowiec. Z matki drwiła kuchnia wyczyszczona na błysk, ten barek i biurko, które ściągnęła dla ojca ze strychu. Spytała, po co to wszystko. Dał jej dom tylko po to, by pierwszej nocy odebrać – czemu?

Stary wyjaśnił, że willę zaczął załatwiać grubo przed Amerykańcem, stąd zamieszanie. Nie martwił się niczym, aż zabili Kiryła.

Matka chciała wiedzieć, jak właściwie wyobraża sobie taką ucieczkę i co stanie się potem. Przecież tam, w Peru, nie dadzą mu okrętu do dowodzenia.

– Potrzebuję tylko ciebie – odparł. – Wszystko inne zostawię bez żalu. Mogę gnój przerzucać, póki jesteś ty.

Cóż, kochał matkę nad życie i zrobiłby dla niej wszystko, chyba że z nieba spadnie żołnierz wrogich sił zbrojnych albo kumple zawołają na wódkę.

Leżeli dalej wśród świec, ojciec patrzył ufnie, a matka zastanawiała się, w co tym razem ją pakuje. Mówił o porzuceniu studiów, rodziców, o zostawieniu za sobą całego życia.

Dziadkowie ledwo z nią gadali, ale nie chciała zranić ich bardziej, tak mówi. Wspomina nawet, że zasłużyli na porządniejszą córkę. Nawet zła córka jest lepsza niż utracona. Poza tym miała dobre życie. Kto wie, co czeka za morzem?

Ojciec cierpliwie słuchał, podkreślając, że uszanuje każdą decyzję.

W końcu poprosiła o czas. Za dwa miesiące, w czerwcu, miała egzaminy. Mordowała się na studiach przez cztery lata, przez co babcia siedziała po nocy z gazrurką. Szkoda takiego wysiłku. Zostanie dentystką i wtedy się zastanowi.

– Wiedziałam, że Scholl mnie nie puści – tłumaczy. – Bardzo się bałam i liczyłam głupio, że sprawa przyschnie, Jedunow zapomni, sama nie wiem. Ja miałam, synku, dwadzieścia jeden lat.

W nocy nie mogła zasnąć. Obok chrapał mój brawurowy ojciec. Patrzyła na przewrócony stół, skotłowane ubrania i podopalane świeczki. Wszystko wydało się nic niewarte. Posprzątała, nalała sobie wina i wyszła na taras. Noc była chłodna.

Cienie pod willą zlewały się ze sobą, mignął człowiek w płaszczu, może i samochód, nie widziała dokładnie, bo łzy, bo huczało w głowie.

Przestraszona siadła na brzegu łóżka i tak czekała świtu.

– Zrozumiałam, że decyzja zapadła i nie mam nic do gadania. – Garbi się na fotelu. – Że jak zostanę w Gdyni, Kola ucieknie sam.

O perłach

Matka uważa, że ludzie kiedyś byli szczęśliwsi niż teraz, i wspomina wiosnę.

Całkiem to lubię. Wzrusza się trochę jak Olaf, którego cieszy byle ptak i łódka. Mama przechyla się ku przodowi, splata dłonie i czule peroruje o ludziach, co poszli w piach, i o potopionych okrętach.

– Wiosna w Gdyni jest najpiękniejsza i nawet mieszkańcy bywają dla siebie mili – słyszę.

Tutaj pełna zgoda. Nic piękniejszego nad moje miasto. Choć matka, kiedy to mówi, sprawia wrażenie, jakby zwiedziła cały świat, od Zgorzelca do Pernambuco.

Pod koniec kwietnia w Gdyni pojawiły się dziwne zwierzęta: sztuczny koń z bryczką, drewniane boćki wielkie jak krowy i potwór z masy papierowej zalanej woskiem, coś jak diabeł skrzyżowany z niedźwiedziem. Dzieci właziły na tę szkaradę i błagały rodziców o zdjęcie.

Właściciel menażerii miał aparat fotograficzny na trójnogu i brudne paluchy stworzone do mnożenia drobnych.

Skoro już przy dzieciach: po mieście ganiały całe watahy, najczęściej przy kramach i krzywych karuzelach, całe stada w beretach, za krótkich spodniach na szelkach i spranych koszulinach. Kalosze grzęzły im w błocku. Zniszczone auta i zdewastowane wille udawały bunkry, patyki robiły za karabiny.

– Wszędzie brzmiało to ich „ta-ta-ta”. – Matka pokazuje, jak strzelało się z drąga, i dodaje ze smutkiem, że czasem przegniły strop zawalił się pod dzieckiem. Stało się tak na przykład w willi Szczęść Boże, pełnej niewybuchów.

Dzieciaki najbardziej lubiły wesołe miasteczko przy morzu. Leciały do balonów, słomianych lisów i wagoników z drewna, właziły do ciężkich gondoli diabelskiego młyna, aż wyganiał je stamtąd jakiś podchmielony chłop. Kaszlały wiatrówki, darły się mewy, piały gliniane koguty.

Matka wszystko wspomina czule, nawet procesję pierwszomajową.

Pamiętam takie z dzieciństwa, kiedy już nikt nie wierzył w żaden komunizm. Wisiały smętne czerwone sztandary, a znudzeni harcerze deklamowali wiersze o rewolucji.

Wybrała się do Gdańska, na Wały Jagiellońskie, bo chciała zobaczyć starego na trybunie. Stanęłaby tam razem z nim, gdyby tylko mogła.

Dzień był jasny. Przejechała kolumna traktorów oraz przedziwny pojazd obłożony przez sosnowe gałęzie. Sterczał z nich wyszczerzony małpi łeb w gwiaździstym cylindrze. Do czoła przytroczono wstęgę z napisem GŁOS AMERYKI WROGIEM CZŁOWIEKA PRACUJĄCEGO.

Przemaszerowali ulicą uczniowie w białych koszulach i czerwonych krawatach, za nimi pielęgniarki i marynarze, kolorowi chłopi, stoczniowcy i goście z Ligi Przyjaciół Żołnierza, a także ormowcy, uczniowie szkoły sportowej i zawodówki skórzanej w Chyloni oraz inna hołota. Stary błogosławił im niby ojciec święty.

Obok prężył się Jedunow, poważniejszy niż grabarz, w oficerskim mundurze. Wyleczył już zgniecioną rękę. Towarzyszyło mu paru innych wojskowych, partyjniacy, rektorzy, tacy ludzie. Mama wznosiła się na palce, zadzierała głowę i podziwiała ojca, tego półboga, cała zachwycona, otumaniona barwami i słońcem, w łoskocie proporczyków i ryku pieśni patriotycznych.

Nie ona jedna. Obok stała dziewczyna Jedunowa z balangi w klubie garnizonowym. Wymieniły spojrzenia, dwie kochanki żonatych mężczyzn, śmiertelnych wrogów – matka poczuła nawet coś na kształt bliskości.

– Współczułam jej mocno, ale krótko, tak jest najzdrowiej.

Ta od Jedunowa miała sznur pereł, kubek w kubek jak ten babci z Pagedu. Matka pożyczała go czasem, więc wie.

– Nie ma siły, były to te same perły – podkreśla. – Nie jakieś podobne.

Tamta chyba pojęła, co się święci, bo wepchnęła perły za dekolt sukienki i zniknęła w tłumie.

– Dobrze zrobiła, szmata – słyszę. – Zdarłabym jej perły i podbiła drugie oko.

Tak właśnie wygląda świat mojej starej matki. Służby bezpieczeństwa kradną klejnoty rodzinne z robotniczych szuflad. Naprawdę nie mogę z tym szajsem, wolę już, jak matka nawija o spacerach.

Podobno dużo chodzili. Stary miał nogi jak czapla, matka króciutkie, więc drałowała ostro, on sobie radośnie maszerował.

Raz się wybrali, na ten przykład, do Rewy przez plac Kaszubski, gdzie kurewki ćmiły szlugi bez filtra i wołały ojca, żeby zostawił matkę, a wtedy one pokażą mu fikoły, co się zowie.

W osadzie rybackiej czekały szachulcowe domki, chatki o pogiętych dachach i krzyż, co błogosławił żeglarzom wyruszającym na połów. Stary kupił wędzoną rybę i pociągnął mamę ku plaży, wzdłuż drewnianej palisady i torów. Rybacy wciągali wózki pełne dorszy i szprotek na szczyt pagórka.

Myślę o rodzicach nad wodą, jak idą, trzymając się za ręce, o młodej mamie, co brodzi w mokrym żwirze i unosi sukienkę.

Na Babich Dołach płonął czołg.

Mieli tam taki, przeznaczony do celów ćwiczebnych, ustawiony na szynach prowadzących w wodę.

Tego popołudnia banda pijanych płetwonurków obrzuciła czołg koktajlami Mołotowa. Zmyli się akurat, gdy nadciągał mój stary wczepiony w matkę.

Rodzice przystanęli, ciągle trzymając się za ręce, spoglądali na ogień tańczący po przerdzewiałym pancerzu, a nad ich głowami śmigały odrzutowce.

Latem wybrałem się tam z Olafem. Krzyż ciągle stał, tory rdzewiały, ale próżno było szukać rybaków, nie było też żadnego czołgu.

Niedaleko za tym czołgiem mieli swoje magiczne miejsce, taką polankę pod lasem z widokiem na torpedownię. Ta torpedownia to zniszczony kolos sterczący z wody jakiś kilometr od brzegu, betonowy kloc obesrany przez mewy, ale kto wie, może w czasach rodziców do czegoś się jeszcze nadawał.

Zbudowałbym tam hotel z restauracją, gdyby tylko się dało.

Rodzice zmęczeni spacerem usiedli, napili się piwa i jedli szprotki uwędzone tak, że kruszyły się w ustach. Matka wycierała tłuste palce w łopiany, żeby nie pobrudzić sukienki. W końcu ruszyli brzegiem dalej, aż na Cypel Rewski, zmęczeni i trochę podchmieleni, a spłoszone żurawie, perkozy i kormorany wzbijały się z krzykiem w powietrze. Na miejscu czekał zadowolony Płaton w warszawie.

– Nie ufałam mu już – zaznacza matka.

Z willi mieli blisko na Kępę Redłowską. Kawałek dalej czekała Grota Marysieńki z niezłym widokiem na Hel i Zatokę. Wałęsali się po molo w Orłowie, gdzie stary malarz trzaskał akwarele z żaglówkami. Ojca nie obchodziło ani to, ani nawet ruiny posiadłości królewskiej przy Potoku

Kolibkowskim, za to marudził w rejonach basenu na Polance Redłowskiej. Przystawał i gapił się na plażę. Zapalał papierosa, oczy mu się szkliły.

Właśnie tutaj spotkał Amerykańca.

Wtedy, w maju, plaża była ciepła i nikt po niej nie pełznął. Psy ganiały za patykami, ryjąc łapami w piasku. Może wśród nich był Liliput?

O jej spojrzeniu

Nakładam sobie śledzie na talerz, minęła druga w nocy, nie jestem senny ani zmęczony, znam przecież pracę do świtu i wiem doskonale, jak będzie: nad ranem pójdę do łóżka, nie zasnę, pokręcę się w pościeli z walącym sercem, wstanę, zrobię sobie kawy i przez pierwszą połowę dnia nawet nie będę zmęczony: brudne poty, zawroty głowy, złe myśli przyjdą wczesnym popołudniem i już zostaną, będę wściekły, będę złośliwy.

No ale muszę pisać, czuję nawet, że robię coś dobrego, jakbym waląc w klawisze, patrzył dalej, myślał jaśniej, rozproszone wydarzenia nawlekają się na sznurek.

Ojciec jest blisko, niemal stoi tutaj jak duch.

Tymczasem w kuchni pojawia się kto inny. Klara przystaje w progu, ma tę swoją ulubioną pidżamkę w paski i zaspane, chmurne oczy. Siedzę już nad komputerem, obok mam talerz śledzi, nie jem ze słoika, tak jak prosiła, tłuste palce zastygają mi nad klawiaturą.

Znam jej wzrok aż za dobrze, zamyka Klarę w ciszy. Żona rzadko mówi, co jej leży na wątrobie, uważa, że sam powinienem się domyślić, z reguły się nie domyślam, ale teraz jest inaczej. Mówię, że niedługo skończę i przyjdę do łóżka, tak jak obiecałem. Owszem umówiliśmy się, miałem nie zarywać nocy, ale materiału do spisania mam dużo, stąd ta zwłoka, zostało parę krótkich fragmentów i przyjdę do łóżka.

– Nawet nie zauważysz, kiedy przyjdę. Śpij, Klopsiku, bądź wypoczęta.

Klara nie odpowiada, choć wie, jak bardzo potrzebuję jej słów. Patrzy na mnie ze starą małżeńską pretensją, znajomą jak Bałtyk, stoi jeszcze chwilę i zamyka za sobą drzwi.

O pistolecie

Stary zabierał mamę na pikniki, w tym jeden szczególny.

Miał dwa koce, poduszkę i wiklinowy kloszyk, do którego zabronił zaglądać.

Pojechali na Krykulec, gdzie kwitła dzika róża i straszyły pozostałości drewnianej leśniczówki. Zostawili Płatona z warszawą przed kamiennym wiaduktem i stamtąd ruszyli na butach przez ciemny przesmyk, poboczem i dalej leśną ścieżką.

Ojciec, poważniejszy niż zwykle i bardziej ponury, rozłożył koce na trawie. Poduszkę przytroczył do sosny, mniej więcej na wysokości maminej głowy. Ta zastanawiała się, o co chodzi, a on, jak gdyby nigdy nic, wydobył z kosza butelkę, dwa kieliszki, chleb, salceson i masło.

Matka siedziała na kocu, próbowała się odprężyć. W zamian stary podsunął jej pistolet pod nos.

Właściwie wyłuskał go nabożnie ze szmat cuchnących smarem. Pistolet miał długą lufę i chwyt wykonany z drewna, w którym cudnie wyrżnięto kotwicę i gwiazdę.

– To bałtijec – rzekł stary, jakby chodziło o relikwię wielkiego świętego, palec, kutasa czy coś. – Na całym świecie jest piętnaście takich.

Zdaniem matki mężczyźni byliby mniej śmieszni, gdyby nie ich miłość do przedmiotów. Chodzi o broń, wieczne pióra. Moje noże również.

Wtedy na polanie stary chciał ją nauczyć strzelania. Pytała po co, nie chciał powiedzieć.

Ostrożnie sięgnęła po bałtijca. Stary butem rozsunął jej stopy i pokazał, jak się trzyma broń w obu dłoniach, z palcem wskazującym na obręczy spustu i kciukiem nieco wyżej. Zaparła się, jakby chciała wrosnąć w ziemię, i szarpnęła za spust, pewna, że trafi w cel – jak nie ona, to kto?

Huknęło. Wylądowała na ziemi, upuszczając spluwę. Stary podniósł ją, zadbał, by znów przyjęła właściwą postawę, i otoczył ramieniem, delikatnie ujmując dłonie z pistoletem. Pachniał papierosami, wódką i przemysławką.

Pistolet kołysał się, matka przez szczerbinkę chwytała zamglony cel.

Opróżniła magazynek i poprosiła o następny. I jeszcze jeden. Piekły ją nadgarstki. Trzepotały liście, kora odpryskiwała od sosny, lufa rozgrzała się jak czajnik, aż stary zaczął prosić, żeby mama dała sobie spokój, jeszcze zastrzela mu ten pistolet.

Wreszcie w poduszce pojawiła się upragniona dziura. Matka z rozpędu zrobiła dwie kolejne. Dumna oświadczyła ojcu, że jest teraz lepszym strzelcem niż on.

W odpowiedzi stary wyjął broń z jej obolałych palców, złożył się, strzelił w kwiat dzikiej róży, poszedł w te chaszcze i wrócił z kwiatkiem.

Zawsze zwyciężał, taki właśnie był.

– Dziwne, bo przeczuwałam, że to strzelanie się przyda – wspomina mama.

Stary, jak twierdził, dostał tę spluwę za cztery ziemniaki.

Podczas oblężenia Leningradu przemycał jedzenie po zamarzniętym jeziorze, po Ładodze. Nachodzili go ludzie oszalali z głodu, grozili śmiercią i całowali po butach, a on odmawiał, bo nie miał z czego dać.

Wśród nich znalazła się tokarka, młoda matka czworga dzieci o wyglądzie staruchy. Gadała o tych dzieciach tak długo, aż ojcu zmiękło serce i dał jej cztery ostatnie ziemniaki. W zamian ofiarowała mu pistolet, bezcennego bałtijca. Wyniosła go z fabryki. Swoją drogą, za coś takiego mogła zarobić kulkę.

Stary odmówił prezentu, tłumaczył, że ten jest wart więcej niż kartofle, mijając się trochę z prawdą. Tokarka klęknęła i wyznała, do czego potrzebowała tej broni.

Chciała zabić siebie i dzieci, ojciec dał ziemniaki i już nie musiała tego robić, ale, tak mówiła, niedługo znowu będą bardzo głodni i wtedy już się nie zawaha.

No i stary wziął tę broń, co tu dużo gadać.

Może dlatego strzelał z niej do kwiatów?

O egzaminie

Mamę kocham za wiele rzeczy, w tym za stosunek do Boga i świętych.

Większość staruszek dyma do kościoła, jakby wciąż mogły grzeszyć. Mama uważa, że jesień życia lepiej spędzić w knajpie i wśród bliskich i trudno się z tym nie zgodzić.

Prędzej kreta oślepi słońce niż ją blask wiary, że tak powiem.

Nie walczy z religią i nie kłóci się z księżmi, pozostaje wobec spraw ducha doskonale obojętna. Przypomina w tym względzie głuchego przywleczonego na festiwal orkiestr dętych. Trąby ryczą w ucho, on nic.

– Zostają po nas tylko opowieści – mówi i się z tym zgadzam, dlatego też piszę, choć przecież mama cieszy się świetnym zdrowiem mimo biodra i wieku, a Olaf żartuje, że jeszcze zatańczy na jego weselu.

Nie ochrzciliśmy go, nie mamy ślubu kościelnego, wszystko dzięki mamuni.

Kiedy straciła wiarę? Może już w liceum urszulanek? Spójrz na zakonnicę, a zwątpisz w miłosierdzie Boże. Nie zdziwiłbym się, gdyby nastąpiło to ciut później, gdy ludzie opluwali jej buty w kościele na Oksywiu. Tak czy inaczej, wyszło dobrze, bo z Bogiem w sercu byłaby okropna.

Klara mówi, że matka czci samą siebie, dlatego żadnego Boga nie potrzebuje.

Ale tamtej wiosny modliła się do świętej Apolonii, patronki dentystów, do Tadeusza Judy od spraw beznadziejnych i samego diabła, żeby tylko zdać protetykę.

– Ze strachu mieszało mi się w głowie – wyznaje. – Myślałam: skoro Bóg strącił biednego Amerykańca, czemu miałby mi pomóc z egzaminem?

Zakuwałaby więcej, tylko nie miała gdzie i kiedy, żałowała nawet wyprowadzki z Pagedu. W willi szarogęsił się stary. Przyjeżdżał, kiedy chciał, i dosłownie odganiał ją od podręczników. Piłowała grube broszury o bułgarskich chirurgach i osadzaniu trzonowców z porcelany, wkuwała nazwy stopów miedzi, srebra, złota i cyny, a tatko łaknął uwagi i wyrywał jej książki.

– Ciągle chciał się kochać – słyszę. Mam na końcu języka: mamo, przestań. – Powtarzał, że na pewno zdam, bo jestem bardzo zdolna, i ten stary cymbał Scholl nie będzie miał wyjścia.

Z pomocą przyszedł nikt inny jak Zorro. Stawiał się wieczorem na praktykach, puszczał przed sobą innych pacjentów i zamykali się we dwoje, on w tym swoim niedorzecznym stroju, matka w zakrwawionym fartuchu. Robiła mu z zębem, a jak skończyła, Zorro otwierał *Zagadnienia z zakresu stomatologii zachowawczej* i przepytywał, plując kawałkami zajuszonej ligniny.

Jak odbudować zrąb zęba? A jak projektujemy zasięg komory dolnej od strony języka? Co tam w świecie wkładów kompozytowych, które Scholl

tak lubił? Wałkowali te cuda, matka powtarza pytania słowo w słowo, jakby zdawała wczoraj, twierdzi zresztą, że protetyka jest wspaniała, bo polega na przywracaniu piękna. Wstawiasz ząb i pacjent zaraz bardziej siebie lubi.

Prócz tego gadali o raku jamy ustnej, kiedy odpada cała żuchwa, i topili srebro jak heroinę. Matka miała trochę kruszcu i foremki, Zorro podsuwał palnik acetylenowy. W tym słabym płomyku jego twarz stawała się stara i tajemnicza. Srebro topniało na łyżce, spływało do foremki i stygło jako ząb.

Matka hamletyzowała, że nie zda mimo tej pomocy, rozczaruje rodziców, a i Zorro będzie zawiedziony. Bała się, że skończy jako pomywaczka i stary ją rzuci, bo po co miałby się prowadzać z kocmołuchem.

Tuż przed egzaminem Zorro przyszedł skwaszony. Trochę minęło, nim wyznał, co go trapi. Mówił o złowrogich cieniach i ludziach w długich płaszczach. Śladem jego roweru podążała znajoma biała pobieda. Matka powiedziała mu prawdę, że to jej wina. Poradziła, żeby został na trochę w domu, porzucił nawet kostium.

– A kiedy ty se dasz spokój? – zapytał moją młodą, przerażoną mamę, potężnie zresztą wkurwiony. – Najprościej: tańczyć, jak głupi ludzie grają. Ja inny nie będę.

Zorro twierdził, że oboje są wyjątkowi, a matka pokona każdego wroga i zmiażdży wszelkie przeszkody. Na dobry początek postanowiła mu pomóc i spytała ojca, czy mógłby go ocalić. Zorro to szaleniec, ale nieszkodliwy, niech mu odpuszczą, skierują gdzieś indziej tę pobiedę, na dobrą sprawę ten facet nie ma z nią nic wspólnego.

Ojciec, wszechpotężny burzyciel murów, poinformował matkę, że może się nie martwić, sprawa załatwiona, wariatowi darują.

Matka podziękowała i półżywa powędrowała na egzamin.

Przed wejściem, na Orzeszkowej, czekał Wacek w nowiutkiej syrence, otoczony wianuszkiem studentek. Nikt się do mamy nie odezwał. Z gabinetu co jakiś czas dobiegał łoskot rzucanych indeksów. Budynek opuszczali studenci o purpurowych uszach i czerwonych nosach spuszczonych na kwintę. Groza, normalnie jak przed rozstrzelaniem.

Klara kiedyś opowiadała, że też miała takiego jednego chujka na tej swojej socjologii. Studentki mdlały ze strachu. Dla mnie niepojęte, prędzej jebnąłbym typowi indeksem prosto w ryj.

Tuż przed wejściem mamę opuścił lęk. Co ma być, to będzie, pomyślała.

Na jej widok Scholl podniósł się zza biurka, znieruchomiał, podobny trochę do krogulca złapanego w pętlę, i klapnął z powrotem na krzesło. Zapytał o poporodowy rozwój narządu żucia i szlifowanie zębów pod mostek, matka zaczęła odpowiadać, a on przerwał po paru zdaniach. Kiwnął palcem po indeks.

Wpisał ocenę i pchnął ten indeks delikatnie przez stół. Matka dostała piątkę. Egzamin trwał parę minut, Scholl nie powiedział ani słowa, a stary w domu oberwał ścierką przez łeb.

Ścierka była mokra i spleciona w gałgan, chętnie dodam, stary osłaniał się łokciami, co niewiele dało. Mama lała go zdrowo, bo przecież zdałaby ten egzamin sama, bez żadnej pomocy.

O babci

Stara fotografia: babcia stoi na karuzeli, w sukience z pozaszywanymi kieszeniami, nogę unosi wysoko, na palcu kołysze się bucik. Wiatr mierzwi jej włosy, babcia śmieje się jak młoda dziewczyna.

Czysta radość, wolna od lęku przed nieznaną przyszłością.

– Żałuję, że jej takiej nie znałam – mówi mama.

Ta babcia, którą znaliśmy oboje, gotowała obiady, mieliła kawę i przesypywała ją do puszki, żeby dziadek rano miał świeżą i się nie wściekał. Najczęściej widziano ją z miotłą, ze szmatą i z kijem do strząsania pajęczyn. Kolana poczerniały jej od szorowania podłóg, od pastowania i froterowania.

Pamiętam staruszkę o szerokiej twarzy i palcach boksera.

– Bałam się, że będę miała takie dłonie i skończę też jak ona – opowiada matka, z wyraźną pretensją do samej siebie. Dłonie wciąż ma drobne, aż dziwię się, jak utrzymała pistolet.

Po wyprowadzce odwiedzała dziadków mniej więcej raz w tygodniu. Były to krótkie i przykre wizyty. Przemykała przez Paged jak złodziej. Rozmowa z dziadkami szła opornie, siekiera, choć schowana, wciąż wisiała w powietrzu.

Na przykład babcia raz zapytała, czy mama była na Pagedzie podczas ich, dziadków, nieobecności. Ktoś skotłował ubrania w szafie, namieszał w stosach „Przekrojów” i „Przyjaciółek”, co gorsza, przepadł sznur pereł. Matce przypomniał się pierwszy maja. Przysięgła babci, że niczego nie

wzięła. Ta odpowiedziała nieufnym spojrzeniem i orzekła, że chyba mają duchy.

Żeby było ciekawiej, te same upiory zawędrowały do Domu pod Murzynem. Matka zastawała otwarty barek i krzywo ustawione buty. Na podłodze w sypialni powstało wyżłobienie, jakby ktoś próbował przesunąć łóżko. Przyszła z tym do ojca. Ten stwierdził, że to przez fikoły, ale nie było mu do śmiechu.

Babcia ciągle znikała, często i na długo. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Doszło w końcu do awantury, kiedy dziadek zderzył się z sąsiadem od królików. Chłop akurat targał do klatki płócienny wór z sianem, zrzucił go z pleców i zagadnął:

– Co, sąsiedzie, żonka nie wraca ranki i wieczory?

Na to dziadzio chwycił szmaciarza za fraki i pierdolnął nim o ścianę, aż się szyby zatrzęsły. Gość się dławił i majtał nogami w powietrzu. Pospadały mu buty. Dziadek wziął je i rzucił do wielkiej kałuży przed blokiem. Sąsiad śmiesznie wyglądał, jak po nie szedł, a były to eleganckie trzewiczki ze świńskiej skóry, sprowadzone aż z Bydgoszczy.

Dziadek ciągle wieszczył ciężką chorobę, uważał, że romans matki z Ruskiem otworzył worek nieszczęść, Bóg przeklął Kreftów i zsyła plagi, nawróć się lepiej, córuś.

Matka miała gdzieś tę paplaninę, ale też chciała wiedzieć, dokąd babcia tak chodzi. Zaczęła w marcu, kończył się czerwiec, cała wiosna upłynęła z tą tajemnicą.

Wreszcie matka zebrała się w sobie i poszła lasem pod hotel robotniczy. Czuła się ponoć fantastycznie, jak szpieg, normalnie kapitan Kloss z zadartym nosem i w kropkowanej sukience.

Babcia wyszła z budynku z papierosem i siatką. Poczłapała na przystanek autobusowy przy Nasypowej. Mama podążała za nią schowana za płotem bazy paliw marynarki wojennej, potem skryła się za budką z piwem po drugiej stronie ulicy. Obserwowała, jak babcia gada do siebie i walczy z wiatrem, który strącał jej ogniki z zapałek.

Wsiadły do autobusu, jedna z przodu, druga z tyłu. Matka bała się, że babcia ją zobaczy, i narzekała na ścisk.

– Odwykłam od tłoku i smrodu dzięki Koli.

W centrum babcia wskoczyła do eskaemki i wysiadła dopiero we Wrzeszczu. Przecięła drewniany peron. Stanęła przy placu budowy i zastygła z zadartą głową, patrząc na dźwig. Mama wciąż podążała za nią.

Wieczór. Nad Domem Towarowym i nad Morską jaśniały neony, Anna Walentynowicz w wielkich brylach szarpała się z dzieckiem przed samoobsługowym, Januszek tupał i piszczał, że chce kokosa z palmy, matka tłumaczyła, że będzie gówno, a nie kokos, oto i życie. Babcia minęła ich bez słowa. Nie wiedziała, kim jest Anna, odpamiętała ją później, już w latach osiemdziesiątych.

Zatrzymała się nieopodal, przed zakładem naprawy radioodbiorników. Odłożyła siatkę, zastygła. Obok stało jeszcze parę zaczarowanych osób.

Na wystawie mrugał obły telewizor Neptun. Leciał koncert muzyki poważnej, bez dźwięku. Babcia wbijała weń wzrok, urzeczona. Tyle ocaliła z marzeń, z dobroci świata.

Przykładała dłoń do ust, a jej oczy znowu należały do zachwyconej panny na karuzeli.

– Chciałam ją objąć – szepcze mama, jakby babcia wciąż stała tuż obok. – Postałybyśmy sobie razem. Szybko zrozumiałam, że tę chwilę, ten kawałątek ma tylko dla siebie. Zawstydziłabym ją, spłoszyła. Nie przyjechałaby tutaj więcej.

O śledziach

Nawet nie wiem, ile napisałem, nie czytam, nie wracam, po prostu pędzę, żeby zrzucić tę historię z barków i znów normalnie żyć.

Miarą mojego wysiłku są śledzie.

Odkąd słucham matki, siedzę do rana i spisuję jej brednie, spałaszowałem, lekko licząc, cztery kilogramy śledzi. Chłopy umierają od wódki, fajek i czerwonego mięsa. Klara twierdzi, że mnie zabije ryba słonowodna.

Nic nie poradzę, że tak uwielbiam śledzie. Inni kochają owoce morza albo sushi, ja umiłowałem tę wspaniałą rybę.

Śledź pomaga mi myśleć, kochać i pracować.

Śledź w sosie tatarskim, z jabłkami, z kurkami i po wiejsku, śledź z mango, śledź smażony, śledź w oleju, śledź w śmietanie.

W dzieciństwie ciągnąłem matkę na przystań i wyglądałem kutrów. Taki cumował, a rybacy w błyszczących kurtkach i głębokich kapturach, w butach z cholewami i swetrach sztywnych od soli wielkim wysiłkiem wciągali na brzeg sieci z trzepoczącym się srebrem. Śledzie czepiały się

oczek jak ozdoby, żywe bransolety, piękniejsze niż bajki Disneya puszczane z kaset na magnetowidzie.

Co jakiś czas, zwykle w poniedziałki, jadę na targ rybny do Pierwoszyna i tam wybieram śledzie na nadchodzące dni. Biorę solone, matiasy do przyrządzania w oliwie i occie, wędzone i piklingi, które można pałaszować palcami, oraz najzwyklejsze w świecie surowe, jasne płaty mięsa oprawione w błyszczący klejnot łuski.

Muszę uważać, bo często kantują na śledziach.

Zepsuty śledź daje amoniakiem i siarką, u świeżego mięso balansuje między bielą i żółcią, poza tym mocno trzyma się ości.

Biel śledzia jest domem wszelkich barw. Te ryby podane po kaszubsku, z cebulą i gorczycą, zachwycają śmiałą czerwienią. Z ogórkiem, w zalewie curry, kojarzą się z wczesną wiosną, kiedy spod śniegu wyłania się trawa. Grzyby nasycają je brązem, jogurt grecki miękką barwą kremu, mieni mi się rybka, obraca w bajecznej karuzeli.

Jemy śledzie od jakichś trzech tysięcy lat. Są starsze niż filozofia.

W średniowieczu Francuzi krwawo lali się o te ryby z Brytolami. Mogę to zrozumieć, bo sam wojuję z Klarą.

W kuchni i na balkonie ciągle rozstawiam garnki i miski, moczę swoje śledzie. Doglądam ich przez cały czas, kiedy jestem w domu, wymieniam wodę, mleko albo maślankę. Śledź przyszykowany w ten sposób zyskuje na kruchości. Zdaniem Klary i Olafa chałupa śmierdzi, jakbym pod podłogą trzymał wieloryba, a jeśli zdarzy mi się otworzyć puszeczkę ze szwedzkim kiszonym śledziem, żona mówi, że to przemoc, i grozi rozwodem.

Błądzą jak ślepcy. Zapach śledzi to niska cena za ich rozbuchane piękno.

Nie napisałbym słowa, gdyby nie one. Klepię w komputer jak wariat, obłożony przez słoiki, talerze, ceramiczne miseczki i deski do krojenia pieczywa. Na stole zaschły plamy, klawiatura jest tłusta, goni mnie złowroga sytość.

Nawet teraz sobie zjem. A co.

Popatrzmy.

Przede mną na talerzu, lśniąc olejem i półksiężycami cebuli, śledzie układają się w kształt słońca lub tarczy dzielnego wikinga. Głowy i płetwy spłynęły już do Walhalli, reszta zatrzymała się w naszym świecie, aby zostać posiłkiem kucharza owładniętego pierdolcem matki i własną bezsennością.

Z drżeniem, ale i obawą zagłębiam nóż w jednym kawałku, odsłania się białe mięso i zaraz w moich ustach rozpływa się ten niepowtarzalny smak, lekko słony, ale i słodkawy, jakby nieszczęsny sułtan Bałtyku zgasł gdzieś w wodach przybrzeżnych, blisko ujścia rzeki. Zatracam się w nim zupełnie, znika kuchnia i czerwone słońce świtu, mknę teraz radośnie przez morskie głębiny, nade mną mrok, pode mną zgniłe maszty okrętów, wokoło olśniewający pobratymcy. I już. Mój druh, moja tarcza smakowa, co broni mnie przed światem, przepadła.

Talerz jest jak pusta kołyska.

Żegnaj, mój srebrnołuski przyjacielu!

O pustce

Olaf wchodzi i pyta, czy mam pasożyty.

Zaczął czwartą klasę, ma biologię, więc uczy się o tasiemcach i motylicach wątrobowych.

Nie zauważyłem, że nastał ranek. Pisałem, a tu syn stoi w drzwiach, już ubrany, w bluzie z Cropa i dresowych spodniach. Patrzy przejmująco ciemnymi oczami na pół twarzy i zagaduje o te pasożyty.

Kurwa mać, zapomniałem o śniadaniu i o herbacie też, przepadł nasz poranny rytuał.

Przepraszam i mówię, że nic nie wiem o żadnych tasiemcach. Jestem zdrowy koń, czuję się doskonale. Co mu w ogóle strzeliło do głowy?

– Bo ja widzę, tato, że ciebie coś zjada od środka – odpowiada. – Z zewnątrz jesteś jak zawsze, ale wewnątrz robisz się pusty. Coś tam cię podgryza i boję się, że będziesz niedługo całkiem zjedzony. Zostaniesz na wierzchu, a w środku nie będzie nic. Sprawdź, czy nie masz tasiemca, tato – prosi, poważny, jak tylko dziecko potrafi.

Robię mu jedzenie. Idzie do szkoły.

O zemście

Ta historia czegoś dotyka, matka przeplata prawdę i kłamstwa, wymyśla farmazony, by skryć rzeczy ważne, w końcu musi jej o coś chodzić. Moim

zdaniem o wieczór w kinie Leningrad, gdzie odbyły się wybory tej najmilszej.

Serio myślała, że ojciec ją tam zgłosił. Nie poszedł z nią, bo miał urwanie głowy przez wizytę duńskich okrętów. Przypłynęły trzy, w pokojowych zamiarach, i narobiły większego zamieszania niż pancernik „Schleswig-Holstein".

Co było, a czego nie było?

Matka wsiadła na ojca, że najpierw ładuje ją w jakiś kretyński konkurs, a potem idzie w tango ze skandynawskimi oficerami. Stary bardzo się zdziwił, bo nic nie wiedział o żadnym konkursie, po czym odkorkował flaszkę. No dobrze, więc jeśli nie on ją zgłosił, to kto?

– Mężczyźni znikają zawsze, gdy są najbardziej potrzebni – poucza mnie matka. Od dawna jestem jedynym mężczyzną w jej życiu.

Do kina Leningrad pojechała sama, skromnie odziana w białą koszulę i spódnicę z beżowym paskiem. Konkurentki miały włosy zaczesane na boczek, broszki, pierścionki i inne duperele.

Dziewczyn była szóstka, wliczając wkurwioną mamę. Fryzjerka wzięła je w obroty, po garderobie kręcili się dziennikarze, a na scenie przed pełną salą produkował się nikt inny jak Janusz Christa. Rysował marynarzy na wielkich kartonach i strząsał sobie popiół z kiepa na kolana.

Widzowie tupali i machali banknotami, tak chcieli kupić te rysunki.

– Pojechałam tam, żeby wygrać. – Matka trzaska szufladą biurka. – W końcu nikt nie jest tak miły jak ja.

Nie losowano numerów, tylko kolory, matce trafił się czerwony. Wyszła na scenę jako piąta i tam mina jej zrzedła, bo imprezę, prócz dwóch gości z teatru Bim-Bom, prowadził Zbyszek Cybulski, wówczas u szczytu sławy, coś jak Dorociński teraz. Sala była pełna, tylne rzędy ginęły w mroku.

Ci dwaj z Bib-Bom wzięli ją w obroty. Pytali o najsłynniejsze teatry operowe, o polskie filmy, o wady kobiet i mężczyzn. Matce to odpowiadało, bo spodziewała się, że wbiją ją w kostium kąpielowy i każą potrząsać cyckami.

– Potraktowali mnie prawie jak człowieka – mówi.

Musiała jednak na tej scenie usmażyć jajecznicę. Cybulski zaraz wpieprzył całą, matce ciśnienie skoczyło.

Ci z teatru studenckiego znaleźli zadanie aktorskie. Po to właśnie wzięli Cybulskiego. Inne dziewczyny też takie dostały. Udawały, że jeżdżą tramwajem albo pracują w sklepie. Cybulski wcielał się w pasażera na gapę, klienta, kogoś takiego.

Tu wymyślili, że matka będzie szeregowcem, on wrednym kapralem, który urządza musztrę.

W mamie się zagotowało, zaproponowała zamianę ról: ona będzie kapralem. Cybulski, obżarty jajecznicą, ochoczo się zgodził. Na swoje nieszczęście.

Położył się na scenie, udawał, że śpi, a matka spacerowała z dłońmi złączonymi na plecach. Trąciła Cybulskiego butem, wrzasnęła, czemu ma czelność kimać, skoro wróg szykuje atak na spokojną socjalistyczną ojczyznę. Tłumaczył się, dukał. Zarządziła przysiady i pompki, po dziesięć w serii, aż Cybulskiemu jajecznica zadzwoniła o podniebienie. Ponoć patrzył błagalnie, okulary zsuwały mu się z mokrej twarzy.

Przegoniła go jeszcze wokół sceny. Publiczność zerwała się z krzeseł, żeby lepiej widzieć, jak studentka maltretuje Cybulskiego. Co do matki, w tej krótkiej chwili była przeszczęśliwa i żałowała tylko, że nie umie gwizdać na palcach.

Ten jeden raz zbieram się na odwagę i bardzo ostrożnie kwestionuję prawdziwość tej opowieści, no bo matka skacząca po Cybulskim jest równie prawdopodobna, co UFO nad Gdynią.

– A wiesz, że tańczyłam z Kennedym? – słyszę.

Ręce opadają.

Tu jednak kończą się śmiechy. Cybulski zwalił się na stołek i pił tak, że woda ciekła mu po brodzie, a matka stanęła przed spowitą mrokiem publicznością. Serce łomotało jej ze szczęścia i czuła, że wygraną ma w kieszeni.

Wtedy z tylnego rzędu podniósł się Wacek i ryknął:

– Ruska kurwa! Ta szmata puszcza się z sowieckim garnizonem!

Za nim wstawali następni. Koledzy i koleżanki z roku, ich towarzystwo, jacyś docenci i ciecie ze stomatologii, nawet ludzie z Pagedu, Wacek ściągnął, kogo mógł. Dołączali do chóru. Tupali, bili dłońmi w oparcia. Ruska kurwa, ruska kurwa, niosło się po kinie.

Przynajmniej wiemy, kto ją zgłosił.

Z foteli podnieśli się nawet ci, co wcześniej bili brawo. Teraz krzyczeli.

Moja mama dalej stała na brzegu sceny, jak ochlapana kubłem krwi. Ruska kurwa, ruska kurwa. W tłumie i mroku każdy jest mocny.

Tkwiła chwilę w tym wrzasku, odwróciła się i bardzo powoli, nie okazując strachu, opuściła scenę. Kino drżało, ryk publiczności niósł się za kotarę. Mama wciąż szła powoli, z wysoko uniesioną głową. Zderzała się

z ludźmi, którzy biegli sprawdzić, co się dzieje. Zabrała swoje rzeczy z garderoby.

Dopiero przed kinem, wolna od spojrzeń, pobiegła na oślep.

O masce

Następnego dnia Zorro nie stawił się w gabinecie na Dębowej, choć byli umówieni. Matka doszła do wniosku, że zobaczył w niej ruską kurwę, jak wszyscy.

Przez wiosnę zrobiła mu mostki, koronki, wyczyściła kanały, do podniebienia dokleiła sztuczną szczękę. Rekonstrukcja klawiatury była niemal kompletna, a przed finiszem Zorro zniknął.

– Zżyłam się z nim bardzo. Miał w sobie jakąś mądrość, jak wielu wariatów. No i nie zostawił mnie, kiedy wszyscy się odwrócili. Mówił, że należy walczyć o swoje, bo inni są tumanami i tylko zazdroszczą. – W głosie mamy są ciepło i tęsknota, aż niemal słyszę terkot roweru i widzę wariata w pelerynie.

Moim zdaniem żaden Zorro nie śmigał po Trójmieście. Mama po prostu przedawkowała broszurki o nim, wydawane jeszcze przed wojną. Cała ich fura leżała u dziadków w piwnicy.

Odbiło jej pod wpływem ludzkiej nienawiści. Siedzi teraz, osiemdziesięcioletnia, opowiada o wymyślonym przyjacielu, a ja robię dobrą minę do złej gry, bo kiedy jej tak słucham, inaczej nie umiem.

No więc matka czekała na szaleńca w pustym gabinecie, już po zamknięciu. Pewno paliła papierosy, nad gniewnym miastem zachodziło słońce. W końcu zamknęła gabinet i poszła w stronę eskaemki.

Nieopodal przychodni, w wysokiej, wydeptanej trawie leżał połamany rower, a obok pobity Zorro. Matka uklękła. Półprzytomny Zorro mrugał zza maski, próbował wstać, podeprzeć się na dłoni o pogruchotanych palcach.

Matka poprosiła, żeby się nie podnosił, ona zadzwoni po pogotowie, przyniesie z gabinetu gazę i wodę utlenioną, tak zaczekają na pomoc, tylko niech Zorro się nie rusza, może mieć wstrząśnienie mózgu.

– Zostaw mnie – wycharczał i pchnął ją, aż sama upadła na trawę.

Podniósł się, niezdarnie i powoli, stanął na zakrwawionych, opuchniętych nogach. Jedna ręka zwisała mu bezwładnie jak Jedunowi. Powtarzał:

zostaw mnie, zostaw mnie, a w oczach wzrastał dziki strach. Zdarł maskę, zrzucił płaszcz, napluł na nie i podeptał.

Miał zmęczoną twarz stoczniowca, robotnika, całkiem zwykłą, tylko w ślinie, błocku i krwi. Świeżo wstawione koronki posypały się z ust. Zorro machnął zdrową dłonią w stronę matki, odpędzając ją jak krowę, kopnął jeszcze rower i potoczył się Dębową, skulony, byle dalej.

Długo siedziała przy pogruchotanym rowerze.

Taka właśnie jest. Dusi coś w sobie, obraca, nagle podejmuje decyzję.

Pojechała eskaemką do Gdyni i tam poszła pod górę, jak zwykle, ulicą Janka Krasickiego, w wieczornym słońcu i wrzasku mew. Widziała dach Domu Marynarza i złote żagle okrętów stojących na redzie, myślała o Amerykańcu, który spadł nieopodal, a mógł przecież gdzie indziej, o tym, że świat uciekł jej spod stóp i może się chwycić tylko jednego.

Staremu, zbawcy, znudziło się czekanie w willi i zalewał pałę w barze Pod Kandelabrami, tuż obok. Matka wiedziała, gdzie szukać.

Podłogę pokrywały kafelki, ścianę blokował wielki grzejnik. Pani za ladą cerowała koszule, lała piwo i likier orzechowy pod śledzia, chłopy ciągle gadały o sukcesach Arki i tylko stary siedział sam jeden, oparty o regał.

Matka kochała go bardzo i chyba już trochę nienawidziła za władzę, którą nad nią zdobył. Naszykowała sobie przemowę, w której zawarła tę miłość, nienawiść, los Zorro, dziadków, ruską kurwę i dużo więcej. Doszła do ojca, wydusiła tylko:

– Ja z tobą ucieknę.

NOC PIĄTA 1959

trzeci

piątek

października

2017

O wodzie

Matki nie ma, przepadła, null.

Nigdy wcześniej nic takiego się nie zdarzyło.

Przyjeżdżam jak zawsze na dziewiątą rano, co do minuty, mimo remontów i korków miasto jest posłuszne, nauczyliśmy się siebie nawzajem, a matka bezczelnie postrzega punktualność jako jedną z moich największych zalet; sądzi, że zawdzięczam ją jej, nikomu innemu.

Zawsze czekała gotowa z poczęstunkiem i idę o zakład, że te eklerki, chrust i kanapeczki szykowała już o świcie.

Teraz groza, rozpacz, strach.

Przychodziłem objuczony siatami, czekała w drzwiach, zdejmowałem buty na progu. Może mam to po ojcu, bo w butach nie władowałbym się do mieszkania, no w żadnym razie, nawet za dzieciaka, jak musiałem się wrócić po zeszyt do matematyki, to zzuwałem trampka i skakałem na bosej stopie do swojego pokoju.

Zwykle siadam sobie w salonie nad łakociami, a mama krząta się w kuchni, ja mówię, że sam się obsłużę, niech siedzi, ona odpowiada, że w życiu, włącza ekspres, nieruchomieje nad nim, jakby brała wyjątkowo długi oddech, i zaraz widzę ją, jak opuszcza kuchnię, ostrożnie niosąc parującą filiżankę z Bolesławca.

A tu dziś gówno, nie ma. Dzwonię do furtki i nic. Przed drzwiami frontowymi to samo. Cisza, żadnych kroków, bezruch w judaszu.

Matka zmienia dom w fortecę. Ma rolety antywłamaniowe i sześć zamków w drzwiach – też antywłamaniowych, wartych więcej niż mój ford. Kiedy je montowali, zmusiła mnie, żebym stał w przedpokoju i nie wpuszczał ich dalej. Szczały te biedne chłopy pod kasztanowcem.

Garścią moich kluczy mógłbym zabić: do mieszkania, do Fernanda, do willi. Lecą mi z rąk, boję się o mamę, że leży w środku martwa.

Wpadam do środka, obiegam piętro, zaglądam nawet na taras. Łóżko równiutko zaścielone, obok książka, szklanka wody, okulary do czytania. Biurko zawalone papierami, z otwartym, zgaszonym laptopem. Za oknem pełna popielniczka.

Dzwonię. Matka nie odbiera. W gniazdku tuż nad podłogą tkwi ładowarka od nokii.

Sprawdzam po parę razy każde pomieszczenie. Ręcznik w łazience jest mokry. Zniknęły botki mamy, płaszcz, kijki spacerowe.

Zamykam willę i wracam do samochodu.

Robię powolne kółko przez Legionów i Krasickiego, zatrzymuję się przed Żabką, gdzie matka kupuje fajki, delicje szampańskie, ptasie mleczko, a także „Forum” i „Agorę”, bo przecież interesuje się światem.

Tych fajek – widziałem parę razy, kiedy myślała, że nie patrzę – bierze po trzy albo cztery ramki cienkich, płaci z niesłychaną powagą i zaraz chowa je po kieszeniach. Nie dzisiaj. W Żabce jej nie widzieli, sprzedawca bardzo chciałby pomóc, prosi, żebym zostawił numer telefonu, i wyraża nadzieję, że wicekrólowa wróci.

Podobnie w aptece Świętego Alberta, jedynej, do której chodzi matka. Zna się z właścicielem i wierzy, że jej tam nie otrują. Zazwyczaj stoi w ogonku i wścieka się w duchu na stare baby, co opowiedzą własne życie podczas realizowania najprostszej recepty. Drwi potem, prycha i mówi, że w jesieni życia człowiek traci godność jak nasz kasztanowiec liście.

W aptece też jej nie było, podobnie jak w lobby hotelu Różany Gaj, gdzie czasem zachodzi na kawkę. Panorama jest czynna od południa, ale i tam jadę w kretyńskiej nadziei, że ją zastanę z nosem przyklejonym do szklanych drzwi.

Krążę po mieście. Sprawdzam jubilera na Chyloni, tego, co dłubie matce w pierścieniach, Szmaragdową na Świętojańskiej, halę targową, skąd sześćdziesiąt lat temu przytargała kasztanowiec, pytam bab od pomidorów i serów, czy była, czy może upadła, dokąd ją zabrali.

Dzwonię do niej bez przerwy, rozpytuję po korporacjach taksówkarskich, szykuję się na kurs po szpitalach.

Jeżdżę wolno, rozglądam się, świeci mocne słońce, rodzice i dzieci zbierają kasztany.

Przypominam sobie nasze nadmorskie spacery i przedpołudnia, kiedy matka wystawała nad wodą, blisko plaży miejskiej, zresztą te knajpki, co niedawno tam pootwierali, bardzo sobie ceni.

Parkuję, biegnę. Pocę się kawą, nikotyną, zalewą śledziową.

Plażą spacerują ludzie w kurtkach i kaszkietach, dzieciaki gonią się w samych swetrach, są też zakochani zagrzebani w piachu, diabelski młyn, dalekie tankowce i szary punkt kilkadziesiąt metrów od brzegu.

Rozpoznaję ją od razu, po prostu wiem, że to ona.

Matka stoi w Bałtyku po pas, szary płaszczyk rozkłada się na wodzie. Nikt na nią nawet nie spojrzy, ludzie zajmują się sobą.

Dopiero gdy zrzucam kurtkę i wbiegam do morza, robi się poruszenie. Wołają, komentują, filmują. Rozpierdoliłbym takiemu telefon na głowie, no ale pędzę po matkę.

Ta tkwi nieruchomo, gapi się na horyzont jak w wahadełko.

Nie rozpoznaje, nie odpowiada, dopiero gdy prowadzę ją do brzegu, mięknie i osuwa mi się w ramiona. Wczepia się we mnie kurczowo, jej spojrzenie odzyskuje ostrość.

Drę się na ludzkie kurwy przy brzegu, niech lecą po koce, po ciepłą herbatę, zamiast kręcić filmiki. Ruszają, my padamy na plażę.

Trwa to moment, bo matka wstaje, poprawia mokry płaszczyk i chce iść do domu, jakby do niczego nie doszło. Pytam, co się stało. Odpowiada, że nic, nie potrafi też ukryć przerażenia.

Ostrożnie poję ją herbatą, zdejmuję mokry płaszcz i otulam kocem. Drepczemy do samochodu. Ładuję ją do środka, ruszam, a matka z tylnego siedzenia pyta, dokąd tak pędzimy.

Do, kurwa, Disneylandu.

Matka najpierw protestuje, bo przecież czuje się dobrze i w sumie nic się nie stało. Dodaję gazu i pędzę jak wariat, a ona szaleje: krzyczy, bije dłońmi w szyby, próbuje wysiadać w pędzie.

Pod szpitalem na Redłowie ani myśli opuszczać auta, przecież nie pokaże się taka przemoczona. Za późno, mamo, już jesteś w internecie. Po jaką cholerę wchodziłaś do wody?

Proszę, żeby zadzwoniła do któregoś z tych swoich lekarzy z mojego telefonu.

W końcu ustępuje. Sanitariusze prowadzą matkę do budynku, ja za nimi. Wzrok lekarza mówi, że spodziewał się jej tutaj, prędzej czy później.

Po paru godzinach, przebrana, zbadana i całkowicie spokojna, mama instaluje się w dwuosobowym pokoju na neurologii. Ja w międzyczasie wracam do willi po ubranie i okulary, kupuję w lombardzie używaną nokię, bo poprzednia zamokła. Matkę zastaję melancholijnie pogodzoną z losem. Dziękuje mi i prosi, żebym się nie martwił, bo takie rzeczy po prostu się dzieją.

Czekamy na tomograf głowy, potem na diagnozę. Dzwonię do Klary i Kuby. Nie dotrę dzisiaj do Fernanda.

O autobusie

Najpierw zginął młody ksiądz Edek.

Matka, usadowiona wygodnie na szpitalnym łóżku, opowiada, że był to kawał duchownego. Wygłaszał płomienne kazania o grzechu i walił pięścią w ambonę.

Jego nagła śmierć wstrząsnęła Oksywiem. Dziadek doszedł do wniosku, że służby go zabiły. Księża, jego zdaniem, byli głową narodu. Odrąbiesz taką i Polska zacznie szaleć jak kurczak z ujebanym łbem.

Księdza szlag trafił przed wieczornym nabożeństwem. Dzień był piękny. Między domami wisiały sznury z ciuchami i wykrochmaloną pościelą. Staruszkowie kopcili tytoń i opierali się o beczki z wodą wytoczone na podwórka. Huczało w trawie, latały motyle, w barze Delfin koło kościoła lało się ciepłe piwsko, dzieci grały w kapsle i w kolory.

Na mszę, jak to bywa w dzień powszedni, przyszło parę osób. Za to nie stawił się sam ksiądz. Kościelny kursował pomiędzy wejściem i zakrystią, zaś stare baby prychały śmiesznie, jak ktoś, kto próbuje kaszlnąć przy rozwolnieniu.

Gruchnęła plotka, że Edek dostał wezwanie do umierającej. Ponoć widziano go na ulicy Dickmana, jak maszerował ze świętymi olejkami.

Nagle kościelny zawył ze zgrozy i wierni wylegli ze świątyni. Od strony Delfina nadbiegały chłopy z kuflami w rękach i właścicielka tego interesu z blaszanym wiadrem.

Wszyscy kierowali się na przystanek. Im bliżej, tym wolniej. W końcu przystawali, żegnali się, kufle leciały z rąk.

Stał tam autobus na włączonym silniku, a jego kierowca kulił się, zaciskał ramiona na własnej głowie i bełkotał, że jest przeklęty i pójdzie do piekła.

Obok, na chodniku, leżał ksiądz Edek w otoczeniu roztrzaskanych olejków, martwy. Jezus Maria, szeptano. Kierowca zaczął wyć.

Brzeg sutanny tkwił w drzwiach autobusu.

Wychodzi na to, że biedny ksiądz wysiadł, kierowca za szybko zamknął drzwi, ruszył i pociągnął faceta za sobą ładnych parę metrów, o czym

świadczył szeroki krwawy ślad. Nic dziwnego, że teraz wył, jak bardzo żałuje, bo przecież nie chciał tego zrobić.

– Ja też nie chciałam zrobić wielu rzeczy i co z tego? – śmieje się mama i przedrzeźnia tego chłopa: – Nie chciałem, nie chciałem. Co to w ogóle za usprawiedliwienie?

O pięknych ubraniach

Rodzice uciekali po kryjomu, nikt nie mógł o tym wiedzieć.

Matka naszykowała walizkę, tę samą, którą przytargała z Pagedu. Był to całkiem przyzwoity, choć wiekowy klonkier, szyty ręcznie i wzmocniony na rogach pasami skóry, wyposażony w miedziane zatrzaski.

Te zatrzaski od środka miały ostre krawędzie i matka drżała, że zniszczą się jej sukienki. Rozłożyła ciuchy w całej sypialni i nalała sobie koniaku, żeby ukoić trzepot duszy.

Z brzucha do gardła wędrowała jej ciężka, ostra kula, coś jak gałgan nabity szkłem.

Oglądała spódnice, szmizjerki, swetry i apaszki i wybierała te, które zabierze. W końcu wepchała do walizki szpilki, ze trzy sukienki, bordowy kostiumik, jakieś spodnie i kapelusz – słyszała, że w Szwecji okropnie wieje. Zaraz musiała powtórzyć selekcję, bo walizka nie chciała się zamknąć, choć matka wlazła na nią i dociskała pięściami.

Widzę ją, jak klęczy, okłada tego dziada, klnie, prycha i płacze, przekonana, że nikt jej nie widzi, walizka wkurwia ją jak sam Bóg, głucha na prośby i złorzeczenia.

Na to wszystko przyszedł ojciec, nie zaproponował pomocy, tylko zasiadł nad mapą wojskową Bałtyku, gdzie zaznaczono prądy morskie, wejścia do portów, boje, latarnie i potopione wraki. Wgapiał się w nią, ślepy na wysiłki mamy, w końcu puknął palcem w wyspę Olandia niedaleko Karlskrony.

Powiedział, że sprawdził radary i wyznaczył bezpieczną trasę, choć właściwie żadna trasa nie będzie bezpieczna. Jeśli zatrzymają ich przed Helem, powie, że wybrali się na nocne wędkowanie, potem już muszą liczyć na siebie i szczęście.

Matka, przestraszona, spytała, co będzie, jeśli ich jednak złapią. Trafi do więzienia, pod celę z fałszywą hrabiną? Stary na to uklęknął przed nią

i starł łzę z policzka:

– Powiesz, że cię porwałem. Sterroryzowałem bronią, zaciągnąłem na pokład. Tak siebie ocalisz, mnie już nic nie pomoże. A, ta walizka zostaje. Niczego ze sobą nie bierzemy.

Moim zdaniem stary miał rację i matka też to wiedziała, ale naciskała trochę, głupio targując się o kolejne rzeczy. Zostawiała dziadków i willę, ma porzucić i swoje piękne sukienki? Czasem gniew pomaga się pogodzić z nieuniknionym. Mówiła coraz mniej, coraz ciszej. Spadł na nią strach, od którego może wybuchnąć głowa.

Ponoć w Gdyni dużo mówiono o uciekinierach.

Na przykład o facecie, który ukrył się w kominie okrętu „Stefan Batory" i tak próbował dotrzeć do Szwecji. Znaleźli go już blisko Trelleborgu. Inny chłop wyskoczył z „Hugona Kołłątaja", kiedy ten wpływał do śluzy w Kanale Kilońskim. Bezduszni Holendrzy wsadzili go z powrotem na ten statek. O tych gościach słuch zaginął, ponoć zmarli w więzieniu albo padli od kuli, bez sądu.

Matka zrozumiała, że ucieczka może kosztować tatę życie.

O karuzeli

W dzień przed ucieczką zabrała dziadków na spacer. Nie wiedziała, jak się z nimi pożegnać, i wymyśliła właśnie to.

– Złość na nich odeszła – tłumaczy. – W kółko myślałam, że widzimy się po raz ostatni, a oni nawet o tym nie wiedzą.

Dziadek z początku nie chciał iść, owładnięty śmiertelnym zmęczeniem. Babcia z kolei zapytała, czy matka jest w ciąży, bo jej tak dziwnie fantazji przybyło.

Mama odparła, że dzień jest piękny, nigdzie razem nie chodzą, są przecież rodziną. Dziadek wydał z siebie zbolałe westchnienie, wypomadował wąsy, nakrył zaczeskę kapeluszem i złościł się przy drzwiach, że jak zawsze musi na wszystkich czekać.

Pojechali autobusem do centrum, dziadek w garniturze, ze spodniami podciągniętymi pod mostek, obie panie w letnich sukienkach, do tego mama w okularach muchach. Spod dworca przespacerowali się do Cyganerii na lody i ciastko, za co płacił dziadek, gdyż gardził ruską forsą tak bardzo, jak bardzo miłował bezy.

– Słodkie jest słodkie – zauważyła babcia.

Rozmowa słabo się kleiła, jak zawsze gdy żal zalega pomiędzy ludźmi. Matka walczyła ze sobą, żeby nie powiedzieć o ucieczce, i wyczekiwała prostych słów w stylu: kochamy cię, pomimo tego, co zrobiłaś. Poza tym przecież skończyła studia, pierwsza z Kreftów, o czym tak marzyli. Chciała usłyszeć, że rodzice choć trochę są z niej dumni, ale oni jedli te bezy, pili kawę z mnóstwem cukru, mówili o tym, że lato jest wyrozumiałe tego roku, że ludzie jedzą za mało jajek i drobiu, że we Francji mają plagę szczurów, w Brazylii mordercze upały i tylko u nas jest pięknie.

– Miłości nie wyprosisz – przypomina matka. Zaraz potem pyta, kiedy ją wypiszą i czy jej przyniosę komputer.

Przy plaży rozłożył się cyrk, a obok wesołe miasteczko. Gdynianie przelewali się między jednym a drugim.

W namiocie cyrkowym unosił się zapach mokrych trocin i schnącej farby. Usiedli na długich drewnianych ławach, dziadkowie i matka, każde z wodą sodową.

Słyszę, że mama wcale nie lubi cyrku, nigdy nie lubiła, po prostu chciała tych dziadków gdziekolwiek wziąć. Był wywracający się klaun z korkowcem, a dwoje akrobatów podskakiwało na garbach umordowanych dromaderów. Zresztą mogliby na nich zasnąć, ludzie i tak biliby brawo, bo wcześniej takie zwierzęta widywali co najwyżej w gazetach.

Teraz są lepsze jaja, zwariowane babuleńki wchodzą w ubraniach do Bałtyku.

Ale dziadek zakochał się w tych akrobatach, zwłaszcza gdy skakali na trampolinach pod samym szczytem namiotu, przy dźwięku werbli, oświetleni przez reflektory. Mieli chusty, jedwabne szale i dosłownie pływali w powietrzu, muskając się opuszkami palców. Dziadzio, ten twardy, zakuty łeb, trwał na dole z rozwartą gębą.

Zrobili jeszcze rundkę po wesołym miasteczku, gdzie sprzedawano watę cukrową, a marynarze pruli z wiatrówek do blaszanych jeleni. Matka zaciągnęła babcię na karuzelę. Dziadek został i podpierał się pod boki.

Usiadły naprzeciw siebie, ciche w skrzypieniu rozkołysanej gondoli. Z góry rozpościerał się widok na dach klubu Riviera, Kamienną Górę i migoczące morze, gondola obróciła się w stronę tyłów kościoła, gdzie straszył stary Radtke, Molo Południowego i podwórka Stylowej. Mama wypluwa z siebie te detale, a ja dziwię się, bo nie podejrzewałem jej o takie sentymenty.

Karuzela stanęła. Matka wysiadła pierwsza.

Uszczęśliwiona babcia zatrzymała się na brzegu gondoli, rozprostowała ręce, na nodze wyciągniętej pod popołudniowe słońce wisiał bucik.

– Taką ją pamiętam i za taką tęsknię – słyszę, i myślę sobie o nieuświadomionych gestach, o śmieciach i kłodach rzucanych pod nogi, które bierzemy za miłość.

O milczeniu

Zapadał wieczór, ojciec ściągnął motorówkę do portu i wrócił na okręt. Matka czekała.

Bała się, że nagle zmienił zdanie i ucieknie sam. Czy byłoby to takie najgorsze?

Dziadkom powiedziała, że jadą do Warszawy na koncert chopinowski, zorganizowany pod gołym niebem, w Łazienkach, gdzie muzyków tną osy, a Leon Niemczyk recytuje Mickiewicza z Norwidem. Chciała zobaczyć odbudowane miasto, nowoczesne dzielnice i Pałac Kultury, gadała długo i barwnie, bo wiedziała, że dziadkowie powtórzą tę bajkę bezpiece.

Stary przyjechał o zmroku, w mundurze, trzasnął drzwiami warszawy, kazał Płatonowi zostawić auto i zawrócił go na okręt.

Nie odezwał się do matki, nie przytulił, nie polał nawet wódki, tylko krążył po willi jak diabeł nad biskupem.

Naszykował dwa kanistry z benzyną i dwanaście konserw gulaszu wojskowego, sprawdził zawartość apteczki. Wreszcie zapytał matkę, czy ma ze sobą dyplom, tę jedną rzecz, którą mogła zabrać.

Zawinął go w brezent i oddał.

– Jeśli nas ktoś zatrzyma, jeśli nas ostrzelają, wyrzuć go daleko za burtę – nakazał.

Matka kiwnęła głową, a stary huknął i kazał jej powtórzyć całą komendę, słowo w słowo. Tak zrobiła. Ej, co to znaczy, że ostrzelają?

Stary rozłożył na mapie górę granatów i dwa pistolety. Każdy granat obrócił w dłoni i schował do marynarskiego worka, bałtijca wręczył matce.

– Trzymaj go przy sobie. Strzelaj, żeby zabić. W korpus. Nie w głowę, nie w nogi. Rozumiesz? Powtórz.

No to powtórzyła, głównie dlatego, żeby ze starego uszła para. Broń powędrowała do torebki, obok dyplomu. Tatko spakował do walizki kon-

serwy i apteczkę. Dorzucił swój czarny garnitur, no i dwie flaszki. Walizka stanęła przy drzwiach frontowych obok kanistrów, worka z granatami i baniaka z wodą.

Matka szukała słów, ale wszystkie wydały się jej głupie. Ojciec przyniósł wódki. Usiedli blisko siebie na brzegu łóżka, złączyli dłonie. Patrzyli na siebie, a dom trzeszczał jak stary żaglowiec. Długo tak tkwili w milczeniu. W końcu ojciec wstał, wyciągnął rękę, poprosił:

– *Idi so mnoj.*

O lęku

Matka zostaje w szpitalu na noc. Robię drugi już kurs na Kamienną Górę, skąd zabieram klapki, ręcznik, szlafrok, kosmetyczkę i tym podobne, przetrząsam też willę w poszukiwaniu dokumentacji medycznej, koniecznej do dalszych badań.

Papiery leżą w szufladzie przy stoliku nocnym, wepchnięte byle jak do czerwonej teczki. Przypomina mi się mama z dzieciństwa, z Witomina, która siedziała do nocy nad dokumentami pacjentów, wypełniała je pracowicie ze skuwką długopisu w ustach, wkładała starannie do koszulek, kopert i skoroszytów. Wygląda na to, że troszczyła się o zdrowie każdego, poza własnym.

Przy okazji odkrywam, że zapełniła biurko z Ikei, które wtargałem tu miesiąc temu. W szafce i szufladach elegancko leżą sobie stare fotografie, rachunki, mapy i żółtawe kserokopie listów pisanych na maszynie po angielsku, nie czytam, bo niedoczas, tylko porównuję ten elegancki ład z burdelem w teczce i wiem, co dla matki jest ważne, a co nie.

W szpitalu mama prosi, żebym się od niej odpierdolił.

Oczywiście nie używa takich słów.

Nalega, żebym zajął się teraz swoim życiem, mam restaurację, dziecko oraz żonę, może histeryczkę, lecz jednak żonę bez dwóch zdań, to jej i Olafowi powinienem poświęcić resztę dnia.

Puszczam tę paplaninę mimo uszu i pytam lekarza, co dalej. Sumienny doktor ma chyba taki stosunek do ludzi jak ja do żarcia, więc prosi o cierpliwość. Czekam na „będzie dobrze” i „pan się nie martwi”. Czekam na próżno.

W Inmedio przy szpitalu kupuję gazety, soki, wodę w małych butelkach i drożdżówki z południa, stawiam to wszystko na szafce obok łóżka, można by pomyśleć, że mama szykuje się na wycieczkę.

Znów każe mi zjeżdżać, grozi interwencją ochrony.

Przed szpitalem zastanawiam się, czy powinienem kupić jej fajki i wrócić.

Jadę aleją Zwycięstwa w stronę Witomina, droga jest szeroka i ciemna, pilnuję prędkości, choć najchętniej wbiłbym gaz do dechy i dupnął w skład towarowy na całej rozkurwionej piździe, żeby tylko we łbie nastał spokój.

W domu streszczam Klarze ten potworny dzień, nie proszę o radę ani o rozmowę, po prawdzie chcę siąść w kuchni i pisać. Pisanie pomaga.

Klara marszczy swoją twarz radosnej Włoszki, mogłaby grywać w komediach romantycznych o miłości w Rzymie i Wenecji, niestety, przyszła na świat w Wejherowie.

Radzi, żebym się uspokoił, bo zrobiłem, co mogłem, i na nic nie mam wpływu. Jakby nie potrafiła pojąć, że w tym właśnie problem. Nienawidzę bezradności. Kiedy tylko mogę działać, działam. Walczę, jestem żywym taranem, pokonuję przeciwności, tak przecież stworzyłem, stworzyliśmy Fernanda i naszą rodzinę.

– Jakby co, podzielimy się obowiązkami – słyszę. Klara staje za mną i obejmuje, jak lubię, delikatnie, lecz stanowczo, wie, że nie przepadam za wyściskiwaniem. – Nic jej nie będzie, zobaczysz. Martw się, ale bez przesady. My sobie ze wszystkim poradzimy.

O Płatonie

Płaton, wbrew rozkazowi, wciąż czekał oparty o warszawę, z petem w rozanielonym pysku. Na widok rodziców strzelił niedopałkiem z palców i rzucił się, by przejąć kanistry. Stary poradził mu, żeby wypierdalał w podskokach.

– Niestety, to niemożliwe, towarzysz kapitan na pewno rozumie – odparł Płaton i otworzył bagażnik. Włożyli tam wszystko, łącznie z workiem granatów. Płaton nie sprawdził zawartości, trzasnął klapą, aż matce skoczyło serce, usiadł za kierownicą i spytał, dokąd jadą.

Stary wskazał jachtklub i warszawa potoczyła się ciemną ulicą Korzeniowskiego. Na alei Zjednoczenia, jak co roku przed Dniami Morza, rozpa-

liły się światła, rodziców żegnał blask i mrok. Matka bała się, że Płaton wiezie ich na Świętojańską, do ubeckiej katowni. Ale nie.

Przy nabrzeżu czekała motorówka. Miała jakieś siedem metrów długości i niską kajutę pod pokładem. Matka zaraz tam zeszła. Na kojach leżały śpiwory, kapoki i wędki, pod kołem sterowym – butla z gazem, gaśnica. Mama usiadła i zachodziła w głowę, jak ta kruszyna poniesie ich przez Bałtyk.

Stary tymczasem kłócił się z Płatonem. Mówił, że wypływa w romantyczny rejs i towarzystwo mu potrzebne jak dziura w głowie.

Gadali tak długo, aż od strażnicy na końcu nabrzeża nadeszło dwóch żołnierzy z ochrony pogranicza. Zasalutowali. Wyglądali jak ogolone małpy. Dłonie wisiały im przy kaburach.

Pytali, co towarzysz oficer tutaj robi i na cholerę tyle paliwa w kanistrach. Stary nakłamał o nocnym łowieniu ryb, Płaton nie wiedział, co ze sobą począć, a jeden z pograniczników zainteresował się walizką. Jeszcze chwila i sprawdziłby worek z granatami.

Tu do akcji wkroczyła mama, jastrzębi wróg wszelkiego zamętu.

Porwała wędki, podbierak z koi i bosa wygramoliła się na pokład, rezolutna taka.

– Kochanie, gdzie ty się podziewasz? – szczebiotała po rosyjsku. – Zostawiasz mnie z tym wszystkim na głowie, ja sobie w życiu nie poradzę, musisz mi zaraz pomóc, poplątało mi się, zobacz, zobacz! – Udała, że dopiero teraz zauważyła tych dwóch pograniczników, durna i zagubiona trzpiotka, którą kochanek wyciągnął na ryby. Nakryła usta dłonią. – Och…

Popatrzyli na nią z pogardą i żądzą, jak tylko tępe chłopy umieją, zasalutowali i poszli chwiejnie brzegiem Bałtyku.

Płaton zniósł kanistry pod pokład. Usiadł na koi, daleko od koła sterowego, z łapskami na kolanach. Żałoba aż wrosła mu pod paznokcie. Brudu nie wyrwiesz, Płatona nie ruszysz. Tkwił oparty o burtę, z głupkowatym uśmiechem.

Matka ciągle liczyła, że stary jakoś zmusi go do zejścia z motorówki. Nawet nie próbował, i dobrze, bo Płaton pognałby do Jedunowa. Aresztowaliby ich jeszcze przed Helem.

Noc wydawała się stworzona do spacerów i pocałunków. Przy nabrzeżu kołysały się żaglówki, dalej kładły się ciemne cienie okrętów wojennych, słabe drzewa wczepiły się w wydmy, gwiazdy drżały na wodzie.

Stary doszedł do wniosku, że skoro Płaton płynie z nimi, to przynajmniej na coś się przyda. Na początek wysłał go do odpowietrzania zbiornika

i kazał przepompować paliwo. Sam sprawdził ster. Motorówka zatrzęsła się, zawarczał silnik.

Stary sprawdził biegi i posłał Płatona do steru.

Uszczęśliwiony marynarz z zapałem chwycił za koło, zrywkę z kluczykiem przytwierdził sobie pod kolanem i stwierdził, że pod jego kuratelą pożeglują beztrosko i bezpiecznie. Normalnie jakby wilk wiódł owce na pieczyste.

Silnik kaszlnął, motorówka skoczyła do przodu.

Popłynęli.

O światłach

Matka gówno wiedziała o żegludze, po prostu kręcił ją stary wilk morski.

– Kochałam Kolę, ale nie to, co Kola kochał – mówi, bardzo spokojna. Siedzi na łóżku pod równo rozłożoną kołdrą, dumna jak wypędzony król. Co chwilę zezuje w stronę drzwi, palić się jej chce.

W duchu liczyła, że do Szwecji pomkną prędko i gładko jak na łyżwach, wspomina nawet lodowisko zaimprowizowane na zamarzniętym placu targowym. Dziadek pompował wodę, żeby miała radochę. Tego oczekiwała – gładkiego skoku przez Bałtyk, rejsu kochanków pod szczęśliwą gwiazdą.

Ryknął silnik, od dziobu strzeliły białe, spienione wąsy, motorówką zatrzęsło. Raz po raz wybijała się, by rąbnąć w wodę twardą jak to lodowisko. Im szybciej, tym gorzej. Góra i dół, trzy sekundy, od nowa.

Matka upadła, wstała, gubiąc przy okazji buty, chwyciła się burty i ani myślała puścić. Naprawdę śmiać mi się chce, bo widzę ją, jak walczy o zachowanie pionu i resztek godności, a maleńkie bose stopy ślizgają się jej na pokładzie.

Stary też rechotał.

Matka opowiada o tym, jakby nie wybaczyła mu do teraz.

Całe napięcie z niego zeszło, jednocześnie palił, klaskał i zanosił się śmiechem, czego nie szło usłyszeć w ryku silnika. Matka chciała go walnąć, więc puściła burtę i ruszyła z uniesioną pięścią, tyle że motorówka weszła w ostry zakręt i rodzice wpadli na siebie, stary przytulił matkę, wciąż się śmiał i obiecał, że będzie dobrze, zresztą już za późno na smutki. Wypłyną, to da jej sweter, żeby nie zmarzła. Łódką znów zarzuciło – Płaton dla żartu, kręcił kółka po zatoce.

Minęli Molo Południowe z budką pograniczników na betonowym filarze. Nikt nimi się nie interesował. Płaton dodał gazu, tłukło jeszcze mocniej. Mamę rozbolał od tego brzuch.

Tak dotarli do pławy, skąd biegły drogi morskie na Gdańsk i z powrotem do Gdyni. Rosło światło latarni morskiej na Helu. Matka ciągle wisiała na ojcu, zastanawiała się, czy tak będzie trzęsło aż do Szwecji, i patrzyła na jasną plamkę tej latarni, by nie spoglądać na Gdynię.

– Popłynę bez oglądania się za siebie – wspomina. – To sobie obiecałam, zanim weszliśmy na pokład. Jak coś robisz, to robisz, bez wątpliwości i sentymentów.

Oczywiście spojrzała. Nie byłaby sobą. Gapiła się, a ojciec ją trzymał.

Od centrum miasta po plażę w Orłowie ciągnął się ciemny brzeg. Zniknęły łódki wywrócone dnem do góry, sieci rybackie i namiot cyrkowy, zamarło koło karuzeli, a pagór Oksywia, gdzie spędziła życie, wstępował po chmurach do czarnego nieba, w ogóle wszystko zlewało się ze sobą i malało, jakby spadali w studnię.

– Pytałam siebie, co ja najlepszego zrobiłam. Skoczyłabym w wodę, wróciła wpław do domu, ale Kola nie puścił.

Zniknęły budka pograniczników i światła na wodzie. Minęli latarnię morską. Pod pokładem skakała walizka.

Oto przed rodzicami otwierało się morze.

Góra, dół. Trzy sekundy. Od nowa.

O burzach

Płaton obrał kurs na pełne morze i o nic nie pytał. Pod pokładem matka zagadnęła ojca, co dalej. Przecież mieli uciekać we dwoje, nie z tym zdradzieckim cielęciem u steru.

Tatko najwyraźniej należał do gości, którzy szukają nadziei nawet w nekrologach. Stwierdził, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Opuścili zatokę, uniknęli patroli. Płaton zmęczy się, zaśnie, a zbudzą go już u celu. Wszystko się powiedzie, klarował, a mama udawała, że mu wierzy, i tak się nawzajem przekonywali, aż narastał sztorm. Stary wypadł na pokład, a matka za nim.

– Bolesny, lodowaty deszcz przemoczył mnie w sekundę – opowiada mama z przejęciem. – Sterownię zalała woda po kostki. Białe rozbryzgi

strzelały od dziobu w oszalałe niebo. Morze spiętrzyło się w bloki ciemnego granitu, każdy z pióropuszem na szczycie, i zaraz wkręciłam sobie, że utoniemy, że umrę, do widzenia, Helenko.

Motorówka wskakiwała na te fale i spadała niemal pionowo, tak że pokład uciekał spod stóp. Wokoło czarne ściany, ulewa.

Stary zerknął na barometr. Rozdał kamizelki ratunkowe. Przejął ster. Płaton, rzutki i przejęty jak nie on, porwał płócienne taśmy, unieruchomił kanistry i zszedł pod pokład, gdzie znów tłukła się walizka, no i dzwoniły granaty w worku marynarskim.

Znajdzie je i po sprawie, myślała mama, lepiej już utonąć.

Podążyła za nim. Czarna woda pieniła się na schodach.

Płaton mordował się już z walizką, żyły wyszły mu na przedramiona i matka po raz pierwszy zobaczyła, jakie ma silne dłonie, normalnie olbrzym wstający z kolan, chwyci gardło w dwa palce, zadusi.

Wyzbierała wszystko, co mogło latać po kajucie – menażki, obijacze, latarkę, jakiś bosak i wreszcie ten worek. Wsadziła cały majdan do bakisty, siadła na niej i nawet nie musiała udawać przerażonej. Sztorm wył, fale okładały motorówkę.

– Pamiętasz, co się stało na molo? – pyta.

Jasne, że tak, to jedno z moich pierwszych wyraźnych wspomnień. Miałem parę lat i pojechaliśmy do Sopotu na rurki z kremem. Ale mnie marzył się spacer po molo, byle dalej, na sam skraj, gdzie woda głęboka.

Szalał sztorm, o żadnym molo nie było mowy, mimo to postawiłem na swoim i matce uciekłem. Łatwo poszło. Mama zagapiła się na budynek Grand Hotelu.

Fale zalewały molo i podbijały deski. Bez strachu biegłem w ich kierunku, co sił, na małych nóżkach.

Pamiętam ryk i sól w ustach.

Przed samym pomostem złapała mnie matka i gdy zbierałem klapsa na dupsko, potężna fala objęła molo poszarpanym skrzydłem, woda buchnęła wysoko spomiędzy desek i ochlapała nas oboje.

Matka biła mnie w tyłek, płakała i pytała, czy chcę umrzeć.

Nie mieściło mi się w małej głowie, że ten wielki skandal, śmierć, może dotyczyć właśnie mnie. Mamie natomiast podczas sztormu na środku Bałtyku mieściło się bez trudu.

Śmierć oznacza, że znikają wspomnienia z głowy i smaki z języka. Potwierdza stan faktyczny, jest stemplem zagłady.

– Koniec końców mamy tylko przeszłość i nią jesteśmy – filozoficznie zauważa matka, pałaszując krakersy z Inmedio. I zaraz głośno się zastanawia, czy wystarczy jej gazet, tak bardzo boi się nudy.

Wtedy na łódce nuda jej nie groziła.

Posiedziała chwilę w kajucie. Myślała o tej śmierci i rybach, co zjedzą ją w głębinach. Potem przeraziła się, że sztorm zdmuchnął starego z pokładu, a motorówka pędzi przed siebie wprost na jakiś tankowiec.

Ale nie. Tatko stał przy sterze, kierując motorówkę wprost na fale.

Poprosiła, żeby wracali do domu. Stary, zupełnie spokojny, zapytał, czy raczy żartować. Taki sam sztorm za nimi, jak i przed nimi, jeszcze roztrzaskają się o brzeg. Gdy szaleje burza, właśnie na morzu jest najbezpieczniej.

Objęła go, on ją przepędzał, nie słuchała.

– On ten sztorm traktował jak mżawkę. Nie bał się, a jeśli nawet, nie okazywał strachu. Wielka szkoda. Potrzebowałam czegoś innego… – Matka milknie, szuka właściwych słów. – Chciałam, aby bał się razem ze mną.

O piosenkach

Morze się uspokoiło. Stary sprawdził stan pokładu, ocenił działanie pomp, a ponieważ wszystko hulało jak trzeba, odkorkował flaszkę.

Stał za sterem w tej nonszalanckiej pozie, wysuwając nogę do przodu, Płaton przycupnął obok i doili z kubków ten eliksir życia. Jeszcze tato zawołał mamę, żeby do nich przyszła.

Bałtyk ich nie pochłonął, gorzałka potopi. Minęła chwila, nim mama pojęła, co stary tak naprawdę robi.

Mamie i sobie nalał odrobinę, trzeci kubek zapełnił po brzegi, Płaton nie rozpoznał podstępu i jeszcze się cieszył. Mama sączyła sobie, patrzyła na spokojne morze, na gwiazdy i myślała o Amerykańcach orbitujących gdzieś tam, wysoko. Płatonowi też wrócił humor.

– Jak przyjemnie – mówił, ściskając kubek. – Nic więcej nie trzeba. No, może dobrej żony i befsztyku. O tak, dobra żonka i befsztyk to jest coś. A i tak pięknie. W ogóle bardzo bym chciał, żeby zgoda zapanowała na świecie. Po to mamy komunizm. Ja bym normalnie pakował ludzi do więzienia, każdego jak leci, nawet admirałów. Niech siedzą, aż się nie pogodzą, bez żadnych wyjątków.

– Wyborne – odparł stary, który udawał bardziej pijanego niż był. – A co z kapitanami?

W odpowiedzi Płaton rozdziawił głupią gębę, wstał, zatoczył się i wpadł tacie w ramiona. Żadnemu nie przelało się z kubka, taki prędzej nogi połamie, niż uroni z kielicha. Te dwa barany, wczepione w siebie, zaintonowały piosenkę o gwałceniu Niemek pod Berlinem.

Mama przytacza ją lekko, właściwie nuci.

Słowa tej przyśpiewki przejmują mnie grozą i myślę sobie teraz, że może lepiej, bym nie szedł za tatą i za tą opowieścią, bo nic miłego tam nie czeka.

No ale na razie mamy noc, Bałtyk, matkę i butelczynę.

Panowie darli się, ściskali, Płaton wbijał w ojca mokre, synowskie spojrzenie.

Im dłużej słucham matki, im więcej notuję, tym lepiej rozumiem, że Ruskie to jednak inny rodzaj człowieka niż my. Na przykład w życiu nie śpiewałem, choć przecież lubię muzykę. Czemu? Po prostu nie przyszło mi to do głowy, że tak można, dopiero teraz o tym myślę, w każdym razie jak Ruskie się rozśpiewają, to nie mogą przestać.

Zawodzili o urokach majowej Moskwy, o rozkulbaczaniu koni nad Sanem, o brzózce, co rośnie sobie nad żołnierskim grobem, o pięknie grzmiącej katiuszy, a gdy w drugiej flaszce zaświtało dno, pojawiły się tematy sercowe. Darli się, że miłość jest jak sowiecka marynarka, nic jej nie pokona.

Zdaniem matki wielkiej miłości da radę nawet bałagan w domu i nadużywanie alkoholu, ale stary za kołem sterowym serio wyglądał na niezniszczalnego. Inaczej z Płatonem. Tatko poprosił matkę, żeby przejęła ster, i pokazał, jak zawiązać zrywkę nad kolanem. Sam zaniósł Płatona do kajuty i nakrył brezentem. Dzielny marynarz zachrapał.

Idę o zakład, że śniła mu się żonka z cyckami w befsztyku.

O dobrym śnie

Dla odmiany mamie śniło się, że ciągle płynie motorówką do Szwecji, razem ze starym i Płatonem, słowem wszystko wyglądało dokładnie tak samo, z tą różnicą, że w kajucie wisiał koc, a ona leżała na amerykance, ubrana w tę samą błękitną sukienkę, którą miała na sobie w Stylowej.

Wyszła na pokład, minęła ojca przy sterze, przeniknęła przez szybę i usiadła na dziobie. Woda była idealnie gładka, niebo bezchmurne i pełne gwiazd.

Jedna z nich jaśniała bardziej niż pozostałe, opromieniała łódkę intensywnie srebrnym blaskiem.

Mama siedziała z nogami tuż nad wodą, spokojna i zapatrzona w niebo, ojciec nucił piosenkę o zwycięstwie miłości, o ogniach i słotach, a szczęśliwa gwiazda, ten kosmiczny śledź, wędrowała przed nimi, wskazując bezpieczną drogę.

O głupim uśmiechu

– Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam – mówi mama. – Nie jestem i nigdy nie będę.

Jak widać, uwielbia powtórzenia, te nadają mocy jej przeżyciom wewnętrznym. Jeszcze wczoraj miałbym gdzieś te banialuki.

No ale wczoraj nie kąpała się w lodowatym Bałtyku.

Ta opowieść bierze się z czegoś, co niszczy ją tam w środku, jest dowodem choroby jak gorączka albo wypryski. Co teraz?

Rano, wedle jej słów, minęli okręt, co nie ma przecież żadnego znaczenia.

Płynął daleko w poprzek ich kursu. Widziała wysoką burtę, mostek kapitański i flagę na maszcie. Stary zgasił silnik i czekał. Powiedział, że to tylko rybacy z Niemiec, nikt groźny, i uzupełnił paliwo.

Matka nie jadła, wypiła trochę wódki, zaschło jej w gardle, przyszły nudności. Stary opowiadał jej, co będą robić w Szwecji. Wymyślił sobie domek w małym miasteczku nad morzem, z widokiem na góry i zorzę polarną, on będzie wypływał na łososie, matka zaczeka przy rozpalonym kominku. Szkoda tylko, że jej życie i pracę zmilczał, w każdym razie rodzice nie uzgodnili, czego tak naprawdę chcą, bo na pokładzie stanął Płaton.

W jednej ręce trzymał granat, w drugiej pistolet. Celował w pierś taty. Pijany stary nie zabrał mu broni.

Pewnie nasz marynarz obudził się na kacu, szukał wody w bakiście i otworzył worek marynarski.

Tatko podkulił ogon, wyrzucił własny pistolet za burtę, powoli odpiął zrywkę z podudzia i zgasił silnik. Motorówka zakołysała się na wodzie.

Otaczał ich pusty Bałtyk. Płaton podszedł do pulpitu sterowego, zerknął na kompas i zaczął dyszeć. Rozkazał matce, by skrępowała ojca. Tak zrobiła. Tatko wylądował na brzuchu, z rękami przywiązanymi do nóg i mógł co najwyżej mruczeć przekleństwa w pokład.

– Jeden głupi ruch i wrzucę cię do wody – ostrzegł Płaton.

Matka usiadła, pokorna jak królik sąsiada. Na kolanach położyła jednak torebkę z pistoletem. Płaton ostrzegł i ją, mamę, żeby się nie wdzięczyła, nie próbowała ratować skóry, na to za późno, należało myśleć wcześniej.

Należało. A teraz myślała o poduszce przytwierdzonej do drzewa, o huku, o fruwających kawałkach kory.

Płaton przypiął sobie zrywkę na nodze i uruchomił silnik, mamrocząc coś do siebie. Ściągnął manetkę i zawrócił do Polski. Łódka przechyliła się, zatrzęsła. Płaton położył uzbrojoną dłoń na kole sterowym.

Matka wycelowała do niego z bałtijca.

Opuścił wajchę gazu i się odwrócił, zdziwiony, lecz pewny siebie, z tym idiotycznym uśmiechem. Uniósł własny pistolet i rzekł:

– Och, panienko.

O najmilszej dziewczynie

Matka, rozbrajająco szczera, przysięga, że wcale nie zamierzała zastrzelić Płatona. Dobry marynarz rozstał się z życiem wskutek wypadkowej kołysania fal, własnej ruchliwości, stresu, zmęczenia matki i jej marnych zdolności strzeleckich. Odpowiedzialność się rozkłada, zawirowało światem i chłopa przyjął wodny grób.

Żeby daleko nie szukać, w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych rozbijaliśmy się naszym białym maluchem po okolicy w każdy pieprzony weekend. Matka ubrdała sobie, że podróże kształcą.

Któregoś razu na przykład zobaczyłem wydmy, jakiś lichy skansen i jezioro Łebsko, oszałamiająco piękne w połowie listopada.

W drodze powrotnej zgubiła drogę. Popołudnie, leje. Mieliśmy mapę Kaszub, ale równie dobrze mogła dotyczyć Chin, z legendą po mandaryńsku. Matka wpatrywała się w nią jak w lustro zagłady i przysięgała, że świetnie wie, dokąd jedzie, po prostu wciąż trwa wycieczka.

Mijaliśmy lasy przetkane mgłą gęstą, parę ciemnych domków o ostrych drewnianych dachach i fabrykę emalii – aż trzykrotnie. Matka zachwycała się tą potworną bryłą, paplała, że obcowania z jej nowoczesnym pięknem nigdy dosyć, dlatego ciągle tu wracamy i fajnie się zwiedza. Przysięgam, że gdyby nie chłop na furmance z drewnem, co pokazał nam drogę, zwiedzalibyśmy ten las do dzisiaj.

Ona tak w ogóle rozpierdoliła się tym autem w któryś dzień.

Czekałem na obiad. Przyszła spóźniona, siadła w kuchni i zabrała się do czyszczenia podgrzybków, akurat było późne lato.

Nad ramieniem puchło jej ucho barwy i rozmiaru zgniłego grejpfruta. Trochę minęło, nim dała się zaciągnąć na pogotowie. To chyba ładny obrazek był: elegancka pani z uchem jak korbacz i dzieciak, co ciągnie ją za rękę na Konwaliową.

Ponoć wkurzył ją pacjent, jakiś starszy gość. Zrobiła mu ząb, podała cenę, powiedział, że drogo i chujowo, babsko dłubie boleśnie w szczęce i jeszcze bierze pieniądze jak facet. Wyjebała go za drzwi razem z gazikami w gębie, wsiadła do malucha i prasnęła w czoło autobusu linii sto pięć, co wlókł się do Małego Kacku.

Powtarzała, że to nie jej wina, tylko tego durnia, co ją zdenerwował.

Kiedyś znów zapisała mnie do laryngologa czy tam innego konowała, w każdym razie wylądowała w poczekalni, zła, że musi czekać, i dopiero gdy nastała nasza kolej, lekarz zapytał:

– A syn gdzie?

Poleciała do domu, wściekła jak byk z solą w chrapach, i chciała wiedzieć czemu, u diabła, nie siedzę w przychodni. Odparłem, że nie wiedziałem o naszej wizycie, matka na to, że taka wiedza jest moim obowiązkiem, więc nieźle już podpalony spytałem:

– Ty przez godzinę nie zauważyłaś, że mnie nie ma?

Mama wypluła z siebie mnóstwo słów o tym, ile ma na głowie, w ogóle nie jest od tych rzeczy, bo są rzeczy inne, ważniejsze, cały natłok, autostrady rzeczy, watahy i hordy rzeczy spływające nerwowo jak żywe ryby w sortowni, miałem być, to powinienem, i cześć pieśni. Tak sobie gadała, coraz głupiej i weselej, w końcu śmialiśmy się oboje. Mama zrobiła pizzę, skoczyłem po lody i obejrzeliśmy *Skrzydełko czy nóżka* z de Funesem, bo akurat leciał w telewizji.

Piękne wspomnienie. No ale wróćmy na środek Bałtyku.

Płaton wyszarpnął pistolet, matce został moment na decyzję.

W głowie wybuchły jej wybory najmilszej studentki, tamto straszliwe upokorzenie, i ten obraz nałożył się jak klisza na czerwony łeb Płatona.

Wbrew radom ojca wymierzyła w udo, chcąc darować życie. Na filmach w rodzaju *Córki pułku* czy tam *Kadeta Rousselle'a* dobry żołnierz obrywał w rękę albo nogę, a potem chodził zdrowy i wesoły.

Nacisnęła spust.

Bałtijec omal nie urwał jej ręki, a udo Płatona eksplodowało fontanną jasnej krwi. Chłop osunął się po kole sterowym na mokrą podłogę, próżno chwytając manetkę.

Na udzielenie pomocy zostały sekundy. Mama chwyciła płócienną taśmę, jedną z tych, którymi usadzili walizkę podczas sztormu, i próbowała zawiązać ją nad raną, ale Płaton chwycił ją za dekolt i sięgał twarzy, tak po omacku, pewno mrok ogarnął mu głowę. Próbował mówić, chwytał nadgarstki mamy, jakby chciał pociągnąć ją za sobą w śmierć lub chociaż przytulić, tego się nie dowiemy, bo umarł.

Mama, wstając, powróciła na scenę teatru Leningrad, gdzie Janusz Christa rysował trupa, łódkę i ją samą z taśmą i pistoletem, a z publiczności poderwał się Wacek, piękny jak minstrel, i ryknął:

– Morderczyni!

Dawny chłopak darł się jej w głowie, a stary z pokładu.

Mama przecięła więzy. Ojciec rzucił się do całowania zakrwawionych rąk. Kazała przestać.

Martwy Płaton, ciągnięty przez pokład, kłapał szczęką, jakby opowiadał kolejną dykteryjkę. Nie szło podnieść drania. Przerzucili ciało przez burtę. Głowa trupa zahaczyła jeszcze o silnik i nasz marynarz prasnął w wodę. Tonął wolno, z rozkrzyżowanymi ramionami.

Za Płatonem poleciały dwa pistolety, ten jego i gorący jeszcze bałtijec.

Na pożegnanie ojciec czule obrócił go w dłoni. Matka sądzi, że tej broni żałował bardziej niż Płatona. Krasnoarmiejców mrowie, tych bałtijców piętnaście sztuk, już się nie rozmnożą.

Ledwo bezcenna spluwa prasnęła o wodę, stary przechylił się przez burtę i krzyknął:

– *Suka blat’* mamy kłopoty!

O krwi

Nie po to mieszkam nad morzem, żeby po nim pływać, ale o zrywkach trochę wiem. Mam na myśli taśmę łączącą kluczyk z ciałem sternika. Chodzi o to, żeby łódka nie odpłynęła, kiedy fale poślą człowieka za burtę.

Tego dnia morze było spokojne. Sternik tonął z wolna za burtą, a na jego udzie w słońcu migotał kluczyk.

Po raz pierwszy w życiu matka chciała zamordować ojca. Ponoć w toku lat zżyła się z tym pragnieniem.

To tak niedorzeczne, że aż śmieszne, a przecież jeszcze chwilę temu zachodziłem w głowę, czy moja matka, ta dumna, zabawna i w sumie łagodna babeczka, mogła kropnąć faceta.

Stary podobno bosakiem próbował chwycić ten kluczyk albo chociaż przyciągnąć tonącego trupa. Zaczepiał hakiem o brzeg koszuli, o szczękę, w końcu wyszło mu z paskiem. Płaton grzmotnął o burtę, a nad nim i nad przemoczonymi, zakrwawionymi rodzicami wirowały wrzaskliwie mewy.

Więc oni, moi niedorzeczni, zmyśleni starzy wciągnęli trupa na pokład, to znaczy przewiesili go przez burtę jak zrolowany dywan. Gdy tylko matka pochwyciła kluczyk, strącili koleżkę z powrotem do wody. Mama przysięga, że pamięta ten chlupot do dziś.

Przesiedzieli chwilę w ciszy. Chyba zawsze tak robili, jak coś się wyjebało.

Milczeli, wdychając miłość i lęk, cali we krwi. Stary ubrudził mundur, matka sukienkę, zakrwawione były pokład i burta.

Ojciec uznał, że trzeba działać, i obrał kurs na północ, matce pozostała walka z bałaganem.

Krew trudno schodzi, pamiętam, jak urąbałem sobie opuszkę palca zaraz po otwarciu Fernanda, drugą dobę na nogach, spętany łańcuchem dostaw i wolą gości. Machnąłem tasakiem i masz. W życiu bym nie przypuszczał, że tyle pocieknie z głupiej opuszki.

Pieprzyć szpital, zalałem paluch spirytusem, owinąłem gazą i wróciłem do pracy. Szorowałem deski, blat kuchenny, podłogę i ściany. Inaczej klient otrzymałby stek bardziej krwisty, niż sobie życzył.

Była też historia z kurtką. Od matki dostałem taką dżinsową, Levi'sa, kupioną na placu za gruby szmal. Każdy gówniarz marzył o takiej. Leżała na mnie jak druga skóra. Coś mi szeptało, żeby zostawić ją w domu, ale chciałem, by zobaczyli mnie kumple. Zapunktowałbym u nich. Może przyjęliby do bandy?

Bawili się w lesie za Witominem. Zalegały tam wojskowe ciężarówki, transportery, motocykle, spalone czołgi, taczki, tym podobny szajs. U nas w Trójmieście do niedawna trochę takich cmentarzysk było. Grzęzły w błocku, zarastały zielskiem od wojny.

Efekt był taki, że przykozaczyłem, wskoczyłem do ciężarówki przez rozbite okno i rozciąłem sobie rękę. Popędziłem przez las do pierwszej studzienki, z dłonią daleko od ciała, byle nie zachlapać tej kurtki. Próżny trud.

Chłopaki pompowały, a ja próbowałem zatamować krwawienie i szorowałem kurtkę. Gość z parkingu dał mi bandaż. Do domu wróciłem zasmarkany, z różowym rękawem, i pewny, że matka mnie zabije.

– To tylko rzeczy. Będziesz miał jeszcze masę pięknych kurtek – tak zgasiła mój strach i wstyd. Sama wyglądała na spłoszoną.

Wyszorowała tę dżinsówkę w zimnej wodzie, tropiąc każdy różowy ślad.

Na łódce zaczęła od bluzki. Czyściła wodą utlenioną z apteczki, oglądała pod światło i pucowała znowu. Stary w tym czasie pilnował kursu i ani myślał pomóc.

Bluzka schła na nadbudówce za reflektorem bocznym, przytwierdzona do relingu. Matka zabrała się do czyszczenia pokładu. Wzięłaby mundur na szmaty, bo i tak mieli go wyrzucić, ale tatko zabronił. Miał swoją dumę, a matka – więcej roboty.

Koło sterowe, manetka, wskaźnik paliwa, woltomierz, ciśnieniomierz – wszystko zbryzgała jasna krew tętnicza. Mama chlusnęła z wiadra, szorowała, ojciec, ściskając ster, klął, że ich potopi.

Płukała szczotkę, a przez jej palce przelewała się jasnoróżowa woda. Czyściła miejsce po miejscu ślady Płatona.

Wypucowała burty z obu stron. Pokład wyglądał na czysty, lecz taki nie był. Na bluzce też znalazła stadko czerwonych kropek, podobnie na szybkościomierzu i manetce. Co upolowała jedną, znajdowała dziesięć. Szorowała coraz mocniej, chciała zdrapać lakier i wgryźć się w drewno, byle tylko przepadły te upiorne dowody winy. Strach ciskał ją do koła sterowego i znów na pokład, miotała się w złośliwych mlaśnięciach szmat, w poświacie wieczornego słońca, skurwiela, co wszystko czerwieni.

Ojciec ją chwycił, potrząsnął, dosyć, *Zwiozdoczka*, dosyć.

Ani myślała przestać, więc stary obrócił nią jak chochołem i pokazał delikatną linię brzegu. Drewniane molo przypominało uśmiech, za wydmą obracał się wiatrak.

Dopłynęli.

O ogłoszeniu

Wpisuję ojca w wyszukiwarkę. Dawno powinienem to zrobić.

W języku polskim natrafiam na parę wyświetleń, składających się na znajomą już historię. Nikołaj Siemionowicz Narumow, mój rzekomy tatko, był sowieckim kapitanem trzeciego stopnia, rzeczywiście szkolił Indonezyjczyków w Gdyni i prysnął do Szwecji na motorówce z kochanką.

Nazwisko matki nie pada, brakuje też słowa o Płatonie.

Mogła przeczytać tę historię, a najpewniej usłyszała ją w młodości, tą ucieczką żyło pół Gdyni, tak tu piszą.

Pełen nadziei gaszę papierosa w słoiku po śledziach i przeskakuję na wyszukiwarkę rosyjską, posiłkując się translatorem. Tu jednak klops, bo istniał drugi Nikołaj Siemionowicz Narumow, lotnik zestrzelony nad Słowacją pod sam koniec wojny. Ma swoje ulice, pomniki i mnóstwo tekstów wspominkowych, nacjonaliści z Moskwy nagrali o nim piosenkę. Tatko niknie w tym natłoku.

Dla porządku przeglądam fotokopie „Dziennika Bałtyckiego” i „Wieczoru Wybrzeża” z drugiej połowy 1959 roku. Z punktu widzenia władz ucieczka oficera na Zachód zakrawała na skandal, gazety o tym milczą. Natrafiam jednak na wzmiankę o katastrofie w basenie numer cztery.

Tajemniczy obiekt, nim pierdolnął w wodę, wisiał chwilę nad placem Kaszubskim, widzieli go pracownicy pobliskich magazynów.

Piszą nawet o Amerykańcu. Ponoć miał dwa serca, spiralny układ krwionośny i po sześć palców u każdej kończyny. Wykorkował w gdańskim szpitalu, po tym jak lekarz zdjął mu bransoletę. O udziale starego internet milczy.

Mama z pewnością też o tym czytała.

W latach dziewięćdziesiątych zjechali do nas Japończycy, przewodzeni przez jakiegoś wariata spod Krakowa. Szukali kosmitów, latających spodków, znaleźli piach i muszle, bzdura się rozchodzi jak kręgi na wodzie.

Zapalam papierosa i dumam, co dalej.

Czasem najprostsze sposoby są najlepsze.

Sporządzam ogłoszenie następującej treści: „Ludzie internetu! Szukam informacji o kapitanie Nikołaju Siemionowiczu Narumowie, który latem 1959 uciekł motorówką do Szwecji”. Czytam te słowa parę razy, po chwili wahania dopisuję: „Ponoć w styczniu tego roku w Gdyni rozbił się niezidentyfikowany obiekt latający. Dajcie znać, jeśli o tym też coś wiecie. Odwdzięczymy się burgerem i stekiem, bo mięso umiemy przygotować jak nikt”.

Dodaję zdjęcie baby z cyckami dla atencji, zmieniam ją na słodkiego kotka i wrzucam post na sociale Fernanda i swój własny profil.

Może ktoś się zgłosi. Żarcie za frajer otwiera każde drzwi.

O widmach

Stary zacumował i wskoczył w czarny garnitur. Mundur zatopili w worku marynarskim razem z granatami. Pewno rozczulił się przy tym trochę i myślał, że wraz z tym mundurem grzebie swoją przeszłość i przyszłość, kompanię karną i szlify admirała.

Wziął walizkę i pomógł matce zejść na molo. Wył wiatr.

Na wyspie przywitały ich brązowa trawa, wielki kamienny krzyż i samotna ściana zniszczonego kościoła. Wyboistą ścieżką dotarli do wioski rybackiej – grupki długich, parterowych domków o małych oknach. Rybacy dali im zupy i samogonu. Mężczyźni nosili brody i swetry, ich żony przypominały trolle i miały oczy podobne do kamieni.

Rodzice siedli przy drewnianym stole, a stary pił, tłumaczył, skąd się wzięli, i przysięgał, że nie mają złych zamiarów.

W izbie stały skrzynie z nieoszlifowanych desek, jedna na drugiej, zakryte futrami. Z belek pod sufitem zwisały sieci i sznury poskręcane, po podłodze walały się groty, chomąta, boje i tykwy, słowem było bajkowo jak u Muminków.

Matka łaknęła snu i chętnie zawinęłaby się w te futra. Ojciec zabronił i ciągnął na policję, tak bał się kłopotów. Powinni się oddać w ręce władz jak najszybciej.

Tu pojawił się problem, bo we wsi dawno nikt nie widział policjanta. Sołtys, który jako jedyny miał telefon, bez skutku wydzwaniał do miasta,

na komendę.

Ostatecznie w chałupie stawił się taksówkarz w volvo nieokreślonej barwy. Miał wąsy maharadży, żuł tytoń i niczemu się nie dziwił, jakby w tej Szwecji zakochani wyłazili z morza w każdy wtorek. Pojechali w mgłę. Matka przysnęła.

Zbudziła się już w miasteczku, na wąskiej uliczce jednopiętrowych domków. Komisariat mieścił się w jednym z nich. Czekało tam dwóch zaspanych policjantów i chłop z miejscowej prokuratury, wyciągnięty z łóżka, bo gadał trochę po rusku. Był wysoki i miał oczy głęboko osadzone jak ślepiec. Matka czekała, aż wyrżnie czołem o framugę.

Usiedli w pokoju przesłuchań. Wszędzie stały kwiaty i popielniczki. Na ścianie wisiał portret króla z mnóstwem orderów. Policjanci przynieśli koce i poduszki, ten chłop z prokuratury powiedział, że noc spędzą w celi, a jutro przyjedzie ktoś ze Sztokholmu. W ambasadach, polskiej i sowieckiej, już o nich wiedzą, dodał jeszcze, a matce serce skoczyło do gardła.

Chciała zadzwonić do dziadków. Chłop powiedział, że nie da rady, jutro się pomyśli.

Czy moja mama zabiła człowieka? Ta sama mama, która wskakiwała ze mną, ledwo wyrośniętym, do gokartów, żebyśmy robili cudowne karambole, i biła mnóstwo kotletów, bo jadłem tylko to? Później, gdy zamieszkała sama, nie chciała żadnych zwierząt, bo twierdziła, że są dobre dla dzieci i pierdzieli, ale dokarmiała koty kręcące się przy willi, a raz zastałem ją, jak kucała z uniesioną łopatą nad kretowiskiem, skupiona jak sowa, z termosem w kieszeni szlafroka. Z drugiej strony ludzie są pełni niespodzianek i robią różne, radykalne rzeczy, no ale nie mama, w każdym razie chyba nie.

Wylądowali w tej celi, niewiele przytulniejszej od bunkra. Policjanci rżnęli w karty i słuchali radia. Ojciec zachrapał, leżąc na wznak, a do matki dotarło, że w sumie jest po sprawie, do Polski nie wróci, chyba że w kajdankach. Dziadkom powiedzą, że utonęła albo szpiegowała dla faszystów, najpewniej jedno z drugim.

Jedunow zemści się na nich, myślała, żeby tylko nie pobił dziadka na oczach babci, niech oszczędzą im przynajmniej tego. Myślała też o nich dwojgu, jak siedzą w kuchni, jest późny ranek, babcia odpala albatrosa od albatrosa, a dziadek pociesza ją, że Hela by ich nie zostawiła i zaraz wróci.

Usnęła i zbudziła się przed świtem. W progu celi stał Płaton w mokrym mundurze. Miał białe oczy. Z ust ciekła mu woda.

NOC SZÓSTA

1959–1961

czwarty

poniedziałek

października

2017

O zmianach

Matka ma guza mózgu. Twierdzi, że czuje się doskonale, i żąda powtórzenia badań.

Zrobili jej tomografię i rezonans magnetyczny, więc o żadnej pomyłce nie może być mowy, zresztą na zdjęciach trudno przeoczyć skurwiela.

Osiągnął rozmiar śliwki i tkwi w prawym płacie skroniowym, uciska hipokamp. Doktor, zasadniczy chłop w okularach, z łysinką i brzuszkiem, tłumaczy mi, że właśnie dlatego weszła do Bałtyku. Guz zakrzywia przestrzeń, przywołuje fantomy.

Chcę wiedzieć, czy deformuje też pamięć, wywołując fałszywe wspomnienia. Doktor myśli chwilę nad odpowiedzią i przyznaje, że to niewykluczone.

Wypytuje o jej stan zdrowia, o bóle głowy, nudności, ataki padaczki i zmiany nastrojów, odpowiadam, że zachowywała się jak zawsze, nie zauważyłem niczego niepokojącego.

Ojca, kosmitę i trupa w wodzie uznałem za słuszne zmilczeć.

Przynajmniej wiem, skąd się wzięli, to kłamliwa pieśń zmaltretowanego hipokampu. Tak naprawdę słuchałem nie matki, to guz do mnie mówił.

Powinienem skasować te notatki, niech fruną w pizdu. Ale piszę dalej. Piszę, bo dygoczę ze złości i łudzę się, chyba, tak, na pewno, że stosy liter, hałdy zdań jakoś zasypią mój strach i wściekłość.

Zacznijmy od dobrych wiadomości. Guz jest pierwotny, nie przerzutowy, prześwietlili ją całą, więc wiem. Generalnie bardzo tu się nią przejmują i deliberują, co dalej: chemia, radioterapia czy może skalpel.

Na to wszystko zjeżdża onkolog z Gdańska, łysy, malutki, o wdzięku tenisisty. Wydaje wyrok. Chemia nie pomoże, trzeba guza wyciąć, i to jak najszybciej, inaczej mama nie dożyje Gwiazdki.

Problem w tym, że matka nie zgadza się na operację. Planuje za to powrót do domu.

Tłumaczę jej, że ma przed sobą jakieś trzy miesiące życia. W odpowiedzi chrupie solone orzeszki. Podbiła serca pań z Inmedio i rozkochała w sobie pielęgniarki, studenci towarzyszący lekarzom patrzą na nią jak na słonia o dwóch trąbach.

Słonie, jak wiemy, znają drogę do tajemnych cmentarzy.

Mama powtarza, że czuje się doskonale. Jej zdaniem doktor pomylił fotografie, ten guz tkwi w głowie kogoś innego. Tłumaczę, że to niemożliwe, a ona prosi, żebym odpuścił, sama jest lekarką, widziała nie takie rzeczy.

Przypominam, że w piątek wyciągnąłem ją z wody. Matka mruga, obłożona gazetami. Jeśli jest zdrowa, pytam, to kto wszedł do Bałtyku?

– Oni mnie zabiją – mówi z powagą.

Następnie wygłasza monolog o licznych niebezpieczeństwach związanych z takim zabiegiem. Boi się paraliżu, utraty wzroku, słuchu i głosu, drży nawet o pamięć, co w innych okolicznościach byłoby nawet zabawne. Widzi siebie na wózku, podpiętą do kroplówek, w pampersie, zdaną na łaskę innych.

To lepiej się poddać i umrzeć?

– Nigdzie się nie wybieram – słyszę.

Wygląda na to, że matka w heroiczny sposób przeciwstawia się zdobyczom medycyny. Własnoręcznie wpakowałbym ją z powrotem do Bałtyku, żeby tylko zmieniła zdanie.

Przypominam, że na raka nie umiera się tak po prostu. Mama skazuje siebie na wielkie cierpienie, o czym powinna wiedzieć. Guz już zabrał jej wspomnienia i szykuje się na więcej. Pożre mnie, Olafa, w końcu ją samą, pozostawiając tylko ból. Ten nie odejdzie, nawet jeśli matka wsadzi głowę do wiadra z morfiną.

W odpowiedzi słyszę, że nic ją nie boli, mózg jest wrażliwy jak kalafior. Doprawdy, nie słyszała o przerzutach?

Proszę, straszę, zaklinam, jednocześnie odnoszę wrażenie, że matka ma radochę z tych moich wysiłków. Grożę w końcu, że powiem prawdę Olafowi. Może łzy wnuka złamią jej opór?

Mama rozpatruje ten pomysł w kategoriach szantażu moralnego, lecz w końcu się zgadza. Taka właśnie jest. Łaknie uwagi, uwielbia, gdy się ją o coś prosi, i łaskawie obiecuje rozważenie operacji w dogodnym dla siebie terminie.

Zrobi to. Pod jednym warunkiem.

O nudzie

Rodzice planowali nowe życie w Szwecji. Spędzili tam tylko parę tygodni.

Najpierw przemaglował ich komendant posterunku. Matkę pytał o rodzinę, o znajomych z Gdyni i czemu właściwie wylądowała na łódce. W kółko to samo. Potem przypłynął jakiś oficer z kontynentu, zjawiło się też trzech Ruskich. Ci strasznie chcieli pogawędzić ze starym, zwłaszcza na temat Płatona. Tatko odmówił spotkania, Szwedzi kazali Sowietom zjeżdżać, ale lęk pozostał. Matka drżała, że odeślą ich do Rosji.

Na razie trafili do Sztokholmu. Przejął ich spec od uciekinierów nazwiskiem Forsberg, miły, pogodny gość, powiedział, że zadba o nich i nie pozwoli zrobić im krzywdy. Matka zaraz dała mu się wykazać. Chodziło o telefon do dziadków.

Chciała z nimi pogadać, stary był przeciwny, postawiła na swoim.

Co byś im powiedziała, mamo?

Nie z nią przecież gadam. Jej rak do mnie mówi.

Oczywiście z telefonu nic nie wyszło. Mama próbowała dzwonić kilka razy. Odpowiedziały trzaski i cisza jak w piekle.

Zakwaterowali ich w dużym mieszkaniu na czwartym piętrze kamienicy blisko centrum. Mieli tam wysokie okna bez zasłon, żółte meble kuchenne i czarno-białą podłogę. Jeden pokój zajmowało dwóch ludzi Forsberga w cywilnych łachach. Zmieniali się co dwanaście godzin, warowali przy matce, nawet jak szła do kibla, i nie gadali w żadnym znanym jej języku.

Mama dostała też asystentkę, przynajmniej z nazwy. Zabierała ją na wycieczki i wyglądała, jakby w dzieciństwie bawiła się głównie obcęgami.

Ze Sztokholmu mama pamięta neony Lufthansy, wielkie kościoły, wieżowce i kamienne mosty poprzerzucane nad mrowiem kanałów. Wspomina zadymione restauracje, gdzie wszyscy pili wódkę albo mleko, żarli wędzonego łososia i kiszonego śledzia, którego ostry smród wgryzał się w ściany obłożone drewnem. Kto jada takie świństwo, kochany synku, wiesz może coś na ten temat? – pyta. No proszę, ale jest złośliwa.

Możliwe, że naprawdę była w tym Sztokholmie, tylko kiedy indziej, na przykład na wycieczce pracowniczej. Na pewno jeszcze na jakąś pojedzie, musi tylko wyzdrowieć, ludzie żyją teraz do dziewięćdziesiątki.

Twierdzi, że asystentka wyciągała ją na miasto, żeby Forsberg z kolegami mógł w spokoju maglować tatę. Wypytać o rodzinę, lata służby, jej przebieg, o teścia admirała i innych sowieckich polityków. Stary sypał równo, łgał, że do ucieczki nakłoniła go miłość, upadek Amerykańca zmilczał.

Tak właśnie poinstruował matkę: ani słowa o katastrofie i roli Jedunowa, motorówką popłynęli we dwoje, nie było żadnego Płatona.

Forsberg ostrożnie drążył temat. Pytał mamę, czy na łódce nie mieli kogoś jeszcze, ta łgała elegancko, bo przecież w kłamstwach jest świetna, aż wreszcie Szwed zagadnął wprost: kim był Płaton Sokołow i co ich łączyło?

Matka opowiedziała, jak ten dobry marynarz grał z ojcem w durnia albo jadł kremówkę gołymi palcami. Stary tymczasem doszedł do wniosku, że Forsberg domyślił się prawdy i wyda ich Moskwie.

Na jedno przesłuchanie przyszedł facet z rezydentury amerykańskiego wywiadu w Sztokholmie, szary i ruchliwy. Interesował się wyłącznie ojcem i nawijał mu makaron na uszy. W końcu pojechali do ambasady na koniak i ciastka. Wszyscy byli tam bardzo mili, no ale to nic nie kosztuje.

Właśnie wtedy stary wymyślił tę pieprzoną Amerykę. Matka wolałaby zostać w Szwecji, ale tatko uroił sobie wielką karierę za Atlantykiem, wierzył, że może nawet dadzą mu okręt do dowodzenia, i straszył cierpliwym Jedunowem. Szwecja za blisko, mówił. Jedunow dopadnie ich za pięć, może siedem lat. Naprawdę chcą zmieniać mieszkanie co pół roku, a tablice w aucie raz w tygodniu?

Matka miała do wiwatu i bez tego. Ciągle oglądała się za siebie, nocami nie mogła zasnąć, zasłuchana w skrzypienie starych schodów na klatce schodowej i brzęk butelek wywracanych przez szczury. Ktoś za nią wędrował, w bramach rosły cienie.

– Pani Heleno, wy lepiej nie jedźcie do tej Ameryki – ostrzegł ją Forsberg. – Nikołaj nie zrobi żadnej kariery. Użyją go i porzucą. Zabiją, zamienią na cenniejszego agenta. Teraz wokół was skaczą, ale potem im przejdzie. Pani pomyśli: dlaczego im tak zależy? Ja was ochronię. Dla pani znajdziemy praktykę. Nikołaj dostanie dobre, nieeksponowane stanowisko. Czemu on ciągle opowiada o jakimś okręcie?

Tydzień później rodzice wylądowali w willi pod Frankfurtem, przewiezieni z lotniska nocą w volkswagenie o przyciemnianych szybach. Na miejscu czekała ochrona, paru oficerów amerykańskiego wywiadu i stenografistka, zapełniająca cienkie arkusze liniami pochyłego pisma, nieporównywalnego z niczym, co matka widziała do tej pory.

Maglowali ich miesiąc. Wycieczki dobiegły końca, matka nie wystawiała nosa poza modrzewie i żywopłot. Słuchali niemieckiego radia, jedli mnóstwo mięsa i nadrabiali czas stracony w Sztokholmie.

Matka znów opowiada o świństwach, jakie wyczyniała ze starym, jej zdaniem seks jest najwspanialszą rzeczą na świecie, a tatko osiągnął na tym polu prawdziwe mistrzostwo. Mówię w końcu, że o pewnych sprawach wolałbym nie wiedzieć, a ona pyta, czy uciekłem z zakrystii.

– Ja się tego nie wstydzę – mówi, osiemdziesięcioletnia, z rakiem w siwej głowie.

Amerykanie przynieśli dwa różne wariografy, okablowali starego, a potem matkę. Sprawdzali jej tętno, ciśnienie krwi i czy się poci. Zadawali ciągle te same pytania, część bezsensownych, część znów całkiem do rzeczy. Jak nazywała się jej przyjaciółka z dzieciństwa? Mieli w domu jakieś zwierzęta? Czy kiedykolwiek sfałszowała dokumenty? Pożarła się kiedyś z przełożonym?

Podczas badania wyobrażała sobie, że rozgrywa wyjątkowo długą partię remika. Stary błagał ją, by milczała o Amerykańcu. Szeptał, bo wszędzie zainstalowano podsłuchy.

Mama, znudzona i umęczona tą maskaradą, zapytała w końcu, dlaczego nie powiedzą całej prawdy. Stary się oburzył. Co jej w ogóle strzeliło do głowy?!

– Z nieba zleciał ich tajny projekt – rzekł cicho. – Zabiją nas, bo o tym wiemy.

W sumie rzeczywiście mogli ich zastrzelić. Wówczas nie byłoby mnie, huku w głowie, rwania w łydkach ani tej niedorzecznej historyjki. Ale rodziców zabić mogła głównie nuda, ewentualnie zawał serca.

Wreszcie przewieźli ich na lotnisko wojskowe. Lecieli tylko we dwoje. Obsługa roznosiła zimną kawę i kanapki. Samolot trząsł się przez cały lot nad Atlantykiem.

Matka trzymała ojca za rękę. Zapytała, co ich czeka w tej Ameryce.

– Same dobre rzeczy – obiecał ojciec.

Wypił trzy likiery i zasnął na resztę lotu.

O pierwszym wrażeniu

W życiu nie widziała tylu ludzi w ciemnych okularach. Takie ma pierwsze wspomnienie z Ameryki – mężczyźni na lotnisku, na ulicy, w aptekach i restauracjach niby oślepieni słońcem.

Przywołuje kolory, te kaskady barwnych szyldów i neony na budynkach, od których aż bolały oczy. Bała się samochodów zasuwających po ośmiu pasach. Wiozły kajaki na dachach i ciągnęły łódki. Opowiada o tym, jakbym w życiu nie widział żadnego filmu nakręconego w Stanach Zjednoczonych.

Nie nabieram się.

Rak zniknie, wraz z nim cała ta historia, a ja odzyskam matkę.

Piszę, bo wtedy mniej się boję, ale też szukam dziur w opowieści, tych ran wylotowych, przez które tryska kłamstwo. Wyobrażam sobie nawet, właśnie teraz, o pierwszej w nocy, jak pokazuję wyleczonej matce te zapiski i śmiejemy się razem z głupot, które wygadywała.

Z lotniska zawieźli ich do kolejnej kryjówki. Był to parterowy domek w stanie Maryland, wciśnięty między podobne drewniane budyneczki, z podwórkiem otwartym na las sosnowy pełen srebrnych wiewiórek.

W domu czekały radio, magnetofon szpulowy, szachy, karty i *Monopoly*, którego zasad stary nigdy nie pojął. Pokochał za to stół do ping-ponga ustawiony w piwnicy. Godzinami grał z matką i oficerami, co ich pilnowali. Jeszcze słabo gadał po angielsku, więc zbałamucił ich na migi, i to tak, że ganiali mu po szkocką, budweisera i papierosy lucky strike bez filtra, w miękkiej paczce.

Mama zabawiała się liczeniem pytań zadawanych podczas przesłuchań. Zgubiła się przy piętnastu tysiącach.

Przesłuchujący zapisywali każde jej słowo i próbowali różnych sztuczek, które pewnie rozpoznałaby, gdyby znała wtedy filmy z Bondem i czytała Fredericka Forsythe’a. Matka uwielbia kino i literaturę sensacyjną.

Raz przetrzymali ją bez jedzenia cały dzień. Kiedy indziej znów napchali krewetkami z lodu i spili burbonem. Innym znów razem oficerowie udawali, że się kłócą.

Niewzruszona opowiadała o swojej wielkiej miłości i trudach życia po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Świadomie wybrała wolność, zresztą zawsze marzyła tylko o tym, żeby mieszkać w Stanach.

Stary czarował historiami o rakietach testowanych w ZSRR, co latają nisko, poza zasięgiem radarów. Poradził też im, tym nowym przyjaciołom, żeby uważali na kutry rybackie. Te pływały sobie swobodnie po całym Atlantyku, badały strukturę amerykańskiej floty, jej uzbrojenie, a wszyscy mieli je w dupie. Nikt tam niczego nie łowi, dodał mój zachwycony stary, ryby ładują na te kutry w Narwie, Haapsalu i Tallinie.

Tego wszystkiego słuchał niejaki Arnold Blake, włochaty misiek koło pięćdziesiątki, agent wywiadu oddelegowany do pracy przy rodzicach. Ponoć wcześniej szmuglował nazistów z Europy. Nosił kowbojskie krawaty i drogie zegarki. Dużo mówił o żonie, nie pił, nie palił i często badał sobie serce. W związku z tym stary zastanawiał się głośno, czy w ogóle można go uznać za człowieka.

O pierdołach

Układ z matką wygląda na prosty: podda się operacji, gdy skończy swoją historię. Drży, że umrze, nim zdąży powiedzieć, co było dalej.

Doprawdy mógłbym z tym żyć.

Zachowuje się jak tonąca, która odrzuca koło ratunkowe, bo kolor jest nie taki jak trzeba, choć woda zalewa jej usta.

– Zresztą rozmawiałam z tym moim doktorem, mogą operować najwcześniej pod koniec tygodnia.

Cóż, też rozmawiałem. Rozłożył ręce.

Taki stan rzeczy niesie za sobą poważne konsekwencje, dojdę do nich, jakoś spiszę, na razie nie wiem, ku czemu się zwrócić. Wyrażam zgodę, bo nie mam wyjścia, i proszę tylko matkę, żeby raczyła się streszczać. Niech nawija chyżo. Czasu nie ma. Co stało się z ojcem? Zabrali go na Saturna?

Matka w zamian zalewa mnie potokiem pierdół.

Stąd ten Arnold Blake, jakiś Forsberg i detale przesłuchań.

Kiedyś taka nie była. Lubiła konkret i darła łacha z każdego, co przedstawia swoją trasę z domu na przystanek autobusowy jak jakąś odyseję. Każdy zna takich. Godzinami paplają o swoich fascynujących problemach, krewnych i przygodach w aptece.

Z wkurwieniem i smutkiem orientuję się, że matka dołączyła do tego grona. Guz wyparł z jej duszy resztki młodości.

Wałkuje bzdury, jakbym miał czas tylko na to.

No więc dowiedziałem się, że zafundowali im nowy dom po jakimś roku przesłuchań. Żyli już we dwoje, bez żadnych strażników. Budynek stał wśród drzew na przedmieściach Crofton w stanie Maryland, niedaleko Waszyngtonu. Była to, jak słyszę, sroga chałupa w amerykańskim stylu, stworzona dla grubasów z ich wielkimi samochodami i potwornym potomstwem, biała, wyższa od bloków na Pagedzie.

Matka zabrała się do urządzania tego wielkiego gniazda, a w jej opowieść wplata się podwójny zlew, kominek i obła lodówka z wajchą. Fascynujące, mamo. Pomocą w zakupach służył jej sam Arnold Blake, który mianował się przyjacielem domu, bo mógł jeździć ze starym w rejony Gettysburga, gdzie strzelali do bażantów i widłorogów.

W tatce narastał pierdolec polowań, ale to inna rzecz.

Rodzice w ogóle nie mieli własnych pieniędzy, tylko czeki od rządu, więc matka nawija także o nich. Truje też o promocjach w supermarketach, na które woził ją Blake, bo sama nie miała przecież prawka, o chochlach za pół ceny, tosterze i odkurzaczu chromowej barwy, a także wielkim wrażeniu, jakie wywarła na niej mnogość towarów w sklepach. W Polsce brało się garnki spod lady. Babcia kupiła radio na raty, z pożyczki pracowniczej.

Mama prosiła Blake'a, by mówił do niej jak najwięcej po angielsku, bo chciała się uczyć, dobry agent spełnił tę prośbę i niezbyt nachalnie zerkał jej w dekolt.

– Mężczyźni ciągle się za mną oglądali, mówię ci – chwali się mama.

W to akurat jestem w stanie uwierzyć.

Słucham też o częstych wyjazdach do stolicy. Stary znikał w centrali CIA, więc znudzona matka postanowiła się włóczyć, mimo zakazu Blake'a. Nawija o korkach ulicznych i wypożyczalniach rowerów na stacjach benzynowych, przywołuje wspomnienia o handlarzach, co sprzedawali homary z drewnianych stołów, o dzieciach z cukierkami w papierowych rożkach i drewnianych buddach na tyłach kamienic, najdłużej jednak rozwodzi się na temat czarnoskórych.

Używa oczywiście innych słów, tak chce mnie zezłościć. I specjalnie gada byle co, żeby tylko odwlec operację.

Zauważyła, że w autobusach biali mają do dyspozycji mnóstwo miejsca, a kolorowi gniotą się z tyłu. Broniono im wstępu do większości kawiarni, pralni i fryzjerów, do szkół podstawowych wiodły dwa różne wejścia, mieli też swoje liche kina. Matkę uderzyła ta niesprawiedliwość, wciąż żywo o niej mówi.

Wspomina zamieszki po aresztowaniu Martina Luthera Kinga, gdy policja waliła do demonstrantów z armatek wodnych, tryskała krew i fruwały kapelusze. Pytam z wredną uprzejmością, czemu w takim razie dalej nazywa czarnoskórych Murzynami. Czemu napis nad willą wciąż straszy?

– Wiem lepiej – odpowiada i zaczyna paplać o telewizji.

Więc marzył jej się telewizor jaki kiedyś babuni. Poprosiła Arnolda Blake’a, by zapisał ją do kolejki na taki.

Zaskoczony Blake zaraz zawiózł mamę do sklepu, gdzie mieli mnóstwo telewizorów. Zatkało ją. Wzięli w końcu taki jeden Philco, wbudowany w drewnianą szafkę, wiem dobrze, bo matka rozwodzi się nawet nad ceną i złotawym wykończeniem na rogach.

W sumie dobrze wyszło z tym telewizorem, bo stary znikał na długie tygodnie. Siedział w Waszyngtonie albo polował.

– Jak wracał, spędzaliśmy razem cały czas, nie mógł ode mnie się odkleić, ale za często go nie było – słyszę, po czym matka przechodzi do streszczania ukochanych programów z tamtych lat, nawija coś o Robinsonach w kosmosie i latającej zakonnicy. Serio fruwała, z magicznym habitem furkoczącym w powietrzu.

Naprawdę to właśnie pamięta, pingwina nad amerykańskim niebem i inne bzdury z telewizji?

Pytam, czy rozczarowała się pobytem w Stanach i posępniejącym starym. Odpowiada zaraz, że życie to wagon frasunku i nie ma czym się przejmować. Lecz ja wiem lepiej, my się nie skarżymy, a ona nie chce mówić o ojcu źle.

Gdynia należała do nich, były przedstawienia, tańce do rana, rauty i wóda ze rżniętego szkła. Poza tym uczyła się, pracowała, dni były ciasne. A w Stanach wyszło, że czasu ma aż za dużo.

Uciekli, zaczął się ciąg przesłuchań, kryjówek, wreszcie wylądowali w jakiejś dziurze niby skołowane szczury. Stary pił i się włóczył, wracał zakochany na zabój, stęskniony drapieżnik.

– To nie było nawet bombardowanie miłością – wspomina mama – raczej nalot dywanowy.

Oglądała tę telewizję zbrojna w butelkę wina, brulion i pluton ołówków. Zakuwała angielski, notowała słówka i zdania, a gdy wypiła za dużo, wyobrażała sobie, że babcia siedzi obok z albatrosem i razem zachwycają się przemówieniami Kennedy’ego, który akurat kandydował na prezydenta.

– Uczyłam się, odkąd pamiętam. Nagle nie było nic do roboty. Niczego też mi nie brakowało, bo mieliśmy te czeki od rządu, ale czułam się z tym źle. – Mama z nutką melancholii obiera kurs na puentę. – Pomyślałam, że ruszę z życiem naprzód, kiedy opanuję ten angielski. W sumie tak wyszło. A Kennedy fajny był, mrużył oczy i szczerzył te swoje zęby jak u konia.

Diabeł, nie chłop. Wiadomo. Jackie z nim pożyła. Ja też wzięłam sobie diabła i jak to się dla mnie skończyło?

O przyjęciach

Olaf dowiaduje się o chorobie babci. Przed dzieckiem nie schowasz żadnej tajemnicy.

Z właściwą sobie pogodą ducha żąda zakupu balonów, girland, flaszki piccolo oraz ciastek. Siedzi u siebie, wycina z tektury gęsi, orły, nosorożce i słonie, maluje je na różne kolory i układa playlistę w Spotify.

Jest przy tym poważny i skupiony, nie odnajduję w nim smutku ani lęku, te wycinanki i piosenki świadczą o niezachwianej pewności, że babcia wyzdrowieje i wróci. Olaf nie wątpi. Włożyłbym mu dłonie do głowy i wziął trochę tej nadziei dla siebie.

Młody szykuje przyjęcie powitalne i wyobraża sobie, jak jego ukochana babcia stawi się u nas i będziemy razem świętować, słuchając wesołych piosenek, jedząc ciasto, otoczeni przez papierowe zwierzęta.

Twierdzi, że zorganizowała mu tyle przyjęć, że czas się odwdzięczyć, nadeszła jego kolej. Tłumaczę, że babcia będzie w szpitalu jeszcze długo, oczywiście wróci do nas, nie ma co do tego żadnych wątpliwości, a Olaf z miną sędziego oświadcza, że musimy być gotowi na ten powrót w każdej chwili.

Jest wieczór. Po białej nocy, półżywy przez fajki, odrywam się od komputera i spędzam godzinę na kolorowaniu zwierząt, Olaf w tym czasie wynosi głośnik do przedpokoju i rozpoczyna pracę nad napisem powitalnym.

Matka urządzała mu przyjęcia z każdej możliwej okazji. W ten sposób pokazywała rzekome piękno życia i udowadniała, jacy z Klarą jesteśmy nudni.

Bodaj na szóste urodziny zaklepała salę w cukierni u Paradowskiego i zamówiła tort w kształcie Szczerbatka z *Jak wytresować smoka*. Na miejscu czekał klaun, żongler i połykacz ogni oraz gość z tresowaną świnią, wesołą jak szczenię. Urodziny przebiegły wspaniale, lecz skończyły się smutno, bo Olaf pokochał to rozradowane prosię i chciał zabrać do domu. Matka targowała się zresztą z tym chłopem i dopiero Klara dała temu odpór: czego jak czego, lecz knura na Witominie nie będzie.

Kiedy Olaf pokochał legendy arturiańskie, mama przerobiła całą willę na zamek.

Z okien zwisały szare płachty imitujące romańskie mury, na dachu łopotała flaga ze smokiem i chwiał się rycerz z kartonu. Instalując go tam, prawie spierdoliłem się na ziemię. Za domem natomiast czekał głaz, który na żądanie matki przytargałem aż spod skweru Arki.

W kamieniu tkwił plastikowy miecz.

Tak, kazała mi również wywiercić dziurę.

Olaf, wówczas najszczęśliwsze dziecko pod słońcem, wydobył bezcenną klingę, a matka zadęła w trąbkę, nałożyła wnukowi czerwony płaszcz i papierową koronę i powiodła go na piętro, gdzie czekało wielkie krzesło z Desy przerobione na tron.

Były też wyjazdy. Nie zapomnę, jak – na krótko przed tym, jak wysiadło jej biodro – mama wpadła do nas w laczkach, sukience w kwiaty i wielkim kapeluszu i oświadczyła, że bierze wnuka na krótką wycieczkę. No i wzięła. Myślałem, że na Hel. A ona na odchodnym rzuciła, że muszą zdążyć na prom do Kopenhagi, bo czeka na nich Tivoli i wielkie karuzele.

Byli też w berlińskim muzeum, gdzie mają największy na świecie szkielet dinozaura, i w Legolandzie na Jutlandii. Dorzućmy do tego ten jebany Bornholm. Potem Klara ograniczyła jej kontakt z wnukiem, matka ciężko to zniosła, Olaf również: kopał ścianę i wrzeszczał, że chce do babuni.

Wcześniej porywała go i na mniejsze wycieczki, do Warszawy, Poznania i tego pokręconego pałacu, co jakiś wariat zbudował na Kaszubach. Powtarzała, że chce, aby Olaf wiedział, jakie życie jest piękne.

Ze mną w dzieciństwie postępowała podobnie, na mniejszą skalę, bo brakowało szmalu. Nienawidziłem tych przyjęć i wyjazdów.

Olaf najwyraźniej je lubi.

Naszykował już swój napis, pomagam mu go zawiesić, kręci mi się w głowie i omal nie zlatuję ze stołka. Wszystko gotowe. Olaf wraca do siebie, zostawia otwarte drzwi, wbija wzrok w korytarz i czeka na babcię.

Nie będzie spał, nie będzie jadł, będzie czekał.

A więc jest nas dwóch.

O przyjacielu

Stary, przejęty samotnością matki, przyniósł do domu psa. Był to foxhound amerykański. Szczeniak wyskoczył spod ojcowskiej kurtki i natychmiast oszczał szafkę na buty.

Nazwali go Burbon, bo zdaniem ojca przypominał trochę francuskiego króla w watowanej peruce, choć moim zdaniem źródła inspiracji należało szukać w barku obok kominka.

Matka mówi o Burbonie cieplej niż o ludziach.

Dziwne, bo nigdy nie mieliśmy żadnych zwierząt. Owszem, dokarmia okoliczne koty, ma też karmnik dla sikorek. Do mew natomiast strzelałaby z broni palnej, gdyby tylko mogła, no i czasem zasadzała się z łopatą na krety.

W dzieciństwie zazdrościłem kolegom, co wychodzili na spacer z psami albo hodowali pielęgnice. Błagałem choćby o chomika. Matka pozostała niewzruszona.

Twierdziła, że rybka ma więcej z rośliny niż ze zwierzęcia, chomik żyje tak krótko, jakby właściwie nie żył, kot wypadnie przez okno, zabije siebie i przy okazji kogoś, zabrała mnie za to do zoo i nad jezioro Czarne, do rezerwatu przyrody.

Skoro już przy tym, Olaf hoduje patyczaki oraz kameleona imieniem Hektor. Czyni też podchody pod kota. Tu jednak, obawiam się, matka mogła mieć rację.

Podchodzę do okna, patrzę z dziesiątego piętra na sąsiednie bloki i wyobrażam sobie ulewę spadających kotów, jak lecą, rozczapierzając łapy, chwytają nimi prędkie powietrze i walą o ziemię, czemu towarzyszą mokre plaśnięcia, a jest ich tyle, że mlaszcze cała Gdynia, i nagle powraca do mnie rozmowa o psie, bo przecież taka też się zdarzyła. Marzył mi się bernardyn albo seter, wielkie zwierzę, które można ujeżdżać i które uciągnęłoby mnie na sankach.

Matka odmówiła ze stłumioną zaciętością, jakoś tak inaczej, mniej pewnie. Dostrzegłem w tym szansę.

Obiecywałem, że będę wychodził z psem na spacery trzy razy dziennie, bez względu na pogodę, mamiłem świadectwem pełnym piątek, przysięga-

łem, że już nigdy nie zostawię otwartej szuflady w komodzie z ubraniami, brudnego talerza w zlewie ani butów na środku przedpokoju, będę się tak starał okrągły rok, jeśli tylko matka da nadzieję na psa.

Bywała okrutna jak każdy rodzic, niekiedy wybuchała trudną do zrozumienia pretensją, krzyczała rzadko, ale grozę wzbudziła we mnie tylko dwa razy, jak zapytałem o ojca i właśnie wtedy.

Chwyciła mnie za barki, potrząsnęła i wysyczała prosto w twarz:

– Żadnych. Jebanych. Psów.

Udało się jej. Więcej nie poprosiłem, w ogóle obiecałem sobie, że o nic w życiu prosić nie będę i przejdę przez świat bez zwracania się do kogokolwiek o pomoc. W sumie wyszło. Klara twierdzi, że dureń ze mnie, bo nie mówię, kiedy jestem głodny ani kiedy potrzebuję odpoczynku i dobrze by było, żeby ktoś mnie wyręczył.

Nawet teraz, gdy nie śpię – a nie śpię od piątku, odkąd wyjąłem mamę z wody – gdy nie jem, to zduszę w sobie każde słowo skargi.

Domyślam się, że źródeł matczynej niechęci do psów należy szukać w Burbonie. Może podrósł i ją poturbował? Na razie opowiada o nim z wielką czułością, wspomina, jak szalał na jej widok, siadał i prosił o smakołyki.

– Zakochałam się w Koli na nowo, właśnie przez Burbona.

Stary klękał przed nim, tarmosił za uszy i biegał wokół domu szczęśliwy jak dziecko. Rzucał patyki i piłki do tenisa, a wyrośnięty już Burbon pędził na niego, łopocząc uszami, i obalał na ziemię. Sam bym tak chciał, nie powiem.

Jeździli na polowania i długo spacerowali po lesie. Burbon wyciągał z nor króliki. Mama nauczyła się przyrządzać to mięso i chyba stała się za sprawą Burbona jeszcze bardziej samotna niż wcześniej. Tego nie powie. My się nie skarżymy.

Stary należał do ludzi, co sądzą, że psa trzeba ułożyć, więc Burbon chodził jak w kompanii karnej, nawet żarcia nie ruszył bez pozwolenia. Warował przy matce i warczał na każdego, kto się do niej zbliżył. Gonił Arnolda Blake’a, łowił te króliki i szczekał na ptaszyska.

Ale gdy przychodził Płaton, Burbon natychmiast wbiegał pod łóżko.

O dyplomie

Mama nie może usiedzieć w miejscu, domaga się spacerów.

Włóczymy się między szpitalnymi budynkami, nogi niosą ją aż pod zagajnik na górce, mają tam zasypane liśćmi schody na tyłach przychodni internistycznej.

Tam siadamy, wiem, że matka wytrzyma najwyżej kwadrans.

Słucham o jej ambicjach.

Ryła angielski, bo chciała wrócić do pracy. Stary przysięgał, że niedługo zarobi na nich dwoje, w Firmie poznali się już na jego talentach i właśnie deliberują, jak najlepiej je wykorzystać. Matka, znudzona siedzeniem w domu, samotna i niepotrzebna, ani myślała tego słuchać.

– Bardzo ładnie – mówiła – ale co ze mną?

Łagodny zazwyczaj tata wytykał jej czepialstwo i w końcu obiecał, że ze swoimi nowymi możliwościami wystara się dla niej o robotę jak ta lala. Może sekretarka? Mama zna dwa języki, takich zawsze potrzebują.

Przypomniała mu, że ma za sobą cztery lata studiów i praktyki, prasnęła dyplomem o stół. Na cholerę przywieźli ten papier do Ameryki?

Ojciec obraził się, zabrał Burbona, trzasnął drzwiami, wrócił podchmielony i przyznał jej rację. Często tak robił. Obiecał, że załatwi mamie prawo do wykonywania zawodu stomatolożki, przecież ma już kumpli i protektorów, wszyscy go cenią, niedługo będzie potężniejszym człowiekiem niż w Polsce.

Wrócił po miesiącu z telefonem do specjalnego biura w Filadelfii, gdzie zajmowali się lekarzami z zagranicy. Zadzwoniła. Nikt tam o niej nie słyszał. Powiedzieli jednak, że wszystko będzie dobrze, jeśli matka zda medycynę, stomatologię, angielski i dokształci się przez jakiś roczek. Zawsze coś. Miała pojechać do tej Filadelfii z dyplomem.

Poprosiła ojca, żeby ją tam zawiózł, ten zgodził się ochoczo i nawet zaplanował wielką wycieczkę ze zwiedzaniem fortów i strzelaniem do zwierząt, ale przed samym wyjazdem się wycofał. Przyleciał szczęśliwy, jakby mu ktoś w kieszeń nasrał: dadzą mu niszczyciel do dowodzenia! Cieszył się, jakby już komenderował całą flotą atlantycką. Chwycił matkę w ramiona i tak zakręcił, aż stłukła stopą cukiernicę. Otworzył szampana,

ona wydłubywała porcelanę z dywanu, dopytując o szczegółowe powody tej nagłej radości. Czyżby przywrócili mu stopień?

A skąd. Stary nie został na nowo żadnym kapitanem, po prostu płynął w rejs, bo Amerykanie chcieli sprawdzić, czy rzeczywiście zna się na tych całych niszczycielach. Łyknął to i dostrzegł, dureń jeden, szansę na wielką karierę.

W efekcie przełożyli tę Filadelfię i pojechali do Norfolk w Wirginii. Mama wspomina dziesiątki niszczycieli i lotniskowiec wielkości Obłuża, od którego jak ważki odrywały się srebrne myśliwce.

Przed wypłynięciem stary był niespokojny i daleki. Opowiadał o delfinach trenowanych w tej bazie do znajdowania torped i bomb głębinowych, żałował, że nawet te najmądrzejsze ze zwierząt wykorzystujemy do zabijania, tak pierdolił, a matka wściekała się, bo byłoby lepiej, gdyby powiedział po prostu, jak bardzo się boi próby z niszczycielem.

Dobrze go rozumiem, bo sam też nie okazuję lęku.

Mamie zbrzydły już schody, ciągnie mnie w dół, mijamy pacjentów w kurtkach i spodniach od pidżamy.

Zbudziła się o świcie, ojciec już wyszedł, za to na fotelu przy oknie siedział Płaton. Z nogą założoną na nogę łuskał słonecznik.

Pluł pestkami, oblizywał krótkie, czarne palce, podgardle drżało mu, jakby przetrzymywał tam coś żywego, i ani razu nie spojrzał na matkę.

– Znalazł mnie aż tam. W sumie nie ma czemu się dziwić – mówi mama, jakby chodziło o doręczenie komornicze.

A jednak od rana do wieczora spacerowała po Norfolk, wzdłuż starych żaglowców zacumowanych przy brzegu, w huku startujących samolotów, odprowadzana przez uśmiechy i gwizdy marynarzy w białych mundurach.

Stary tkwił w kantynie, wśród wielkich luster i starych zegarów, pod menu wypisanym kredą na tablicy, otoczony wianuszkiem zachwyconych nim oficerów. Gadali o wojnie i słowiańskich dziewczynach. Akurat jedna przyszła. Stary wyściskał ją jak zawsze, przedstawił i rzekł, że rejs poszedł wspaniale, może nie dadzą mu okrętu do dowodzenia na stałe, ale super posadę w centrali wywiadu ma właściwie klepniętą, a wszystko dzięki mamie, jej cierpliwej miłości.

Musi zrobić jeszcze jeden tajemniczy drobiazg, dodał, całując ją po policzkach.

Mama próżno usiłowała wyciągnąć z ojca, co to takiego, i długo przypominała o wyprawie do Filadelfii. W końcu pojechali, z Burbonem na tyl-

nym siedzeniu.

W biurze na dyplom popatrzyli krzywo i zażądali papierka z uczelni w Gdańsku, dla pewności, że matka w ogóle tam studiowała. Nie dało się tego obejść, poza tym matka miała już inne nazwisko i to chyba był główny problem.

– Już widzę, jak ten stary kutas Albert Scholl śle mi cokolwiek za ocean. – Zmęczona matka przysiada na podeście przy parterowym budynku szpitalnego archiwum, przed podjazdem karetek. Buja nogami w powietrzu i drwi z dawnych problemów.

Bezużyteczny dyplom spaliła za domem.

O Płatonie (2)

Widywała Płatona przez całe lata.

Wspomniała o tym parę razy, myślałem, że źle słyszę albo coś pokno-ciła. Ale nie. Na spacerze ujmująco referuje swoje spotkania z duchem i prosi, żebym skoczył do spożywczaka po butelkę octu jabłkowego.

Spacerujemy wokół szpitala, rozmowie towarzyszy stukot spadających kasztanów.

Idę po ten ocet, nie śpieszę się specjalnie, bo wiem, że matka odprowa-dza mnie wzrokiem, czeka, aż zniknę za rogiem szpitalnego budynku, wyciąga paczkę mentolowych elemów z kieszeni szlafroka i zaciąga się tak, że buja w głowie.

Wracam z tym octem, mama prosi, żebyśmy poszli do Inmedio. Mają tam taką kawiarenkę.

Łazi po tym szpitalu, zawiera znajomości, sprawdza strukturę wyjść ewakuacyjnych i zaprzyjaźnia się z ochroną. W Inmedio mają też hot dogi, rogale i bezmiar słodyczy: drąży, czekolad, rogali i batonów. W ogonku stoją piguły i pacjent po nefrostomii, foliowe worki dyndają mu u pasa jak trzosy z guldenami, w jednym złoci się mocz, w drugim chlupocze krew.

Matka odmawia stania w kolejce. Siadamy przy lichym stoliku, we dwoje, a ocet między nami, pełen aminokwasów i soli mineralnych, w takim occie można zagotować orzechy razem z cukrem i dodać do śledzi, choć ocet właśnie znosi cukier, zmniejsza jego zawartość w organizmie, to paradoksalna potrawa, ten słodki śledź z orzechami. Gotowanie jest trochę jak życie, godzi to, co pogodzić się nie chce, przypomina dom pełen kłótli-

wych lokatorów, w każdym razie ocet dodany do śledzi zwiększa poczucie sytości, zjem jednego śledzia i czuję się jak po dwóch czy coś takiego, należy chwalić ocet.

Płaton odwiedzał mamę już w pierwszej kryjówce i podążył do ogromnego domu na przedmieściach Crofton. Najczęściej widywała go w piwnicy, gdzie schodziła z praniem. Stał oparty o stół bilardowy i ładował czarne paluchy do łuzy. Pojawiał się też w salonie, kiedy rodzice słuchali radia, płyt Raya Charlesa i Billie Holiday, jedli wołowinę po burgundzku czy tam pulpety z galaretką winogronową. Matka, jak zostawała sama, piła wino i oglądała telewizję. Płaton stawał wtedy za fotelem, a jego obecność wyczuwała po zapachu soli i dźwięku spadających kropel.

Polubił też trawnik za domem, zwłaszcza jesienią, gdy stał sobie wśród liści, podobnie jak mama w szlafroku dzisiaj, i ściskał szluga po rusku, kciukiem i palcem wskazującym.

Wodził wzrokiem po okolicy i czasem tylko przenosił na mamę przeszywające spojrzenie.

Rodzice polubili zatokę Chesapeake i jeździli tam na weekendy. Wynajmowali pokój na piętrze z widokiem na wodę i jedli kolację pod gołym niebem, na stole lepkim od piwa i tłuszczu. Mama czuła się tam jak pod namiotem, nawet rozważała przeprowadzkę, ale tatko pragnął pozostać blisko Waszyngtonu.

Do gnijących mostów dobijały łodzie pełne klatek na kraby, przy brzegu spacerowały pelikany i gęsi kanadyjskie, a w wodzie, kilkanaście metrów od brzegu, znów całkiem jak matka, stał sobie nasz dobry marynarz z oczyma jak wodne groby i spokojne obierał pomarańczę.

Zobaczyła go na koncercie w Constitution Hall. Ella Fitzgerald trzymała mikrofon jak kwiaty, jej głos był to kojąco ciepły, to znów kruszył szkło, problem w tym, że w eleganckim fotelu przed matką tkwił znajomy, kudłaty łeb Płatona.

– Dawał mi do zrozumienia, że nie ucieknę. Że nigdy nie zostawi mnie w spokoju – tłumaczy tę obecność matka i zrywa się do lady, przed którą wreszcie nikt nie czeka. Zamawia kanapkę z mozzarellą i pół szklanki ciepłej wody. Tłumaczy, że ona, ta woda, nie może być ani ciepła, ani wrząca, pokazuje też ostrym paznokciem, gdzie znajduje się połowa szklanki, i wraca do mnie.

Opowiada, że Płaton najczęściej pojawiał się w domu wieczorami, kiedy ojciec gdzieś wybywał. Nie robił niczego złego, po prostu stał, jadł coś

i ociekał wodą, dało się nawet do niego przyzwyczaić.

Nie gada się z wariatami, z rakiem też rozmawiał nie będę, ale łamię się i pytam, czy naprawdę widywała ducha marynarza, którego kropnęła pośrodku Bałtyku. Nawiedzał ją właściwie jak długo, ile ona siedziała w tych całych Stanach?

Matka wlewa odrobinę octu do wody, miesza, tak powstaje kwas, jej zdaniem dobry na żołądek. Wypija łyk i zawiesza wzrok gdzieś w przestrzeni za mną. Mówi, jakby świadoma, że jej nie uwierzę, i jeszcze kiwa paluszkiem.

– Nigdy nie odszedł. Stoi tam o, w tej chwili.

O Klarze

Wtajemniczam żonę w swój plan.

Noc. Siedzimy w kuchni, Klara pije wino, ja kawę po turecku, palę, wydmuchując dym przez uchylone okno, i zerkam w otwarty komputer, tak pilno mi znów pisać.

Klara ma na sobie bluzkę w kwiaty i kamienne kolczyki.

Prosi, żebym się położył, i przypomina, że rano tutaj jemy. Chcę, żeby Olaf wszedł tu, jak będzie nasmrodzone?

Nie potrafi mi się znudzić, jakbym dopiero zaczynał ją poznawać i cieszył się odkrywaniem kolejnych tajemnic. Wpatruję się w jej ciemne oczy, tę szlachetną twarz Włoszki, która przecież z Włochami ma tyle wspólnego co pizza z ananasem, śledzę dłoń błądzącą przy włosach i nos, może za duży, ale i tak ładny, który marszczy się zawsze, gdy żonę coś trapi.

Teraz na przykład próbuje odciągnąć mnie od matki.

Nie robi tego ze złej woli, kieruje nią strach.

Panie się nie lubią i jeśli coś naprawdę mnie dotyka, to ten brak sympatii i wymuszona serdeczność, ta łagodna, lecz głęboka wyrwa biegnąca przez naszą rodzinę, którą przeskoczyć umie tylko Olaf.

Żeby było śmieszniej, matka niesłychanie szanuje Klarę. Uważa, że to piękna, mądra, wspaniała i pracowita dziewczyna, co najwyżej nazbyt zasadnicza. Po prostu jej zdaniem ożeniłem się za wcześnie.

Szliśmy któregoś razu przez Gdynię, rozglądała się jak stulejarz i pokazywała, ile to mamy ładnych dziewczyn.

Ja jednak znalazłem już ładną dziewczynę.

Błagała mnie, żebym korzystał z życia, połamał trochę serc, pogruchotał przy okazji swoje i znalazł tę jedyną, prawdziwą miłość po trzydziestce. Teraz rozumiem: całkiem jak stary.

Odpowiadałem na to, że tę właściwą dziewczynę już poznałem i nie chcę żadnej innej. Gdybym zrobił, jak radziła, przeżyłbym prawie dwie dekady bez swojej ulubionej osoby, gdzie tu sens?

Właśnie, tak w ogóle, mamo, jak ci się układa z facetami?

To temat na osobną historię.

Jak się pobieraliśmy, przełknęła nasze szczęście, fundnęła balangę i podróż poślubną do Tunezji. Wyjechała ze starą śpiewką, że koniecznie należy się cieszyć. Wolałbym forsę do ręki, ale nie poproszę.

Przecież się cieszę, tylko w domu.

Niestety, ostatnio brak powodów do radości.

Mówię Klarze, co planuję. Będę chodził do matki co rano i słuchał jej gadaniny, z godzinnego spóźnienia się do Fernanda dziury w niebie nie będzie, zajadę na chatę po dwudziestej drugiej, szast-prast spiszę, co usłyszałem, prześpię się i znów pognam do mamy.

Zdaniem Klary to idiotyczny pomysł. Zajadę się migiem. Dodaje, że przecież nie muszę zasuwać w Fernandzie od rana do nocy, Kuba pomoże i mnie zastąpi, my sobie ze wszystkim poradzimy.

Tłumaczę, że w żadnym razie, bo Kuba ma więcej dobrych chęci niż fachu w łapach, poza tym na pewno też ma swoje problemy, o których nie mówi. To nasza sprawa. Nasza restauracja. O czym w ogóle tu rozmawiamy? Dwugłos matki i guza zamilknie w parę dni, zrobią operację i nastanie spokój.

Ona może gadać i gadać, zauważa Klara.

Najwyżej tydzień. To krótko, zepnę się, wytrzymam.

Klara pochyla się, dotyka mojej twarzy, opiera dłoń na klatce piersiowej i mówi, że mam siną, suchą skórę, obłąkane oczy, schudłem i śmierdzę. Znalazłem się na granicy, czego jej zdaniem nie widzę, i tutaj ma rację. Jestem spokojny, mocny, mam sprawę pod kontrolą.

Pracowałem po dwadzieścia, po trzydzieści godzin bez przerwy i nic mi nie było.

– Dustin, nie pisz. – Klara próbuje z innej strony. – Ja wszystko rozumiem. Hela się uparła i nic z tym nie zrobimy. Tak, masz rację, wysłuchaj jej do końca i niech ją zoperują. Ale nie siedź po nocach i nie pisz. Ty

musisz spać. Jak będziesz pisał do rana i potem leciał do matki, stanie się coś złego.

Ma rację, więc kładziemy się do łóżka.

Leżę na boku, ulegając na krótko złudzeniu, że zasnę, ciężka głowa tonie w poduszce i w bliżej nieokreślonym, przyjemnym marzeniu, nagle serce zaczyna się tłuc, brzuchem szarpią skurcze, coś siada na płucach.

Leżę nieruchomo, wielkim wysiłkiem. W głowie kotłują się szpital, ojciec, Płaton i grzechoczące klatki na kraby.

Czekam, aż Klara zaśnie. Wymykam się z sypialni.

Kuchnia pachnie nowotworem.

Zapalam papierosa. Piszę.

O konsekwencjach

Wkrótce wyszło, jakie zadanie musi wykonać mój niestworzony tata.

Zaprosili go do telewizji.

Telewizja w tamtych czasach to było coś, nadawała ton życiu, wprowadzała czarno-białych przyjaciół do zwyczajnych domów. Tatko nie myślał o tym w ten sposób. Liczył, że jak wystąpi, dadzą mu tę wymarzoną pracę i życie wreszcie ruszy ku lepszej przyszłości.

Mama nie mogła tego zrozumieć. Najpierw ukrywali ich przez rok, zmienili nazwiska, a teraz pchali ojca na wizję przed łaknące sensacji społeczeństwo.

Podjęto środki ostrożności, to inna rzecz. Do Crofton przyjechała charakteryzatorka. Wypchała tacie policzki, zmieniła nos, podbródek i mordowała się z brwiami. W końcu nałożyła mu czarne rogowe okulary o grubych szkłach. Równie dobrze mogłaby przerabiać nosorożca za flaminga.

Pojechali w trzy samochody, dla bezpieczeństwa. Telewizja mieściła się w budynku długim jak okręt podwodny. Mama opowiada o wielkich, szarych kamerach na szynach i wysięgnikach, o tłumie filmowców z papierosami i nieporuszonym ojcu w tym wszystkim.

Przycupnęła w reżyserce. Program ruszył. Stary siedział, jakby połknął bagnet, tak mówi, wspomina szary pulpit z mnóstwem kolorów, cztery wielkie ekrany i dziennikarza z brązowym krawatem, gada tak i gada.

Coraz lepiej rozumiem, o co w tym chodzi, zwłaszcza teraz, w środku nocy, kiedy szybciej piszę, niż myślę: rozmawiam z guzem, matka to tylko

maska, którą guz założył, abym mu zaufał.

Odważ się, raku, odrzuć przebranie i stań przede mną, pogadamy sobie jak facet z facetem i mówiąc szczerze, żałuję, że nie można wpierdolić chorobie. Rozbijam gardę serią lewych prostych, uderzam sierpem, takim chamskim cepem i już, trzy piękne sekundy, rak leży, ozdrowiona, przepiękna mama staje na ringu, unosi moje ramię, tańczą reflektory, migają flesze, publiczność wyje ze szczęścia, aż drżą mury hali sportowej, wołanie tłumu sprzęga się w ryk: ruska kurwa, ruska kurwa. O ja pierdolę.

Mama się boi. I ma czego.

Prześwietlam głowę mamy, jest kryształowa, przypomina tę indiańską czaszkę, co tak fascynuje ufologów, tyle że w środku mieszka sobie różowy guz, ślepy, o tchórzliwych ustach. Bredzi, snuje opowieść, jest Szeherezadą, która bajdą walczy o życie.

Próżny trud, mój okrutny przyjacielu, twoja opowieść prędzej czy później dobiegnie końca, choćbyś wprowadził do niej Fidela Castro, który jest wampirem. Wypowiesz ostatnie słowo, a wtedy cię wydłubią, rozkroją i cisną na tackę z plastiku, będziesz podobny do karmy dla psów.

Jedźmy dalej, program ruszył.

Po co to spisuję?

Stary siedział, jakby połknął bagnet, cały czas palił, jego odpowiedzi tłumaczono na angielski.

Mówił, że nigdy nie zdradził Rosji, tylko Związek Radziecki, a to dwie różne sprawy. W młodości widział, jak ojca kolegi wsadzili do psychuszki bez żadnej przyczyny, gdzie siedzi do dziś. Potem Sowieci wieszali Węgrów na latarniach. Wszystko to razem sprawiło, że w ojcu zagotowało się sumienie i postanowił czmychnąć na Zachód.

Dziennikarz zanotował odpowiedź i zapytał, dlaczego tatko prysnął akurat w lipcu pięćdziesiątego dziewiątego roku, nie wcześniej czy później? Niewzruszony, monolityczny wręcz ojciec odpowiedział, że długo nosił się z tą decyzją, palnął krótką przemowę o dramacie życia w rozdarciu i płynnie przeszedł do tematów politycznych: ostrzegał przed Chruszczowem, przed rozbrojeniem dwustronnym, które ten proponował, Sowietom nie można wierzyć, przekonywał, do niedawna jeden z nich.

Szukam tego wywiadu w sieci. Nie ma. Ciekawe dlaczego?

Matka twierdzi, że ojciec był bardzo opanowany, odpowiadał rzeczowo i dał się wyprowadzić z równowagi tylko raz, kiedy padło pytanie o żonę i syna. Myślał o nich podczas ucieczki? Co grozi rodzinie dezertera?

– Myślę o nich każdego dnia – rzekł ze ściśniętym gardłem. – Mam nadzieję, że pewnego dnia spotkamy się w wolnej Rosji. O taką Rosję będę walczył tutaj, w Stanach Zjednoczonych.

W domu od czasu ucieczki, nie zająknął się o żonie i Juriju.

Po nagraniu matka martwiła się, że ojciec jakimś cudem wróci do rodziny, on z kolei tryskał dobrym humorem i szarpał Burbona za uszy. Jak puścili program, to upił się szkocką i żartował, że zostanie gwiazdą filmową.

Było blisko.

Po wywiadzie pojawiły się artykuły w prasie, lekko licząc, setka, jak słyszę. Mama twierdzi, że pisali o ojcu nawet w „New York Timesie", szkoda tylko, że nie mogę tego znaleźć.

Dostał też wyrok śmierci, wydany zaocznie w ZSRR.

O szczęściu

Po tej telewizji rodziców zaprosili do hotelu Willard na balangę.

Matka cieszyła się, bo tęskniła za rautami w Gdyni. Czuła się wtedy królową życia. Liczyła, że to wróci, i zajęła się poszukiwaniami sukienki. Długo za nią chodziła. W końcu wybrała taką szmaragdową w stylu empire, z karczkiem i jasną, długą kokardą na piersi, do tego rękawiczki za łokcie. Fascynujące.

Stary, dla odmiany, od rana tankował szkocką.

Oznajmił, że wysuszenie karafki do dwunastej czyni popołudnie łagodnym w swym uroku, odpalił auto i zawiózł mamę najpierw do fryzjera, a potem do tego hotelu. Ford rodziców wyglądał biednie przy jaguarach i chryslerach.

Uświadamiam sobie, że też jeżdżę fordem, i mija chwila, nim zrozumiem, że to nic nie znaczy, nie jestem taki jak ojciec, bo prawie nie piję.

Muszę kiedyś przeczytać to, co napisałem. Może coś zauważę?

Teraz pędzę naprzód, czasu brakuje.

W recepcji stały palmy i błękitne fotele, marmurowe kolumny podpierały zdobiony sufit, a lampy o przytłumionym świetle zwisały z miedzianych łańcuchów, gadaj, raku, dalej, i tak cię zajebiemy.

Na dziesiątym piętrze czekała wielka sala z atłasami w oknach i masą długich stołów zastawionych bukietami kwiatów, winem i wodą. W głębi

znajdował się parkiet i podest, na którym stroił się Count Basie z zespołem.

Count Basie, sprawdzam w sieci, był pianistą jazzowym, puszczam sobie na słuchawkach koncert z połowy lat sześćdziesiątych. Fajnie nawet grają, piszę i sobie słucham.

Matka spędza mnóstwo czasu na Spotify, wiadomo.

Wtedy, w hotelu Willard, stary ciągnął ją do baru, nie pozwoliła, prosiła, by wstrzymał się trochę.

Przyszło mnóstwo postawnych starców w muszkach i białych smokingach. Na fioletowym turbanie jednej z matron lśniła diamentowa gwiazda. Rodzice siedzieli z jakimś senatorem, radosnym jak małpa, i samym szefem Firmy, Allenem Dullesem.

Stary wiedział, że właśnie ten gość, nikt inny, da mu robotę. Żartował, rzucał anegdoty, jak on tylko umiał, pił wino, żarł zupę z żółwia i łykał ostrygi.

Mama znała te historyjki, śmiała się we właściwych momentach i zachodziła w głowę, jakim cudem zwykła dziewczyna z Gdyni wylądowała wśród amerykańskich generałów i kongresmenów. Myślała też o ojcu, o tym, co się z nim dzieje i w jakim stanie zakończy wieczór. Chciała też tańczyć, bo Count Basie wziął się do roboty.

Dźwięki pianina były jak deszcz klejnotów, goniły się klarnet z trąbką, a mama stała poza parkietem i słuchała znajomych dowcipów taty.

Count Basie skończył, zapowiedział, że wrócą, podali jakieś pasztety, stary wpieprzył je migiem i pociągnął nowych kumpli do baru. Na ich jedną kolejkę wypijał trzy, więc patrzyli na niego z mieszaniną zachwytu i przerażenia, jak na egzotyczne zwierzę. Był nim i coraz bardziej dziczał.

Matka stała oparta plecami o bar i spoglądała na salę.

Taką ją zastał senator John Kennedy, który właśnie kandydował na prezydenta.

Kojarzył skądś starego, przywitał się i zażartował nawet, że kiedyś Rosjanie zdobywali Berlin, a teraz szturmują bary. Potem zaczął komplementować matkę. Przyszedł sam, Jackie dopiero co urodziła.

Pytał mamę, jak jej podoba się w Ameryce, gratulował odwagi podczas ucieczki i chciał wiedzieć, czy wszystkie kobiety w Polsce są takie dzielne. Matka dała się tak czarować, gapiła się na jego wielkie zęby i żałowała bardzo, że nie może go zaprosić na fotel, a stary tkwił na stołku i gryzł szklankę z wściekłości, całkiem jak kiedyś Wacek.

Poszli zatańczyć, ona i, kurwa, Kennedy.

Ponoć grał im Count Basie, lecz ja wiem lepiej, to rak śpiewa i gwiżdże na grzebieniu.

Kennedy prowadził ją pewnie, choć może trochę za łagodnie, bo chciałaby szybciej, trochę na wariata, do tej szalonej muzyki. Jest w tym szaleństwo, nie wątpię, wirowali jak figury w pozytywkach, przyszły prezydent ujął mamę za rękę, a ona położyła mu dłoń na ramieniu, pod ciężkim żyrandolem, w otoczeniu kobiet w perłach, z papierosami w lufkach. A jednak niczego nie było, nawet wkurwionego starego nad butelką, tylko oni, pianino i zespół. Tańczyli, skrzyli się i przeglądali się w sobie tak długo, jak muzyka grała.

Chciałbym, żeby była to prawda.

Matka jest szczęśliwa ze swoim fałszywym wspomnieniem, nie odbierałbym jej tego, nie drwił, lecz znamy źródło tego kłamstwa. Są chwile, kiedy daję się mu uwieść, oto jedna z nich, zgadzam się na nią, bo tęsknię.

Brakuje tych momentów, kiedy nic nie uwiera, nie wkurwia, nie jestem wtedy sobą, lecz czystym uczuciem spokojnego szczęścia.

Życie polega na sklejaniu rzeczy, które do siebie nie pasują, pracy i odpoczynku, seksu i rodzicielstwa, octu i cukru, mógłbym długo wymieniać, ale gdy kładę palce na powiekach, widzę ciemną przestrzeń, a tam nieustępliwie obracające się kształty, niektóre ostre jak potłuczone szkło, inne znów obłe i miękkie, te ostre prują te miękkie, miękkie stępiają ostrza tamtych i tak to się kręci, nic do siebie nie przystaje, ale razem jest.

Czasem, bardzo rzadko, składają się ze sobą w harmonii. Właśnie o tym usłyszałem.

Chciałbym znów poczuć coś takiego. Wolne żarty.

Kiedyś czułem, ale nie w tych momentach, kiedy powinienem, na przykład nie podczas ślubu z Klarą, bo matka zatruła mi serce wątpliwością z tym używaniem życia.

Są tacy, co wspominają narodziny dziecka jako szczyt szczęścia. Ja byłem zmęczony i przerażony, bo siedzieliśmy całą noc na sali porodowej, Klara podskakiwała na piłce, cierpiała, nie mogłem jej pomóc, potem darła się, bo ciało jej pękło, a lekarz uciskał jej brzuch, w końcu wziąłem na ręce Olafa i przeraziłem się jeszcze bardziej: on będzie już zawsze, nie skasuję go jak konta w banku, jak my sobie w ogóle poradzimy?

Krótki zalew szczęścia poczułem, kiedy wreszcie spiął się budżet Fernanda, gdy malowaliśmy nasze mieszkanie na Witominie i w tę cudowną noc, gdy jebnąłem robotą na skwerze Kościuszki, powiedziałem Buldo-

gowi, żeby się walił na ryj, i wróciłem do domu przez park, krzycząc na drzewa.

Czy kiedy mama wyzdrowieje, kiedy wróci, nastanie taka chwila?

Tymczasem Kennedy wielkim wysiłkiem oderwał się od mojej ślicznej, młodej mamy i zaprosił ją na jacht, oczywiście z mężem, czyli moim starym.

No, z mężem, już to widzę.

Mama z żalem opuściła przyszłego prezydenta i na miękkich nogach powędrowała z powrotem do baru.

Czekał tam tatko, napierdolony jak nigdy wcześniej.

Wisiał na cholernym Allenie Dullesie i ryczał na pół sali, wyrzucając w powietrze krople śliny:

– Czemu uciekłem? Bo wasz człowiek spadł mi z kosmosu na łeb!

O zboczeńcu

Znów rano, budzę Olafa, tym razem nie spierdolę.

Zarwałem noc, bo piszę jak łajza, w zrywach przedzielonych długim wpatrywaniem się w ekran. Nie myślę o pisaniu. Nie wiem, o czym myślę. Uderzam w klawiaturę i słowa lecą spod palców, jakbym odbierał i przekazywał sygnał z kosmosu.

Jajcarz jestem, nie ma co.

Otwieram na oścież oba skrzydła kuchennego okna i wyganiam dym, wachlując plastikową podkładką do krojenia chleba, i bez umiaru pryskam odświeżaczem powietrza o zapachu kwiatów i wiosny, całkiem jak w zawodówce, kiedy dopiero uczyłem się palić.

Słoik kiepów topię w kiblu i spłukuję tak długo, aż wszystkie spłyną.

Biorę szybki prysznic, długo obmywam twarz, szoruję zęby i tylko broda dalej capi fajkami.

Olaf jak zawsze śpi na boku, pod skołtunioną kołdrą, obłożony przez pluszaki i tekturowe zwierzęta, które wyciął wieczorem, obiecuję sobie, że nie będę się wkurwiał, no i się nie wkurwiam, choć mówię z sześć razy, by wstawał, wreszcie rozkleja wielkie oczy księcia i siada.

Tym razem będzie jak trzeba, naprawdę dopilnuję.

Smażę jajecznicę na maśle, z odrobiną soli, tak jak synek lubi, szykuję dwie grzanki i kładę śniadanie obok filiżanki z herbatą niemal na skraju

spodeczka. Olaf wychodzi, zaspany, w dresowych spodniach i koszulce z Anakinem Skywalkerem. Bada mnie wzrokiem i pyta:

– Jak ty stawiasz tę herbatkę?!

Poprawiam, znów źle, omal nie wylewam, śmiejemy się, wreszcie jest dobrze. Olaf je.

– Mamy zboczeńca pod szkołą – mówi, gdy przełyka jajecznicę, a ja nadstawiam uszu. Bardzo spokojnie, choć trudno o spokój, ciągnę syna za język.

Olaf twierdzi, że jak wychodził z budy, to stał tam samotny gość w skórzanej kurtce. Bardzo wysoki. Przyglądał się dzieciom, ale po żadne nie przyszedł, a skupił się na nikim innym, jak na moim synu, łeb za nim obrócił, co Olaf stwierdza z pełnym spokojem i dalej sobie je.

Kiedy proszę, żeby opisał dokładniej tego gościa, do wysokiego wzrostu, skórzanej kurtki dorzuca mu jeszcze ciemne okulary i rękawiczki. Ponoć postał chwilę i poszedł do samochodu. Czym jeździł, tego Olaf nie wie.

Ubieram się, koszulka leci mi z rąk, nie potrafię zapiąć kurtki.

Z sypialni wychodzi zaspana Klara i chce wiedzieć, co się znowu dzieje.

– Odprowadzam syna do szkoły, a bo co?

Klara dziwi się temu, bo przecież jeszcze niedawno nalegałem, żeby chodził sam, kłóciliśmy się o to, a ja nie chcę się kłócić, referuję, co usłyszałem, i chyba zaczynam krzyczeć, że dopadnę tego skurwysyna i zatłukę własnymi rękami, bo jeszcze skrzywdzi nasze dziecko albo jakiekolwiek inne. Żona obejmuje mnie, chwyta za nadgarstki, miotam się w jej uścisku.

Pyta, czy ten człowiek zaczepił jakieś dziecko albo pokazywał kutasa. Z tego, co wiemy, stał pod szkołą jak każdy rodzic. Płaszcz z kapeluszem nie czyni z chłopa pedofila, gość na razie nic nikomu nie zrobił.

– Chcesz czekać, aż zrobi?! – wrzeszczę, aż Olaf napiera plecami na ścianę. – Nie będę nikogo bił, z nikim się szarpał, po prostu odprowadzę dziecko do szkoły.

Klara puszcza mnie, wkłada płaszcz na dres, wzuwa buty.

Proszę, żeby została, bo powinna wypocząć, niech śpi, ja spokojnie pójdę pod szkołę i od razu pojadę do matki, tak właśnie, kurwa, będzie, zapierdolę chłopa, to mi się lepiej zrobi.

Klara zagarnia Olafa łagodnym ruchem dłoni, wypycha na klatkę i zamyka za nimi drzwi.

O strzałach w nocy

Stary nie dostał roboty na żadnym niszczycielu.

Trafił do biura w przyziemiu centrali Firmy, gdzie znosili mu dzień w dzień sowieckie gazety, „Trud”, „Prawdę”, „Krasną Zwiezdę” i jakieś jednodniówki. Czytał, wyławiał ważne dla Amerykanów informacje i klecił raport, który ponoć lądował na biurku samego prezydenta.

Z początku nawet trzymał fason i tłumaczył matce, że tylko go sprawdzają. Udowodni swoją wartość i dostanie prawdziwą robotę, bredził też coś o nowym, jeszcze piękniejszym domu, gdzie niedługo trafią.

Matka poradziła mu, żeby stanął w prawdzie. Tak teraz wygląda i takie już będzie ich życie, trzeba się z tym pogodzić. Problem w tym, że stary z niczym godzić się nie chciał, łaził po domu zgarbiony jak bokser, zagryzał wargi i bił pięściami o kolana.

Mówił, że jest tygrysem, do klatki go nie zagonią.

Wstawał w środku nocy, ogarnięty panicznym lękiem. Śnił o czerwonych pustyniach i fantastycznych słońcach.

Polował częściej, znikał na dłużej i znosił do domu góry myśliwskiego sprzętu: kompasy, kamizelki z mnóstwem kieszeni, plecaki, sznury i powrozy. Matka pytała, czy chce się powiesić. Zamówił szafę pancerną na strzelby. Wabiki śmierdziały bizonem.

Matka wspomina, jak wracał z tych polowań, rozgrzany do czerwoności, w ubłoconych spodniach i płaszczu przeciwdeszczowym, szczęśliwy i obciążony przez martwe zwierzęta. Całował mamę, wciągał w głąb mieszkania i rozradowany opowiadał, jak było pięknie. Na kuchenny stół ciskał truchła przepiórów i kuropatw, cieszył się, ile to zrobił dla domu, polewał sobie szkockiej i zostawiał mamę z trupami do wypatroszenia.

Znała się trochę, na studiach robili sekcje.

Oporządzała te ptaki, bo uważała, że ojciec tego potrzebuje. Zatraci się, myślała, bez swoich polowań.

Radziła sobie z ptakami, więc stary zaczął znosić króliki, aż kiedyś wreszcie ściągnął matkę do garażu, gdzie czekał martwy muflon o rogach jak diabeł, jakieś, lekko licząc, sto kilo truchła, dwa razy tyle, ile ważyła

mama. Stary cieszył się, że ustrzelił takie cudo, i fantazjował o medalionach w sosie myśliwskim.

Mama zapytała go, czy przypadkiem walnął się kolbą w łeb, niech sobie sam patroszy tego olbrzyma cuchnącego krwią i gównem, dom nie kostnica, albo ona, albo te trupy. Staremu mowę odjęło. Wykrztusił coś o braku wsparcia i samotności, z którą się zmaga, no i faktycznie został sam, chuj jeden, w tym garażu.

Poszła spać. On zgarnął noże do patroszenia i butelkę.

W środku nocy obudziły ją strzały.

Grzmiało tak, jakby dom szturmowali sowieccy komandosi. Ale nie. To najebany tata wyszedł przed garaż i pruł w powietrze ze sztucera.

Wrzeszczał przy tym, że pozabija wszystkich, aż z nieba pospadają. Burbon wył, huczały sowy.

Zaszła go od tyłu, ostrożnie, bo jeszcze kropnąłby ją z rozpędu. Dotknęła ramienia. Stary podskoczył, obrócił się, a oczy miał martwe całkiem jak u tego muflona.

Mam spytała, co się dzieje. Milczał. Stał jak za grubą szybą, obcy i przerażający.

Chciała uciec. Wyjęła mu strzelbę z dłoni i poprowadziła go do domu, a stary osłabł, wymknął się jej z rąk, prasnął czołem o stopień przed wejściem i znieruchomiał.

Mama przeraziła się, że umarł. No skąd. Zasnął, cymbał, i nie szło go dobudzić. Śmierdział jak gorzelnia, pod którą srają psy.

Pociągnęła go za ręce do sypialni, zdjęła mu buty i spodnie, przez moment chciała nawet zostawić go na podłodze, tylko pod kołdrą, żeby się nie przeziębił, no ale mama nie należy do ludzi, którzy poddają się bez walki. Chwyciła więc pijaka pod pachy i w długiej sekwencji szarpnięć wytargała na łóżko.

Chrapał smacznie, a na czole rósł mu guz.

Mama pomyślała, że właśnie najgorsza noc jej życia dobiegła końca i nic złego już się nie stanie. Złapie na kanapie dobry sen.

Poszła jeszcze zamknąć garaż.

Na zakrwawionym stole leżał rozpruty, częściowo oskórowany muflon. Zbierały się nad nim muchy.

Oporządzała go do rana. Tata wstał wypoczęty, wypił dzbanek wody, przeprosił ślicznie i przysiągł, że nic takiego się już nie powtórzy.

NOC SIÓDMA

1961–1973

czwarty

wtorek

października

2017

O mnie

Cześć, Borsuku, to ja, Klara. Bezskutecznie próbowałam mówić do Ciebie, więc teraz piszę.

Pamiętasz listy, które pisaliśmy do siebie, kiedy byłam w Stanach? Dużo dla mnie znaczyły i wiem, że dla Ciebie też. Zmieniliśmy się dzięki nim i potraktowaliśmy życie bardziej poważnie. Mam nadzieję, że tak będzie i teraz.

Przeczytałam wszystko, co napisałeś do tej pory nie dlatego, że Cię szpieguję i badam Twoje sekrety. Chcę dotrzeć do Ciebie i zrozumieć, co się z Tobą dzieje przez ostatnie tygodnie. Martwię się Tobą, kochanie.

Oskarżasz Helenę, że kłamie, i kto wie, może masz rację, ale życie jest pełne dziwactw i tajemnic, więc Twoja matka mogła doświadczyć jednej z nich. Na Twoim miejscu spojrzałabym na tę sprawę w inny sposób. Nie ma znaczenia, czy wierzysz Helenie, ważne, że ona wierzy w to, co mówi. Za to Ty rozmijasz się z prawdą.

Zachowujesz się, jakby wszystko zależało tylko od Ciebie. Weźmy Fernanda. Nikt nie kwestionuje Twojego zaangażowania (tak naprawdę spokojnie mógłbyś pracować mniej), ale zapominasz o naszych kelnerach, o Kubie, który robi mięso równie dobrze jak Ty, o Joasi, która często sama ogarnia całą salę. Naprawdę nie dostrzegasz jej wysiłku? Co z innymi, którzy u nas pracują? Nie wspomniałeś o żadnym z nich.

Trochę boli, że nie wspominasz też o mnie. Pięknie piszesz o tym, jak mnie kochasz, że jestem mądra i przypominam Włoszkę (jaką Włoszkę, chyba z Rejkiawiku?), każda baba chciałaby przeczytać coś takiego. Szkoda, że nie widzisz mojego wysiłku. Muszę znać się na wszystkim. To ja układam grafik dla pracowników i myję kibel, kiedy nie ma komu. To ja użeram się z tą mendą z góry, której ciągle jest głośno i śmierdzi, wywalam ćpunów, co ładują ci się na kuchnię, i jeszcze ściemniam skarbówce, że nie przekroczyliśmy progu koncesyjnego. Wszystko po to, żebyś mógł w spokoju robić swoje mięso.

Piszę o tym wszystkim nie po to, żeby się licytować. Chcę do Ciebie dotrzeć, mój Borsuku, bo inaczej nie mogę, a przykład Fernanda przywołuję, ponieważ tam przecinamy się na co dzień. Źle oceniasz sytuację. Nagle Helena dała Ci nadzieję, że dowiesz się czegoś o ojcu, zaczęła snuć

tę dziwną opowieść, przestałeś jej wierzyć, a jednak ciągle liczysz, że poznasz prawdę. To nie nastąpi. Nie będzie innej prawdy niż ta, którą znalazła dla Ciebie matka.

Zachowujesz się też, jakby zdrowie Heleny zależało tylko od Ciebie. Słuchasz jej, bo gdy skończy, podda się operacji. Wtedy na pewno wyzdrowieje i powie, kim naprawdę był tata, bez Kennedy'ego i ufoludków. Coś takiego nie musi nastąpić. Helena może opowiadać w nieskończoność, bo przecież boi się zabiegu i rozpaczliwie potrzebuje Twojej obecności, do czego się nie przyzna.

Prawda o ojcu, życie i choroba matki nie zależą od Ciebie. Tropisz kłamstwa, ale nie dostrzegasz najważniejszego. Nie jesteś odpowiedzialny za to wszystko i nie musisz się zarzynać.

Od lat pracujesz ponad siły, żebyśmy mieli lepsze życie. My już je mamy, Dustin.

Boimy się Ciebie, ja i Olaf. I bardzo Cię kochamy.

Wczoraj krzyczałeś, że chcesz zabić jakiegoś człowieka pod szkołą. Myślałam wtedy, że zabijesz mnie.

Bądź przy mamie, to jest teraz najważniejsze. Ale daruj sobie to pisanie. W Fernandzie Kuba Cię zastąpi, a ja dopilnuję, żeby wszystko było jak trzeba.

Wiem, że musisz wyrzucić z siebie pewne rzeczy. Ja nawet nie wyobrażam sobie, jak potwornie się czujesz. Po prostu nie siedź do świtu, nie pal tylu papierosów i nie futruj się tłustym żarciem, bo jak tak dalej pójdzie, Helena będzie opowiadać o kosmitach na Twoim pogrzebie.

Zamykasz się w sobie, zatrzaskujesz, bronisz się przed nami, jakbyś zmieniał się w kogoś innego i odrzucał nas, niechcianych świadków tego przeobrażenia. Nie mogę tego znieść. Olaf też to widzi.

Chodzisz po mieszkaniu i mamroczesz jakieś nienawistne bzdury. Burczysz wściekle za każdym razem, gdy powiem coś, co Ci się nie podoba. Krzyczysz. Tak, często krzyczysz, a wydaje Ci się, że mówisz normalnie.

A najgorsze są Twoje oczy, w niektórych strasznych momentach robią się puste i martwe jak mokre kamienie, boję się wtedy, że mężczyzna, którego kocham, przestał istnieć, wyjedzony od wewnątrz.

Patrzysz na mnie, jakbyś mnie nie znał, mam wtedy wrażenie, że chcesz mnie odepchnąć, przejść przeze mnie, że jestem zawalidrogą.

Wróć do nas. Tęsknimy za dawnym Tobą. Jeśli Cię to przerasta, możemy poszukać Ci specjalisty, psychologa albo kogoś, kto przepisze Ci środki na

sen. Boję się, że wydarzy się coś strasznego i będzie dla nas za późno.

Wiem, że nie czytasz swoich zapisków i chyba nawet rozumiem dlaczego, ale mam nadzieję, że zrobisz wyjątek dla tych paru słów i spróbujesz wyjść z jamy, w którą wpełzłeś.

Jesteś miłością mojego życia, mój Borsuku, całym światem zamkniętym w człowieku. Pamiętaj o tym.

Twoja Klara

O studiach

Wiosną Gagarin poleciał w kosmos, a mama zaczęła jeździć samochodem.

Kiedy tylko mogła, wskakiwała do forda i zasuwała przez Crofton bez pozwolenia, za każdym razem uliczkę dalej. Stary szalał z tego powodu. Uroił sobie, że złapie ją policja, przez co deportują ich oboje.

On sam uczył się na pamięć prawa stanowego, nie przekraczał prędkości i nie kupował alkoholu od kobiet, bo jakiś martwy przepis w Marylandzie zabraniał.

Odetchnął dopiero, gdy mama zrobiła prawko, co poszło migiem: przejechała się kawałek, zakręciła kółko, pokazała, jak sygnalizuje się ręką i już. Mówi mi, że tego dnia była dumna i szczęśliwa, w brzuchu grały jej złote pszczoły.

– Chcę mieć z tobą dziecko – powiedział tato, pewien, że matka ucieszy się jeszcze bardziej.

Wiem, co chodziło jej po głowie, bo znam takie pary, co zdecydowały się na bachora tylko po to, by uratować bliskość, rozwód z tego był, wojna i niespłacone alimenty.

Mama myślała też o dziadkach, do których już przestała próbować się dodzwonić, o niewysłanych listach do Gdyni i o tym, że dziecko, konkretnie ja, skrzywdzi, jak dorośnie.

Żaden ze mnie syn roku, ale ciągnę ją na operację i słucham pierdół kolejne już przedpołudnie. Bała się mnie. Ja też bałem się Olafa.

Oznajmiła ojcu, że chętnie, ale najpierw skończy studia i chciałaby zwiedzić Stany, zobaczyć Wielki Kanion i tak dalej. W ten sposób moje zaistnienie odwlekło się w czasie. Stary ciężko zniósł odmowę, bo cenił się wysoko i pewno sądził, że matka powinna rodzić mu synów rok w rok. Pytał, co to

w ogóle za pomysł ze studiami, przecież to droga zabawa, takie rzeczy uzgadnia się wspólnie.

– O czym tu gadać? – zapytała mama.

Forsę, cztery tysiące dolców za semestr, wychodził u władz Arnold Blake, który kochał matkę na zabój, skrycie i bez żadnej nadziei.

Mama pojechała na Uniwersytet Medyczny w Baltimore. Na korytarzu wisiały portrety lekarzy o długich nosach. Facet z sekretariatu zdziwił się na jej widok i dopiero po złożeniu papierów domyśliła się czemu. Na korytarzu mijała samym mężczyzn. Na trawie przed uczelnią wylegiwali się studenci, nie studentki. Nie wyglądało to zbyt zachęcająco, no ale się zapisała na te studia, myślała nawet, że wiedza z Polski pomoże i będzie łatwo. Otóż nie było.

Na roku miała tylko jedną koleżankę, do tego dogadywały się tak sobie. Mama średnio potrafiła ją zrozumieć i nie chodziło tylko o język, bo ona, ta druga studentka, wyrzucała z siebie kaskady skomplikowanych słów w fantazyjnych konfiguracjach. Jej mowa była jak kolorowe pranie, które wiatr zwiał ze sznurków i rozrzucił po trawie, żywopłocie, maskach aut i stolikach ogrodowych.

Ta dziewczyna cały czas głosiła mocny postulat nieodwracalnej zmiany świata, stary porządek miał runąć na rzecz nowego, przesyconego sprawiedliwością. Chodziła w spranej sukience i fuczała na nową, kremową torebkę mojej matki czy tym podobne zbytki. Włóczyła się z bandą podobnych sobie, czytali powieści drogi i w ciepłe dni przed uniwerkiem grali kawałki Dylana na gitarę, banjo, harmonijkę ustną i przejęty bek tej całej dziewuchy.

Ponoć lubiły się z mamą i darły koty, na przemian.

Mama po prostu nie rozumiała, jak można chcieć mieć mniej zamiast więcej. Pamiętała, jak połowa Gdyni jadła co najwyżej ziemniaki z wody, pamiętała bose, brudne dzieci na tyłach Świętojańskiej i czerwoną sukienkę. Tamta dziewczyna nie potrafiła w to uwierzyć i chciała nawet, żeby w Stanach było tak pięknie jak w Sowietach pod dobrym Chruszczowem.

Mama mówiła jej, że gada głupoty. Potem szły na piwo imbirowe.

Co do facetów, mieli ją za dziwoląga – nie dość, że kobieta na takim męskim kierunku, to jeszcze z jakiegoś dziwnego kraju. W końcu oswoili się z nią, a nawet zaczęli podrywać, jeden z drugim chciał wiedzieć, jakie te

Polki są w łóżku. Mamie nawet to schlebiało. Miała mojego ojca. Nie miała za to czasu.

Z angielskim na początku miała trudności. Trochę nauczył ją Blake, więcej telewizja, ale na pierwszych zajęciach w ogóle nie rozumiała wykładowcy. Tkwiła w sali na czerwonym krzesełku i czuła, że zaraz zmieni się w ducha.

Zapisała się do grupy językowej. Spotkania odbywały się na tyłach biblioteki. Siadała przy długim stole z innymi studentami i rozmawiali, było całkiem miło, poza dniem, kiedy syn emigrantów z Węgier wpakował jej rękę między uda.

Wbiła mu wieczne pióro w tę łapę, nie przerywając wywodu na temat hodowli zwierząt futerkowych w gdyńskich garsonierach.

Przy niej w ogóle mężczyźni muszą uważać na ręce, tak mówi.

Przeważnie jednak zakuwała w bibliotece. Stomatologia poszła naprzód, pojawiły się plomby utwardzane światłem, implanty samogwintujące i inne cuda. Mówiła po angielsku słabiej niż reszta grupy, do tego pochodziła z kraju, o którym niemal nikt nie słyszał, więc kuła, ile mogła, i dopiero nocą wracała do Crofton, gdzie warował rozżalony stary.

– Lubiłam to bardzo, znaczy nie pretensje twojego ojca, ale studiowanie – słyszę. – Cieszyłam się, że jadę na uczelnię i wietrzy mi się głowa. Przesiedziałam swoje na zadupiu. Ile można oglądać westerny? Ja poczułam, skarbie, że mam coś, co należy tylko do mnie, i wreszcie wracam do życia.

O zdjęciach

Ja jej nie skrzywdzę.

Matka domaga się kolejnej wizyty w willi. Przy okazji wychodzi, do czego potrzebowała biurka.

Przez ostatnie tygodnie ogarniała prywatne archiwum, katalogowała dowody uwiarygodniające jej kłamstwa.

Nie byłaby sobą, gdyby zgodziła się, bym przetrzepał szuflady tak po prostu. Wymienia trzy koperty – dwie żółte i jedną czerwoną. Reszty żadną miarą nie wolno mi ruszać. Mówi to z niesłychanie poważną miną, głosem jak sprzed lat, kiedy błagała, żebym dał sobie spokój z gastronomią – w końcu ona zrobiła studia dwa razy, a mnie się nie chciało nawet podejść do matury.

Ja jej nie skrzywdzę, mam na myśli żonę, do tego jednego nigdy nie dopuszczę, bo też nie jestem taki. Mnie w ogóle bardzo łatwo przychodzi niekrzywdzenie, nie piję, nie biję, no w życiu, ja bym tym, co biją kobiety, ręce łamał, a jeśli Klara ma rację i czasem podnoszę głos, to już będę bardzo uważał i tak nie zrobię, mam niekrzywdzące dłonie i usta, moje serce bije obok rytmu krzywdy, wdycham powietrze przepełnione krzywdą, połknięte wcześniej przez różnych złych ludzi, oczyszczam je w sobie i wypuszczam czysty, niekrzywdzący dwutlenek węgla, w którym wciąż żyją rzadkie, pożyteczne cząstki tlenu.

Nie bój się mnie, skarbie, nie bój się o mnie.

Jadę na Kamienną Górę, przysięgając sobie, że przetrzepię całe to biurko i znajdę ślady, którymi podążę za prawdą. Na piętrze cała odwaga odchodzi, czuję się, jakby w pokoju były kamery (co nie jest wykluczone) i jeszcze rottweiler zezował spod kanapy.

Zresztą bardzo się spieszę.

W szufladach znajduję mnóstwo listów pisanych na maszynie prostą, poprawną angielszczyzną. Jest w nich coś o zaginięciu, szukaniu dowodów. Natrafiam też na dziwnie ciężką parę okularów, rolki filmowe oraz, co trochę niespodziewane, wykorzystany bilet na Beatlesów. Grali, jebaniutcy, w Waszyngtonie w sześćdziesiątym czwartym.

Znajduję teczki. Każda zapieczętowana naklejką z Biedronki.

Myślę, Klopsiku, że przesadzasz, ale wiem, że Twoja troska wypływa ze szczerego serca, ta sprawa zamknie się do końca tygodnia, nawet szybciej, i wtedy wynagrodzę Wam wszystko. Co tam, może nawet wezmę urlop i gdzieś pojedziemy? Potrzebujemy tego. Dam Ci, co tylko mogę.

Mamę zastaję tryskającą zdrowiem.

Tłumaczy biedaczce z łóżka obok, jak podaje się szampana z koniakiem i cukrem.

Na mój widok przerywa opowieść ku widocznej uldze tej drugiej staruszki, wskakuje w szlafrok i ciągnie mnie na zewnątrz. Gorąca jesień. Trafiamy pod znajome już archiwum szpitalne, siadamy, nogi matki bujają w powietrzu i uświadamiam sobie, że kolorowe skarpety wymyślono właśnie dla niej.

Otwiera te teczki, wysypuje zdjęcia, wycinki z gazet, zaczynamy oglądanie.

Każdy syn wie, że zdjęć z rodzicem nie przegląda się tak po prostu, to celebracja i wysiłek, jakbyśmy badali manuskrypty o wodzie życia. Tak jest

i teraz. Mama nie pozwala mi grzebać w teczce ani dotykać fotografii, podsuwa kolejne pod nos i objaśnia, na co właściwie patrzę.

Pokazuje psa wśród traw, o wesołej mordzie i uszach łopoczących jak żagle. Domyślam się, że to Burbon. Facet w koszuli z szerokim kołnierzem i kowbojskim krawatem to Arnold Blake.

Stary opiera się plecami o forda, mruży oczy w słońcu, a pod koszulką polo rysuje mu się brzuch.

Widzę go też nad oceanem, włosy ma jeszcze mokre, przez klatkę piersiową biegną blizny, ojciec unosi na wyciągniętej dłoni świeżo złowionego dorsza i bardzo się cieszy. Ojciec nad grillem, ojciec z książką w salonie, ojciec w jasnym garniturze, ze szklanką i kiepem, z Arnoldem Blakiem i zastrzeloną sarną, z roześmianą mamą, którą nosi na rękach. Ja przecież nigdy nie widziałem jej takiej młodej. Powinienem teraz poczuć coś w rodzaju wzruszenia, dręczy mnie jednak pytanie: ojciec to czy jakiś inny chłop?

Badam linię uśmiechniętych ust i przyrównuję do własnych, widać też, że tatko wojskowy, ja nie trzymam się tak prosto.

– A tu nasz dom w Crofton – słyszę.

Patrzę na piętrowy drewniany budyneczek z dużym patio, łukowatym wejściem i mnóstwem sztucznych okiennic, słowem, chałupa jakich miliony w Ameryce.

Serce zaczyna bić mi szybciej, bo rzeczywiście o ojcu napisali w „New York Timesie”, czego dowiaduję się z elegancko zachowanej stroniczki tego pisma. Artykuł jest krótki, powtarza informacje o ucieczce, nie pada w nim nic o Amerykańcu ani o Płatonie.

Mama nabożnie otwiera czerwoną kopertę, wyjmuje pierścionek z białego złota, z wielkim brylantem w roju małych. Obraca w dłoniach jak wykopalisko archeologiczne, a mnie już huczy w skroniach, narasta dziwna, chłopacka radość, że cała ta opowieść jest prawdą, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Przez krótki moment wierzę mojej matce.

Wierzyłbym dłużej, gdyby nie delfiny.

O pierścionku

Stary oświadczył się matce w Norfolk, w znajomej już bazie wojskowej.

Ciągle miał żonę w Rosji, a jednak planował nowy ślub. Czemu? Do tego jeszcze dojdę, w każdym razie na pewno czuł, że jego związek z matką gnije, więc zaczął go ratować, jak to on, głupio, lecz z brawurą.

Nie powiedział, po co tam jadą, mgliście sugerował fantastyczną niespodziankę, więc mama oczekiwała najgorszego.

Wynajął porządny hotel z widokiem na port, zaciągnął na koncert jazzowy, zabrał na homary i pociągnął sytą, podpitą szampanem matkę do tej bazy wojskowej, gdzie czekał oficer z przepustką.

Mijali wojskowe samochody, kanciaste budynki o małych oknach i kwiaty w kamiennych doniczkach, wyżej helikopter unosił skrzynię na naprężonych linach. Mamie było dziwnie i obco, zwłaszcza że stary ciągnął ją w głąb gigantycznej, pierdolonej bazy, prowadzony przez tego munduro-wego, tam, gdzie czekały kontenery za siatką i paru trepów nad okrągłym basenem.

Zachodziło słońce. Jeden z nich, z tych żołnierzy, wydobył rybę z wiadra i uniósł, trzymając za skrzela, w wyprostowanej ręce nad wodą.

Z basenu wystrzelił delfin, porwał ją i zniknął w mgnieniu oka, jak srebrny duch.

Mamie mowę odjęło, przynajmniej tak twierdzi.

Zawsze gdy zapomina języka w gębie, wydaje z siebie mnóstwo chaotycznych słów.

Przypomniała sobie, że stary kiedyś nawijał już o tych delfinach, więc zasypała go pytaniami: czy też go widział, ile ich tu jest i tak dalej. Tatko zrobił głupią minę.

– Co ty gadasz, *Zwiozdoczka*, delfin tutaj? Słońce ci miesza w głowie czy może szampan?

Przy nabrzeżu czekała mała łódka. Oficer, który ich przywiódł, zasalutował i poszedł.

Matce niewielkie obiekty pływające kojarzyły się źle, no ale weszła do tej łódki, marząc tylko o tym, żeby ten wieczór się skończył. Stary chwycił za wiosła i popłynęli na środek basenu portowego. Za czarnymi kształtami okrętów czerwieniło się niebo, łódką kołysało, mama przysnęła.

Stary szarpnął wiosłami i ją ochlapał.

Pod łódkę podpłynął delfin z jaskrawą uprzężą na grzbiecie. Wynurzał się, wyprężał i machał płetwami, jakby uciekł prosto z bajki Disneya. Mamie się podobał, bo był pojebany i dziwny, z tą dziurą na czole i oczami jak tłuste półksiężyce.

Zrobił salto w powietrzu i wynurzył się przy matce, w długim pysku trzymał jakieś pudełeczko.

Mama ostrożnie sięgnęła po ten skarb.

W dotyku skóra delfina przypomina nieco gumę, delikatniejszą i ciepłą, tak mówi mama, tak rak mówi, czy przytulała się do opon porzuconych w słońcu?

W pudełku czekał pierścionek, który znam ze zdjęcia.

Stary runął na kolana, omal nie wywracając łódki, i zapytał, czy mama zostanie jego żoną. Jego włosy pachniały solą. Niedorzeczny, zmyślony delfin walił płetwami we własny brzuch.

– Kola objął mnie tak mocno, jakbyśmy właśnie szli na dno. – Mama zapala papierosa, czego w mojej obecności nie zrobiła nigdy wcześniej, po prostu strzela z zapalniczki i łapczywie wciąga dym do płuc. – Myślałam wtedy, że powinnam cieszyć się bardziej. Wszystko, co zrobiliśmy, prowadziło do tego delfina, pierścionka i łódki, co miałam zrobić, no co, przecież myśmy tam wtedy w tych Stanach mieli tylko siebie.

O Kennedym

Mama prosi, żebym puścił jej piosenkę na swojej komórce.

Jesienne słońce wali nam po twarzach, złocą się kasztanowce, wszystko jest trochę nierzeczywiste jak zawsze o tej porze roku. Znajduję *Can't Help Falling in Love* Elvisa, chcę włączyć, ale mama zatrzymuje mnie, mówi, że nie w ten sposób.

Ciągle siedzimy pod barakiem szpitalnym, obok sanitariusz przysypia w karetce. Mam widok na stromą fasadę kaplicy szpitalnej, do której jak bulwa przykleja się punkt oceny zdrowia pacjentów z oddziału chemii jednego dnia. Wyjmuję słuchawki, rozdzielam po jednej dla siebie i mamy, słuchamy muzyki jak dzieciaki w eskaemce.

Elvis, jak to on, zawodzi słodkim głosem o miłości, i nagle mama odwraca głowę, tak że słuchawka wypada mi z ucha. Ukradkiem ściera łzy z policzka.

– To była nasza piosenka – mówi, walcząc o panowanie nad głosem. – Mieli ją zagrać na ślubie.

Pobrali się w kościele Świętej Elżbiety w Crofton. Zdaniem mamy przypominał raczej szklarnię niż świątynię, ksiądz o nic nie pytał i znalazł

szybki termin.

Stary mógł wziąć ślub, bo od Firmy dostali nowe tożsamości, zresztą kto by się tam przejmował jakąś porzuconą żonką w Leningradzie.

– Twój tato miał iść do ołtarza jako Stan Barski – słyszę.

W ten oto sposób, pod barakiem szpitalnym, poznałem tajemnicę swojego nazwiska. Dzięki, mamo.

Mama wynajęła włoską knajpę i sporządziła listę gości. Znaleźli się na niej Arnold Blake, paru kumpli ojca, koleżanka ze studiów. Akurat na dwa stoliki.

W Ameryce panna młoda musi mieć coś nowego, coś starego, coś niebieskiego i coś pożyczonego. Nowa była sukienka. Znalazła jakieś kolczyki z niebieskim oczkiem i pożyczyła drewnianą bransoletkę od tej jedynej koleżanki z roku, no a stary był mój ojciec.

– A miało być tak pięknie! Odżyła we mnie naiwna dziewczyna, wiesz? Cieszyłam się, że pójdę przez kościół w tej sukience, że obsypią nas kwiatami, podstawią cadillaca i zagra nam Elvis. Niestety, akurat wtedy kropnęli Kennedy’ego.

Stało się to na parę godzin przed ślubem. Mamie kosmetyczka wyskubywała brwi, w Dallas padł strzał i było po zawodach. Stary musiał natychmiast pędzić do Waszyngtonu, bo znał się na komunistach.

Przeprosił, pojechał i tyle go widzieli.

Co godzinę dzwonił, że jeszcze go trzymają i niedługo wróci.

Mama dała znać księdzu i w restauracji, zresztą kraj stanął na głowie. W telewizji w kółko pokazywali, jak Kennedy’emu odskakuje głowa, a oszalała ze strachu Jackie pełznie po klapie bagażnika. Kamery z różnych miast filmowały ludzi znieruchomiałych na ulicach. Mama płakała, wspominała taniec w hotelu Willard, zastanawiała się, czy w ogóle weźmie ślub, i wyrzucała sobie, że o tym myśli, skoro Kennedy wykrwawiał się właśnie na tylnym siedzeniu.

W końcu pojechała do tej restauracji i siadła sama jedna przy zarezerwowanym stoliku. Ludzie z Firmy i ta koleżanka nie przyszli, tylko wynajęty pianista się stawił, a że wziął trzydzieści dolców z góry, grał w kółko pieprzonego Elvisa i pił młode wino.

Zamiast wesela wyszła stypa, więc matka zaciągnęła do stolika jakichś Włochów, dzieciaki w koralikach i kogoś tam jeszcze, kto się napatoczył, lała alkohol i podsuwała żarcie przygotowane dla gości, a im dłużej to trwało, tym stary bardziej nie przychodził i w końcu, ostro wstawiona,

uwierzyła, że gdy tylko opuści tę spelunę, Kennedy wstanie z katafalku, Waszyngton zmieni się w Gdynię, a ona przejdzie się ulicą 10 Lutego do dworca, tam wsiądzie w autobus i wróci do domu.

Wreszcie zjawił się mój stary, trzeźwy jak nie on, i zapytał, co ze ślubem. Nie zdążyła odpowiedzieć, bo już niósł ją na rękach.

Pojechali pod kościół całą bandą, kto tylko mógł: Włosi, hipisi, narąbany pianista, reszta towarzystwa. Księdza zbudziły klaksony.

Powiedział, że o tej porze żadnego ślubu nie będzie, bo panna młoda ledwo trzyma się na nogach. Stary machnął legitymacją Firmy, dał księdzu w łapę i mama poszła przez spowitą mrokiem świątynię. Na świadków wzięli tych hipisów, Włosi zalewali się łzami i śpiewali pieśni neapolitańskie, ksiądz ziewał, a pianista klaskał. Po wszystkim rodzice wsiedli do samochodu, nad nimi rozpalały się gwiazdy, a ona naprawdę wierzyła, że spędzi z ojcem całe życie.

O radości życia

Mama nigdy nie uprawiała żadnych sportów. Powtarzała, że pocić to się może świnia w drodze do ubojni. Owszem, grywała ze mną w badmintona i nogę, ale zrezygnowała z tego natychmiast, gdy poszedłem na karate.

Chciała, żebym miał dużo dziewczyn, więc uczyła mnie tańczyć. W soboty rozsuwała meble, mordowała tangiem, twistem i fokstrotem. Tłumaczyła, jak pracują nogi, i napominała, żebym nie ciągnął partnerki i utrzymywał kontakt wzrokowy. Myślałem wtedy o usuwaniu żył i ścięgien z plastra wołowiny.

W dzieciństwie najgorzej znosiłem wycieczki. Mama ubzdurała sobie, że świat jest piękny, pofrunęlibyśmy i do Australii, gdyby nie dawne braki budżetowe.

Wakacje napawały mnie lękiem, bo mama uważała, że co roku musimy pojechać w jakieś nowe miejsce, no i w pełni wykorzystać czas wolny. Jeździliśmy w góry, do ciepłych źródeł w Czechosłowacji i tylko na łódkach dziwnym trafem nie byliśmy.

Upadek komuny przyniósł ku mojej rozpaczy nowe możliwości.

Jest takie zdjęcie zrobione pod piramidami. Mam szesnaście lat i minę, jakbym wypił ocet. Za to kaplica czaszek gdzieś pod Pragą bardzo mi się podobała.

Na weekendy jeździliśmy na Kujawy i do Choszczna, tym cholernym maluchem. Wreszcie podrosłem i mama doszła do wniosku, że czas, abym bujał się po świecie samodzielnie, z kolegami. Najdalej dotarłem do Opola, bo robiliśmy tam catering na targach wyposażenia wnętrz czy czymś podobnym.

Nigdy nie sprowadziła do domu faceta, ale pamiętam jej nocne wyjścia. Wieczorem odpalała mi bajki na magnetowidzie, robiła się na bóstwo, podśpiewując kawałki Wodeckiego, po czym znikała z chaty, wbita w czerwony płaszczyk, owiana duszną wonią perfum, ku czekającej pod blokiem taksówce. Synku, jakby co, lazanię masz w piekarniku.

Zastawałem ją rano w kuchni, robiła mi kanapki do szkoły i pachniała papierosami. Jak podrosłem, zostawiała mnie samego na jedną albo dwie noce.

Wiem, że na początku lat dziewięćdziesiątych kręcił się przy niej taki jeden chłop, co otwierał kolejne budy z jednorękimi bandytami. Miał ich z siedem w całym mieście i podjeżdżał nowiutkim merolem pod Witomino. W końcu odpalił knajpkę niedaleko nas, w miejscu dawnego zakładu wulkanizacyjnego. Nazwał ją Helena. Matka zapytała, czy mu rozum odjęło, i było po miłości.

Przez jakiś czas bujała się z Hiszpanem poznanym na jakiejś konferencji stomatologicznej. Zaczęła jeździć gdzieś pod Barcelonę, tłumacząc to dobroczynnym wpływem tamtejszego klimatu. Miała sześćdziesiątkę, Hiszpan niewiele więcej i klatę włochatą jak borsuk.

Puściła go w trąbę, bo chciał się dla niej rozwieść.

Pokochał ją też pewien spedytor, co miał duży apartament na Kopernika. Jeździła do niego, wiem, bo kiedy wracałem po nocy, przyuważyłem ich na balkonie, jak gruchali nad butelką wina.

Ten chłop kiedyś do nas zawitał. Otworzyłem, a on stał w garniturze jak jakiś mormon, z bukietem czerwonych róż i głupim uśmiechem. Matka natychmiast wepchnęła mnie w głąb mieszkania. Szeptem opierdalała chłopa, jakim prawem tutaj przyszedł. Na koniec poradziła mu, żeby zjeżdżał w podskokach.

Rano zastałem te róże w śmietniku pod blokiem.

Jak byłem młody, nawet chciałem, żeby się z kimś związała, żeby ten facet przychodził do nas na kolacje i tak dalej. Byłaby szczęśliwsza, a ja miałbym spokój.

Potem przeniosła się do willi, ja zostałem na Witominie i straciłem kontakt z jej wstrząsającym życiem uczuciowym. Wiem, że gruchała sobie po kawiarniach z różnymi panami, ale prędzej zżarłaby filiżankę, niż wpuściła któregoś do siebie.

Sam też bardzo lubię randki. Nasze z Klarą były super, zwłaszcza te późne, już w małżeństwie. Olaf zasypiał, ja szykowałem krewetki z bazylią albo i zwykły makaron z oliwą i parmezanem, owoce, zasłaniałem okna, zapalałem kadzidła i czerwone świece, ubieraliśmy się jak do teatru, żarliśmy z talerzy, a potem z siebie – pościel znaczyły ślady po truskawkach.

W ciepłe wieczory zabierałem ją na dachy kamienic, ustawiałem tam stolik i dwa składane krzesełka, a jak brakowało pomysłu, braliśmy żarcie na wynos i szliśmy nad morze z butelką białego wina. Potem otworzyliśmy Fernanda i się skończyło.

☼ ☼ ☼

Dziś zajeżdżam pod willę, a tam kręci się jakiś dziadunio w płaszczu z wełny i kaszkiecie nasuniętym niemal na oczy. Szarpie bramę i potrząsa siatką. Poznaje mnie i pyta, co u pani Heleny, bo dochodzą go różne straszne wieści. Jest tak przejęty, że przestaję się złościć.

Kłamię, że wszystko dobrze, niedługo będzie zdrowa. Bo przecież będzie, innego wyjścia nie ma, nie rozważam go, nie przyjmuję do wiadomości.

A chłop zdejmuje kaszkiet, rzuca tęskne spojrzenie w kierunku ciemnych okien i ściska mnie za ramię jak świntuch świntucha.

– Pan wybaczy, że to powiem, ale pana matka… co to za kobieta. Co za kobieta!

O Fernandzie (2)

Do Fernanda wpadam spóźniony i próbuję się na siebie nie złościć. Klara ma rację, poradzą sobie beze mnie, choć przecież niekoniecznie.

Asia, dobra dziewczyna, ciągle się uczy, czasem zajdzie klienta od prawej strony i prycha, jak się zdenerwuje, wydając z siebie płytkie, niemal

niesłyszalne kaszlnięcie. Na kuchnię zasuwa, przebierając nóżkami, jakby bić ją po piętach. Ludzie to widzą, niestety.

W kółko coś się kończy, brakuje cukru w cukierniczkach i serwetek na stolikach, w kątach na nogach krzeseł niekiedy straszy warstewka kurzu. Ktoś musi donieść, przetrzeć, uzupełnić – często ja, bo nie ma komu, wszyscy zapierdalamy, no a myśl, że Kuba, dobry chłopak, mógłby przejąć moje mięso, wpędza mnie w dygot.

Forda zostawiam jak zwykle na parkingu podziemnym przy placu Grunwaldzkim, biegnę z kurtką w rękach, koszula lepi mi się do pleców.

W Fernandzie wita znajome, ciepłe dobro: byk na ceglanej ścianie i zabawna strzałka, pomidorowa w garnku, żywe barwy przypraw w plastikowych pudełkach, mokre chusteczki ciśnięte na dekiel kosza na śmieci, o co powinienem się wkurwić, ale się nie wkurwiam.

Joasia robi lemoniadę, Kuba zdejmuje z ognia ziemniaki, taki właśnie jest: narobi ich na zapas, bo potem czasu braknie, witamy się serdecznie, pachnie skrobia, płyn do szyb, tłuszcz.

Spojrzenia tych dwojga ciągną się za mną nazbyt długo, jakbym miał czapkę z gówna i o tym nie wiedział. Pewno Klara im nagadała. Taka właśnie jest, troszczy się i mówi za dużo, niepotrzebnie. Już wiedzą, że mam matkę w szpitalu, źle się czuję i nie sypiam, być może usłyszeli też inne rzeczy, a mnie jest zwyczajnie głupio, nie chcę, by o mnie rozmawiano, wolę nienawiść od litości.

Siadam na zapleczu, czekam, aż wpłynie bonik z zamówieniem, wychodzę na fajka, znów czekam, spoglądając na noże.

Ukochane noże, nikt prócz mnie ich nie dotknie, nie umyje, gdy daję je do ostrzenia, czuję się dziwnie pogubiony, tak woła pusta listwa magnetyczna.

Biorę ten najważniejszy, wysłużony nóż szefa kuchni, bujam na palcu, delikatnie przejeżdżam opuszkiem po ostrzu, chwytam. Drewniana rączka przez lata dopasowała się do dłoni i kiedyś w nią wrośnie, nóż jest zresztą przyjemnie ciężki, aż żal go puszczać, czego nie muszę robić, bo wreszcie wjeżdża bonik, dwa steki.

Przygotowanie mięsa jest proste i monotonne, wymaga jednak wyczucia i niesłychanej uwagi, w gruncie rzeczy ma coś z walki na pięści, kiedy w parę minut skoncentrowanego wysiłku rozkładasz przeciwnika.

Nie myślę, nie wątpię, po prostu robię mięso, te same porcjowane plastry ciskane na patelnię, nawet nie wiem, kiedy mija dniówka, z tyłu głowy

kołacze się matka, jej opowieść i pijany ojciec. Wyobrażam sobie przerażone oczy wiernego Burbona, zadbane palce Jedunowa i bezsenne noce mamy przepełnione pijackim chrapaniem ojca. Dlatego pracuję w mięsie, w tych plastrach przepastnej czerwieni przeciętej smugami białego tłuszczu, niech mięsa będzie coraz więcej, mięsa wolnego od chlupotu krwi i zastrzelonych widłorogów, niech mięso nigdy się nie skończy.

O piekle

Ledwo Kennedy ostygł, a stary wyrzucił kumpla przez okno.

Właściwie próbował, pracowali przecież w przyziemiu.

Po zamachu w ojca znów wstąpiło życie, bo w końcu kiedyś był sowieckim oficerem, a Oswald, nim strzelił, odwiedził Moskwę. Stary radośnie brał udział w tajnych naradach, odbierał mnóstwo telefonów i znikał z domu o najdziwniejszych porach.

Wkrótce znów przestał wszystkich obchodzić, więc sklecił rozpaczliwą prognozę rozwoju radzieckiej marynarki wojennej i pewnie naprodukowałby tego więcej, ale Arnold Blake wyjaśnił mu, gdzie sobie może wsadzić taką pisaninę.

Stary doszedł do wniosku, że kumpel, z którym pracuje biurko w biurko, torpeduje te raporty. Chłop niepotrzebnie się tłumaczył, bo ojciec prasnął nim o okno tak, że szyba poszła. Ludzie ich rozdzielili, poczciwy Blake ukręcił łeb sprawie.

Matka wsiadła na ojca, i słusznie: mógł stracić robotę, a nawet trafić do puchy. Rezolutny stary stwierdził, że gdzieś musi się wściekać, w pracy albo w domu, i zapytał, które miejsce jej bardziej odpowiada.

Zapadł się w sobie, a jak mama uruchamiała odkurzacz, darł się, że ciężko pracuje i musi mieć spokój.

Mama ciągała go na wyścigi i koncerty, gdzie nie lali szkockiej, więc szedł, na miejscu bredził coś o ważnym telefonie i gnał do domu. Na zakupy jeździła bez niego, wiadomo czemu. Mimo to po pracy wpadał do *liquor store*, meldował się w domu z flaszką upitą na dwa palce, robił sobie drinka i ruszał na spacer z Burbonem.

W domu pojawiły się stada kieliszków, szklanek i kubków oraz ślady po nich. Niedopite flaszki mieszkały pod łóżkiem jak potwory, a były i poranki, kiedy mama znajdowała długi, jasnobrązowy ślad biegnący przez

prześcieradło, dokładnie w miejscu, gdzie stary przejechał dupskiem. Sam zainteresowany snuł się nocami po pustym domu, szeptał, że to miejsce spłonie, szarpał się za brzuch i wykruszał żar z niedopałków na meble i dywan. Mama wędrowała za nim na czworakach, dusiła te gorące grudki rękawem albo szmatką, a stary błądził gdzieś przed nią, mamrotał i pierdział, aż raz sam runął na kolana, popełzł ku niej, chwycił za kark. Przycisnął jej czoło do swojego, jakby chciał zmiażdżyć jedno i drugie.

– Czujesz to? Czujesz, jak spierdoliłaś? – syknął.

Zaraz puścił pawia.

Podczas kłótni wywijał zaciśniętą pięścią i plótł te farmazony, że inaczej wyobrażał sobie swoje życie. Jeśli mama odpowiadała, nakręcał się jeszcze bardziej, zgarniał przypadkowe rzeczy do torby, niezdarnie wytrzepywał widmowe kamienie z butów i chciał wychodzić na mróz w marynarce i podkoszulku. Jak nic władowałby się do auta i pognał w las, więc matka tarasowała mu drogę, zamykała drzwi, po czym umykała z kluczami po całym domu. Staremu szybko nudził się pościg, zwłaszcza jeśli zwiała na piętro. Stał na dole, groził, że wybije okno i ucieknie z pierdla, w który zmienił się dom. Zaraz markotniał, wracał do picia i zasypiał na kanapie.

Przeprosiny wypadały jeszcze gorzej. Stary przynosił kwiaty, kolczyki i torebki, klęczał, całował po rękach, przysięgał, że Helena jest całym jego światem, a on sam nie wie, czemu to wszystko robi. Chciałby po prostu lepszego życia dla siebie i dla niej, dla niej zwłaszcza, no i obiecywał, że nigdy już jej nie skrzywdzi. Zabierał do kina, na zakupy, nad zatokę Chasepeake, gdzie pił słabe piwo i snuł te same stare historie. Tak to się kręciło.

– Czasem wciąż widziałam w nim tego mężczyznę, którego pokochałam – słyszę. – Łudziłam się, że tam jest, błądzi po skorupie, którą stał się Kola, rozpaczliwie szuka wyjścia, a ja muszę mu w tym pomóc. Kto wtedy słyszał o jakimś współuzależnieniu?

Po domu walały się też notatki z rozkładami jazdy kolei i autobusów międzystanowych, plany ewakuacji miasta na wypadek bombardowania i lista rzeczy niezbędnych do przetrwania w lesie. Matka zbierała je i układała, a stary krążył jak błędny rycerz w poszukiwaniu szczotki do strzelb bądź podpórki teleskopowej.

W końcu wpełzł do piwnicy ze stołem bilardowym i tam pozostał.

Zniósł na dół sprzęt myśliwski, radio, kanapę z wyprzedaży sąsiedzkiej i mnóstwo koców. Czytał i słuchał muzyki, otoczony przez szklanki, butelki i popielniczki. Matka spytała go w końcu, co, kurwa, wyrabia.

Wziął ją na kolana i przysiągł, że niedługo wszystko się zmieni. Tylko skończy pewną wielką rzecz, nad którą pracuje w sekrecie.

Zbieram się w sobie i pytam, jakim cudem znosiła to wszystko. Współuzależnienie współuzależnieniem, ale przecież gdybym odstawiał takie numery, Klara na kopach wyniosłaby mnie z domu.

Mama uśmiecha się smutno.

– Na tym to polega, kochanie. Kiedy żyjesz z alkoholikiem, to masy rzeczy nie zauważasz, no i oszukujesz samego siebie na potęgę. Poza tym dalej mieliśmy trochę dobrych chwil. Robiłam mu kawę i grzanki co rano, potem jechałam na uczelnię. W tym czasie Kola kupił sobie nowe auto, studebakera, duże, potrzebne na polowania. Dał mi forda i to nim jeździłam do Baltimore. Jak droga była pusta, opuszczałam szyby i krzyczałam.

O wilkołakach

W dzieciństwie bałem się potworów.

Przerażała mnie Buka i czarno-biały *Nosferatu*, którego kiedyś pokazali w telewizji. Mama pozwalała mi oglądać filmy jak leci. Nadaktywna wyobraźnia stworzyła potwory żerujące w parku pomiędzy Witominem a centrum miasta, a nawet przy śmietniku.

Nigdy nie wchodziłem do klatki sam i czekałem, aż zjawi się jakiś sąsiad, a gdy matka raz wysłała mnie do piwnicy po bombki, myślałem, że zwariuję z przerażenia. Samotności w windzie też nie zdołałem dźwignąć, bo wyobrażałem sobie demoniczne palce wsuwające się przez szparę na dole, które rozerwą mnie, jeśli tylko stanę między piętrami.

Swoją świetną, mimo fajek, kondycję zawdzięczam wieloletniemu wbieganiu na dziesiąte piętro.

Pod moim łóżkiem mieszkał wielki szczur z ogonem grubym jak kabel ciepłowniczy. Drzwi szafy złowrogo drżały. Zasypiałem tylko przy włączonym świetle i prosiłem mamę, aby czuwała przy mnie, aż zasnę, na co nie miała ochoty. W końcu zapytała, czego się boję. Odparłem, że potworów.

Niepotrzebnie, zapewniła. Potworami jesteśmy właśnie my, to przed nami drżą ludzie. Gaszą światła, ryglują drzwi, trwoga ścisza im oddech.

Nie czułem się ani trochę potworem, więc zapytałem, kim konkretnie jestem. Mama przepięknie udała zdziwienie i powiedziała, że wilkołakiem. Właściwie oboje nimi jesteśmy. Ja małym wilczkiem, ona groźną waderą.

Następnego wieczoru, gdy znów odmówiłem zgaszenia światła, posłyszałem wycie zza kanapy.

Mama siedziała tam na czworakach i zawodziła, unosząc głowę, jakby lampa na suficie zmieniła się w księżyc. Padłem na kolana i odpowiedziałem tym samym. Potem tarmosiliśmy się na podłodze. Szczerzyłem zęby jak kły.

Tak było co wieczór. Mama wyła w kuchni, łazience czy przedpokoju, do tego komicznie wywracała oczami i szorowała paznokciami po parkiecie.

Wkrótce nasza zabawa rozlała się na całe osiedle. Wieczorami wychodziliśmy przed blok i biegliśmy w różne strony. Pędziłem pod kościół, ku załomom niskich budynków parafialnych, gdzie spotykali się anonimowi alkoholicy, na tyły spożywczaka i za śmietnik, który nagle stał się oswojony i bezpieczny. Kucałem i wyłem.

Gdzieś z daleka odpowiadał mi skowyt mojej mamy.

Szliśmy do siebie, nawołując się nawzajem, byłem szczęśliwy i gorący, a jak już widziałem mamę, pędziłem do niej pochylony i wyszczerzony, tak samo jak ona do mnie, odbijając się dłońmi od asfaltu, śniegu, kałuż. Ludzie brali swoje psy na ręce. Dzieci pokazywały nas palcami, a my dopadaliśmy siebie, tarliśmy nosem o nos i dopiero wtedy wracaliśmy do ludzkiej formy, a potem do domu.

Widzieli mnie koledzy z klasy i znaleźli drugi, prócz imienia, powód do szydery. Miałem to w dupie, bo byłem wilkołakiem.

Raz wiosną, pod pełnym księżycem, gnałem w stronę niskich bloków na Widnej, bo stamtąd dochodziło wycie mamy. Spotkaliśmy się pod podstawówką i radośnie szczerzyliśmy kły, nos w nos. Napatoczył się jakiś smutny chłop w koszuli non iron i zapytał, czy jesteśmy popierdoleni, bo wstyd przynosimy całemu osiedlu i nasze miejsce jest w Kocborowie.

Mama obnażyła zęby i warknęła, jakby chciała go ugryźć.

Byłem pewny, że to zrobi, bo ruszyła gniewnie wprost na faceta.

Spierdalał, aż serce rosło. W domu mama wyjęła z lodówki krwiste mięso i zapytała żartem, czy zjemy je na surowo.

O Beatlesach

Beatlesi zagrali zimą w Waszyngtonie.

Bilet kosztował cztery dolce, widziałem go, więc wiem.

Chyba właśnie tamtego dnia w matce coś nieodwołalnie pękło i straciła nadzieję. Choć mogło to nastąpić też tej przepięknej nocy, kiedy tata skoczył z dachu motelu na łeb.

Zastanawiam się, co bym sobie zrobił, gdybym skrzywdził Klarę. W niej siedzi ten lęk niepotrzebnie. Czasem tylko, zwłaszcza gdy przyrządzam mięso, gdy strącam kroplę oleju na patelnię, gdy wychodzę z Fernanda otumaniony zmęczeniem, monotonią i światłem, boję się, że faktycznie mógłbym zrobić coś złego, oczywiście przypadkiem, i gdybym wierzył w Boga, runąłbym na kolana i prosił go, żeby powyjmował ze mnie, z nas złe rzeczy.

Wyłyżeczkowałbym raka jak chory płód, to chyba jasne.

Chcę wydrapać ojca z siebie. Te kawałki, które ze sobą współdzielimy, upiory genomu, zrywałbym jak strupy, odsysał ten jad ze świeżych ran i nim pluł, ja mogę całą skórę z siebie zerwać, wyszarpię kawałki ojcowskiego serca i otłuszczonej wątroby, jego ślady na duszy i trzustce, naszczam na nie, uszczęśliwię żonę.

Po prostu boję się, że ta część historii matki jest prawdziwa.

Czy mój ojciec ją zgwałcił? Rak ją chroni, podsuwa banialuki o kosmitach, maskuje straszną prawdę. Ktoś ją zmiażdżył, skrzywdził, wywiózł za Atlantyk.

Z tego, co mówi, bardzo chciała iść na Beatlesów, ojciec najpierw powiedział, że bilety rozdrapano migiem i nic nie można już zrobić, a potem wyjął dwa z wewnętrznej kieszeni marynarki. Rozradowany, dziecinny potwór.

Matka twierdzi, że w dniu koncertu napadało śniegu po pas, telewizja transmitowała lądowanie samolotu z Beatlesami, a stary tankował od rana, jak zawsze gdy miał wolne. Powiedziała mu w końcu, żeby przestał, bo idą na koncert, więc chwycił piersiówkę, zawołał Burbona i jakimś cudem trafił w drzwi.

Była pewna, że wróci po godzinie, pijany, i bardzo przeprosi.

Mijał czas. Czekała w wieczorowej sukience.

Po zmroku spomiędzy ośnieżonych drzew wyłonił się troll w spodniach mokrych po krok, w towarzystwie wesołego Burbona. Chwiejnie przekroczył próg, zzuł buty, ustawił elegancko pod ścianą i zaczął gwizdać.

Podśpiewywał też, gdy matka ciągnęła go do łóżka.

Przykryła kołdrą, zostawiła wodę i sama pojechała na tych Beatlesów.

Budynek sali koncertowej był ponoć brzydki jak rzeźnia, najczęściej urządzali tam walki bokserskie. Teraz aż trząsł się od babskiego jazgotu. Mama przyjechała na ostatnią chwilę, drugi bilet ofiarowała pierwszej lepszej napotkanej dziewczynie.

Ponoć Beatlesi byli nieśmiali, zakłopotani, borykali się z brzmieniem instrumentów. Mamie brzuch skręcił się w gorący supeł, a oni grali tak, że dało się zapomnieć o wszystkim.

– Rozbeczałam się, bo chciałam, żeby miłość wyglądała jak w ich piosenkach. Poza tym, co tu kryć, Paulowi dałabym ze sobą zrobić wszystko.

Do domu wróciła nocą. Grała w niej muzyka, no i myślała o młodym McCartneyu.

Tatko wytrzeźwiał, przygotował kolację, uklęknął i przysiągł, że przejrzał na oczy i wszystko naprawi.

Nie jestem taki jak on. Niepotrzebnie się boję.

O dachu

Stary chciał wkupić się w łaski mamy. Gdy zaliczyła semestr, pojechali w podróż przez całą Amerykę.

Mama opowiada o tym z zachwytem w głosie, ale i nutką smutku, jak to ona, celebruje rzeczy, które nigdy nie zdarzą się na nowo.

Ponoć od awantury z Beatlesami ojciec prawie nie pił, czyli pił trzy banie dziennie, bo *Boh troicu lubit.*

Ruszyli na południe, Burbon wystawiał łeb przez tylne okno, furkotały mu uszy i język.

Zaczęli od Nowego Orleanu i dzielnicy francuskiej, gdzie młodzi, pijani w opór gówniarze rzucali mamie kolorowe korale, wołając, by w zamian pokazała cycki. Bała się, że ojciec coś im zrobi, ale był łagodny i cudowny, wiódł ją do knajpek, gdzie ludzie słuchali jazzu w kłębach dymu, a potem szli przez parne miasto. Siadali oboje na patio przy butelce wina i dwóch świeczkach, a świerszcze głośno im grały. Chciałbym tam być, zobaczyć ich w tamtej chwili.

Gdzieś w Teksasie stary pokłócił się z młodzieżą. Częstowali słabym piwem i skrętami, tato odmówił, za to wdał się w dyskusję. Ci młodzi narzekali na wojnę w Wietnamie i brak praw wyborczych dla Afroamerykanów (mamie to słowo wciąż nie przechodzi przez gardło), generalnie twier-

dzili, że w Ameryce jest okropnie. Więc stary wsiadł na nich i huknął, że w ZSRR za samo takie gadanie pakują do łagru, a oni tutaj stoją sobie spokojnie, piją piwko, palą jakiś syf i nie zastanawiają się, który z nich kapuje do bezpieki.

– Nie wiedzieli, o czym on w ogóle gada – śmieje się mama. – Zostawiłam go. Za motelem ciągnęła się pustynia, więc poszłam przed siebie, daleko poza zasięg świateł. Dopiero w ciemności zadarłam głowę. Nigdy nie widziałam tylu gwiazd, takich jasnych! Poszłabym dalej w mrok, synku, myślałam właśnie o tym, ale potem powiedziałam sobie, że Kola jest dobrym człowiekiem, i wróciłam do motelu.

Dwa czy trzy dni później ten dobry człowiek zrobił jaskółkę na skraju Wielkiego Kanionu. Naprawdę sądził, że jest nieśmiertelny.

Co jeszcze? Łowił ryby w Pacyfiku i wędził je potem nocami, a łby rzucali w wysoką trawę, gdzie czatowały stada kotów. Włóczyli się po wzgórzach Hollywoodu, między domami jak statki kosmiczne, a mała dziewczynka w mamie liczyła, że z któregoś wyjdzie Henry Fonda albo Burt Lancaster. Zahaczyli o park Yosemite, a w drodze powrotnej, chyba w Kolorado, po całodziennej jeździe między polami kukurydzy trafili do jakiegoś zaplutego baru, gdzie trwał turniej darta i nikt za chuja nie wierzył, że Polka z Ruskim jadą przez całą Amerykę, skoro oni, ci ludzie, nie ruszyli się stamtąd przez całe życie.

– Popatrz, synku.

Mama wyjmuje wyblakły polaroid, no i rzeczywiście, na zdjęciu jest tatko w białej koszuli i ona, z drinkami, na tle tarczy do darta, otoczeni przez tłuste panny i facetów w dżinsie.

– Zrobili takie dwa, jedno dla nas, drugie przypięli za barem i wiesz co, nie licząc końcówki, to była naprawdę piękna wycieczka. Wybierzcie się kiedyś. Weź Klarę z Olafem i jedźcie jak my, z wybrzeża na wybrzeże, wpadnijcie do tej knajpki. Może to zdjęcie ciągle tam wisi?

Myśl o wakacjach jest równie realna co człowiek spadający z nieba. A skoro już o upadkach, mama wspomina szczególną, ostatnią noc wycieczki. Spędzili ją w motelu, gdzieś w Wirginii. Mieli tam basen. Stary uparł się, że skoczy do niego z dachu na główkę. Matka zabroniła.

Przez cały wyjazd nie pił, więc na ostatni dzień w nagrodę zafundował sobie butelczynę.

Wydoił trzy szklaneczki, resztę schował i zaniósł mamę do łóżka.

Obudziło ją ujadanie Burbona.

Stary leżał w basenie twarzą do dołu. Woda barwiła się na czerwono. Przy leżaku stała pusta flaszka.

Matka wskoczyła do basenu, obróciła ojca na plecy i tak doholowała do brzegu. Nie oddychał. Wpychała mu powietrze w usta i uciskała serce. Zlecieli się ludzie. Wreszcie stary się ocknął i łypał znajomym, bezrozumnym wzrokiem. Obejmowała go i biła. Czemu chciał ją zostawić? Ktoś ją objął, otulił ręcznikiem, dał wody i brandy. A tata spytał:

– Co się stało?

O Murzynach

Z tego, co widzę, mamę ratowały studia. Dobiegały końca. Czekały ją egzaminy.

Stary wymyślił sobie, że zrobi mamie gabinet w pomieszczeniu piwnicznym, tym samym, gdzie wcześniej zalegał z flaszką. Prosiła, by wstrzymał się do egzaminów, żeby nie zapeszyć. W odpowiedzi pojechał do sklepu, przywiózł piłę tarczową, szlifierkę, wiertarkę i skrzynkę z narzędziami. Zwiastuny rozpierdolu.

Zerwał podłogę, w kółko ganiał ze śmieciami do kontenera na podjeździe i co wieczór tańcował ze ścierką, bo w domu było siwo od pyłu.

– Lubiłam obserwować go podczas pracy – wyznaje mama takim tonem, jakby miała jakiś żal do siebie. – Nie chodziło o to, że był taki oddany i skupiony, po prostu odstawił flaszkę na czas tej roboty. Cieszyłam się z tego. Myślałam, głupia, że mój dawny Kola wrócił.

Nim się obejrzała, piwnica była wyremontowana, a ona leżała ze starym pod kocem, wybierając sprzęt z katalogu w „Dentistry Today”. Liczyła się z tym, że całość weźmie na kredyt, ale stary powiedział, że połowę wyłoży z własnej kieszeni.

Podobno zaoszczędził na szkockiej.

Na egzaminie pachniało dymem, tynkiem i kwasem octowym. Czekała komisja, czekali też pacjenci, którzy przyszli, żeby zrobić sobie zęby za darmo.

Mamie przypadł czarnoskóry chłopak. Policja wybiła mu zęby na manifestacji przeciw dyskryminacji rasowej.

Siedział spokojny i zrezygnowany. Powiedział, że przyszedł, bo w życiu nie byłoby go stać na dentystę. Mama usunęła resztki zębów, wygrzebała

ziarninę, założyła tampon, słowem wszystko przebiegło w najlepszym porządku.

Zerknęła na jasną krew kołującą w odpływie i nagle zakręciło się jej w głowie, pociemniało w oczach, żar objął płuca i powędrował wyżej, jak popiół z kopniętego ogniska. Słyszała przytłumione głosy, oszalały łoskot własnego serca i przez moment myślała, że umrze, po prostu padnie trupem przed komisją egzaminacyjną.

Gorąco nagle odeszło, wrócił wzrok, pacjent wypluł gazę i podziękował.

Mama znów była lekarką, a w domu czekał ojciec, trzeźwy jak nie on. Do poczekalni wstawił rośliny i długą ławę, rozwiesił na ścianach zdjęcia łódek i albatrosów, więc mama naprawdę uwierzyła, że wszystko będzie już dobrze.

Zaraz zresztą zrobiła mu zęby, tę brakującą połowę górnej szczęki. Z rozpędu kupił sobie garnitur i przysięgał, że zainteresuje się sportem.

Po nim na fotelu wylądowali Arnold Blake i paru kumpli ojca z Firmy. Nawet ten, co prawie wyleciał przez okno, też przyszedł. Matka dała ogłoszenie w „Baltimore Sun” i paru innych gazetach. Z tego, co mówi, interes rozhulał się migiem.

– Dużo myślałam o tym chłopaku na egzaminie i zamieściłam jeszcze jedno ogłoszenie. Kola mówił, że upadłam na głowę. A napisałam w nim, że każdy Murzyn, który oberwie od policji, ma u mnie leczenie za darmo.

Ponoć, gdy zabili Martina Luthera Kinga i nastały rozruchy, pod gabinetem matki ustawiło się jakieś czterdzieści samochodów.

Pytam, jak sprawdzała, bo przecież nie każdy bez zębów w pysku oberwał od policji.

– Nie sprawdzałam – słyszę. – Już widzisz, czemu napis nad willą zostanie. Myślę, że mi wolno.

O snach

Udręczony ojciec wychodził z domu bez słowa albo zamykał się w garażu, gdzie gadał do siebie. Mama myślała nawet, że zamontował tam drugi telefon.

Skoro już przy tym, telefon dzwonił o najdziwniejszych godzinach. Tatko dopadał do niego, odbierał, głównie słuchał, a jak coś mówił, to szeptem, zasłaniając usta ręką. Utrzymywał, że chroni matkę przed wielkim nie-

bezpieczeństwem, i w kółko przysięgał, że ta wielka rzecz, nad którą pracuje, zaraz się dopnie i już nic nie zmąci ich szczęścia.

Na razie do szczęścia było kurewsko daleko.

Ojciec zaczął wyjeżdżać w ciągu tygodnia, ponoć na polowania. Gdy wracał, sprzęt myśliwski leżał nienaruszony w bagażniku

W kółko coś gryzmolił. Mama zastawała go o szóstej rano zatopionego w papierach i obłożonego książkami. Potem palił te notatki w kuble na podwórku. Wiatr niósł płonące karteluszki ku koronom drzew.

Budził się o trzeciej, czwartej nad ranem i leżał nieruchomo, żeby matka spokojnie sobie spała. To znaczy, tak twierdził, bo dyszał, szarpał się za brzuch i mamrotał do siebie, że nigdy nie powinien opuszczać ZSRR.

Mama usiłowała go przycisnąć. Co się z nim dzieje? Co to za tajemnicze zlecenie? Stał się innym człowiekiem.

Najpierw próbował ją zbyć. Przypomniał, że mają dobre życie i nawet zdobył pieniądze na gabinet. Nieważne skąd, mama nie musi wiedzieć wszystkiego, a on jak każdy prawdziwy facet sam morduje się ze swoimi problemami.

W jakiś sposób go rozumiem. Mama nie rozumiała.

Zagroziła, że odejdzie, właściwie wyrzuci go z domu, jeśli się nie zmieni. Wtedy opowiedział jej o snach.

Mama wspomina, że ojciec zawsze się trzymał, ale tamtej nocy drżał jak dziecko, pocił się i mocno ściskał jej dłonie.

Powiedział, że dręczą go koszmary, których nie może zrozumieć. Zaczęły się w Gdyni po tym, jak zmarł Amerykaniec. Spotworniały już w Stanach.

Wędrował w nich przez niekończący się czerwony płaskowyż pełen gładkich kamieni. Obce słońca oświetlały planety o wielu pierścieniach i roje meteorów. Widywał też obce miasta pod szkłem, z ogromnymi budynkami o kształtach, których nawet nie potrafił nazwać, czarne obeliski wynurzające się z morza i piramidy sięgające gwiazd. Czuł chłód i obcość, od której można umrzeć. Srutututu.

Bywało też, mówił mamie, że leżał w czymś, co przypominało szklaną trumnę, w każdym razie nie mógł się ruszyć i sunął kompletnie bezbronny pośród mgławic. Bił i kopał tę pokrywę, próbował ją przestrzelić, walnąłby sobie zresztą w łeb, żeby tylko się obudzić.

W jego snach brzmiał ryk maszyn i zgrzyt stali, pachniało fosforem.

Najgorsze jednak, bredził, były te sny, których nie dało się w ogóle odróżnić od jawy, na przykład niby budził się w domu, we własnym łóżku, i czuł, że musi wyjść na zewnątrz. Stawał pod lasem i nagle unosił się wysoko w snopie białego światła, tak że widział odległe dachy i światła Waszyngtonu. Potem lądował w pokoju bez żadnych mebli.

Tam, w półmroku, krążyły wokół niego postacie kubek w kubek jak Amerykaniec z plaży w Redłowie. Dotykały go, mówiły różne rzeczy.

Spadał wprost do własnego łóżka, budził się i szarpał własny brzuch.

Tu dochodzimy do pytania o naturę kłamstwa.

Czy stary łgał matce o tych snach, bo chciał wzbudzić litość i dalej tankować w spokoju? Czy może jednak matka kłamie, bo inaczej wyszłaby na kompletną idiotkę, dokleja do wspomnień tę kosmiczną bajdę, bo w ten sposób ocali pamięć o tacie jako dobrym człowieku?

Idźmy w to dalej, istnieje też opcja, że ojca walnęło wyjątkowo ozdobne delirium, padł więc ofiarą własnego złudzenia, gdyż kłamała w nim wódka.

Wreszcie dopuszczam możliwość miraży raka rozepchanego w matce: to on zmyślił ojca z jego urojeniem, zdjęcia z biurka pokazują kogoś innego.

Mniej więcej takie karty leżą na stole.

Na koniec tej bajery stary wyznał, że najgorsze jest wołanie, które słyszy w snach, jak czysta, obca wola paplająca w głowie: chodź ze mną.

O poszukiwaniu prawdy

Dociekam, co właściwie się zdarzyło.

Siedzę w kuchni i nabieram olej po śledziach na kawałek bagietki.

Do niedawna myślałem, że matka rzeczywiście próbowała uciec z jakimś Ruskim, ale złapali ich na Bałtyku.

Widziałem zdjęcia z Ameryki, więc to nie może być prawda.

A może tak: nie zdarzył się żaden kosmita, mój stary nie był kapitanem, tylko kimś w rodzaju Płatona. Buchnęli łódkę, spieprzyli do Stanów, gdzie tato rozpił się i umarł. Kto wie, czy matka go nie zabiła? Ojciec leży gdzieś pod drzewem w stanie Maryland. Zostawił jej niespodziankę, czyli mnie. Dlatego wróciła do Polski.

Zdjęcia z Ameryki sfałszowano, są ludzie, którzy robią takie rzeczy, taka właśnie myśl przychodzi mi do głowy, próbuję ją zatkać jakąkolwiek inną.

Jeszcze inaczej: matka kurwiła się z kimś potężnym, jakimś dyplomatą sowieckim, wozili się po świecie i może nawet trochę szpiegowali, w końcu chłop puścił ją w trąbę, stąd fotografie i wielkie kłamstwo. Żadna kobieta nie wybaczy porzucenia.

Nie mam brata Jurija, jestem Jurijem, urodziłem się w Leningradzie z ojca pogrobowca, bo tato zdradzał mamę z niejaką Heleną Kreft i ona, moja prawdziwa matka, zastrzeliła tatę i powiesiła się w więzieniu. Zostałem sam. Przygarnęła mnie Helena, bo dręczyło ją sumienie, poza tym jestem wszystkim, co jej zostało po starym. W ten sposób wylądowałem w Polsce, tak rzeczywiście mogło być, tylko daty źle na siebie nachodzą. No ale.

Układam anagramy. Wypisuję wszystkich, którzy pojawili się w tej historii, w tym ojca obojga imion i nazwisk, Płatona i nawet nieszczęsnego Zorro, zostawiam inicjały wypisane na karteluszkach, wywalam duble, resztę układam ze sobą, kawał czasu na to schodzi, nie wszystkie litery się ze sobą kleją, gram, jak przeciwnik pozwala.

Rezultat jest czasownikowy i niepokojący.

Sprawdzam, czy się nie pomyliłem. Palę przy oknie, papieros na trzy mocne wdechy i wracam. Nic się nie zmieniło.

Nabij. Zabij. Napij. Psina. Tak wyszło i nie chce wyjść inaczej, nabij, zabij, napij, psina.

O Burbonie

W niektóre noce mama budziła się nagle, a Płaton gniótł jej pierś kościstymi palcami. Oczy miał jak doły z dymiącym wapnem.

Szarpała mu mokre policzki, chwytała śliskie nadgarstki, a Płaton pochylał się do przodu, ogromna biała głowa zwisała mu między ramionami, tuż nad mamą. I nagle znikał.

Wstawała z łóżka i krążyła po domu, między kuchnią, sypialnią i kanapą, gdzie chrapał najebany stary i warował przerażony Burbon.

Właśnie po tym, po reakcji psa, mama doszła do wniosku, że duch jest prawdziwy. Płaton istniał, bo Burbon też go widział.

Pies szybko się postarzał. Przesypiał całe dnie pod tą kanapą. Na podłodze rozkładały się wielkie, siwe uszy. Szczał na dywany i gubił zęby.

Za to pod wieczór robił się żywotny jak szczenię, ganiał i szczekał, żeby go wypuścić. Stary dostawał od tego szału, raz chwycił Burbona za kark i spierdolił po schodach na sam dół.

Z tymi schodami też był problem, bo Burbon chciał na nie wejść, tylko już nie umiał. Wbiegał, zarzucając zadkiem, nagle stawał i turlał się po stopniach. Stary go wynosił. Klął przy tym po rusku i rzucał zwierzęciem jak workiem.

Burbon i tak go kochał. Wędrował za panem i lizał po rękach.

Ojciec często z nim wychodził. Spacery były długie, a smycz krótka. Brał go też na polowania w weekendy i utrzymywał, że z Burbona wciąż jest pierwszorzędny pies myśliwski. Takie zwierzęta potrzebują ruchu, mówił.

– To się poruszali, nie ma co – wzdycha mama i bezwiednie obraca w dłoni zapalniczkę.

Któregoś razu stary władował do bagażnika namiot, zasobniki, menażki i butlę gazową, jakby zamierzali zostać w tym pieprzonym lesie na zawsze. Zabrał też dubeltówkę, sztucer i rewolwer, który wsadził do schowka pod deską rozdzielczą. Burbon dyszał pod schodami i nie chciał wyjść, więc tatko podniósł go i jebnął na tylne siedzenie.

Mama pamięta czarny nos przyklejony do szyby i mordkę jakby obsypaną śniegiem.

Stary wrócił już bez Burbona, za to z naręczem martwych ptaków i nagrzmocony bardziej niż zwykle. Wyładowywał sprzęt, mama szykowała wielkie pranie i trochę minęło, nim połapała się, kogo brakuje.

Burbon, zdaniem ojca, poleciał za królikiem. Ponoć tatko czekał na niego do świtu, w ogóle zrobił, co mógł. Po zwierzaku. Jakby chciał wrócić, już by to zrobił, rzekł jeszcze i poprosił, by matka wyrzuciła koc i miski.

Poryczała się pod śmietnikiem. Mijały minuty, a ona wyła. W końcu doprowadziła się do porządku i wróciła do domu.

Ojciec ją przytulił, wyznał, że jest zrozpaczony tą nagłą stratą, i poszedł schować broń do szafki pancernej.

O przybyszu

Idę o zakład, że mamie mieszają się lata.

Mówi, że tego wieczoru, kiedy gruchnęła straszna nowina, Armstrong lądował na Księżycu. Jeszcze całkiem niedawno mieliśmy zamach na Kennedy'ego, no ale niech ci będzie, mamo. Mój stary wszedł akurat w fazę poszukiwania ciepła. Zanim usadowił się przed ekranem, przyrządził owoce morza, kupił pudło lodów bakaliowych, przyniósł też flaszkę jakiejś dobrej whisky, przechowywaną na specjalne okazje. Te zdarzały się średnio co sobotę.

Znów pytam mamę, dlaczego tkwiła przy nim przez te wszystkie lata. Nie mieści mi się to we łbie.

– Kiedyś odpowiedziałabym ci: bo byłam głupia, ale ten etap mam dawno za sobą. Już dość się w życiu samobiczowałam. Kochałam go, co mam ci powiedzieć – mówi cicho, obierając pomarańczę. – Bywał opiekuńczy i piekielnie zabawny, poza tym znałam go właściwie całe dorosłe życie. Myślałam nim, oddychałam nim… Choć w tych ostatnich latach wyglądało to już inaczej, w zasadzie nauczyłam się żyć bez niego. Zresztą wiesz co? Gdybym odeszła, nie miałabym ciebie.

Chciałbym się dowiedzieć, jak to możliwe, że urodziłem się w Szwecji, w siedemdziesiątym czwartym – przecież chyba nie wybrali się tam na wakacje. Już o to zresztą pytałem. Mama twierdzi, że do tego dojdziemy.

Odkąd zabrakło Burbona, dni toczyły się jak kule brudnego śniegu, rodzice snuli się po domu jak duchy. Tego dnia telewizor pokazywał guzowatą powierzchnię Księżyca i kruchy lądownik, z którego wyskoczył Armstrong, wszyscy to znamy.

Staremu nagle przypomniał się Amerykaniec. Rzadko do niego wracał. Powiedział, że Armstrong i reszta po tym wyczynie dostaną wszystko, co zechcą, pomniki, porty lotnicze nazwane na ich cześć i taką sławę, jakiej nie ma nawet Robert Redford.

O Amerykańcu z Redłowa nikt nie pamięta. Jego koledzy spłonęli w atmosferze, a on rąbnął w Ziemię niegościnną jak Księżyc.

Ojciec mówił więcej i więcej, rozwodził się nad losem kosmonautów, lotników, żołnierzy w ogóle, i jestem pewien, że w gruncie rzeczy użalał się nad sobą: obcym w obcym kraju.

Za to mamie zrobiło się słabo jak wtedy na egzaminie. Mówi, że pokój pociemniał, straciła oddech i czuła, że w jej wnętrznościach otwierają się rany. Żartuje z tego tak samo jak z guza. Guz jednak sam nie przejdzie.

Tatko przeniósł ją z dywanu na kanapę, dał wody i chciał zabrać do szpitala. Mama poprosiła, żeby posiedział przy niej. Wtedy zadzwonił telefon.

Odebrał, wbrew mamie. I teraz to on osunął się na podłogę. Siedział i mamrotał do słuchawki proste słowa. Rozmowa dobiegła końca, a on się nie ruszył.

Dzwonił Arnold Blake.

Powiedział, że w sowieckiej ambasadzie pojawił się nowy attaché kulturalny. Ponoć pies na baby i uroczy skurwysyn.

Miał jedną rękę chromą, przyciśniętą do ciała.

O latach dla siebie

Nie kupuję tego z Jedunowem.

Bali się go. Kurwa, byli przerażeni jak ministrant na konklawe, tymczasem z tego, co zaraz słyszę, chłop nic nie robił. Tatko polował, mama robiła ludziom zęby, Amerykanie dalej latali w kosmos, a Jedunow grzał dupę w tej ambasadzie. Leciały lata.

Stary bredził, że pracuje nad czymś obłędnie wielkim, i obiecywał mamie, jak niedługo zmieni się ich życie. O co dokładnie chodziło, nie wspominał, dawał jednak do zrozumienia, że niedługo znowu stanie się ważnym i wszechmocnym człowiekiem. Na razie znikał częściej i na dłużej, nocą szeptał coś do słuchawki. Kupił sobie maszynę do pisania i tłukł w klawisze, brudne i lepkie od zaschniętej szkockiej.

Mama po kilku latach chudych wreszcie rozhulała gabinet i zdarzały się dni, kiedy zasuwała po dwanaście godzin dziennie. Chętnie opowiada o pacjentach. Przyłaził do niej na przykład stary, obłąkany malarz, który twierdził, że niebawem bogowie powrócą na Ziemię: hinduscy, chińscy, ci od Azteków i Apaczów. Malował pstrokate obrazy z Wisznu i Zeusem, które wręczał matce, miał bowiem krucho z forsą. W końcu namalował jej portret jako Heleny trojańskiej na tle płonącej Troi. Mamie niezbyt podobał się ten koncept, ale facet był całkiem w porządku. Poza tym przypominał jej Zorro.

Zachowała kontakt z tą koleżanką ze studiów. Dziewczyna ciągle wierzyła w lepsze jutro, dbała jednak o dobrą codzienność. Mama zostawała u niej czasem na weekend w Baltimore, gdzie grały w kręgle i objadały się chińszczyzną. Słucham też o parze staruszków, którzy kojarzyli się jej z dziadkami. Mieszkali nieopodal i traktowali ją jak córkę. W końcu jednak przenieśli się na Florydę. Mama chodziła na grille i przyjęcia, już bez ojca,

a jak nudzili się jej ludzie, jechała sama do Nowego Jorku czy nawet pod Niagarę.

Czytała mnóstwo książek, odwiedzała kina samochodowe.

Mówi, że chciała innego życia, ale tamto, które przypadło jej w udziale, uznaje za udane.

Jedunowa spotkali tylko raz, na jakimś przyjęciu.

Stary uwielbiał balangi. Widział w nich szansę na zbudowanie sieci kontaktów i utrzymywał, że ofiarował matce światowy los w stolicy imperium.

Ten wieczór zapamiętała dobrze, bo w Waszyngtonie trwały protesty antywojenne. Studenci nieśli transparenty z nazwami uczelni, grali na fletach i palili powołania do wojska. Policja pruła do nich z armatek wodnych, pałki szły w ruch, gaz gryzł w oczy, a mama, bezpieczna w aucie, pomyślała, że jutro znów będzie miała kupę roboty.

Na zabawie stary budował wizerunek barwnego dziwoląga, jednego z tych podpitych wesołków, co strzelają anegdotami. Mówił o carskich pałacach przerobionych na sklepy mięsne i kolejkach przed nimi, w których stało się po trzydzieści godzin na zimie z termosem i salcesonem, i o Moskwie, gdzie między wieżowcami na miarę Nowego Jorku tkwią domki z bali niebieskich jak kobalt.

Zmyślił jakiegoś generała, co trzymał w domu tygrysa syberyjskiego. Z kotem było sto pociech, dopóki nie uciekł.

Na koniec zachęcił do toastów ze szklanek, cytując przy tym po rosyjsku Puszkina i Turgieniewa. Amerykanie gówno rozumieli, ale słuchali dla samej pijackiej melodii, aż nagle ktoś ją podchwycił, dokończył i uniósł kieliszek.

Był to, jakżeby inaczej, Jedunow.

Stał wbity w czarny smoking, z brunetką ostrzyżoną na pazia u boku i lewą ręką schowaną za plecami, jakby ściskał sztylet.

Nawet nie mrugnął, mój stary zresztą też, tylko matkę przeszły ciarki.

Wokół stało pełno ludzi, więc rozmawiali, jakby widzieli się po raz pierwszy, niejaki Stan Barski, emigrant z ZSRR, i attaché kulturalny o przybranym nazwisku. Wznieśli nawet toast, a mama czekała, aż to wreszcie się skończy, i zezowała na tę wysoką brunetkę. Sprawdzała, czy gruby makijaż skrywa podbite oczy.

Panowie się pożegnali, Jedunow ucałował rękę mojej mamy. Miał twarz jak portret pamięciowy.

– Wyglądasz jeszcze piękniej niż w Gdyni – powiedział. – Wszystko, co dobre, szybko mija. Pamiętaj o tym. Do zobaczenia.

Matka pociągnęła ojca do wyjścia.

Po drodze zapytała, co powinni z tym fantem zrobić, i zaproponowała nawet wyjazd gdzieś dalej, może do Kalifornii. Stary, zły, że przedwcześnie wyjechali z balangi, odparł, że raz już ograł Jedunowa i zrobi to ponownie, w końcu szykuje coś wspaniałego. Zaciśnięte pięści zdradzały strach.

– Nie był to szczególnie szczęśliwy dzień – wspomina mama. – W końcu uciekliśmy za Atlantyk, a on i tak nas znalazł. Traktował sprawę osobiście. Wiadomo, w Stanach nie mógł nas zabić tak po prostu, jak w Polsce. Ale bałam się, żeby Kola nie narobił jakichś głupot. W sumie to byłam wściekła. Wszystko przez to, że ci dwaj idioci walczyli na harpuny. Kola miał bliznę na gębie, Jedunow na dumie, ja mogłam tylko czekać, aż poleci krew.

O darmowym posiłku

Co ja zrobiłem? Co teraz mam zrobić?

Zamieszczenie ogłoszenia o ojcu i Amerykańcu początkowo mało daje, to znaczy zgłaszają się pary, co chcą nażreć się za frajer. Przynoszą informacje z internetu, spuszczam ich na drzewo, odchodzą obrażeni.

W mejlach znajduję linki do stron ufologicznych i skany samizdatów sprzed pół wieku, poświęconych niezidentyfikowanym obiektom latającym. Facet, co je podesłał, ma gdzieś darmowe żarcie, zaprasza do grupy na Facebooku i zaklina, żebym uważał na siebie.

Niedługo później jakaś obłąkana baba zalewa mnie informacjami o hitlerowskich eksperymentach na Babich Dołach i górze Świętego Mikołaja, skrywającej podobno piramidę powstałą w czasach Atlantydy, ze Świętym Graalem i Arką Przymierza, która tak naprawdę jest reaktorem atomowym. Pani zapewnia, że pozostaje w kontakcie z mieszkańcami tego kontynentu. Żyją w okolicach Syriusza, ale szykują się do powrotu celem ratowania ludzkości, co przecież kosztuje, stąd numer konta i prośba o datek.

Odpowiadam, że dla ludzkości za późno na jakikolwiek ratunek, i korespondencja się kończy.

Przysyłają też zdjęcia latających spodków z Brazylii i informacje o lądowaniu kosmitów w Emilcinie.

Do Fernanda wpada dwóch facecików. Ewidentnie wczorajsi, dopytują o mnie. Jeden trzyma teczkę, drugi wygląda na steranego życiem menedżera zespołów punkowych, w każdym razie zasypują mnie stosem informacji o rozbudowie basenu jachtowego w latach siedemdziesiątych i innych pierdołach, są bardzo serdeczni, a jeden twierdzi, że jego dziadek słyszał o moim ojcu i bał się go bardziej niż samego Lucyfera, nic więcej, niestety, nie wie.

Tę informację uznaję za wartą dwóch hamburgerów z piwem pszenicznym. Chłopaki wsuwają, ja wracam na zaplecze, robota aż furczy. Uwijam się w gorącu, a koło siedemnastej, kiedy Kuba ledwo wyrabia z donoszeniem zamówień, dopada mnie bezsenna noc i myślę sobie, że Klara jak zwykle ma rację, muszę jebnąć tym wszystkim i zadbać o siebie.

Zrzuciłbym noże, szczypce i blender, zasnął na blacie jak rycerz.

Na razie skwierczą steki, żeberka, burgery.

Ledwo oddycham, tak parno, kręci mi się w głowie, a do kuchni wpada Joasia i mówi, że jakiś facet mnie szuka i ani myśli pójść.

Wychodzę. Gość siedzi w skórzanej kurtce i wojskowych butach. Twarz już trochę wisi, siwe włosy ma ostrzyżone przy samej skórze. Staję nad nim i pytam w czym rzecz.

Prosi o stek z polędwicy, medium rare, do tego sałatka i szklanka wody niegazowanej.

Nie jestem kelnerem. Głos z wyraźnym rosyjskim akcentem brzmi jednostajnie jak stukot pociągu albo kroki kata. Słyszę, że chce mi pomóc, bo czytał ogłoszenie na profilu Fernanda, targuję się trochę, proszę o informacje, on odmawia, bo najpierw chce zjeść.

Ustępuję, nie wiem dlaczego.

Boję się tego człowieka i chcę, żeby sobie poszedł.

Kuba serwuje mu stek. Zerkam z kuchni. Facet rozłożył sobie serwetę na kolanach, kroi drobne kęsy i długo żuje, mrużąc przy tym lodowate oczy. Za każdym razem, gdy popija wodę, obciera brzeg szklanki serwetką.

Kończy, prostuje się, czeka.

Podchodzę znowu. Chłop nawet wzroku nie podniesie, wyjmuje z wewnętrznej kieszeni pendrive, popycha go w moim kierunku i wychodzi z restauracji.

W knajpie za dużo ludzi, nie sprawdzam zawartości, miałem pisanie, myślałem o mamie, o ustach raka wypluwających kłamstwa, więc odpalam

pendrive dopiero teraz, w domu, nad ranem. Mam tłuste dłonie. Udusiłbym się nimi. Powinienem zabrać rodzinę i spieprzać, choćby do Ameryki.

Na pendrivie są zdjęcia Olafa zrobione z ukrycia pod szkołą i w drodze pod nasz dom.

NOC
ÓSMA
1973

czwarta

środa

października

2017

O mnie (2)

Hej, Borsuku, to znowu ja, Klara. Tak, wiem, pisałam tu wczoraj, ale nie znalazłeś dziś czasu, żeby porozmawiać.

Możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Dotychczas wspólnie rozwiązywaliśmy każdy problem i życie działało. Było to możliwe dzięki rozmowie. Przypomnij sobie, co się działo, kiedy ten pijak wdarł się na kuchnię i dałeś mu w zęby. Albo kiedy ta kelnerka nas okradała, kiedy czynsz nam nagle podnieśli, kiedy pękł baniak frytury i było jak na lodowisku, kiedy przyszło to potworne wyrównanie za prąd albo kiedy Olaf dostał zapalenia ucha. Poradziliśmy sobie, ponieważ byliśmy razem. Choroba Heleny i jej historia dotyczy nas wszystkich.

Piszesz o zdjęciach naszego syna, które ktoś wcisnął Ci na pendrivie. Gdzie one są? Gdzie jest ten pendrive, Borsuku?

Pytałam Kubę, stwierdził, że żadnego starszego Rosjanina nie pamięta, choć może się mylić. Do Fernanda zwaliła się masa ludzi przez to idiotyczne ogłoszenie, które zamieściłeś. Przychodzili ze swoimi historiami, domagali się darmowych posiłków, Kuba sam oceniał, komu je dać, a komu nie. Ty siedziałeś na kuchni, podczas gdy on miał do wiwatu i tak, mówił mi, że wyszedłeś parę razy na salę i z kimś rozmawiałeś. Kto to był? Jak wyglądał? Tego już nie powiedział, bo starał się Ciebie odciążyć i pracował, ile mógł.

Kuba zobaczył coś innego, o czym powiedział mi ze wstydem. Wczoraj wieczorem wydałeś ostatnie zamówienia, ale nie zakończyłeś pracy z mięsem. Zawczasu wyjąłeś porcje z mrozu, oczyściłeś i zacząłeś je piec, na wszystkich palnikach, jakbyśmy mieli gościć drużynę piłkarską. Miotałeś się w tej kuchni jak wariat i Kuba siłą odciągnął cię od tych steków. Oprzytomniałeś dopiero na podwórku i ponoć powiedziałeś, że pomyliłeś się w rachubie, a mięso przyda się na jutro. Nie przyda się i doskonale o tym wiesz.

Codziennie budzę się o czwartej, owładnięta lękiem. Widzę światło spod kuchennych drzwi, papierosy śmierdzą, słyszę, jak kaszlesz i stukasz w komputer. Boję się tam do Ciebie wejść. Jesteś mi najbliższym człowiekiem. Pomyślałam dziś rano, że wszyscy poza mną wylądowali w jakiejś iluzji, w potwornym gabinecie luster: Helena, Ty, nasz syn.

Wróć do mnie, Borsuku, bo nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.
Bardzo Cię kocham.

Klara

O kaplicy

Już wszystko wiem. Mama skończyła swoją historię i zgodnie z obietnicą podda się operacji, termin wyznaczono na jutro.

Jestem skołowany i szczęśliwy.

Spiszę jej opowieść najszybciej, jak umiem, pewno jednej nocy nie starczy, zresztą Klara, kochanie moje, masz trochę racji, okropnie huczy mi w głowie.

Muszę to w sobie poukładać. Naprawdę nie wiem. Tyle się zdarzyło, ale najważniejsza ta operacja, mama będzie zdrowa, koszmar dobiegnie końca i naprawdę nie trzeba się mną martwić, teraz już nie.

Reaguję racjonalnie, trudno to zrozumieć?

Moja matka ciężko zachorowała, więc się denerwuję, smucę i próbuję odreagować stres. Nie piję. Nie walczę w klatce. Skończę pisanie za dzień, dwa i będziemy zdrowi.

Dziś rano leje, więc mama proponuje wizytę w kaplicy szpitalnej. Inmedio już jej się nie podoba, za dużo ludzi, obiecuje, że wyjawi jakieś sekrety.

– Zresztą w tej kaplicy jest przepięknie, mówię ci. Tak pusto! Gdyby przyszedł Bóg, toby wszystko zepsuł.

Wewnątrz nikogo. Na środku stoi ołtarz przykryty obrusem i wielki krzyż otoczony przez kuliste lampy. Chrystusa pozłaca punktowe światło. Naprzeciw w półkolu stoi kilkanaście drewnianych ławek, ale mama drałuje na górę, siada pod witrażem i wsuwa żelki.

Wygląda młodo, w tej pomarszczonej twarzy wciąż płoną oczy dziewczyny, dłonie ma powykrzywiane, lecz zwinne, bez przerwy rusza stopami, nosi skarpetki w sushi.

Opowiada o wypadkach w Wiedniu, o hotelu Bristol, stopniach kościoła wotywnego i strasznym dniu, kiedy zgasły światła, a ja chwytam każde słowo, zatrzymuję w sobie. Poniosę je do domu jak święty płomyk, żeby zapisać.

– Muszę ci coś dać, coś ważnego, potem, przed samą operacją – słyszę na samym początku. – Weźmiesz to i przechowasz dla mnie, kiedy pójdę

pod nóż.

O moim bracie

Nieszczęście zaczęło się od Jurija.

Mama przez lata zapomniała mnóstwo rzeczy, na przykład za dziadkami tęskniła mało lub wcale, zatarły się twarze koleżanek z uczelni w Gdańsku i palce Wacka grzebiące w cukiernicy, woń soli i kamfenolu, rozjebana szczęka Zorro. Dopiero teraz, na starość wszystko wraca.

O pierwszej żonie ojca i jego synu nie myślała w ogóle, bo i po co. Kiedyś sobie byli. Za wodą. W innym życiu. Nie wiedziała, jak wyglądają ani co robią, wyrzuciła ich z głowy, jak ja wyrzuciłbym raka.

W te dni, kiedy wszystko jebło, ojciec był akurat do rany przyłóż i fantazjował o wakacjach na okręcie wycieczkowym. Chodził trzeźwy, nie marudził po nocy i nawet wrócił do książek, co matka polubiła.

Czekała, jasne, aż kruchy spokój znów jebnie, najcichsze dni drżały.

Na razie jednak siadywali razem, fotel w fotel, pod wspólną lampką, w tle plumkał sobie jazz. Stary uśmiechał się nad tą książką, wbijał paznokieć w kartkę i czytał na głos fragmenty Puszkina.

W jeden taki wieczór zaczął się wiercić i w kółko patrzył na zegarek. Mama myślała, że woła go flaszka. Zawsze wołała, a on w końcu odpowiadał na to wołanie. Wreszcie pożegnał się i wyszedł z domu. Często tak robił, zwykle wracał po dwóch, trzech godzinach, tym razem wrócił w środku nocy, wciąż trzeźwy, i zwlókł matkę z łóżka.

Nie widziała go takim, nawet jak Blake zadzwonił z informacją o Jedunowie. Siedział na brzegu łóżka, gapił się przed siebie i obłapiał własną głowę, mnąc jakiś karteluszek.

Jurij się z nim skontaktował.

Mój brat dorósł, planował wyjazd do Wiednia. Zaproponował spotkanie.

O Płatonie (♈)

Nie chciała jechać do Wiednia, prosiła ojca, żeby zostali.

Telefon ciągle dzwonił, stary odbierał, bladł i dukał coś, zasłaniając usta. W domu w ogóle nie chciał wspominać o Juriju, mama naciskała, więc w końcu wziął ją na spacer. Szli przez Crofton poboczem, przez mokry śnieg. Tak bardzo bał się podsłuchów.

Na tym spacerze powiedział, że wielka rzecz, nad którą pracował, właśnie dobiega końca i jeszcze spotka się z synem. Mama zapytała, czy to na pewno on się odezwał, przecież Jedunow mógł kogoś podstawić, ojciec znał Jurija tylko jako małego chłopca.

Stary huknął, że poznałby własne dziecko, a matka utrudnia jak zawsze, tyle było z rozmowy.

Zaczęła go śledzić. Widziała, jak zajeżdża na pusty parking przy stacji benzynowej i przesiada się do SUV-a, gdzie czeka już jakaś babeczka. Myślała, że zaczną się całować czy coś, i już planowała, jak to zatłucze tych dwoje lornetką myśliwską. Ale zrezygnowany stary klapnął w tym SUV-ie coś podpisał i wziął kopertę pełną forsy, którą zaraz przeliczył.

Babeczka odjechała, a tato został, kompletnie osowiały, z papierosem, który nie chciał się dopalić.

Mama poszła po radę do Arnolda Blake’a, który, jak twierdzi, kochał się w niej przez te wszystkie lata.

Niestety, Blake gówno wiedział, bo trzymali go z dala od sprawy, pewno przez ten afekt. Rozłożył włochate dłonie, a matka zagroziła, że upije ojca, wsadzi do bagażnika i pojadą wpizdu, choćby i do Wenezueli. Chłop chyba się tym przejął i uspokoił ją, że cała operacja przebiegnie pod ochroną ludzi z Firmy o imionach Walter i Kate.

Kate, mówi mama, to ta dziewczyna, która dawała mu pieniądze.

Raz jeszcze poprosiła ojca, żeby zostali w Ameryce. Bała się i przypomniała, że dotąd robiła wszystko, co chciał. Uciekła za Atlantyk, została w głupim Marylandzie i siedziała z nim przez te wszystkie lata, które on radośnie przepił, więc ma prawo oczekiwać czegoś w zamian.

– Nie chcesz, to nie jedź – odparł ojciec. – Drugi raz próbujesz mnie oddzielić od dziecka.

Gdy to usłyszała, rzeczywiście planowała zostać, lecz w nocy przyszedł Płaton.

Tym razem miał na sobie marynarską koszulę, biały mundur, pasek ze złotą klamrą i czapkę, a palce lśniły mu od tłuszczu. Trącił śpiącego ojca w ramię. Nigdy wcześniej nie robił niczego takiego.

Stary zbudził się i w ogóle nie był zdziwiony. Płaton mu zasalutował, a minę miał, jakby przyniósł meldunek o klęsce.

Stary wstał, włożył wysokie buty i czarny mundur marynarki wojennej, ten, który utopili w Bałtyku. Mama nie mogła się ruszyć.

Na koniec ojciec sięgnął po czapkę i przypasał kaburę. Płaton otworzył mu drzwi. Zniknęli na dole. Mama gapiła się na pustą połowę łóżka, a gdy lęk puścił, rzuciła się do okna. Ojciec i Płaton dotarli już do drzew za domem.

Wybiegła w samej koszuli nocnej, boso, na grudniowy śnieg. Czekały tam łyse drzewa i przepalony grill koło jałowca, nic więcej.

Długo błądziła, nawołując ojca, aż w końcu się zjawił. Wyszedł z domu, zaspany i w pidżamie. Wziął ją w ramiona. Pytał, co się stało, czemu gania pod lasem, przecież rozkrwawiła sobie stopy. Ktoś ich prześladuje?

Odparła, że miała straszny sen.

Ojciec otarł jej policzki i oczy, miał ciepłe dłonie, pachniał papierosami bez filtra i mówił, że to bzdura, bo kocha ją najbardziej na świecie i nigdy nie porzuci.

O windzie

Do Wiednia lecieli ponad dziesięć godzin, bo wpadli w burzę śnieżną, a skrzydło trącił piorun. Przeszli przez płytę lotniska, oślepieni grudniowym słońcem. Stary czekał na bagaże i się wściekał, a mama pomyślała, że jakoś przetrwają te dni: Jurij przyjdzie i pójdzie, o czym mają niby gadać?

Wizyta w nowym mieście, zdaniem matki, przypomina otwarcie napchanej szafy, gdy bambetle spadają na łeb: dwugłowe orły strzegące bram, dziesiątki posągów cesarzy i generałów, marmurowe Diany i pękate armaty.

Pojechali taksówką. Przez mgłę przebijały się czerwone tramwaje ze śniegiem na dachach. Słucham o murach z dziurami po kulach i nieczynnych fontannach, o malowniczych upadkach łyżwiarzy i obleganych knajpach, a także o tym, że mama przykleiła nos do szyby i było jej dobrze.

Na moje nieszczęście twierdzi, że cały pobyt w Wiedniu pamięta, jakby zdarzył się wczoraj. Boję się monologu o sznyclach, dostaję taki o windzie.

Nocowali w hotelu Bristol. Przed wejściem czekał portier w meloniku, z miedzianego sufitu zwisały kryształowe żyrandole, boy zaniósł walizki do windy.

Tę wykonano z drewna, marmuru i sztucznego złota.

Stary zwalił się tam na skórzany fotel, mama stała, bo stał też windowy i boy z bagażami.

Ten windowy wcisnął trójkę i ruszyli, rozległ się dźwięk, jakby robot kaszlał. Winda wlokła się w jęku naprężonych lin i pomrukach stali, trzęsąc się na każdym piętrze. Dygotał też mój stary, stęskniony za minibarem.

W pokoju zastała szklaną ławę, sekretarzyk, toaletkę i kominek obłożony książkami po niemiecku. Na ścianach wisiały portrety arystokratów i scenki myśliwskie. Mieli też drugą łazienkę dla gości i widok na operę.

Mama twierdzi, że luksus mierzi jedynie głupców i skurwieli.

Wzięła długi prysznic, a kiedy wyszła otulona szlafrokiem, przy stoliku czekał ojciec, także odświeżony i odstrzelony. Chłodził się szampan, bliny z kawiorem leżały na srebrnym półmisku, ogień trzaskał w kominku i oczach starego. Odsunął jej krzesło i puścił Chopina.

Co stało się potem, wiem, lecz zmilczę.

Potrzebuję prawdy, ale bez zbędnych szczegółów.

Ojciec przysięgał, że nigdy nie zamieniłby mamy na inną kobietę, i dziękował za wspólne lata, gadał z pasją, jak to on, a w mojej głowie wybucha pamięć ciała Klary, tych lekkich piersi i pieprzyka na karku, równiny brzucha i pięknych łopatek, które zbiegają się ze sobą, gdy trzymam ją za włosy, do białych stóp, drobnych dłoni i różnych naszych tajemnic, których nikt nam nie weźmie. Powinienem teraz pójść do sypialni, potrzebujemy tego, masz rację, Klara ma zawsze rację, jest we mnie lęk i wstyd, nie potrafię tak pójść, czuję się niepełny i brudny, więc ładuję łeb pod kuchenny kran, polewam zimną wodą, otrzepuję się, wycieram dłonie i wracam do komputera.

Myślę o mamie w hotelu i o tym, co stało się potem.

Kiedy się zbudziła, dogasały już świece. Poszła do okna i popatrzyła na budynek opery. Zawiewało śniegiem, dzieci waliły śnieżkami w szyby samochodów.

Hotel kołysał ciepłem i ciszą.

Prawie uwierzyła, że nieszczęście przejdzie bokiem.

O ruchomych schodach

Na śniadaniu spotkali Waltera i Kate.

Walter należał do tych gości, co noszą okulary tylko po to, by przydać sobie powagi, w kółko oglądał własne paznokcie i odginał mały palec za każdym razem, gdy unosił filiżankę. Za to Kate mama wspomina jako krowę z obwisłym biustem i w szpilkach. Stary zerkał w jej kierunku, podawał ogień i prędko wystrzelał się z najlepszych żartów. Jedli omlet, gorzka, mocna kawa wykręcała im gęby.

Przy przeciwległej ścianie stał fortepian i stary, już po koniaku na rozruch, zapragnął zagrać na tym instrumencie, utrzymywał zresztą, że nie ma sobie równych.

Do tego dnia matka nie widziała go nawet z cymbałkami.

Kate opowiadała o zakupach, o butikach na Kohlmarkt, aż w końcu przełożyła popielniczkę na sąsiedni stół, bo ponoć w takich chowają podsłuchy.

Powiedziała, że stary ma spotkanie o siedemnastej na stopniach kościoła wotywnego. Ma tam iść sam. Mamie bardzo się to nie spodobało.

Walter wyjaśnił, że na razie żadnego Jurija tam nie będzie, tylko człowiek, który ustawia spotkanie, i trzeba mu zapłacić. Potem dał ojcu kopertę z dolarami. Mama usiłowała się dowiedzieć, co jest grane. Kim jest ten gość? Czemu Jurij od razu sam nie przyjdzie?

Kate obiecała, że wpadnie wieczorem do hotelu i wszystko wyjaśni.

To samotne spotkanie wisiało nad rodzicami przez cały dzień. Poszli zobaczyć obrazy Klimta, wypili kawę w gondoli karuzeli. Wlókł się czas. Tato niewiele mówił. Nad dachami kamienic sterczała wieża kościoła wotywnego.

Stary pożegnał się o czwartej, choć droga na miejsce zajmowała parę minut.

– Przechodzona miłość, synku, smakuje jak wystygły obiad jedzony z głodu – słyszę.

Pochodziła trochę po mieście. Świąteczne światła odbijały się w kałużach, a ludzie nieśli papierowe torby z prezentami. Kupiła jakiś pieprzony kostiumik i upadła na ruchomych schodach centrum handlowego.

Nie waliło jej serce, nie pociemniało w oczach, twierdzi, że po prostu przygniótł ją smutek.

Jestem innego zdania. Myślę o jej atakach w domu i na egzaminie, guz narodził się właśnie wtedy i czekał sobie w głowie niewinny jak kciuk dziecka, aż zbudził się po dekadach i rozdłubał mi mamę od środka.

Ludzie ją podnieśli.

Wróciły wspomnienia. Myślała o Juriju, co przyleciał aż ze Związku Radzieckiego, i o dziadkach nie tak daleko stąd, których nie mogła odwiedzić. W odbiciu na szybie wystawowej zobaczyła postarzałą wariatkę.

Świeżo kupiony kostium został na schodach, mama wróciła do hotelu i tam krążyła pomiędzy oknem, łóżkiem i toaletką. Mijały godziny. Nasłuchiwała stalowych kaszlnięć windy, próbowała nie patrzeć na zegarek, zegarek gapił się na nią i tak to szło.

W końcu ktoś zapukał. Niestety, była to Kate.

Oznajmiła, że ma ważną informację dla ojca, i zdziwiła się, że ten jeszcze nie wrócił. Czekały więc we dwie, matka i ta krowa o ustach jak sklejone glizdy.

Lubię, gdy mama mówi źle o innych. Czuję wtedy, jak wiele w niej życia.

Stary wrócił o północy, w aurze sukcesu i świeżo przetrawionego alkoholu. Porwał matkę w ramiona i zawołał, że wszystko poszło świetnie. Potem wypił kieliszek rumu, wyraził palącą potrzebę rozmowy z Kate w cztery oczy, zatrzasnął się z nią w łazience i odkręcił kurki.

Mama siedziała w pokoju sama, słuchała szumu wody, a czemu nie wbiła do tego klopa razem z drzwiami, doprawdy trudno stwierdzić. Wreszcie wyszli, Kate czmychnęła, a ojciec uklęknął i złożył głowę mamie na kolanach.

– Pojutrze widzę się z Jurijem – szepnął. – Za dwa dni wszystko się skończy.

O fortepianie

Mama wstała rano i napisała do dziadków. Stary w tym czasie chrapał, leżąc na wznak.

Twierdzi, że list zawierał emocjonalne pierdoły i dziś dałaby sobie z nim spokój. Jak kogoś już skrzywdzisz, przynajmniej nie przepraszaj.

– Napisałam, że przyjechałabym do Polski, gdyby się dało, tylko Koli zostawić nie mogłam, bo był jak stary basset, zagubiony i zły – rozczula się matka, żelka wypada jej z palców na podłogę kaplicy. – Żałowałam cierpienia, które na nich ściągnęłam, więc napisałam także o tym, a potem dodałam jeszcze, że mam dobre życie i piękny dom, żeby się nie martwili.

Wtedy w Wiedniu oddałabym wszystko, żeby ich zobaczyć. Zaadresowałam kopertę i zaraz dałam do wysłania, bo mogłam się rozmyślić.

Od rodziców nie da się uciec, mówi jeszcze. Łakniemy bezwarunkowej miłości znanej z dzieciństwa. Rodzice to nie ludzie, lecz totemy, słyszę, deszcz chłoszcze okno za witrażem, a ja wyobrażam sobie babcię i dziadka, wystruganych z bukowego drewna i obwieszonych sztucznymi kwiatami, jak tkwią pośrodku wiejskiego placu, między spożywczakiem i remizą, w krwawej ulewie.

Na śniadaniu Kate spytała matkę, czy coś sobie kupiła. Walter dał ojcu kolejną kopertę z dolarami.

Rodzice poszli na miasto i trwonili szmal. Mama wspomina dorożki zaprzężone w białe konie, wiadukty nad dachami kamienic i absolutnie wkurwiające napięcie, które próbowali rozchodzić i zagadać. Jurij to, Jurij tamto, jakby ona sama gramoliła się po nieskończonych stopniach kościoła wotywnego.

Stary opowiadał, jak porywali Niemców zza linii frontu. Przekradali się nocą, wybierali jakiegoś gnojka, ciągnęli do siebie, posrany gówniarz wyśpiewywał wszystko, a potem szedł pod mur.

Kumple ginęli gęsto, przestał rozróżniać żywych i umarłych, w końcu sam uznał się za trupa.

– Przy tobie wstałem z martwych – obwieścił.

Nie mam pojęcia, co matka miała zrobić z taką nowiną. Pociągnęła go dalej w miasto, dokąd oczy poniosą. Tak trafili na zniszczoną stację benzynową, gdzie zastał ich zmrok i stary się spruł, dosłownie drżał ze strachu, wlepiając oczy w nieznajome bramy.

– Tu może stać się coś złego – mruknął i zaczął się rozglądać za taksówką.

Wieczorem poszli na *Zemstę nietoperza*, zdaniem mamy w Rudym Kocie grali lepiej, a stary nie byłby sobą, gdyby odpuścił parę głębszych w restauracji hotelowej. Usiadła z nim. Żartował na akord i zerkał w stronę fortepianu.

Prócz nich w restauracji gościło stare małżeństwo, jacyś Szwedzi i pierdziel z wnuczką, a stary odsunął od siebie kieliszek, otarł usta i poszedł zagrać dla mamy Chopina.

Kiedy siadał przy fortepianie, bała się, że będą musieli płacić za zniszczony instrument. Tato poprawił pod sobą stołek, zgarbił się i uderzył w klawisze na próbę.

Głos mamy spowalnia, staje się głębszy, jej dłoń zaciska się na moim przedramieniu.

– Przy pierwszych dźwiękach ludzie poodwracali głowy i tak już zostali. Tylko ta dziewczynka zaraz zaczęła tańczyć, bo po sali rozbiegły się melodie, jakby mój Kola, człowiek, którego kochałam pomimo zła i nudy, bez ostrzeżenia pchnął je w niebo tężejące od burzowych chmur. Gubiły się czasem te dźwięki, ginęły w basowych grzmotach i wychodziły z nich chwiejnie jak ja i mój jedyny. Te dźwięki wlewały mi się do brzucha niby płynne złoto, a ciężkie krople roztopionego serca ciekły mi po żebrach. Tak czułam, naprawdę. Zobaczyłam nasze dobre i złe chwile w jakiejś mozaice, która nagle nabrała sensu, a Kolę, którego znałam od piętnastu lat, z którym kochałam się w pełnym słońcu na tarasie pod Murzynem i którego przez lata staczałam z zaszczanego łóżka, tego właśnie mojego męża zobaczyłam całkiem na nowo. Pieścił klawisze i podskakiwał na stołku, jakby miał się unieść w powietrze razem z instrumentem, z którego krzesał cały smutek wypalonej miłości. Niech leci do nieba, myślałam, tam czekają. Może dla takich jak on nie ma miejsca na ziemi? Może dla nas też nigdy nie było?

Ta dziewczynka, co tańczyła, wyjęła kwiaty z wazonu i dała je ojcu.

Jestem z tej nocy. Wyskoczyłem z fortepianu.

O elektryczności

Stary umówił się na piętnastą.

Ranek przesiedział na brzegu łóżka i pił musujące wino z minibarku. Mama objęła go. Wzdrygnął się, jakby zrzucał skórę albo niechciane skrzydła.

Do pokoju zamówili omlet z owocami i wodę z limonką. Stary zaraz ją wypił. Posiłkiem wzgardził.

Wziął długi prysznic, nabrał mydło na pędzel z borsuka, ochlapał mordę od szyi aż po oczy, poczekał parę minut, aż włosy zmiękną, i zdjął starannie mydliny długimi ruchami brzytwy.

W tym czasie zrobiłbym obiad z dwóch dań, deser i drinka, dziś rano ogolę się błyskawicznie maszynką jednorazową, jednocześnie goniąc Olafa, żeby umył zęby.

Tatko w szlafroku wyglądał staro, opadło mu podgardle, skóra wisiała na gładkich policzkach. Snuł wieczorne plany. Mieli iść na *Don Kichota*, taki

balet w Teatrze Zamkowym i mama zapytała nawet, gdzie tu sens, skoro nie wiadomo, jak przebiegnie spotkanie z Jurijem.

Stary poprosił, żeby się nie martwiła, dzień szybko jej zleci, wieczorem wynudzą się we dwoje na tym *Don Kichocie*. Potem zapisał jej numery do Waltera i Kate i poprosił, żeby nie wydzwaniała bez potrzeby.

Mama prasowała mu koszulę, a on przełączał stacje radiowe, próbował czytać, gapił się w okno i czekał, aż młodzi, co robili jaskółki na chodnikach, się wypierdolą. Wreszcie nakręcił zegarek i go założył. Miał piękny, złoty, od Tiffany'ego, mama dała mu go na czterdzieste czwarte urodziny.

Zabrał okulary do czytania, papierośnicę, leki na nadciśnienie i przesypał parę tabletek valium do pudełeczka.

Nałożył płaszcz. Pod ścianą karnie czekały błyszczące buty. Skrzywił się, jakby zakłuło go serce. Pogłaskał mamę kciukiem po twarzy, a mama polizała ten kciuk.

Przez okno widziała, jak tatko przystanął pod hotelem, próbował zapalić, ale wiatr ciągle strącał płomień z zapalniczki. Ojciec poddał się i zniknął za rogiem.

Matka słuchała radia, z którego nie rozumiała ani słowa, przeglądała katalogi mody i nauczyła się na pamięć numerów do Waltera i Kate. Myślała o ojcu. Doszedł do kościoła? Jurij się zjawił? Nic im nie jest?

O piątej ojca wciąż nie było. Wystroiła się na ten balet i zeszła do baru.

Siedziała sama i nawet dała się podrywać barmanowi, bo to pozwoliło jej przez moment nie myśleć o starym. Barman prawił jej komplementy, gadali o pierdołach, aż zgasło światło.

Było siedemnaście po piątej, podkreśla mama, i powtarza: siedemnaście po piątej.

Wysiadły żarówki w żyrandolach i lampy za barem, a także ozdoby świąteczne na gmachu opery. Ktoś uwięziony w windzie niemiłosiernie się tłukł. Stanęły tramwaje, kierowcy trąbili i wysiadali z samochodów, światła skrzyżowania mrugały na żółto.

Barman bezskutecznie mordował się z nieczynnym telefonem, wreszcie pobiegł uspokoić człowieka w windzie. Portierzy mu sekundowali, bez skutku. Wrócił z informacją, że prądu nie ma nawet w Marriotcie, parę przecznic dalej. Jak nic wysiadło zasilanie w całej dzielnicy.

Po półgodzinie prąd wrócił. Mama poszła na *Don Kichota*.

O oczekiwaniu

Mama wygrzebuje paczkę cienkich mentolowych marlboro, bije nią o kolano jak talią kart, w rytm własnych słów, deszcz przechodzi w mżawkę, na szybach za krzyżem marszczy się woda.

Ojciec nie przyszedł pod Pałac Zamkowy.

Stała oparta o filar. Latarnie uliczne przypominały więdnące kwiaty. Wykręcała szyję, bo tato mógł wysiąść z tramwaju albo z taksówki, mógł podrzucić go Walter, istniała też możliwość, że nadpłynie w towarzystwie potomka, obaj urżnięci, a głupi, przegrany tatko puści młodego przodem i powie: oto mój wspaniały syn, oto Jurij.

Czemu nie ja, czemu nie myślał o mnie, nie szukał, dlaczego nigdy nie zadzwonił, nie przyszedł, nie powiedział cześć Dustin, jak się masz, synu, jestem z ciebie dumny, synu, masz dobrą żonę, dobrego syna i dobrą restaurację, więc sam pewno jesteś choć trochę dobry, a więc mniej ułomny i nie myśl o sobie źle, nie powinieneś myśleć o sobie źle. Tak jednak nie powiedział, nie przyleciał, nie przyszedł, a to dlatego że pewno umarł, rodzice umierają, w pewnym momencie nie mamy już rodziców, co nie powinno stanowić przeszkody, tato, przyjdź do mnie, Płaton przecież przyszedł do mamy.

Pałac Zamkowy miał drzwi na każdym skrzydle, obwarowane przez czarne kraty, obiegła je wszystkie, mijając płaskorzeźby złośliwych aniołów, parował na niej płaszcz i kostium. Ojca nie było na zewnątrz ani wewnątrz, gdzie wszystko kapało od złota, a w wielkich lustrach straszyła ona sama, z mokrym makijażem i rozpieprzoną fryzurą. W końcu pojechała taksówką pod kościół wotywny.

Na zewnątrz kościoła nie zastała nikogo, obcasy poniosły ją aż pod ołtarz. Pytała o tatę, rozrywała dłonie zakleszczone w modlitwie, w końcu poszła do pobliskiego parku. Drzemał tam dziad otulony w koce, wspomina i zaczyna ubijać szluga o kolano owinięte pidżamą i szlafrokiem.

Poniosło ją do knajpy, gdzie poprzedniego dnia siedzieli z ojcem i wrzucali szylingi do szafy grającej. W hotelu znajomy barman zapytał, jak pomóc. Zawróciła pod Pałac. Wołała starego jak psa: Kola, Kola, Kola.

W teatralnym lobby znalazła sobie czerwone krzesełko i czekała, aż przedstawienie się skończy, a sama była duchem: niewidzialną, opuszczoną, przerażoną dziewczynką. Widzowie opuścili salę, ona weszła do środka. Na scenie rozbierali wielki wiatrak z dykty, co słusznie mamie skojarzyło się z bezsensem wszystkiego.

Stała tam, aż ktoś ją wyrzucił.

Próbuje żartować, wsadza zimnego papierosa w usta, zastanawiam się, czy zapali w tej kaplicy.

Wróciła do hotelu w niedorzecznej nadziei, że stary przyszedł, i wydzwaniała do Waltera i Kate. Nie odbierali. Nie wiedziała, gdzie mieszkają, gdzie są. Spotykali się tylko na śniadaniach.

Czekała w mroku. Koło północy zniknęły tramwaje, ucichły głosy hotelowych gości.

– Najgorsza była ta pieprzona winda – słyszę.

Sunęła powoli w górę lub w dół, kaszląc przy każdym mijanym piętrze. Matka czekała jak ze spluwą przy skroni. Zatrzyma się na trzecim czy nie zatrzyma?

Jeśli winda stawała, kaszlnięciu towarzyszył metaliczny klekot i szmer otwieranych drzwi, po czym rozlegały się kroki. Ojca czy nie ojca? Zawsze kogoś innego.

Koło trzeciej nad ranem winda zamilkła, wznowiła ruch o piątej, zaczęły kursować taksówki na lotnisko, goście tarabanili się z pokojów, popychając zaspane bachory. Winda odbijała się od pięter, ciężka aż strach.

Mówiła do matki w zgrzytach i kaszlnięciach.

– Odpowiadałam jej. Jaja sobie ze mnie robisz, windo? Po co tak jeździsz z tymi ludźmi, windo? Na co komu oni? Kolę mi wzięłaś, windo, a jeśli tak, to dokąd? Mlaszcze w tobie stal, dlaczego? Mścisz się na mnie czy jak? Zamknij się, windo. Zerwij się z liny. Weź się rozpieprz choćby z tymi frajerami w środku. Czemu robisz mi to, windo? – relacjonuje mama teatralnym głosem, wstydzi się swojej rozpaczy i obłędu, a jednak gada o nim, bo musi. Tylko czy ona? – myślę, uderzony wizją spotkania raka oraz windy, ich pogawędki przez grubą ścianę hotelu Bristol.

Mama oznajmia, że dosyć tego, przestało padać, opuszczamy kaplicę. W samą porę: zaraz zjawią się tutaj Klara oraz Olaf, który chce uściskać babcię przed operacją.

Na zewnątrz matka natychmiast zapala papierosa i wciąga dym, w tej zachłanności przypomina topielca, co w ostatniej chwili dobił do

powierzchni. Spostrzega, że się na nią gapię, i kolejne machy zbiera delikatnie, niemal pieszcząc się z filtrem. Udaje, że się nie zaciąga.

– Ja tylko sobie pykam – tłumaczy. – Dla smaku, dla rozluźnienia.

Śmiałbym się, ale cały tężeję. Przed nami rysuje się parterowy budynek archiwum, gdzie siadamy w cieplejsze dni, dalej oddział przychodni internistycznej, parking, las, za który zakręca droga, i właśnie tam, między drzewa, wpada spłoszony człowiek w skórzanej kurtce, na dziewięćdziesiąt procent ten sam, co przyszedł do Fernanda.

O Lancelotce

Poleciałbym za chłopem, ale z ubera, od strony ulicy Powstania Styczniowego, wysiadają Klara z Olafem, on natychmiast biegnie do babci, Klara niesie siatki zawieszone na nadgarstkach, plecaczek i wielkie pudło owinięte w czarny worek na śmieci. Pudło jest lekkie i żona trzyma je w dwóch rękach przed sobą, jak żywa reklama firmy przeprowadzkowej.

Odrywam się od matki, zerkam jeszcze w stronę drzew, przez głowę śmiga mi coś na kształt cienia planu, jak dojadę typa i poskaczę mu po gardle. Mijam rozpędzonego Olafa i odbieram bagaże od Klary, wyjąwszy to przedziwne pudło. Olaf dopada mojej mamy, wyhamowuje, sprzedaje buziaka, staje osowiały – babcia słaba, chora.

Klara obejmuje matkę, aż ta zaczyna przebierać nogami. Cała nasza rodzina instaluje się w pokoju na oddziale onkologicznym. Mama siada na brzegu łóżka, rozmawia z Klarą, Olafowi płoną uszy, coś tam naszykował.

Kobiety, które kocham, wymieniają ze sobą uprzejmości, przy czym matka dosłownie tryska humorem, śmieje się z lekarzy, jej zdaniem cały ten szpital to cyrk chorobliwie opętanych zdrowiem. Wiem, że robi dobrą minę do złej gry.

Klara sugeruje, że z chęcią mnie odciąży, poprzychodzi trochę, pomoże, posłucha. Matka marszczy drapieżnie nos.

– No co ty, albo mi to wykroją, albo się nie uda, tak czy siak, będzie po kłopocie.

Jakimś cudem nikt się nie śmieje. Olaf rozpoczyna budowę jakiejś instalacji. Zabiera nam krzesła, ustawia pół metra od siebie i kładzie na nich wielkie pudło pomalowane we wszystkie możliwe kolory. Ściana od frontu

jest wycięta, powyżej koślawe litery układają się w słowo TEATR. Trudno, co robić. Siadamy we troje na łóżku i podziwiamy przedstawienie.

Główne role grają figurki z Happy Meal, ludziki lego, smok z bajki o wikingach oraz tekturowa mama na długim patyku. Nawet podobna, tyle że w rycerskiej zbroi i z mieczem z wykałaczki. Zdolnego mam syna.

W dnie pudła jest druga dziura, Olaf kuca pod nią i manipuluje figurkami.

Fabuła jest dramatycznie zawiła, zresztą sam Olaf się w niej gubi, robi pauzy, doszywa wątki na bieżąco, lecz kwestie wszystkich postaci wygłasza na głosy i z ogromnym entuzjazmem. Mniej więcej chodzi o to, że moja rycerska matka wyrusza na bój ze smokiem.

Smok nazywa się Guzek i zjada ludziom głowy. Po licznych bojach tekturowa matka przebija szyję poczwary i kłania się publiczności. Olaf spod pudła grzmi, że babcia Lancelotka żyła szczęśliwie, a przede wszystkim długo, długo, długo.

Bijemy brawo jak pojebani. Kobieta z łóżka obok krzywi się, bo jest sama i smutna, mamie lecą łzy, a Olaf przypada do niej, wtula twarz w szlafrok i prosi, żeby nigdy nie umierała.

– Nigdy nie umrę, bo nikt nigdy nie umrze – odpowiada moja mama, która tłumaczyła mi kiedyś, że pod żadnym pozorem nie wolno okłamywać dziecka. – My po prostu wracamy do gwiazd, skąd przyszliśmy. Z nich właśnie, z gwiezdnych atomów jesteśmy zrobieni i gwiazdy nas czasem wołają, trzeba do nich iść, kiedy przyjdzie pora. To jeszcze nie teraz, jeszcze długo nie – dodaje, osiemdziesięcioletnia, z nowotworem w głowie. – Ale kiedyś tam pofrunę. Wystarczy, że podniesiesz oczy, zobaczysz mnie, ja tam będę. Ktoś kiedyś nazywał mnie nawet Gwiazdką, więc musi być to prawda.

Olaf, ugodzony tą metafizyczną strzałą, pyta, jak rozpozna gwiazdę, w którą zmieni się babcia.

– Będę we wszystkich po trochu. Jedna zgaśnie, druga się zapali. Takie właśnie są gwiazdy. Nigdy naprawdę nie umierają.

Po tej przemowie Olaf zaczyna beczeć, a i mnie łza się w oku kręci. Matka uspokaja go stówką, zawsze się o to wściekałem, Klara tym bardziej, bo gówniarz potem zachodzi do Żabki po v-dolce czy tam doładowanie do Steama. Teraz niepewnie wpycha banknot do kieszeni na brzuchu. Czas iść.

Zbieramy się, mama prosi, żebym jeszcze chwilę został, chce mi przekazać coś ważnego. Klara bierze kluczyki do forda, poczekają w samochodzie, tymczasem Olafa nie ma.

Zastaję go na korytarzu. Próbuje wręczyć stówkę przypadkowemu lekarzowi, żeby przyłożył się do operacji i babcia była już zdrowa.

O porządkach

Walter odebrał dopiero rano. Nie zdradził słowa o ojcu, odmówił spotkania na dole, obiecał, że przyjdzie, jak tylko będzie mógł.

Matka posprzątała pokój hotelowy, spakowała bagaże na wszelki wypadek, wzięła szybki prysznic i wskoczyła w czyste ciuchy. Na Waltera czekała umalowana, bo nie życzyła sobie, by ten muskularny głąb zastał ją w rozsypce.

Walter przyniósł dwie kawy i rogaliki z czekoladą. Zadał mnóstwo pytań i nie odpowiedział na żadne. Interesował się paszportem ojca i zagadywał o rzeczy osobiste: portfel, okulary, zegarek, chciał też wiedzieć, co mama robiła wczoraj i do kiedy zostają w hotelu. Do jutra. Mieli jechać w Alpy na narty.

– Aha – mruknął. – To pojedziecie.

Mama do dzisiaj nie wie: kłamał, żartował czy naprawdę w to wierzył.

Na koniec poprosił, by matka nie ruszała się z hotelu, i poszedł, wspaniały człowiek, nie ma co.

Czekała, wypatrywała ojca i liczyła tramwaje. Śniła się jej czarna warszawa krążąca po Wiedniu, a w środku stary oraz Płaton z biełomorem.

Walter wrócił wieczorem z plikiem papierów z ambasady, które przeczytał na głos. Kiedy urodził się ojciec? Gdzie mieszkali? Jaki zawód wykonywał? Matka odpowiadała, pęczniał w niej wkurw i w końcu huknęła, co tutaj się wyrabia, chłop przepadł kawał czasu temu, wszyscy na nią leją, nikt nic nie mówi.

– Spytałam go o Kate. Co z nią? Czemu jej tutaj nie ma? Może razem dali dyla? Stary już raz przecież zrobił coś takiego, mógł zrobić ponownie.

Walter na te słowa posmutniał, poprosił o cierpliwość i spokój, ona nie miała jednego ani drugiego, bo przypomniała sobie, że stary dostał czapę w Moskwie. Czy to możliwe, że porwali go Rosjanie?

– Możliwe – przyznał nieoceniony Walter – lecz mało prawdopodobne.

Mama chciała tylko jednego: żeby ojciec wrócił.

Wcześniej czasem fantazjowała, że znika, a ona zyskuje spokój. Teraz pragnęła, żeby wrócił, ten sam chłop, co kiedyś po pijaku próbował się

zastrzelić, matka wyrwała mu broń, a on popełzł na czworakach przez kuchnię, zbierając naboje wysypane z bębenka. Ten sam, który zatrzaskiwał się w łazience, tam pił, zasypiał i mama wyważała drzwi, bo myślała, że umarł, a zastawała go chrapiącego w wannie.

Płakała za ojcem, jakby nie liczyło się już, że skakał z pięściami na największych kelnerów, a jak coś nawywijał, siadał na kanapie jak nabzdyczona żaba, czekając, aż matka przejmie się jego wewnętrznym burczeniem.

Z ojca był histeryk, menda i chuj.

A jednak chciała, żeby wrócił, jakikolwiek, najgorszy on. Przynajmniej tej nocy, kiedy patrzyła na przechodniów i smarkała w firankę.

O ręce

Wzięła valium i poszła do łóżka. Cienie i światła na suficie układały się w fale, okręty, Indonezyjczyków.

Zbudziła się owładnięta poczuciem zbędności. Zeszła na dół, zjadła śniadanie, piła kawę i czekała, aż valium puści. Była wypoczęta i zrozpaczona.

Pokazuje mi kolejne zdjęcie ojca, tym razem wydobyte z portfela.

Osobliwe portfele matki składają się na suitę o szaleństwie i hojności, ma ich przynajmniej siedem, ten konkretny osiągnął grubość Biblii, trzyma w nim dowód osobisty, furę zdjęć, plik stuzłotówek, którym można zabić, i żadnych kart kredytowych.

Zdjęcie, które podsuwa mi pod nos, przedstawia tatę już pod pięćdziesiątkę, z falą przerzedzonych włosów zaczesaną na bok i wyblakłym spojrzeniem.

Jeśli ojciec żyje, ma ile? Dziewięćdziesiąt cztery, dziewięćdziesiąt pięć lat?

Mama ruszyła śladami taty raz jeszcze, na spokojnie. W głowie dudniły jej słowa szwedzkiego agenta sprzed lat: „Amerykanie was poświęcą”.

Z hotelu pod kościół wotywny szło się niespełna pół godziny. Po drodze zaglądała do knajp i restauracji, pokazywała tam zdjęcie, pytała, czy wpadł tuż wczoraj, wielki taki, Rosjanin, miś. Gdyby znała niemiecki, pewnie poszłoby jej lepiej.

Kamienice oślepiały bielą, królowie drżeli na cokołach. Stary był wszędzie, szedł za nią w wąskie gardła ulic, straszył w twarzach mijanych męż-

czyzn i ruchach kelnerów. Schwytany kątem oka znikał, gdy tylko mama odwracała głowę.

Od hotelu sunął za nią czarny samochód. Odbił w boczną ulicę gdzieś po dziesięciu minutach, zastąpiony przez typa w watowanej kurtce. Mama znikała w knajpach, a on czekał, udając, że czyta gazetę, normalnie jak na filmie z lat siedemdziesiątych.

Śmieje się, że chciała go zaprosić na kawę. Ruszyła w jego stronę, więc uciekł.

Kościół wotywny wyglądał jak jaszczur przysypany śniegiem. Wierni wiedzieli o ojcu tyle, ile poprzednio, więc mama zawróciła do parku, między psy. Przypomniał jej się Burbon.

Na ławce naprzeciw kościoła siedział ten sam dziad, który drzemał tu wczoraj. Wziął zdjęcie w paluchy, znalazł okulary bez uszka i patrzył całym sobą. Kiwnął siwym łbem, owszem, widział kogoś takiego.

Mama zasypała go pytaniami we wszystkich znanych sobie językach. Opisała ojca, tak dla pewności: siwiejący chłop w płaszczu z lamy, bardzo wysoki.

Dziadek burknął coś po niemiecku, pozbierał swój majdan i uciekł.

Choć nie znała języka, zrozumiała sens wypowiedzi. Gość, którego widział pod kościołem, był normalnego wzrostu. Ale miał chorą rękę.

O Kate

Mama wróciła do hotelu i zastanawiała się, co dalej. Czuła się bezsilna i przerażona. Jeśli starego porwały Ruskie, dlaczego nikt jej nic nie mówił?

Liczyła jeszcze, że trwają jakieś negocjacje i ktoś tam wycenia wartość taty. Szarpała się między lękiem i nadzieją.

Przetrząsnęła jeszcze raz bagaże ojca w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. Przekartkowała powieść, którą czytał, coś o facecie, co przyszedł z zimy, i podgrzewała nawet strony zapalniczką, szukając sekretnego pisma. Szpiedzy takie lubią.

Posiedziała chwilę z tą powieścią w rękach, wzięła ją i zbiegła do recepcji.

Nakłamała, trochę po angielsku, a trochę na migi, że nowy przyjaciel, taki Walter, zostawił tę książę i pewno teraz jej szuka. Odniosłaby, ale zapomniała numeru pokoju. Recepcjonistka zaoferowała pomoc i sama chciała

pójść z tą książką, na co mama udała głupią i dała do zrozumienia, że Walter chyba specjalnie zostawił tę durną powieść, no i śmiały się już obie, piękna mama i piękna recepcjonistka.

Walter mieszkał piętro wyżej i nieźle się zdziwił, gdy zastał matkę przed drzwiami. Zaplątał się we własny szlafrok i wpuścił ją do środka.

W pokoju chodził magnetofon szpulowy, na łóżku walały się jakieś dłutka, kable, imbusy, pudła z pokrętłami, sam Walter miał kawę na brodzie i wymachiwał kołonotatnikiem.

Mama nie przyznała się, że wie o Jedunowie, tylko urządziła awanturę. Gdzie ojciec? Czemu nikt jej nic nie mówi? Jakim cudem go zgubili, przecież to chłop na dwa metry, nie klucze do domu.

Bez przerwy dzwonił telefon. Walter nie odbierał i powtarzał, że po prostu próbują ją chronić. Ojca nie było ponoć w żadnym szpitalu, kostnicy ani na komendzie. W końcu Walter otarł mordę i wydukał, że kupili jej bilety, jutro mama wraca do domu.

Odpowiedziała, że nie ma mowy. Zostanie tutaj, dopóki stary nie wróci. Sama pójdzie na policję, albo i do sowieckiej ambasady. Zgłosi się do gazet. Wynajmie prywatnego detektywa. Zalepi całe miasto zdjęciami ojca, jeśli zajdzie potrzeba, prędzej popełni samobójstwo, niż wejdzie sama na pokład samolotu.

Zdaniem Waltera mówili właśnie o samobójstwie. Ona krzyczała, on próbował ją uspokoić. Rzucił na łóżko. Chwycił za nadgarstki. Prosił, aby go wysłuchała. Wreszcie wyszarpnął skądś zdjęcie zrobione polaroidem, podetknął je matce pod nos.

Była tam Kate, pod białym prześcieradłem, z dziurą w głowie.

– Ją już zabili. Chcesz być następna?

O nadziei

Na twarzy Kate zamarła wieczna nerwowość, oczy miała otwarte, jakby szykowała się do krzyku, w dziurze na czole zaległy nitki waty.

Matka nie dała się przestraszyć. Znajdzie ojca albo ją zastrzelą, tak myślała. Zabrała papeterię z recepcji i w pokoju napisała list do radzieckiej ambasady. Streściła, co się zdarzyło, od Amerykańca i ucieczki z Gdyni aż po katastrofalną operację w Wiedniu, z zaginionym ojcem i trupem agentki,

wspomniała, że pod kościołem wotywnym kręcił się Igor Iwanowicz Jedunow.

Zażądała spotkania z nim i zagroziła, że w razie odmowy pójdzie do radia, gazet i telewizji. Ludzie się dowiedzą, że kapitan sowieckiej marynarki wojennej przepadł bez śladu, a wszyscy mają to w dupie.

Tak, ten sam kapitan, który dostał wyrok śmierci w ZSRR, a tak w ogóle ma nową tożsamość. Bardzo sprytnie, mamo.

Jęczała winda, za ścianą goście kochali się, pili i gonili z dziećmi po wielkich pokojach, a matka na przemian czuła się bezsilna i wszechmocna.

W nocy przepisała list, tak by brzmiał rzeczowo i groźnie. Bała się, że wyjdzie na rozhisteryzowaną kretynkę. Moim zdaniem skreśliła sobie bilet do wariatkowa. Na szczęście nikt tego nie przeczytał.

Rano Walter, który wyglądał, jakby przez całą noc opędzał się od wilków, podsunął mamie bilet do Waszyngtonu. Samolot wylatywał po południu.

– Wracam z Kolą albo wcale, tak mu powiedziałam. I postraszyłam skandalem międzynarodowym.

Walter nawet nie podniósł oczu. Zrobisz, co zechcesz, tak powiedział.

Wróciła na górę i zrozumiała, czemu był taki spokojny. Zdemolowano pokój. Szuflady stały otworem. Zrolowano dywan. Zniknął list w dwóch wersjach, paszport, prawo jazdy, cały szmal i biżuteria, na wypadek gdyby chciała ją sprzedać. Zbiegła z powrotem do restauracji.

– Muszę cię chronić – powiedział Walter.

Mama zauważyła, że z Kate świetnie mu poszło. Złość nie przyniosła ulgi, mnie też nie przynosi, ja bym się dzielił złością, co mnie przepełnia, chcę pójść przez miasto, gdzie spotkam ciebie albo ciebie, obalę krótkim prostym, taką pięścią wystrzeloną ze skręcającego ciała, chwycę za gardło, z ust w usta pocieknie wrząca żółć, tak chcę zrobić, tak zrobię, skoro praca już nie pomaga i nawet w siebie spoglądam z lękiem, a przecież zawsze sobie ufałem. Próbuję tylko napisać, że doskonale rozumiem pustkę mojej mamy, kiedy pakowała te rzeczy, których jej nie zabrano, wylinkę po tacie: drugi garnitur, białe podkoszulki, pasek z miedzianą klamrą, grzebień z drewna sandałowego, ten pędzel z borsuka.

Walter wymeldował mamę i pomógł z bagażami. Poszła, bo bała się, że zginie, że zetrą ją jak błąd w nazwisku, nigdy nie było żadnej Heleny Barskiej, od dawna nie ma też Heleny Kreft. W hali odlotów odzyskała pasz-

port i biżuterię. Taśmociągami leciały walizki pełne świątecznych prezentów. W samolocie lał się alkohol, wszyscy palili. Miejsce obok ziało pustką.

W Stanach na lotnisku odebrał mamę wierny, zakochany Arnold Blake. Trzymał w ramionach dużo dłużej, niż musiał. Przysiągł, że razem odnajdą starego.

O wrzasku

Opowieść przecieka między palcami, na dłoni zostaje krzyk.

Wszyscy tutaj wrzeszczą.

Weźmy takiego Olafa, który jest dobrym i w sumie uczynnym dzieckiem, dopóki czegoś mu się nie zabierze albo nie zabroni. Zaczyna wtedy wyć, jakbym urąbał mu stopę. Wyganiam go do pokoju, tam się drzyj, baranie, ale on nie chce i staje w salonie, akurat jak próbujemy oglądać Netflixa, i wyje. Sztywnieje z rękami wzdłuż ciała, a palce rozczapierza tak, że przypominają dysze rakiety: odpali się i pierdolnie łbem w sufit, uniesiony rozpaczą, która jest bezgraniczna i wolna od zasłon, jak to u dzieci.

Matka wrzeszczała na ojca, to pewne jak las na nasze trumny.

Doskonale wiem, jak krzyczy, bo przecież na mnie się darła, kiedy, dajmy na to, przyniosłem do domu traszkę albo zostawiłem klucz w drzwiach. Zatrzymywała powietrze w płucach, przez co trochę przypominała żabę, a ja do dziś wyobrażam sobie króciutki lont, co zwęgla się przy jej częściach intymnych: głos matki grzmiał jak waląca się Hiroszima.

Tak właśnie pewnie darła się na ojca, jakby ten krzyk miał moc zmienienia duszy, huczała, trzęsła się i miotała przedmiotami, a stary siedział w tej swojej piwnicy, na stołku barowym, w liściach za domem, i cedził proste, okrutne słowa pod adresem mamy.

Dla odmiany Klara preferuje zupełnie inny styl wrzasku. On w niej gotuje się na podobieństwo bulionu pod pokrywką, pyrka, wyraża się najpierw w sekwencji krótkich szczeknięć zwiastujących nawałnicę. Potem dowiaduję się, jak bardzo jestem do niczego. Dom zrujnowany, Olaf zaniedbany, życie gówno warte, są podobno tacy ludzie, którzy także się bawią, nie tylko pracują.

Ja się srożę, mówię, że skoro naprawdę tak sądzi, to powinniśmy się rozstać, a Klara bierze głęboki oddech i stwierdza, że niepotrzebnie traktuję poważnie wszystkie jej słowa.

Wiem, że to czytasz, nie jestem głupi.

Chcę też, abyś pamiętała, że już dobijam do portu, opowieść dobiegnie końca i jestem cały dla was, matka wyzdrowieje, zabiję tego człowieka z Fernanda, nie martw się niczym.

Ja staram się nie krzyczeć, co czasem wychodzi.

Dawniej, gdy wracałem nocą ze skweru Kościuszki przez park, to darłem się na drzewa, pochylony, z dłoniami na udach, jakbym próbował wysrać ten gniew.

Zdarza mi się, że zostaję w Fernandzie dłużej, oczywiście nie ostatnio, Kuba i reszta popijają sobie, ja nie popijam, po prostu cieszę się ich obecnością. Nie jesteśmy przyjaciółmi, ale budujemy coś razem, w tym właśnie dostrzegam wartość wspólnoty. Czekam, aż skończą i wyjdą w noc, zamykam za nimi, gaszę światła i krzyczę na zlewy, szuflady z mrozem i piec konwekcyjny, i na swoje noże też.

Mógłbym któregoś dnia zawędrować nad pierdolony Bałtyk, na tę cholerną plażę, w miejsce, gdzie słabną światła kr aftowych piwiarni i nie mieszkają duchy żadnych matek, stanąłbym i darł się na czarną wodę, zresztą wszyscy powinniśmy pójść nad morze i tam krzyczeć, nie mam pojęcia, czemu jeszcze tego nie zrobiłem.

Wziąłbym wrzeszczącego Olafa i krzyczelibyśmy razem, wreszcie blisko, ojciec i syn.

O podarunku

Klara przeprasza lekarza i znika z Olafem, proszę o pięć minut, wracam do sali, gdzie leży matka. Na łóżku zastaję staruszkę.

Maski spadają na tę krótką chwilę. Jest blada, mrugają szalone oczy, drobne, żylaste dłonie szarpią prześcieradło. Obejmuję ją mocno. Krucha jak chrust, drży mi w ramionach. Chyba mówię, że wszystko będzie dobrze. Albo coś innego.

Prawda jest inna, jej jednak nie wypowiem.

Wiesz, mamo, nie wędrujemy do gwiazd.

Szlocha mi w bluzę, odsuwa się nagle, zawstydzona, widzę, że próbuje się uśmiechnąć, tylko nie potrafi. Więc gadam bądź co. Obiecuję, że będę przy operacji, poczekam na korytarzu, dopóki się nie wybudzi i tak dalej,

a mama kręci głową. Mam swoje życie, swoje sprawy, ich powinienem się trzymać, nie będę się ich trzymał, mówię, no i sobie milczymy.

Jest bezbronna, nie wiem, co z tym zrobić, dobrze, że ona wie.

Z szafki wyjmuje torebkę, a z niej brązową kopertę oklejoną taśmą tak, że ledwo widać papier. Badam palcami zawartość. Pojedyncza kartka, nic więcej. Mama prosi, żebym natychmiast ją schował i nie pokazywał nikomu. W innej sytuacji jej napuszona tajemniczość byłaby komiczna.

Prosi też, żebym na razie nie zaglądał do tej koperty.

– Strzeż jej, synku, jak zdrowia, jak źrenicy w oku.

Mogę ją otworzyć dopiero, jak mama umrze.

Nie dopuszczam takiej możliwości. Mama śmieje się z mojego uporu i dookreśla swój zamysł. Zaraz jak wrócę, schowam tę kopertę. Nie powiem o niej Klarze ani Olafowi.

Otworzę ją dopiero po jej śmierci, powtarza, i nie od razu, ale dopiero wtedy, kiedy podzieje się źle.

Pytam, co takiego właściwie miałoby się zdarzyć, w pamięci mam Rosjanina, co przyszedł do Fernanda, i własny post, który ściągnął ten kłopot. Dopytuję, proszę, żeby nie pogrywała ze mną w ten sposób. Jest stara i przerażona.

Mówi, że zawartość koperty uratuje mnie i moją rodzinę. W razie czego.

– No idź już, rodzina czeka. Bądźcie z Klarą dla siebie dobrzy.

Całuję mamę, zasuwam do auta z kopertą w wewnętrznej kieszeni kurtki i obiecuję sobie, że zajrzę do środka, gdy tylko zaśnie mój dom.

Wieczorem kładę się do łóżka, czekam, aż Klara zaśnie, wstaję i piszę.

Koperta leży na biurku do świtu. Nie umiem jej otworzyć.

NOC DZIEWIĄTA

1973–1975

czwarty

czwartek

października

2017

O mnie (3)

Cześć, Dustin.

Tak, wiem, że stan Heleny jest poważny, choć moim zdaniem Twoja matka dociągnie do setki.

Boję się Ciebie. Tego, co mówisz i jak się zachowujesz.

Oczekuję, że jutro, niezależnie od wyniku operacji, zgłosisz się do psychiatry. Niech schłodzi Cię lekami, zaproponuje jakąś ścieżkę ratunku, a Ty nią podążysz. Pomogę Ci. Jeśli we dwoje mamy pójść na terapię, niech tak będzie.

Do tego weźmiesz wolne od Fernanda. Kuba Cię zastąpi, na moją odpowiedzialność. Od jutra nie będziesz też jeździł do Heleny. Porozmawiam z nią. Zrozumie, bo na pewno widzi, co się z Tobą dzieje. Ma pieniądze na opiekę. A jakby co, zapłacimy z naszych.

Mówiąc w skrócie, odpuszczasz wszystko, idziesz do lekarza i robisz, co Ci zaleci. Gdy zaproponuje leczenie zamknięte, zgodzisz się na to.

Jeśli odmówisz, nie ręczę za siebie.

Często wspominasz, że przez całe życie kochałeś tylko dwie kobiety, Helenę i mnie.

Za chwilę możesz stracić jedną z nich.

Klara

O komputerze

Nie jestem szalony.

Zmęczony, niewyspany, nawet przerażony, ale myślę jasno i wiem, co robię, wiem też, że Klara przejmuje się szczerze.

Posłucham jej dla świętego spokoju. Mama się wybudzi, pójdę normalnie spać, a rano polecę do lekarza. Da mi jakieś durne leki, na wszelki wypadek. Zobaczy, że jestem zdrowy.

Swoją drogą, każdy wariat tak gada. Poczucie humoru nas nie ocali.

Słowa żony czytam rano, po przebudzeniu, to znaczy kładę się o świcie na jakieś dwie godziny, leżę skulony, trzymam się za brzuch i słucham, jak

wali mi serce. Wstaję i jest ten list, wrzucony do mojego pliku, tak abym zauważył.

Czasem trzeba ocalić rodzinę wbrew tej rodzinie.

Muszę zakodować ten plik.

Dzwonię do Kuby i mówię, że nie przyjdę dziś do Fernanda, żartuję nawet, że zeszłej nocy narobiłem mięsa na zapas, Kuba reaguje, jakby spodziewał się tej wiadomości i tego dowcipu.

Klara odbiera natychmiast. Przystaję na jej warunki, proszę, aby umówiła mnie z lekarzem, niech wybierze takiego, któremu ufa. Zgadzam się zresztą na wszystko. Nie zarwę już nocy. Nie będę pisał. Kocham Cię. Jej głos brzmi, jakby walczyła o oddech.

Za to mama odzyskała ducha i można pomyśleć, że szykuje się na łyżwy. Włożyła nową pidżamę, obcięła krótko paznokcie, lśnią umyte włosy. Za chwilę ogolą jej głowę.

Siedzi wyprostowana na brzegu łóżka, pachnie piżmem i papierosami. Mówi, że musi przekazać mi parę rzeczy.

Na początek otrzymuję kolejną kopertę, jedną z tych dwóch grubych i żółtych, które przyniosłem z willi. Niedługo ją otworzę, teraz nie mogę, poganiany przez matkę.

Wychodzimy na zewnątrz, żeby nie słyszała nas ta kobieta obok. Mama kroczy raźno otulona szlafrokiem, pada zimny deszcz.

Dostaję upoważnienia do kont w naszym banku, złotówkowego i walutowego, słucham też długiego monologu o skrytkach. Drzwi do sypialni w willi są rozwiercone. Zdejmę zaślepki i znajdę dolce wkręcone w długą rurę. Szuflada za płytką w łazience skrywa złoto i klejnoty. W szafie znajduje się wnęka, gdzie zmieści się dorosły człowiek. Schowam się tam w razie czego.

Co właściwie miałoby nastąpić?

Mówię mamie, że nie potrzebuję tych informacji, bo zabieg jest prosty, niedługo wróci do domu, do swoich zrolowanych dolców i precjozów nad sraczem.

W odpowiedzi przesyła mi spojrzenie, które znam aż za dobrze z dawnych lat – tak patrzy się na dziecko, które gada rozkoszne idiotyzmy.

Dobywa z siebie myśl, że też jest lekarką, więc czuje się w prawie, i przeklina wszystkich konowałów. Jej zdaniem są źli albo głupi, najczęściej jedno z drugim, w każdym razie gówno wiedzą. Jak lekarz wie, że nie wie, to dobrze o nim świadczy, dodaje mama. Prosi, żebym powtórzył

wszystko o tych skrytkach, i zasuwa do budynku szpitalnego na ostatnią konsultację przed zabiegiem.

Z braku lepszego pomysłu siadam w Inmedio, zamawiam poczwórne espresso i wlewam do jednego kubka.

Laptop zabrałem ze sobą, nie jestem głupi.

Odpuściłem Fernanda.

Mam cały dzień, żeby pisać.

O podziemiach

Do Stanów wróciła w połowie grudnia. Na Wigilię zapraszali ją Blake, ta wyszczekana koleżanka ze studiów i asystentka z gabinetu. Odmówiła wszystkim i święta spędziła z duchami ojca i Płatona.

Ludziom mówiła, że tato został w interesach, podróżuje, wróci.

Blake dzwonił codziennie. Często przyjeżdżał, strzepywał śnieg z butów, siadał i pierdolił, że cały Waszyngton nic tylko gania za tatą, już niebawem go odszukają. Mama wolałaby konkret, męża żywego albo w trumnie, domagała się też spotkania z kimś naprawdę ważnym.

Na te słowa Blake zwieszał głowę i obiecywał, że do spotkania dojdzie, tylko w swoim czasie, tak właśnie pracują.

Wyobrażała sobie Blake’a ogarniętego ogniem, jak podskakuje, piszczy i strząsa z siebie języki płomieni.

Pytała, czy takie zniknięcia zdarzały się w Firmie wcześniej. Porywano im ludzi? Co się z nimi wtedy działo? Blake przypomniał, że tatko jest Rosjaninem, zbiegiem i zdrajcą, więc precedensu trudno szukać. Znalazł natomiast pocieszenie.

Jeśli nawet porwały go Ruskie, co nie było takie znowu pewne, to nie zdarzy mu się żadna krzywda. Przez dekadę pracował dla Firmy, więc wyciągną z niego wszystko, co wie, a potem zaproponują wymianę za własnego szpiega.

Zmartwiło ją to wyciąganie informacji. Ojcu zmiażdżą jaja czy wydłubią oczy? Blake łgał, a zniknięcie starego mu przypasowało. Udawał zatroskanego przyjaciela, czuł się potrzebny, niezdarnie bajerował matkę i nawet proponował, żeby gdzieś z nim wyszła, tak po prostu, by przepędzić złe myśli. Ignorowała te umizgi.

Dom w Crofton stał się za duży. Ratowała ją praca. Zaraz w nowym roku otworzyła gabinet, który zaroił się od Afroamerykanów, którym policja wybiła zęby, pacjentów z leukoplakią od papierosów, z liszajami od stresu i próchnicą od słodkiej kawy z mlekiem. Mama śmieje się, że nie potrzebowała gazet ani telewizji. Patrzyła na zęby i wiedziała, z czym morduje się amerykańskie społeczeństwo.

Pod koniec stycznia wezwali ją do Firmy. Dzień był mroźny, burzliwy. Na gołych gałęziach tłoczyły się czarne ptaki. Tatko przepadł ponad miesiąc wcześniej.

Centrala Firmy mieściła się w budynku masywnym i starym jak na Amerykę. Tabliczka przy płocie informowała, że urzęduje tam administracja dróg międzystanowych czy coś takiego.

Mama oczekiwała spotkania na szczycie, tymczasem przyjął ją przypadkowy ciul z młodzieńczym wąsem i sygnetem na palcu. Skakał wokół matki, podsuwał burbon i papierosy, pewny siebie i niegramotny.

Gadał jak Blake wcześniej. Przeprosił za kłopoty, zapewnił, że wszystko będzie dobrze, i jeszcze zezował na rząd zegarów pokazujących godziny w różnych krajach. Matka przerwała to pierdolenie, spytała tak po prostu:

– Gdzie jest mój mąż?

Odparł, że ciągle go szukają i pozostają w kontakcie z Rosjanami. Błyskotliwa matka poradziła mu, żeby skończył bredzić, bo skoro rozmawiają z Moskwą, to znaczy, że ojciec jest właśnie tam i nie ma sensu go szukać. A jeśli ciągle go szukają, to czemu służą te negocjacje?

– Gdzie jest mój mąż? – cisnęła. – A jeśli tego nie wiesz, powiedz zaraz, gdzie jest Jedunow?

Facet wyglądał jak wyciągnięty z przerębli. Zgasił papierosa, zebrał popiół z mokrych palców. Przypomniał, że do Wiednia pojechali tak w sumie prywatnie. Dostali ochronę, którą ojciec zgubił, lekceważąc zasady bezpieczeństwa, więc wiadomo, kto tutaj zawinił.

Po takiej przemowie matka jebnęła drzwiami, aż rolety pospadały. Na korytarzu zażądała spotkania z prawdziwym decydentem i nawet zaglądała do kolejnych pokoi. Blake, obecny przy tej farsie, zaproponował, że pokaże jej miejsce pracy taty.

Tak trafili do pomieszczenia w przyziemiu, gdzie do niedawna urzędował ojciec. Mieli tam grube drewniane parapety i dwa uprzątnięte biurka. Blake wskazał właściwe.

Usiadła przy nim. Tu tata nudził się i przeklinał swój los. Kiedyś miał okręt, a wylądował w piwnicy. W pokoiku pachniało kawą i tynkiem.

Czy Klara mnie porzuci? Zapomniałem o niej, jutro będę pamiętał, wbiję sobie do głowy moją ukochaną żonę, przytwierdzę jak implant, bo nie wyobrażam sobie życia bez niej, pójdę do lekarza i on z całą pewnością powie, czego potrzebuję. Pokonaliśmy tyle trudności, damy sobie radę i z tą, niech tylko minie ten przeklęty dzień, operacja. Pragnę zdrowia dla matki, a zaraz potem snu.

Mam kopertę od mamy. W niej dokumenty i fotografię.

Zdjęcie przedstawia matkę nad oceanem. Ma jednoczęściowy kostium kąpielowy, ciemne okulary, ręcznik przerzuciła przez ramię i śmieje się, jakby właśnie schodziła z karuzeli. Najpewniej zrobił je ojciec, to zatoka Chesapeake, ich magiczne miejsce.

Łapię sznurki pomiędzy tą dziewczyną i starowinką ze szpitalnego łóżka. Nie starzeją się jedynie oczy i uśmiech.

Właśnie tę fotografię znalazła w szufladzie ojcowskiego biurka, pewno stała na nim, oprawiona w drewnianą ramkę.

Rozkręciła ją już w domu, bo zdjęcie było wybrzuszone.

Ze środka wypadła kartka złożona na czworo.

Jedna strona zawierała relację o Amerykańcu, włącznie ze spotkaniem na plaży i śmiercią w szpitalu. Na drugiej tatko spisał daty i miejsca w eleganckich kolumnach: kursy pociągów i loty z Wiednia do różnych miast w całej Europie, adresy skrytek bankowych i długie ciągi liczb, których sens pozostawał nieznany. Na marginesie znalazła swoje imię, naniesione pospiesznie, zamknięte znakiem zapytania. Kropka aż przebiła papier.

„Елена?”

O udawaniu idiotki

Podoba mi się pismo ojca, te ciasne odstępy między słowami, litery ustawione jak pluton i sztywne marginesy. Dbał o porządek, nawet jeśli się spieszył, kreśląc tę notatkę.

W Inmedio kupuję długopis, proszę o kartkę i piszę kilka zdań na próbę, wygląda to elegancko, choć szkolnie, litery mają krągłe brzuszki, łuki i szubieniczki, gromadzą się w bezpiecznej odległości, jakby strzegły siebie

nawzajem. Piszę o wybuchach w głowie i truchłach, porównuję tę karteczkę z kserokopią notatki taty, cóż, jemu lepiej poszło.

Prócz tej wiekowej kserokopii i zdjęcia w kopercie znajduję kserówki kartek zapisanych przez matkę po angielsku. Znów mamy ufoludka na plaży, śmierć w szpitalu, ale akcent przesuwa się na Jedunowa, jego rolę w tym cyrku i helikopter, którym kosmiczny trup pofrunął do ZSRR.

Mama sporządziła ten tekst przed planowaną wizytą w sowieckiej ambasadzie. Na miejscu udawała idiotkę, nałgała, że urodziła się w Seattle, a przy porządkach znalazła zapiski wujka z wielkiej wojny ojczyźnianej. Złoży je tylko na ręce attaché takiego a takiego, w każdym razie podała nazwisko, którego używał Jedunow.

Obiecali jej, że się odezwą. Tak zrobili.

Pytam mamę, co właściwie planowała zrobić, jak już stanie przed Jedunowem. Zakrzyczeć go na śmierć?

Sfotografowała notatkę taty, sporządziła własną i pojechała do Annapolis, gdzie drukarz z mimeografem kopiował broszurki kościelne. Tam poprosiła o powielenie tych karteluszków i upewniała się, czy żaden nie utkwił w bębnie maszyny.

Wracając, nadkładała drogi, gdy ktoś jechał za nią zbyt długo.

Nocą, w Crofton, nasłuchiwała, czy przez szum deszczu nie przebijają się kroki skrytobójców.

Każdy, kto zetknął się z Amerykańcem, zniknął albo umarł: ojciec, lekarz ze szpitala wojskowego, Kirył i Płaton. Dziwię się, że mama tak swobodnie wymienia tego ostatniego.

Sporządziła trzy komplety z własnym zeznaniem i kliszą fotograficzną. Jedna trafiła do skrytki w domu, o której jeszcze będzie, druga do jakiegoś prawnika w Baltimore, trzecią zabrała ze sobą do Jedunowa.

Planowała szantaż: jeśli stary nie wróci, pójdzie do gazet.

Gabinet w sowieckiej ambasadzie ociekał złotem i ukwiałami żyrandoli, w rogu stał fortepian taki sam jak w Bristolu, słowem było cudnie i tylko Jedunow nie przyszedł.

W zamian stawił się uprzejmy starzec o wielkim nosie i resztce kudłów przyklejonych do czoła. Wprost pasjonował się wielką wojną ojczyźnianą. Oznajmił, że Jedunow już tu nie pracuje. Matka zaczęła dopytywać dlaczego i gość nagle zgubił całą uprzejmość: chciał wiedzieć, co z obiecanymi wspomnieniami i w jakim celu właściwie przyszła.

Przypomniała sobie, że Jedunow kochał dziewczęta, i rozbeczała się tak, aż ten stary dureń podał jej chusteczkę. Wśród obłędnych łez i fantastycznych spazmów opowiedziała, jak to Jedunow spotykał się z nią, poił szampanem, oświadczył się, a potem zniknął. Dziad z chusteczką kiwał purpurowym łbem.

Rzekł w końcu, że Jedunow nie pracuje w ambasadzie od Bożego Narodzenia.

Mama zrozumiała. Zawinął się po aferze w Wiedniu.

O sekretach

Miesiąc po powrocie do Stanów mama zorientowała się, że jest w ciąży.

Nieźle się zdziwiła. Byłem prawdziwą niespodzianką.

Stary czasem fantazjował o dziecku, więc matka w tajemnicy zażywała tabletki antykoncepcyjne, i gdyby je wzięła do Wiednia, nie byłoby mnie na świecie. No ale pakowała się roztrzęsiona po tym potwornym śnie o ojcu i Płatonie.

Nigdy dotąd nie była sama. Najpierw mieszkała z dziadkami, potem z ojcem. Dom w Crofton stał się wielki i głuchy.

W gabinecie zjawił się pacjent, który wierzył, że w dziąsłach żerują mu węże. Chciała mu opowiedzieć o ojcu. Nawet jemu.

Smutki zachowujemy dla siebie, słyszę. Mówiłaby do Burbona, gdyby żył, ale Burbona nie było już od dawna. Wciąż kładła dwa talerze na kuchennym stole.

Dla zabicia czasu przeglądała katalogi mody i złapała się na tym, że wybiera ubrania dla ojca: białe spodnie rozszerzane u dołu, półbuty z szytej grubym ściegiem skóry i zamszową kurtkę, w której wyglądałby jak Warren Beatty.

Wyprasowała mu wszystkie koszule.

Jak montowała pułapkę na szopa, chciała opieprzyć starego, czemu się tym nie zajął.

Sprzątała. Poukładała papiery ojca w teczkach. Stary spisywał wyimki z prawa stanowego w stanie Maryland, Pensylwanii i obu Wirginiach, zwłaszcza te dotyczące posiadania broni i jazdy po pijaku. Wynotowywał porwania, strzelaniny i starty rakiet na Florydzie.

Z piwnicy wymiotła ocean kiepów i wyciągnęła jakąś setkę pustych flaszek, a także książkę Turgieniewa oprawioną w skórę. Wnętrze wydrążono, robiąc miejsce na pistolet.

Sprzątanie stało się szukaniem. W garażu znalazła nadajnik radiowy z rączką i mikrofonem na poskręcanym kablu. Stary trzymał go w schowku za skrzynką z narzędziami.

Większość sekretów zgromadził za fałszywą ścianą szafy ze sprzętem myśliwskim. Miał tam ostrze do otwierania kopert w taki sposób, by dało się je zakleić z powrotem, aparat fotograficzny wielkości paczki papierosów, piankową fajkę z anteną w cybuchu, atrapę monety ze schowkiem w środku i sprzęt do wyszukiwania podsłuchów. Matka zaraz go użyła. Znalazła cztery.

W Firmie ją zlali i przydzielili ogon. Pod domem parkował pick-up z dwoma facetami, wytrzymała tydzień i poszła do nich. Chcieli odjechać, ale stanęła im przed maską, zaprosiła do gabinetu, proponując dubeltowe znieczulenie.

Miny mieli, jakby chcieli się nawdychać tlenu na zapas, nie zobaczyła ich więcej.

Wczesną wiosną zrozumiała, że nikogo nie obchodzi stary ani jej własne nieszczęście. Wymyśliła sobie spotkanie z prezydentem Nixonem. Miał gębę jak ziemniak i wrogie oczy, no ale trudno, musi jej posłuchać, w końcu tańczyła z Kennedym.

Tak powstał kolejny list o życiu rodziców, ucieczce i wiedeńskiej tragedii, pełen zasług ojca dla rządu Stanów Zjednoczonych. Amerykańca tym razem zmilczała.

Nixon nie odpisał. Nie odpisał jego zastępca, ochroniarz ani fryzjer. Im głębiej sięgała do skrzynki, tym bardziej listu tam nie było.

Zaczęła dzwonić. Sekretarki obiecywały nadanie biegu sprawie. Sprawa tak biegła, aż matce urósł brzuch. W końcu przyjął ją sekretarz obrony. Wysupłał dziesięć minut i udawał, że zna przesłane dokumenty, w końcu obiecał pomoc i poinformował mamę, jaka to jest dzielna.

Wkurwiona matka zadzwoniła do tego dziennikarza, co przed laty zrobił wywiad z ojcem. W międzyczasie chłop osiwiał do reszty i wdział koszulę

zdartą z jakiegoś praprzodka. Interesowała go wyłącznie prawda. Matka powiedziała do kamery: mój mąż zniknął, a rząd z tym nic nie robi.

O starym Klausie

Przeglądam wycinki z „Washington Times”, „Washington Monthly”, „The Hill” znalezione w kopercie od matki. Napisali o ojcu i nawet dali zdjęcie z jakiegoś bankietu. Czarna muszka wgryza się w podgardle, lampa jaśnieje za nim na podobieństwo aureoli, kieliszek w dłoni lśni niby klejnot. Wszystkie wiadomości z tekstów pochodzą od matki, szkoda, że nie mam całych gazet, tylko te skrawki. Może drukowali coś o jaszczuroludziach i Wielkiej Stopie?

Śmieję się ze swojego zagubienia i jeszcze bardziej niż do tej pory nie mam pojęcia, co jest prawdą.

No ale artykuły puszczono, poszedł też program w telewizji, a do matki przyleciał Blake z pytaniem, co odpierdala i jak niby zamierza odkręcić popełnione głupstwo.

W odpowiedzi pokazała mu terminarz pełen zaplanowanych spotkań z dziennikarzami. Nie odmówiła nikomu. Ustawiła nawet rozmowę z tygodniówką rolniczą z Kentucky.

Blake zaklinał ją, by dała sobie spokój.

– Przestanę, kiedy wróci mój mąż. Albo pokażesz mi jego grób – dodała. – Ty, Arnold, zastanów się, z kim trzymasz. Fałszywych przyjaciół nie potrzebuję.

Miał trochę racji, bo ściągnęła na siebie kłopoty. Telefon dzwonił bez przerwy, do gabinetu ściągali różni dziwni ludzie.

Gość, który wyglądał jak brat Freda Flinstone’a, oznajmił, że stary uciekł z jego żoną. Porwali samolot i żyją w Indiach, gdzie pracują nad nowymi odmianami toksycznego cukru. Żona faceta, traf chciał, pochodziła z Delhi.

Typ spod Richmond znał ponoć starego ze wspólnych polowań i utrzymywał, że ciągle się widują: tatko mieszka gdzieś w lasach Zachodniej Wirginii, nosi kapelusz z kory i wpierdala ściółkę. Ktoś spotkał ojca na koncercie Erica Claptona, ktoś przegrał z nim w karty, a jakaś starsza, ospała kobieta dostrzegła go, jak szkoli Czerwonych Khmerów. Użyła telepatii.

Mama pytała tych ludzi o jedno: jakiego wzrostu był ojciec? Takiego dryblasa trudno zapomnieć. Nikt nie wiedział. Z jednym wyjątkiem.

Do matki napisał niejaki Klaus, niezależny specjalista od trudnych przypadków. Zorganizował staremu lewe papiery i posłał na Kubę. Zasugerował, by matka zamontowała sobie drugą linię telefoniczną, spaliła ten list i dała ogłoszenie w „Baltimore Sun", tak właśnie mają się komunikować. Zażądał też tysiąca dolarów na sam początek. Wszystko dla ojca.

Ten olbrzym, drągal, pisał Klaus, wprost usycha z tęsknoty.

List, przepisany na potrzeby domowego archiwum, także mam przed oczyma.

Blake uznał, że Klaus może coś wiedzieć, więc matka wyskoczyła z tysiąca dolców i zamieściła ogłoszenie. Odpowiedź przyszła w liście z Florydy. Klaus zażądał jeszcze pięciu tysięcy w zamian za kontakt z Kolą za pośrednictwem Korpusów Pokoju czy czegoś podobnego.

Pojechali na tę Florydę. Mama wspomina palmy, baseny i białe bloki, spodziewała się słońca i krokodyli, tymczasem ciągle lało, a niebo miało barwę piasku.

Po nieruchomym morzu pływały żaglówki, plażą spacerowały tłuste albatrosy, ciepło, mokry raj.

Czekała z nadzieją w sercu i dolarami w torebce. Klaus wskazał restaurację i prosił, żeby przyszła sama. Blake siedział w wynajętym aucie po drugiej stronie ulicy.

Zamówiła skrzydełka z kurczaka, wciąż przypominała samej sobie, że powinna jeść. Nad nią ospale wirował brudny wiatrak.

Zamiast Klausa zjawił się dzieciak z karteluszkiem. Było tam napisane, żeby wrzuciła pieniądze do śmietnika przed restauracją i poszła. Tak, zachowała też ten karteluszek.

Owinęła pięć tysięcy dolarów w gazetę, władowała do kosza i wsiadła do taksówki. Zrobili kółko. Kazała zaparkować niedaleko restauracji. Leżała na tylnym siedzeniu i gapiła się na jebany śmietnik.

Klaus okazał się drobnym dziadygą. Pod kosz skradał się jak ślepy lis do kurnika i dał się skuć bez oporów. Był przyzwyczajony.

Okazał się zawodowym szantażystą i oszustem, który niedawno odsiedział wyrok za fałszowanie czeków. Zobaczył matkę w telewizji. Nie spotkał ojca i nigdy go nawet nie widział, a przez całe przesłuchanie interesował się głównie jedzeniem i dopytywał o papierosy. Wyglądał na pogodzo-

nego z losem. Zawalczył, nie udało się i już. Byłby frajerem, gdyby nie spróbował.

Podobno spytali go, skąd wiedział, że ojciec jest wysoki.

– Przy mnie każdy jest drągal. Jestem mały, ale wariat.

Dostał za ten numer trzy lata.

O wielkich zębach

Afera z Klausem przyniosła też coś dobrego. Odezwali się od Nixona z zaproszeniem do Białego Domu.

Mama tłumaczyła sobie, że znów ją zwodzą, nie czekała już na ojca, ale też nie grzebała go przedwcześnie.

Prezydent uwielbiał ogień. Płonęły szczapy w kominku i świeczki w wysokich świecznikach, przy drzwiach wisiały dwie ciężkie flagi, zresztą wszystko w tym gabinecie miało przytłoczyć gości: puchary w gablocie, książki oprawione w skórę, maszyna do dyktowania na ciężkim biurku.

Sam Nixon przypominał urzędnika średniego szczebla i miał głos drapieżcy zmęczonego aferą Watergate. Mama zaczęła streszczać historię jej ucieczki, Nixon jej przerwał, powiedział, że wie wszystko.

– A wie pan, panie prezydencie, że pana ludzie najpierw przesłuchiwali mojego męża przez rok, a potem posłali do telewizji, za co dostał wyrok śmierci w ZSRR, a w Stanach pracę w piwnicy. Potem przydzieliliście mu jakieś dziwne zadanie, przez co się rozpił i strzelał do sosen. Na sam koniec wysłaliście nas do Wiednia, tam dwoje partaczy zgubiło mi męża w biały dzień. Jedna agentka zginęła. Kto ją zabił? Na koniec ludzie, których pan zatrudnia i którzy mieli nas chronić, okradli mnie i zmusili do wyjazdu, choć powinnam zostać, współpracować z policją, władzami i ambasadą na miejscu. Zostałam z niczym. Zwodzicie mnie od miesięcy. Gdzie jest mój mąż? Gdzie mój mąż, panie prezydencie?

Moja matka, piękna, ciężarna i wkurwiona przed wielkim Nixonem, totalnie ją widzę, jak wali kantem dłoni o stół i przewierca wzrokiem Nixona, dziewucha z Pagedu, córka stoczniowca, która bawiła się ze mną w wilkołaki.

Nixon opadł na skórzany fotel, otarł wargi chusteczką i czekał, aż matka się wygada.

– Rozmawiałem o pani mężu z Breżniewem – rzekł w końcu, jakby chodziło o faceta z myjni samochodowej. – Niestety, Rosjanie o niczym nie wiedzą. Tak mi powiedzieli.

Podniósł się z fotela i przysiągł, że wszystkim się zajmie. Potraktuje sprawę śmiertelnie poważnie, bo jest świadom zasług, jakie matka oddała Ameryce. Potem odprowadził ją do drzwi.

Co do własnych zasług mogła wymienić głównie spadek chorób jamy ustnej w okolicach Crofton.

Nixon miał zresztą wspaniałe zęby, białe i wielkie jak łopaty do odśnieżania. Myślała o nich, idąc przez korytarz, i zastanawiała się, czy ich właściciel kłamał.

Poczuła się jeszcze bardziej bezsilna niż wcześniej.

O południu pod kościołem wotywnym

Dziwne, bo Nixon dotrzymał słowa.

Blake odebrał mamę o świcie, przeszukał dokładniej, niż powinien, i zawiózł na parking dla myśliwych, gdzie stał czarny plymouth fury. Czekał w nim szpakowaty facet z cygarem. Strzepywał je przez okno. Lało, mokry popiół rozsmarowywał się na szybie. Przypomniał, że spotkanie jest nieoficjalne. Jeśli matka znów pójdzie do mediów, zaprzeczą.

A potem powiedział, co stało się pod kościołem wotywnym, nie całą prawdę, ale rzucił krwisty ochłap.

Chodziło o katastrofę w basenie portowym, o rozpierdolony statek pozaziemski i konającego pasażera.

Rodzice próżno zatajali powód swojej ucieczki, Rosjanie znali prawdę od początku, zdobyli przecież ciało.

Nagrzmocony stary wypucował się na balu w hotelu Willard. Matka myślała, że się skompromitował, otóż nie, Amerykanie nadstawili uszu. Spisali zeznania, ułożyli plan. Praca w przyziemiu była przykrywką.

Pod koniec lat sześćdziesiątych do Stanów przyjechał stary kumpel, brutalny Jedunow. Chciał zwerbować starego, obiecywał wskrzeszenie kariery, furę forsy i triumfalny powrót do Moskwy, nic dziwnego, że urżnięty ojciec opowiadał w domu, jak to żałuje ucieczki.

W Firmie namawiali go na podjęcie współpracy. Bronił się przed tym dzielnie, aż przystał. Podsuwał Ruskim starannie dobrane informacje i robił

w tym przyziemiu, bo każdy podwójny agent potrzebuje zasłony dymnej, byłoby dziwne, gdyby nagle awansował.

Ruskie się nabierały, przynajmniej początkowo.

Celem operacji był Amerykaniec, jego trup.

Dwóch facetów zaangażowanych w gdyńską katastrofę wylądowało w Stanach, Firma chciała to wykorzystać.

Sam ufoludek przeleżał ten czas gdzieś w laboratorium pod Moskwą, przebadany i zapomniany. Firma łaknęła tego kosmicznego truchła.

Chcieli je porównać z tymi kosmitami, co pospadali na terenie Ameryki, tak przynajmniej utrzymywał facet z cygarem.

Operacją kierował Jedunow, a ciało z ZSRR na tajne przejście graniczne pomiędzy Czechosłowacją i Austrią przewiózł nikt inny jak Jurij Nikołajewicz Narumow, młody oficer wywiadu wojskowego. Mieliśmy tam mały zjazd rodzinny ze mną jako zygotą.

Czy Jurij łaknął zemsty na ojcu, odpłaty za porzucenie i przejebane lata jako dziecko zdrajcy? Pewno udowadniał wszystkim, jaki jest lojalny i potrzebny.

Plan ułożony przez najtęższe umysły Moskwy i Waszyngtonu zakładał, że mój wiecznie pijany, przerażony stary pójdzie pod kościół wotywny, tam przewiozą go do dziupli z chłodnią i zidentyfikuje trupa, bo prócz Jedunowa on jeden go widział i przeżył. Następnie przekaże ciało Kate, obecnej przy tym wszystkim, jego rola dobiegnie końca.

Naprawdę co mogło pójść źle?

Jurij z Jedunowem zgarnęli ojca ze schodów kościoła wotywnego, jak znam życie, uściskom nie było końca.

Pojechali do dziupli i tam kontakt się urwał. Sąsiedzi słyszeli wrzaski i jeden strzał. Gdy Walter wpadł na miejsce, zastał Kate z dziurą w głowie, pustą lodówkę i żadnych Ruskich. Tu ślad się urywa.

Zdaniem człowieka z cygarem ojciec był podwójnym agentem, udawał, że pracuje dla Rosjan, aż zaczął pracować naprawdę. Zastrzelił Kate, zabrał

martwego ufoludka i przez Czechosłowację tym tajnym przejściem granicznym prysnął do Moskwy.

O chmurach

– Opowiadał farmazony – mówi mama. – Z ojca był bajkopisarz, moczymorda i tchórz, ale nigdy by mnie nie porzucił.

Nieśmiało przypominam tej mądrej, dwa razy starszej ode mnie kobiecie, że ludzie robią różne rzeczy, których się po nich nie spodziewamy. Zdradzają. Okazują się zbrodniarzami wojennymi. Czy stary romansował z Kate? Grał na fortepianie, bo chciał się pożegnać?

Raz uciekł, mógł uciec ponownie.

Mama odpowiada, że to niemożliwe, mało, a tupnęłaby nóżką. Nie i już.

Kilka miesięcy wcześniej amerykańska sonda przesłała zdjęcie Wenus otoczonej przez smugi sinych chmur, a mama zastanawiała się, czy jest wdową. Bała się, że nigdy już nie pozna prawdy i umrze w tym nieznośnym zawieszeniu.

Twierdzi, że to jej wina, sama ściągnęła sobie na głowę wszystko, co ją spotkało. Pozwoliła, żeby ktoś o niej decydował, zawierzyła mężczyźnie, powędrowała za nim jak pies albo ślepiec do tego ciemnego miejsca, gdzie straszy pustka i rozpacz, a ja uświadamiam sobie z przerażającą jasnością, że Klara też tak zawierzyła, bo Fernando, życie na Witominie było moim pomysłem, nawet Olaf, bo żona raczej nie wspominała o dzieciach i mieliśmy jechać do Indii, kiedy zaszła w ciążę. Nie wolno mi jej zawieść i nie zawiodę.

Skoro raz wyszło z prezydentem, mama postanowiła spróbować ponownie.

Zadzwoniła do Białego Domu. Sekretarka już ją poznała, znalazła termin na dziewiątego sierpnia, matka doskonale to pamięta.

Pamięta, bo dzień wcześniej, kiedy już naszykowała dokumenty i spisała, co powie Nixonowi, ten pojawił się w telewizji. Ściskał plik kartek w długich, pięknych palcach, a jego twarz była jak Wenus, gorąca i pełna chmur.

Powiedział, że rodzina go popiera, Kongres niekoniecznie i dlatego ustępuje ze stanowiska. Na koniec powierzył Amerykę Bogu.

Matka była pewna, że zaraz odejdą jej wody.

O jednym pytaniu

Połknęła ją wielka ciemność.

Wszystko stało się kolczaste, wilgotne, umykało z rąk.

Mimo zaawansowanej ciąży nadal pracowała, ale myliła imiona pacjentów i ich dolegliwości, otwierała gabinet za wcześnie, za późno albo w niedzielę, zapominała o dezynfekcji narzędzi, raz nawet pominęła znieczulenie i dziwiła się, że chłop na fotelu drze mordę.

Omal nie wjechała w autobus szkolny. Kupowała mrożone jedzenie, którego potem nie jadła, a ze sklepów wychodziła bez płacenia. Tłukła talerze. Sypała za dużo proszku do prania. Łamała kijki do mioteł. Zalała dywan wybielaczem. Wszędzie widziała kurz i ślady po papierosach.

Ten suchy kurz oblepiał serce, płuca, gardło.

Od dymisji Nixona nie zmrużyła oka.

Wychodziła z tym swoim wielkim brzuchem na wieczorne spacery, piła herbatę ziołową i wietrzyła sypialnię. Próżny trud. Zdarzały się chwile, gdy sen już obejmował jej głowę tylko po to, aby ją zaraz wypuścić. Serce waliło. Pulsowały skronie. Nogi puchły, a kręgosłup nie pozwalał znaleźć wygodnej pozycji. Mijała dwunasta, druga, czwarta rano. Jaśniejące okno budziło grozę.

Mama nie potrafiła jeść ani pić. Wmuszała w siebie owoce i wodę. Małe łyki, drobne kęsy.

Gładziła się po brzuchu, mówiła do mnie, prosiła, bym kopał jak najczęściej, przerażona, że urodzi trupa.

Tydzień bez snu starczył, by uwierzyła, że zabiła dziadków. Ubecy wyłamali im ręce, wyrwali zęby i rozstrzelali, ksiądz odmówił pogrzebu, sąsiedzi do dziś opluwają drzwi pustego mieszkania na Pagedzie, wszystko to, bo puszczała się i uciekła z żonatym Rosjaninem.

Rozpaliła świece w całym domu i modliła się, by Bóg, ten odległy, wszechmocny potwór, przyjął dziadków do siebie. Ptaki zyskały mowę, wiewiórki ludzkie oczy, drzewa podeszły pod drzwi.

Ciepłej sierpniowej nocy powrócił stary.

Wszedł do sypialni w swoim czarnym mundurze i z workiem marynarskim przerzuconym przez ramię, wyglądał dokładnie jak w Stylowej.

Uśmiech dobrego łotra. Wesołe oczy. Włosy na brylantynie.

Mama rzuciła mu się w ramiona, czuła woń papierosów, koniaku i przemysławki, którą kupiła mu jeszcze w Gdyni.

Usiadła na brzegu łóżka. Ojciec stanął za nią, ujął pukiel włosów u nasady i zaczął przeczesywać jej kosmyki, wykonując bardzo powolne, delikatne ruchy. Głaskał po policzku i karku. Dłonie miał szorstkie i czułe. Nie dziwiła się niczemu i o nic nie pytała.

Zapach przemysławki zniknął, oddech ojca przyspieszył, dłoń na policzku zrobiła się obca i czerwona.

– Ruska kurwa. Przed każdym rozłoży nogi w procę. Ruska kurwa i morderczyni.

Za nią stał Płaton.

Rano odwołała pacjentów i pojechała pod Firmę, do Waszyngtonu.

Nie wpuszczono jej do środka. Stanęła przy bramie. Lało, tam z reguły leje.

Mężczyźni w garniturach przeskakiwali kałuże, mieli błyszczące buty i pekaesy, palili papierosy, a mama zatrzymywała każdego i pytała: gdzie jest mój mąż?

Ktoś tam nawet starego pamiętał, ale nikt nie wiedział, co się z nim dzieje.

Ci potężni mężczyźni spuszczali głowy, wykonywali dziwne, prawie magiczne gesty i przyspieszali, byle dalej od drobnej kobiety w zaawansowanej ciąży, zlanej przez deszcz.

Nie chwytała nikogo, nie szła za nikim. Powtarzała tylko:

– Gdzie jest mój mąż? Gdzie jest mój mąż?

Ruska kurwa, której nikt nie chce, nikt nie odpowie.

Najpierw wypchnęli do niej ciecia. Był bardzo miły, poprosił, żeby sobie poszła. Odparła, że zrobi to, gdy tylko uzyska odpowiedź na swoje pytanie. Nikogo nie krzywdzi, po prostu stoi sobie w deszczu, to wolny kraj.

W końcu przyszedł Blake. Poprosił, by poszła z nim do samochodu. Ponoć, kutas, bardzo się przejął, chciał pomóc, więc matka poradziła mu, żeby wreszcie powiedział prawdę, a jeśli jej nie zna, niech stanie obok niej, w ulewie, i pyta o Kolę.

Dobroduszny, arcydzielny Blake zmył się do środka, mama doczekała zmroku. W domu wzięła długą kąpiel. Nie zmrużyła oka. Rano znowu pojechała pod Firmę.

Mało co pamięta z tamtych dni.

Ktoś ją trącił, ktoś spytał, czy czegoś potrzebuje, cieć przyniósł lurowatą kawę i poprosił, by nikomu o tym nie mówiła. Odbijała się w kałużach, rozedrgana i płaska. Sądziła, że taka jest naprawdę. Czuła, że jej ciało się kurczy i karleje wokół brzucha, a skóra schnie na kościach. Gdzie jest mój mąż?

Ruska kurwa, której nikt nie chce, nikt nie odpowie.

Blake pojawił się znowu, poprosił, by wsiadła z nim do auta. Odmówiła. Odebrali jej wszystko. Męża, młodość, nadzieję. Blake naciskał. Obiecał, że w domu powie jej coś ważnego.

Przyniósł koc, wytarł jej nogi i dłonie, ugościł na tylnym siedzeniu. Matka z niego drwiła.

Podczas jazdy wydało się jej, że znowu płyną do Szwecji. Silnik łupał znajomo: góra, dół, trzy sekundy, od nowa. Przeszedł w gwar gości hotelowych. Trzaskały drzwi, biegały dzieci, śmiali się kochankowie.

Nie była na łódce ani w samochodzie, jechała windą, rozpoznała nawet dotyk oparcia skórzanego fotela, jęczały stalowe sznury, pianino grało Chopina. Obudziła się pod domem.

Usiedli w kuchni, a świat raz był ostry, raz zamglony.

Blake położył przed mamą kartkę i powiedział, że zostaje z tym sama, on wyprze się wszystkiego.

Na kartce widniał adres w Rockville, gdzie mieszkał Jedunow.

O moim imieniu (2)

Zawsze chciałem wiedzieć, dlaczego mam na imię Dustin.

Gdy byłem młodszy, podążałem różnymi tropami, zwłaszcza takim jednym: matka mnie nienawidzi, swoim zaistnieniem zniszczyłem jej życie, ofiarowała mi imię jak piętno.

Klara, gdy się jej przedstawiłem, wietrzyła szyderę, podejrzewała nawet, że mam dziewczynę i dlatego posługuję się takim cudacznym imieniem.

Od niedawna, od kiedy zacząłem spisywać tę historię, przeczuwałem prawdziwą tajemnicę, jakiś kunsztowny sekret. Moje imię, ten katalizator kpiny i wpierdolu, miało stanowić część większej całości, szpiegowski kawałek układanki, dowcipny fragment poważnego dzieła. Zrodził je opór matki i ojcowski spryt.

Mama na początku nie przyjmowała do wiadomości, że jest w ciąży, tłumaczyła sobie, że pomyliły się jej tygodnie. Lekarz wyprowadził ją z błędu, pokazał na nowiutkiej maszynie USG coś, co kiedyś miało stać się mną.

Skołowana matka bardziej niż mną interesowała się, jak działa ta nowa technologia, i dopytywała nawet o jej przydatność dla stomatologii.

– Wrócił mi humor, choć na trochę – wspomina, już z ogoloną głową, w sali, gdzie czekamy na operację.

Pojechała do Klausa, spotkała się z Nixonem, sporządzała te swoje notatki i gdy stanęła w deszczu pod Firmą, brzuch swym ogromem wołał o współczucie. Bolały ją łydki i dół pleców. Nie oparła się o płot, nie usiadła, taka właśnie jest, rozkroiłaby sobie głowę i wyjęła raka łyżeczką, gdyby tylko mogła.

Klara wydzwania. Za chwilę odbiorę.

Mogłaby dać sobie spokój, wie, gdzie jestem i co robię. Obiecałem z tym psychiatrą, jutro pójdę, naprawdę.

Mama nienawidziła lekarzy, ich ospałej niechęci, i wzroku matek, co wraz z mężami gramoliły się z samochodów przed kliniką, każda z fryzurą jak lody włoskie, też z brzuchem, jednym gówniarzem wleczonym za rękę i drugim na ramieniu.

– Ja trochę straciłam rozum, wiesz? Mówiły do mnie drzewa, na niebie goniły się dziwne światła, kupiłam wykrywacz metalu, taki do szukania monet na plaży, bo bałam się, że w listach jest bomba, do tego jeszcze zabrałam się do szukania Jedunowa.

Poród mojej walecznej, zapracowanej matki zaczął się w kinie samochodowym.

Jak widać, prócz trudów znała i rozrywkę.

Pojechała tam sama. Leciał akurat *Papillion*, opowieść o drobnym przestępcy i dzieciorobie, który nawiewa z kolonii karnej. Mama uważa, że takie opowieści przynoszą jej ulgę, zwłaszcza jeśli kończą się śmiercią.

W kinie odeszły jej wody.

W klinice spacerowała po korytarzu do samego porodu, zresztą nikt się nią nie interesował, całkiem tak jak u nas. Lekarz, który powitał mnie na świecie, naciskał łokciem na brzuch, dosłownie wypychał mnie na wolność.

Miałem czarną czuprynę, tyle mniej więcej matka pamięta. Natychmiast zasnęła. Po raz pierwszy od wielu dni.

– W ogóle nie myślałam o imieniu. Miałam na głowie ojca i własne szaleństwo, wyszło, jak wyszło, mógłbyś się już nie złościć.

Nie złoszczę się ani trochę.

W szpitalu dzieci leżały na osobnej sali, przynoszono je tylko do karmienia. Pielęgniarka zapytała w końcu, jakie imię wpisać. Matka, umordowana porodem i szajbą, zapadała już w sen, oczekiwali tego imienia, równie dobrze mogli żądać, by wychudzona, naga i nieprzytomna Helena Barska zmieniła się w Eskimosa.

Chwyciła się byle czego, tego wieczoru w kinie samochodowym, kiedy wyruszyłem w mozolną drogę na ten smutny świat.

Jedną z głównych ról w *Papillon* grał młody gwiazdor, Dustin Hoffman.

Mamie wystarczyło. I oto jestem.

O pożegnaniu

Mama pyta, czemu mam ze sobą komputer i jeszcze w niego klepię.

Czekamy w dziupli na skrzydle operacyjnym, są tutaj dwa łóżka, krzesełko, łazienka i szafa, całość przypomina nieco pokój hotelowy, tylko matka ma na sobie zielony fartuch zapinany z tyłu i wygoloną połowę głowy.

Z trudem odrywam wzrok od placka białej skóry nad uchem, mówię, że próbuję spisać jej historię, sama zabroniła nagrywania, może to i lepiej.

Korytarzem wiozą pacjenta, zaraz nastanie kolej mamy, dochodzi czternasta. W kieszeni znów wibruje mi telefon, pewno Klara albo ktoś z Fernanda, naprawdę nie radzą sobie beze mnie.

Mama, drobna, spokojna i radosna, nawet interesuje się tym moim pisaniem, pyta, na co mi ono, skoro tyle się teraz dzieje.

Piszę na bieżąco, żeby nic nie umknęło. Co niby ma umknąć, ciśnie matka, wyczuwając kłamstwo. Tłumaczę, że pragnę porównać szczegóły tej historii, dopasuję sobie jedno z drugim już na spokojnie, kiedy zdrowa wróci do domu.

Jej ręce mierzwią pościel, szuka papierosa nawet w tej chwili, zwłaszcza w tej chwili, prosi, żebym skończył bredzić i zrzucił ciężar z wątroby.

Mówię, że pisanie trzyma mnie w kupie, nie rozpadłem się dzięki słowom, wyczuwam w nich prawdę, tylko nie wiem jaką, wszystko to jest dla mnie nowe i niepokojące.

Mama myśli chwilę, przykłada rękę do ust, znam ten gest, oczy i drżenie, zdarzyło się parę razy, na przykład gdy powiedziałem, wiele lat temu,

że wpierdala mi się w życie i jest głupia albo gdy buchnąłem dwie stówki z szafki, albo gdy odsuwałem się od niej na ulicy, miałem dwanaście lat i koledzy szli z naprzeciwka, sztywniała wtedy i zastawałem ją w nocy przy oknie, w dymie, nad popielniczką.

– Myślisz, że kłamię, tak? Uważasz, że wszystko to zmyśliłam? – pyta i już nie próbuje być silna.

Zastanawiam się, co powiedzieć, bo sam już nie wiem. Matka przejrzy półprawdy i przewierci na wylot kłamstwo.

Wstaję, żeby ją objąć, klecę w głowie coś bezbolesnego, jej opowieść jawi się zawiła, choć przejmująco szczera, wyobrażam sobie oszalałego ze strachu raka, który zaraz wyruszy zieloną milą pod ostrze, robi, co może, by ocalić życie.

Za późno, nim powiem słowo, w pokoju melduje się anestezjolog razem z drugim lekarzem. Godzina wybiła, że tak powiem. Mama traci zainteresowanie mną i jeszcze ich pospiesza. Sama wskakuje na nosze, rzuca jakąś anegdotę, puenta wybrzmiewa już za drzwiami.

Zostaję sam z tym kretyńskim komputerem, czuję się jak dureń i skurwiel, ale nie mogę przestać pisać.

Komórka wibruje ponownie, odbieram.

Olaf zniknął. Nie wrócił ze szkoły.

O zaginięciu

Ten dzień jest jak koszmarny sen, całym sobą wyglądam zmroku.

Oto, co zaszło, po kolei i bez upiększeń.

Mamę wiozą na operację, odbieram telefon, Klara pyta, co, kurwa, wyrabiam i czy Olaf jest ze mną, no nie ma, czemu miałby być.

Lekcje się skończyły, słyszę, nie wrócił do domu, nie odbiera komórki.

Rozłączam się, dzwonię po taksówkę i z powrotem do Klary, zadaję parę prostych pytań. Klara odpowiada krótko i oschle, doskonale rozumiem tę pretensję, to ja nalegałem, żeby wracał ze szkoły bez żadnej opieki.

Czekam przed szlabanem, wiatr zacina zimnym nadmorskim deszczem. Ulicą Powstania Styczniowego jak ropa z oka ciągnie się sznur samochodów, w którym próżno wypatruję mojej taksówki. Przeklinam kierowcę i gapię się w telefon, wyczekuję dobrych wiadomości, tuż obok skalpel wkrawa się w miękkie ciałko nowotworu.

Wreszcie przyjeżdża taksówka, ładuję się na przednie siedzenie, kierowca zabiera saszetkę i portfel niemal spod mojego tyłka, proszę o pośpiech, a on bez słowa, spokojnie włącza się do ruchu, ceni bezpieczną jazdę, skurwysyn jeden.

Po drodze mija nas karetka na sygnale, zastanawiam się, czy jedzie w niej mój syn.

Suniemy przez Redłowo i Małokacką na Witomino, wycieraczki zagarniają deszcz z szyby, wybieram numer do Olafa, nie odbiera.

Żadna mi nowość, to dziecko i o wszystkim zapomina, ile razy przychodził bez kurtki, która została w szafce szkolnej, bez podręczników, a raz pędziłem za autobusem, bo zostawił pieprzoną komórkę, leżała między fotelami. Tylko ten, kto na pełnym gazie pokonał odległość od przystanku do przystanku, wie, czym jest trud rodzicielski.

Nasza podstawówka to najzwyklejsza tysiąclatka pod słońcem, dwupiętrowa i długa, przy wielkiej, sterczącej z betonu czarnej kotwicy czeka Klara.

Biegnę z taksówki, padamy sobie w ramiona, wszystko, co nas dzieliło, ulega przedawnieniu.

Olaf schował książki do szafki, włożył kurtkę i opuścił szkołę po ostatniej lekcji, półtorej godziny temu. Kawałek trasy, do skrzyżowania z Rolniczą, przeszedł z jakimś Kamilem i jego mamą, co ciągle po Kamila przychodzi, bo rodzice przychodzą po swoje dzieci, my w tym względzie jesteśmy nieszczęśliwie wyjątkową rodziną. Kamil z troskliwą mamą odbił w Rolniczą, mój syn dalej poszedł sam. Widziała go jeszcze, ta mama, jak przecina skrzyżowanie, bezpieczny na zielonym świetle. Reszta drogi zajmuje pięć minut, dawno powinien dotrzeć domu.

To jest nierzeczywiste, nie należy do mnie głowa, serce i Witomino, jestem biernym obserwatorem lęku kogoś obcego.

Zdaniem Klary musimy się rozdzielić. Ja poczekam w domu na wypadek, gdyby Olaf wrócił, ona poszuka go na osiedlu, jeśli nie znajdzie się do zmroku, zawiadamiamy policję. Odmawiam. Mam mnóstwo sił, pocę się brudem, sam znajdę swojego syna, zostawię kartkę w drzwiach, żeby Olaf zadzwonił, kiedy przyjdzie.

To już raz się zdarzyło, dawno temu, kiedy matka i Olaf bawili się w wilkołaki. Rozbiegamy się z żoną w dwie różne strony, ona zagłębia się w osiedle, ja pędzę do naszego bloku, zaczepiam faceta z psem, jakieś dzieciaki, wpadam do Żabki, do Lidla, każdemu pokazuję telefon ze zdjęciem,

pytam, czy widzieli takiego chłopca: żółta bluza, zielona kurtka, włosy ciemne z nutką czerwieni, bo farbował je na wakacje, całkiem się nie zmyło.

Torba z laptopem ciągnie mnie do ziemi.

Strach maszeruje mi w sercu, spuszcza głodne psy.

Wpadam do naszego bloku, kopię drzwi ospałej windy, w mieszkaniu pusto. Zostawiam kartkę na biurku i drugą w drzwiach, błagamy, zadzwoń, synku.

Lecę na stację benzynową i plac zabaw przy ogródkach działkowych, wypatruję tej kochanej głowy pomiędzy jaskrawymi huśtawkami, sprawdzam nawet nasz kościół. Niebo ciemnieje. Czarne muchy siadły mi na oczach. Nie wiem, co robić, więc zawracam pod blok.

Tam spotykam zdyszaną Klarę. Znów chcę ją objąć. Cofa się, potrząsa głową, unosi dłonie, sądzi, że to moja wina, ja nie myślę o tym w ten sposób, chcę po prostu, aby wrócił mój syn.

I syn rzeczywiście wraca.

Poznaję go natychmiast, jak szybkim krokiem przemierza osiedle.

A także człowieka, który go przyprowadził.

O worku kości

Olaf stawia drobne, niepewne kroki.

Na jego ramieniu spoczywa ciężka ręka tego Rosjanina, który przyszedł do Fernanda.

Facet maszeruje sprężyście, ma obwisłą, szeroką gębę, siwe włosy lśnią od deszczu. Strach o dziecko odbiera mi zdolność ruchu. Klara krzyczy. Rusek unosi dłoń, uwolniony Olaf pędzi w naszym kierunku i tuli się do Klary.

Klara pyta go, gdzie był, co się stało. Olaf tylko zagryza wargę, a na spodniach rośnie mu ciemna plama moczu.

Przenoszę wzrok na Rosjanina. Idę w jego kierunku. Myślę wyłącznie o jednym.

Typ stoi spokojnie, nawet kolan nie ugiął, wysunął tylko lewą nogę do przodu, co oczywiście nic nie znaczy, bo załatwię go bez kłopotów, dziad z niego, nikt więcej.

Na chwilę przed zadaniem ciosu przypominam sobie, że znam skądś tę gębę, a zwłaszcza oczy, duże, głęboko osadzone, jakby wepchnięte siłą pod grube brwi i przedzielone przez mięsisty kinol, no gdzieś jeszcze widziałem tego faceta, nie tylko w Fernandzie, wydaje się wręcz niepokojąco znajomy, zwłaszcza jak stoi sobie i czeka, aż mu wpierdolę.

Dochodzę na pełnej kurwie, wypuszczam lewy prosty i zamierzam poprawić prawym sierpowym, to jednak nie następuje, bo Rusek odsuwa się płynnie jak na łyżwach, mój cios trafia w próżnię, a ten dziad o zimnych, znajomych oczach ciągnie mnie za rękę, tak że sam lecę na pysk.

Leżę, nim pojmę, co jest grane, próbuję się poderwać, bo przecież dam sobie radę, wziął mnie chuj z zaskoczenia, nic więcej.

Obrywam kopa w głowę, Klara krzyczy.

Facet wbija mi kolano w środek pleców, chwyta za włosy, szoruje moim policzkiem po asfalcie, podnosi i dyszy mi prosto w twarz, jakby zbierał się do wyrażenia jakiejś nienawistnej myśli, nic jednak nie mówi.

Próbuję go dosięgnąć, biję słabo po torsie i uszach, jestem bezradny, nienawidzę bezradności, gapię się w te oczy, znam je, widziałem z całą pewnością, tylko gdzie, kiedy?

Rzuca mną jak workiem kości i odchodzi. Zdaje mi się, że nawet pogwizduje.

Klara zbiera mnie z chodnika.

O moim ojcu

Moim zdaniem wezwanie policji to idiotyczny pomysł, ale Klara wie lepiej.

Na komendzie mają ciemnopomarańczowe ściany i pobielane kraty w oknach, szafki i biurka z lat dziewięćdziesiątych, przy jednym takim siedzi jakiś młodszy aspirant i niespiesznie klepie zeznanie na ciężkim laptopie.

Pomijam ojca, Jedunowa, ufoludki i całą resztę, wspominam tylko, że ten Rosjanin zjawił się w naszej knajpie z pendrive’em pełnym zdjęć syna, nie wiem, kim jest i dlaczego przyszedł, sam nowotwór pozazdrościłby mi kłamstwa.

Rwie mnie obita gęba i szwy założone przez pielęgniarkę.

Olaf spędza godzinę z policyjnym psychologiem, bawi się klockami, układa schematy z kartonów, na których są jacyś uśmiechnięci ludzie

w długich płaszczach, ale nic nie mówi.

W domu pyta, czy zamówimy pizzę, i siada do ceesa, po chwili słyszę, jak śmieje się i krzyczy do kolegów przez słuchawki. Siła drzemiąca w dzieciach jest zdumiewająca. Klara daje do pralki jego oszczane spodnie i pyta, dokąd wychodzę.

Do matki, to chyba jasne. Muszę wiedzieć, jak przebiegła operacja.

W tej właśnie nieprzyjemnej chwili następuje rozmowa o mojej głupocie. Ściągnąłem nieszczęście na żonę i syna, a teraz się zmywam. Zostawiam ich po wszystkim, co zaszło.

– Są telefony, Dustin. Zadzwoń do szpitala, udzielą ci informacji. Poza tym i tak nie wpuszczą cię przecież do Heleny – mówi moja żona bardzo spokojnie i trzaska drzwiczkami pralki.

Tłumaczę, że nie lecę do knajpy i kumpli, bo nie mam kumpli, wybrałem rodzinę, pragnę odwiedzić matkę, każdy dobry syn by tak zrobił. Poza tym przecież wszystko się dobrze skończyło. Olaf wrócił, nie było go może dwie godziny, teraz gra i rży.

Wkładam buty, Klara blokuje sobą drzwi, odsuwam ją jak snopek, ona jednak wpycha się z powrotem i ja wtedy, tak bardzo niepotrzebnie, unoszę zaciśniętą pięść, biorę zamach i zwalniam tuż przed jej zdumioną twarzą. Nie biję jej, nigdy bym tego nie zrobił, opuszczam rękę i znów przesuwam żonę, robiąc sobie przejście. Jej krzyk słyszę nawet w windzie.

Taksówka, deszcz, skowyt psów w żołądku.

Ja to wszystko naprawię.

W szpitalu lekarz nie chce mnie wpuścić, mówi, że operacja przebiegła prawidłowo, matka potrzebuje odpoczynku, poza tym czy my przypadkiem nie przesadzamy z tymi wizytami? Tę ostatnią uwagę puszczam mimo uszu, co niedługo okaże się błędem.

W tej chwili interesuje mnie wyłącznie spotkanie z mamą. Naciskam, proszę o pięć minut, mam skórę zdartą z ryja po starciu z chodnikiem, chyba próbuję podskakiwać w miejscu. Lekarz wreszcie mnie wpuszcza.

Mama leży na wznak, podobna do mumii wygrzebanej z torfu: czarne powieki, brązowe dłonie, pomarszczone, zapadnięte policzki.

Siadam przy niej, zrzucam kurtkę, bluzę. Odkładam torbę z komputerem.

Nie zdjąłem jej, tej torby, odkąd pobiegłem za Olafem.

Próbuję zrównać swój oddech z oddechem mamy, najchętniej położyłbym się przy niej i zasnął jak ponad czterdzieści lat temu, różowy obwarza-

nek, co wciska się na powrót do łona.

Boję się, że ją zdruzgoczę, taka jest krucha. Poci się przez sen. Oboje się pocimy.

Myję dłonie i wkładam pod kran ręczniki papierowe, korytarz szpitalny ciągnie się w głąb własnej trupiej siności, światła z uchylonych drzwi są jak zwiastuny upiorów. Ocieram delikatnie czoło mamy, a ona otwiera oczy i zaraz je mruży, jakby wypatrywała czegoś we mgle. Kochana dłoń przywiera do mojego policzka, do świeżej rany.

Przytulam ją ostrożnie, a ona obejmuje mnie, przyciąga, skubie mi wargi palcami, bada brwi, podbródek, uszy, jej oczy rozszerzają się ze zdumienia, całuje mnie całkiem inaczej, niż powinna.

– Kola. Mój Kola – szepcze i zatrzymuje moją twarz w dłoniach.

Umiera we śnie parę godzin później.

NOC DZIESIĄTA

1975 i później

czwarty

piątek

października

2017

O duchach

Jestem zupełnie spokojny.

Lekarz mówi, że mamie stanęło serce. Badali je, dopuścili warunkowo do operacji, ponoć takie rzeczy się dzieją, w sumie niczyja wina, wie pan, w tym wieku to możliwe.

Wydaje się dwa razy mniejsza niż za życia, dziewczynka, dziecko w worku pomarszczonej skóry, z ostrym, żółtym nosem i rozchylonymi ustami, które jej zaraz zaszyją.

Dostaję akt zgonu, nie wiem, co z nim zrobić.

Mamę zakrywają prześcieradłem, wyjeżdża, poczeka w lodówce, aż znajdę zakład pogrzebowy. Spalę ją i wsadzę do ziemi u nas, na Witominie, tam, gdzie leży też wójt Radtke, ten sam, co straszył w kamienicy na 10 Lutego, wyobrażam sobie teraz mamę jako ducha.

Jest młoda, piękna, zasuwa widmowym kabrioletem w towarzystwie upiornych kochanków, sączy whisky sour destylowane w zaświatach. Tańczy w knajpach, które już nie istnieją, w Stylowej i Inter-Clubie, gdzie kelnerki w białych bluzkach wciąż roznoszą plastry szynki konserwowej, gra jej Paul McCartney i śpiewa Kiepura, trwa to, aż nadejdzie świt.

Jej dźwięczny, bezwstydny śmiech budzi gości w Domu Marynarza, strzela korek od szampana, woń papierosów dostaje się na korytarz, w szparze pod drzwiami widać światło, ale gdy ochrona hotelu wchodzi do środka, odkrywa, że pokój jest pusty.

Mama życzyła sobie kremacji, wymusiła przysięgę, że wsadzę ją w ogień. To żądanie stanowi zresztą bolesny kompromis jej rozliczenia z wiecznością.

Tak naprawdę chciała, żeby wystrzelili jej prochy z armaty nad Bałtykiem. Mówiłem wtedy, że polskie prawo nie pozwala na takie cuda, zresztą skąd ja ci, mamo, wezmę działo, zarobiony jestem.

W odpowiedzi wymyśliła sobie drzewo na własnym grobie, w miejscu attyki, takie jebutne, buk czy nawet kasztanowiec, niech ciągnie z ziemi wodę zmieszaną z prochami i rośnie piękniej od jej marzeń o wspaniałym życiu, zamieszkane przez kosy, pliszki i srebrne wiewiórki z Ameryki. Przypomniałem, że żyjemy w Polsce, przyjdzie jakiś chuj i każe ściąć to drzewo, bo mu grób babci, co jest obok, rozpycha korzeniami.

Zażądała wobec tego, żebym wyrzucił ją na śmietnik, prosto ze szpitalnego łóżka, może bezdomni rozdrapią ją na narządy, mówiłem wtedy, co ty opowiadasz, mamo.

Bała się ziemi, wiecznego mroku urny.

Dzwonię do Klary, nie odbiera, Olaf też. A więc to rzeczywiście się dzieje. „Nie ręczę za siebie”, napisała mi Klara, a ona w takich sprawach nigdy nie żartuje. Zastanę swoje rzeczy na progu, dziś w ogóle jest dzień rzeczy, bo muszę jeszcze posprzątać po matce, zresztą co Klara może właściwie wyrzucić, z pięć par spodni, garnitur, swetry, dresiwo, podkoszulki, kosmetyki, niczego nie zbieram, nawet konsola jest dziecka, choć niby kupiłem ją dla siebie, myśmy wszystko mieli wspólne, budowane razem, z pracy i oszczędności, nie było mojego, tylko nasze, te rzeczy, co na pewno czekają pod drzwiami, są jak strup zerwany przedwcześnie z ciała, które przestało należeć do mnie.

Myśl o pustce, o braku matki, Klary i syna, jest niedorzeczna i pewna jednocześnie. Świat się skończył. Jestem zupełnie spokojny.

Ten spokój kiedyś dobiegnie końca, poruszam się w nim elegancko, wykorzystuję, póki trwa. Mam jeszcze coś do zrobienia.

Na dobry początek rzeczy mamy, muszę zwolnić salę. Wyrzucam sreberka po czekoladzie, folijki po rafaello i żelkach z owocowym wsadem, w ostatnich dniach opychała się słodkim po kokardki. Z kieszeni szlafroka wyjmuję ramkę fajek i przekładam papierosy do swojej. Pod łóżkiem czeka skórzana torba, w niej lądują pidżamy, pantofle, szlafrok, spodnie i bielizna, kosmetyczka i komputer, tylko płaszcz już się nie mieści, choć wpycham, dociskam kolanem, zaraz zamek strzeli, w końcu zamykam torbę i płaszcz kładę na jej wierzchu, po czym uświadamiam sobie, że te wszystkie rzeczy już nigdy nie będą nikomu potrzebne.

Soczki, herbatniki, wodę lekko gazowaną grupuję na brzegu szafki, niech ktoś je sobie weźmie, w końcu pytam sąsiadkę, tę drugą pacjentkę, czy chciałaby z nich skorzystać. Odmawia. Głupio, próbowałem jej wcisnąć ostatni posiłek zmarłej.

– Ten pana kuzyn czy ktoś to nieprzyjemny człowiek, po co w ogóle przyszedł? – pyta i dodaje spokojnie: – Pana mama chyba się go bała.

Przypominam sobie: lekarz wspomniał, że przesadzamy z odwiedzinami, wtedy zabrakło mi do tego głowy, dopytuję, co to za facet, jak się przedstawił, czego chciał i tak dalej, dostaję odpowiedź, której mogłem się spodzie-

wać: pan po sześćdziesiątce, zadbany, więc może być ciut starszy, w skórzanej kurtce, ruszał się jak żołnierz.

– Posiedział tylko chwilę, nie słyszałam, o czym rozmawiali. Poszedł, nie minęło parę godzin, a ona umarła. Nie powinni go tu wpuszczać, nie powinni.

O lodówce

Nad Świętojańską lecą druty trakcji trolejbusów i tężeje niebo, po drugiej stronie ulicy lśni szklane dziwadło, nowy budynek, w którym mieści się centrum informacji miejskiej i świeżo otwarta śniadaniownia. Po prawej bieleje wieża kościoła, nikogo, niczego, tylko taksówka mknie przez kałuże, wypalam papierosa i otwieram Fernanda.

Wyrzucam niedopałek, czekam, aż dym się rozwieje, i dopiero wchodzę.

Klara nie zdążyła zmienić zamków i pewno tego nie zrobi, co nie ma żadnego znaczenia, żegnam to miejsce z zupełnie innego powodu.

Wewnątrz pachnie detergentem i słabą wonią spalonego tłuszczu.

Przyglądam się naszym stolikom o blatach z drewna i czarnych, stalowych nogach, ściągaliśmy je po taniości aż z Elbląga, bo tam padła knajpa z tajskim żarciem i nie mieli co z nimi zrobić, wypożyczyłem takiego dostawczego fiata, powiązaliśmy te stoły pasami, ale i tak się tłukły, bałem się, że przy hamowaniu taki wpierdoli się do szoferki, a jechałem ostro, dostawczak był wypożyczany na godziny.

Wita mnie nasza ściana z żywej, czerwonej cegły, kiedyś zastana w ruinie, Klara doradzała płytki klinkierowe, ja wiedziałem lepiej i dobrze, szkoda, że teraz tak nie ma, w każdym razie oczyściłem ją, tę ścianę, najpierw drucianą szczotką, potem krążkami papieru ściernego na wkrętarce, starannie przetarłem wilgotną ścierką, kiedy wyschła, nałożyłem zaprawę, impregnat, no i jest.

Z głową byka, co wisi na tej ścianie, była jeszcze inna historia, bo Klara przyleciała do mnie, że w sklepie ze starociami na Kostki Napierskiego czeka właśnie taki, byczy łeb, bawola czaszka zwieńczona przez imponujące rogi, oczyszczona i śliczna. Dwa koła za to cudo chcieli, więc oznajmiłem, że nie, no skąd, jesteśmy już pod kreską i będę tłukł hamburasy do końca świata, żeby spłacić te długi, a Klara powiedziała, jak to ona umie, że skoro tyle kasy poszło w ten interes, w to piękne i katastrofalne marzenie,

to dwa kafle nie zrobią różnicy, no i mamy ten olśniewający łeb, majestatycznie sobie wisi.

O strzałkę koło głowy dla odmiany pożarliśmy się okropnie, pewno też dlatego, że lecieliśmy oboje na pysk, na ostatniej prostej mieliśmy dosyć siebie, tej knajpy, w każdym razie Klara wymyśliła sobie wielką, świecącą się na żółto strzałkę wycelowaną w bar. Odmówiłem, bo chciałem, żeby ceglana ściana była pusta, tylko z tym byczym łbem pośrodku.

Złościłem się, że na chuj ta strzałka, skoro bar jest dwa metry obok, czy jakby stał tutaj cały byk, żywy i z kółkiem w nosie, to też by wbiła w te piękne czerwone cegły oślepiający neon z napisem „oto byk”?

Klara odpowiedziała, że ludzie są niewyobrażalnie głupi, durni jak wiadra gruzu, jak te cegły właśnie, więc tak, nie zauważą baru i będą się kręcić po knajpie podobni do oślepionych gawronów, zwłaszcza jeśli najebią się przed południem, co u nas przecież się zdarza.

Przed taką prawdą należy przyklęknąć i strzałka jaśnieje teraz w spowitej mrokiem sali.

Idę za bar, sprawdzam czystość wierzchem dłoni, zachodzę na zaplecze, do kuchni i chyba użalam się nad sobą. Czuję się jak król z wizytą na ziemiach straconych po przegranej wojnie.

Nad ladą po staremu stoją minilodówki pełne półproduktów. Sprawdzam listę temperatur, powinienem ją uzupełnić na wypadek kontroli sanepidu i rzeczywiście to robię, nanoszę cyfry z dupy, tak żeby były, sprawdzam nawet tłuszcz pod okapem, skrobię palcem, walka z nim nie ma sensu, natychmiast wróci.

Przy grillu leżą równo szczypce, łopatki i szczotka.

W ten sposób docieram do moich noży wiszących na listwie magnetycznej. Jest nóż do ostryg, do serów, do filetowania, do błon i ścięgien, wreszcie mój ukochany, wysłużony nóż szefa kuchni, pierwsza rzecz, na którą naprawdę oszczędzałem, o mocnym drewnianym trzonku i szerokim ostrzu.

Tnie mięso niemal bez wysiłku, ono właściwie samo otwiera się czerwienią pod jego delikatnym naciskiem, ostrze odsłania gęste struktury włókien i babie lato tłuszczu, sprężynuje ospale niby kot turlający się w słońcu, od tego właśnie są prawdziwe noże, musztrują mięso, zmuszają do posłuszeństwa.

Chowam go w przegródce specjalnej torby na noże, którą trzymałem w szafce.

Nie zamykam jej na zatrzaski i przewieszam przez ramię. Dynda przy biodrze.

Trenuję wyjmowanie noża tak długo, aż robię to jednym szybkim ruchem.

W Fernandzie mamy sześć mniejszych lodówek umieszczonych na półkach oraz ogromną chłodnię na mięso. Otwieram ją i opróżniam. Zamrożone antrykoty, ozory, polędwice i rostbefy tłuką się o podłogę, obsypując ją okruchami lodowego pyłu, kto by pomyślał, w tym roku Gwiazdka przyszła wcześniej.

Zajmuję ich miejsce. Zsuwam na siebie wieko i tak zalegam w mrozie, który aż boli, nie widzę nawet własnych palców, splatam je na piersi, oddycham głęboko, jestem bliżej snu i śmierci niż kiedykolwiek wcześniej i wiem, że jeśli sięgnę obok, natrafię na dłoń mamy.

O znajomych oczach

Jadę na Kamienną Górę, Gdynia jest pusta i mokra od deszczu, mijam rzadkie obłoki mgły i lochę z warchlakami, domki dwurodzinne, gdzie nikomu nie wali się życie, szkoły ciche i bezpieczne i trzęsące się tuje.

W drzwiach wejściowych willi rozpierdolono wszystkie sześć zamków, szybko padła twierdza mamy.

Ubrania wywleczono z szaf, wyłamano ścianę kryjówki, gdzie w razie czego miałem się schronić. Na podłodze w sypialni leżą książki, kuchenna podłoga cała jest w garnkach i sztućcach, wysypano nawet cukier, sól, kawę i przyprawy ze słoików.

Znajduję rolki dolarów wydobyte z drzwi, złote sztabki i pierścienie leżą wśród rozjebanych płytek w łazience, skurwysyn tym wzgardził, szukał czegoś innego.

Papiery z biurka zniknęły. Nie ma zdjęć, kopii listów, wycinków z gazet zgromadzonych przez mamę, ocalało tylko to, co mam przy sobie.

Robię obchód mieszkania, brodzę w rzeczach. Zamykam drzwi wejściowe na zasuwę, jej jednej nie zniszczył. Zbieram kawę z podłogi, przesiewam przez sitko, by sprawdzić, czy nie ma w niej szkła, i parzę w ekspresie.

Siadam przy stole, podłączam komórkę do ładowania, pewny, że zaraz zadzwoni. Otwieram komputer. Muszę dokończyć historię mojej mamy,

opowieść Heleny, a także swoją własną. Mdli mnie po pierwszym łyku. Idę do łazienki i puszczam pawia jak po jabolu, ochlapując złoto.

Płuczę usta, obmywam twarz i przyglądam się sobie w lustrze.

Schudłem to mało powiedziane.

Objawienie spada nagle z miażdżącą pewnością.

Już wiem, skąd znam oczy człowieka, który przyszedł do Fernanda, porwał mi syna, pobił i najpewniej zamordował matkę, przecież widywałem je od zawsze, nawet o tym nie wiedząc, jesteśmy raczej odmienni, ale oczy mamy właściwie identyczne, odziedziczone po ojcu.

Niczym się nie różnią, oczy moje i mojego brata Jurija.

O zmarłych

Telefon dzwoni szybciej, niż przypuszczałem, najwidoczniej Jurij ma krótki lont, zupełnie jak ja.

Jest prawie trzecia nad ranem, siedzę przy biurku, obok leżą puste, wyrwane szuflady, popijam zimną kawę i palę papierosy po matce, za oknem wiatr tarmosi koroną kasztanowca.

Z wibrującą komórką w ręce klękam przed szklanym barkiem, tam zakurzone butelki wina i kilka pootwieranych flaszek: likier kawowy i jajeczny, orzechówka, koniaki i brandy, za nimi szkocka jeszcze z banderolą.

Odbieram, szukając szklanki, która byłaby czysta, a do tego nie stłuczona.

Jurij posługuje się twardą, prostą angielszczyzną, brzmi trochę jak translator mowy puszczony przez stare głośniki. Słucham o tym, czego chce, co powinienem zrobić. Przerywam, mówię tak po prostu:

– Witaj, bracie.

Faceta zatkało.

W tej krótkiej, przyjemnej ciszy przechylam szklankę, wyczuwam nawet delikatny smak ziemi i rozgrzanego torfu, co ginie zupełnie w starciu z mocarnym strzałem rozkosznego alkoholu, zalewam sobie gardło tym pożywnym ciepłem i słucham, jak Jurij próbuje odzyskać kontrolę.

Powtarza swoje żądanie, już mniej pewnie.

Proszę, żebyśmy porozmawiali, w końcu jesteśmy braćmi, mała pogawędka nie zaszkodzi. Pytam, dlaczego nas tak krzywdzi. Mogę jeszcze zrozumieć, że zamordował Helenę, choć nie wybaczę tego i zabiję go prędzej

czy później. Rozbiła mu rodzinę. To powód do zemsty, no może, ale po sześćdziesięciu latach?

On się nie mści, słyszę, on dochodzi sprawiedliwości.

Mogłem nie zamieszczać ogłoszenia w sieci, ale skoro je przeczytał, to znaczy, że obserwował od dawna mnie, matkę, Fernanda, interesował się i tropił.

Szklankę napełniam do połowy, piję sportowo, spłaszczają się lęki. Domyślam się, że Jurij czeka gdzieś niedaleko willi i może nawet przelazł przez siatkę. Z nylonowej torby wyjmuję swój nóż szefa kuchni, znamy się od lat, przygotowałem z jego pomocą urodzinową kolację dla mamy, kiedy skończyłem zawodówkę, chciałem, aby wiedziała, że się nie pomyliłem.

Światła pogaszone, chodzę od okna do okna, spoglądam na ogród i ulicę, samemu będąc niewidocznym, ale nie umiem wypatrzeć Jurija.

Uświadamiam mu, że jeśli mam spełnić jego szczególną prośbę, jeśli oddam mu kosmiczny skarb, potrzebuję gwarancji bezpieczeństwa. Niech pojedzie na molo w Orłowie i nagra tam filmik, wypowiadając dokładną godzinę, koło chuja mi lata, że zimno i wieje.

Jeśli zbliży się do mojej rodziny, nie dostanie niczego, załatwmy to między sobą, mówię, i Jurij się zgadza.

Powtarzam pytanie. Czemu nas prześladuje? Z Klarą i Olafem nie wyrządziliśmy mu żadnej krzywdy.

– Zabrałeś mi życie – odpowiada głosem brzęczącym z translatora. – Ja byłem synem zdrajcy. Nasieniem zdrajcy. Masz swoją knajpę i rodzinę. Naprawdę nie rozumiesz, co to znaczy odbijać się od każdych drzwi. Musiałem się starać za dziesięciu i miałem sto razy trudniej, bo ojciec nasrał na ojczyznę i nas wszystkich wystawił, a ty co? Dobre życie troskliwego synka. Zamknęli mi matkę, zaszczuli, aż się powiesiła.

Rozgrzany alkoholem mam ochotę mu powiedzieć, żeby się nie mazał, poza tym chyba poradził sobie całkiem nieźle, skoro pracuje w służbach, sam z siebie raczej tutaj nie przyjechał. Chyba nawet udaje mi się zmilczeć tę mądrość, temat stoi na ostrzu noża, nóż trzymam w kieszeni.

Przyjmuję ofertę brata, ustalamy szczegóły spotkania, następuje ostatnia, przykra chwila ciszy, gdy czekamy, który pierwszy się rozłączy.

O nowych skórach

Nazywam się Dustin Barski, urodzony, jak się okazało, w Stanach, ciągle mąż Klary, zawsze ojciec Olafa, jeszcze do wczoraj kucharz w stekowni Fernando na ulicy Świętojańskiej w Gdyni.

Ale też.

Nazywam się Nikołaj Siemionowicz Narumow vel Stan Barski, urodzony pod Leningradem, kapitan drugiej rangi radzieckiej marynarki wojennej, głównodowodzący na niszczycielu „Śmiały”, agent Centralnej Agencji Wywiadowczej, ale i radzieckiego Głównego Zarządu Wywiadowczego, ojciec Dustina i mąż niedawno zmarłej Heleny.

Wygląda na to, że wszystko, co napisałem, może być niczym więcej jak listem pożegnalnym, o zgrozo, testamentem.

Przeczuwałem sensowność tego pisania, sądziłem tylko, że odsłoni się w przyjemniejszy sposób. Dokończę i pójdę do Jurija.

Wróćmy jeszcze do Ameryki.

Jedunow zajmował dom na przedmieściach Rockville w stanie Maryland, oddalony od drogi i nieco ukryty między drzewami, podobnie jak ten nasz w Crofton. Brązowe dachówki zachodziły na okna jak czapka na ślepia bandyty, który tam mieszkał.

Helena zwlekała z wizytą, no bo ja, no bo był Dustin. Nie idziesz na wroga z niemowlakiem na ręku.

Zresztą potrzebowała czasu, żeby stanąć na nogi.

Zatrudniła opiekunkę i pracowała w gabinecie z przerwami na karmienie. W weekendy czasem wybierała się nad zatokę, sama z wózkiem, brała Dustina na ręce i szła w las, ten sam, po którym chodziłem z Burbonem.

Jeździła na nowe filmy z synem na tylnym siedzeniu, kupiła też adapter i puszczała mnóstwo nowej muzyki, Eltona Johna, Bee Gees i Roda Stewarda. Widzę ją, jak wiruje do *Rocket Man* w wielkiej, pustej kuchni, z berbeciem w tetrowej pielusze, trzymanym nad głową w wyciągniętych ramionach. Ma fryzurę jak z *Aniołków Charliego* i paznokcie pomalowane każdy na inny kolor. Nosi wielkie kolczyki i wielobarwne sukienki, i znów błyszczą jej się oczy.

Minęło półtora roku i choć nigdy by się nie przyznała, jak nic zaliczyła w tym czasie parę randek i pewnie wzięła kwasa. To także widzę bardzo wyraźnie.

Buja się z artystą, takim prawdziwym, co pachnie mokrym lasem, pali fajkę i cytuje z pamięci poematy bitników. Po kolacji jadą w pobliże lotniska.

Helena wkłada papierek pod język, przeskakują przez siatkę i gnają pasem startowym, rozkładają ramiona, moja żona i ten poeta, naśladują wybuchy, wystrzały i wrzaski pilotów. Zapada noc, lecz asfalt pozostaje ciepły od słońca.

Zwiozdoczka próbuje strącać gwiazdy, co wiszą nisko jak jabłka, porywa do tańca drzewa i kolorowe awionetki, aż wreszcie upada na trawę, on obok niej, i gadają o niebie nad nimi. Kto tam mieszka? Czy widzą ich tam teraz z Syriusza?

O świcie odwozi go do domu. Taką ją widzę: jedzie z oczami jak koła młyńskie i nieprzytomnym hipisem na tylnym siedzeniu, ma czarne stopy, beret przekrzywiony na mokrej czuprynie, a światła miasta odbijają się w jej olbrzymich źrenicach.

Myślę, że już nie chciała, abym wrócił.

O nienawiści

Minęło wiele miesięcy, nim znów zainteresowała się Jedunowem.

Był ostatnią szansą na poznanie prawdy, bała się, że ją utraci, nie wiedziała też, jak go podejść.

Obserwowała dom w Rockville przez lornetkę. Za każdym razem wypożyczała inne auto, bardzo rozsądnie, choć widzę ją też, całkiem fałszywie, jak wdrapuje się na drzewo, obłapia udami gałąź i obserwuje dom wroga, odganiając się od wiewiórek. W tym czasie Dustinem zajmowała się opiekunka.

Jedunow mieszkał sam i cieszył się życiem, a Helenę krew zalewała za każdym razem, gdy opuszczał ten dom pięknie ubrany, w ciemnej marynarce i pod kolorowym krawatem, gdy wsiadał do chevroleta i ruszał z chromym łokciem wystawionym na okno, gdy wracał po nocy, strzelał niedopałkiem na trawnik i pogwizdywał między podjazdem a drzwiami.

Nienawidziła, że ten człowiek jeździ sobie na zakupy, wypakowuje z samochodu kartony wina i mrożone krewetki, sam fakt, że chodził do sklepu i ktoś tam sprzedawał mu jedzenie, że fryzjer go strzygł, a barman lał alkohol, był w jej oczach czymś skandalicznym.

Szalała z wściekłości, bo Jedunow sprzątał jak całkiem zwyczajny człowiek, który nigdy nie zrobił nikomu nic złego, po prostu wynosił worki ze śmieciami do koszy przed domem i jak gdyby nigdy nic otrzepywał dłonie.

Nikt nie odwiedzał Jedunowa, żadne kobiety ani koledzy, nawet człowiek od kosiarki nie przekroczył progu, gospodarz sam mył okna, z gąbki ciekło mu na koszulę.

To musiała być pierwszorzędna lornetka.

Przed spotkaniem spisała swoje zeznania raz jeszcze, dodała zdjęcia, kopie listów, nawet historię o pojedynku na harpuny, od którego wszystko się zaczęło. Te papiery są teraz w rękach Jurija.

W końcu stanęła na progu, w ciemnych okularach i z torebką pod pachą. W torebce miała paczkę papierosów po ojcu, w paczce aparat fotograficzny.

Jedunow nie okazał zdziwienia, zapewne wiedział, że Helena w końcu go odnajdzie. Cofnął się i wpuścił ją do środka.

Tego dnia miał na sobie koszulę barwy stali, ciemne spodnie rozszerzane u dołu, ciężki zegarek i gruby łańcuch na żylastej szyi. Nawet bezwładną rękę zdobiły pierścienie.

Poruszał się jak łyżwiarz, dosłownie tańczył wokół Heleny, trzęsąc nogawkami. Delikatnie zdjął jej płaszcz i puścił przodem, pokazał drogę w głąb domu.

Pachniało tam kurzem i tłustym jedzeniem.

Dywan w cętki małpował lamparcią skórę, ciężkie, brązowe zasłony blokowały dostęp światłu, był też rozpalony kominek wyłożony kamieniami. Żyrandol zrobiony z koła sterowego przywoływał wspomnienie morskich wyczynów lokatora.

Rzeczywistą, ważniejszą pamiątkę Jedunow przyciskał do biodra, ręka jakby skurczyła się i uschła. Cała sylwetka od jej martwoty zdawała się wyginać w łuk.

Helena patrzyła, przerażona i rozbawiona jednocześnie, jak się morduje, zdrową ręką otwierając wino, butelka skacze po blacie, nie słucha i kręci się cała razem z korkiem.

Usiadła na półokrągłej sofie barwy wczesnej jesieni, na szklanym stoliku położyła paczkę lucky strike’ów. Dyskretnie wyjęła z torebki papierosa.

Jedunow powiedział, że bardzo się cieszy z tej wizyty, bo znają się całe lata, a nigdy nie rozmawiali dłużej, wreszcie zdarzyła się okazja, aby to zmienić. Jeszcze nie jadł kolacji, chętnie coś przygotuje, w sumie rzadko miewa gości.

– Gdzie jest mój mąż? – zapytała Helena.

Jedunow udał głupiego. Dał do zrozumienia, że jest teraz zwykłym obywatelem Ameryki, sprawy zimnej wojny, walk wywiadów pozostawił za sobą, po prostu cieszy się życiem.

Helena odparła, że nie oczekuje wiele, nie łudzi się też, że kiedykolwiek do niej wrócę, chciała po prostu wiedzieć, co zdarzyło się w Wiedniu i potem. Żyję czy mnie zabili? Jest wdową czy porzuconą? A jeśli żyję, to gdzie? Tego właśnie chciała się dowiedzieć, moja Zwiozdoczka, moja martwa Helena.

Równocześnie wodziła wzrokiem po zagraconym salonie, bawiła się paczką papierosów z aparatem fotograficznym w środku, niby taka przejęta i nerwowa.

Jedunow, ten król szczurów, odparł, że może coś pomóc, jednak za chwilę, zjedzą i porozmawiają spokojnie, nalał wina i zabrał się do ryby w warzywach.

Na kuchni rozstawił garnki i patelnie. Kroił pory i brokuły w trzasku i eksplozjach gorącego tłuszczu. Bez tej ręki pomagałby sobie nosem, gdyby tylko mógł, i jeszcze żartował, że zdziczał przez lata kawalerskiego życia, gotuje prosto, lecz smacznie, bardzo nie chciałby zawieść mojej Helenki.

Pięknie go urządziłem tym harpunem.

Wspominał mnie i przeklinał zawsze, gdy wiązał sobie buty, prowadził auto albo rozpinał stanik, gdy zakładał majtki i zapraszał do tańca. Mamrotał wtedy wściekle: jebany Narumow.

Helena cierpliwie czekała i robiła zdjęcia za każdym razem, gdy Jedunow się obrócił.

Na półkach, parapetach i szklanym stoliku leżały książki o kosmosie, cywilizacjach pozaziemskich i reinkarnacji na innych planetach, o ziemiach Egipcjan i Sumerów, o bezludnych miastach w Mozambiku, których pochodzenia nie znamy, i o Atlantydzie.

Oglądała, cykała ukradkiem zdjęcia, licząc klatki, a tymczasem Jedunow przekonywał, że nigdy nie chciał mnie skrzywdzić, po prostu tak wyszło, w sumie niepotrzebnie uciekli, przecież by im pomógł.

Zaczęła się przechadzać po salonie. Otwierała kolejne książki, niby z takiej znudzonej ciekawości. Były tam szklice postaci w niezgrabnych skafandrach i spodki uchwycone na ziarnistym niebie.

Jedunow podkreślał jakieś bzdury o latających cygarach i podróżach na Wenus, uwielbiał też zakładki.

Zapytała go, tak lekko, czy ma syna. Nie wiedział, o co chodzi.

Wyjaśniła, bystra i śmiała, najwspanialsza dziewczyna świata, że takimi rzeczami zazwyczaj interesują się dzieci. Jedna taka pacjentka ma dziesięcioletnie bliźniaki, przynoszą komiksy do gabinetu i fantazjują o Marsjanach nawet z wiertłem w buzi.

Jedunow odparł lodowato, że to poważne sprawy są, nie ma z czego żartować. Helenka zachęciła go, niech mówi dalej, ona chętnie się dowie.

Obrócił rybę na patelni i zaprosił ją do gabinetu. Wyglądał, jakby kotłowała się w nim nieśmiałość i duma.

Miał tam biurko godne admirała, widywałem takie, przysypane przez dokumenty, zdjęcia i notatki. Skoroszyty leżały na półkach, były też teczki wiązane na supły, dwie szafy, zwykła i pancerna, oraz drzwi z mnóstwem zamków. Całkiem jak u nas w Crofton.

Śmierdziało starym mężczyzną. Jedunow musiał w kółko tam przesiadywać.

Helena zapytała, nad czym tu pracuje. Przejęty zaczął pokazywać jej najróżniejsze cuda związane z innymi światami: fotografie statków kosmicznych, podobne do tych w książkach, ale oryginalne, zeznania uprowadzonych przez kosmitów, biedaków, którym zabrano pamięć i wolę, za to pozostawiano implanty w nosie, wystukane na maszynie świadectwo kierowcy ciężarówki, który dostrzegł słup atomowego ognia, a potem cofnął mu się czas, opowieść kobiety, która jechała hotelową windą w towarzystwie osobnika bez nosa i ust, sny dzieci o pierścieniach dalekich planet i raporty o oszalałych radarach z bazy w Waszyngtonie w maju pięćdziesiątego drugiego.

Zdaniem Jedunowa istnienie obcych cywilizacji jest faktem, z którym należy się liczyć, sam prezydent Truman poświadczył ich istnienie, USA i Kanada dogadały się nawet w sprawie badania nieznanych obiektów latających.

Już w latach czterdziestych Amerykanie teleportowali cały okręt, skądinąd niszczyciel, mówił Jedunow. Stało się to w Filadelfii. Użyto kosmicznej technologii, tej samej, którą Hitler wykorzystał do budowy swoich

rakiet. W każdym razie ten niszczyciel osnuł się mgłą i zniknął, by powrócić w to samo miejsce parę godzin później, nienaruszony, w pełni sprawny, tyle że załoga oszalała albo wrosła w statek: głowy, dłonie i nogi marynarzy zespoliły się z okrętem.

Helena potakiwała i trzepotała rzęsami, a Jedunow wydobył z szafy pancernej stalową śrubę pochodzącą rzekomo z tego okrętu. Trzymał ją przed sobą i tłumaczył, że zrobiono ją z pierwiastków nieznanych na Ziemi.

Helena powiedziała w końcu, że to fascynujące, ale chyba właśnie przypala mu się ryba.

O drugiej dłoni

Jedunow przygasił światła, rozpalił świece i nakrył do stołu. Postawił na nim półmisek z rybą i ziemniakami. Gestem zaprosił Helenę, by zajęła miejsce. Dolał jej wina i perorował, jakby z ust zamiast kłamstw leciały mu złote rublówki.

Znam takich. Chodziło o coś więcej niż seks ze śliczną wdówką, może nawet nie o zemstę. Najbardziej na świecie chciał być mną, Nikołajem Siemionowiczem Narumowem. Łaknął mojej siły, mojej odwagi, zgodziłby się nawet na zęby wypadające z głodu, na gotowany lód i żucie buta, uciekłem z niemieckiej niewoli, on nie uciekł, byłem w kompanii karnej, on nie był, bo wojnę przesiedział w Moskwie i nie dowodził nawet własnym chujem, a co dopiero niszczycielem.

Zdobyłem najpiękniejszą kobietę w Gdyni, więc on też chciał ją mieć, bo dzięki temu w jakiś sposób stałby się mną.

Ludzie zmieniają się w ludzi, na przykład Dustin we mnie.

Na razie jedli elegancko, rozmawiali.

Helena zapytała go, co właściwie robi w Stanach, bo przecież nie pracuje już w ambasadzie i próżno go szukać na przyjęciach. Jedunow stracił humor i rzekł, że o tym mówić nie będą, ponieważ wykonuje różne ważne zadania o wielkim stopniu tajności. Ta informacja musi wystarczyć. Helena się śmiała.

Gdzie mój mąż, pytała, gdzie ja, Nikołaj Narumow?

W zamian Jedunow wydał z siebie kaskadę komplementów. To przecież wielkie osiągnięcie: skończyć studia w Ameryce, choć przyszła na świat w dziurze portowej w demoludach. Jeszcze otworzyła własny gabinet, pra-

cowała przez tyle lat, nawet w ciąży, nawet zaraz po urodzeniu dziecka. Jak się miewa syn? Czy rośnie zdrowo?

Helena jadła rybę i maskowała przerażenie.

Jedunow mówił o domu w Crofton, o pacjentach, o wyjazdach z brzuchem pod siedzibę Firmy. Wiedział o niej wszystko.

Powtórzyła swoje pytanie, żyję czy nie żyję, dopiero teraz odpowiedź stała się jasna: mieszkam, jak każdy ojciec, w swoim własnym synu.

Przypomniała, że nie przyszła tu dla zabawy, skoro Jedunow tak zna jej życie, to wie, jaka jest zajęta. Chce prawdy. Jakiejkolwiek. Usłyszy ją i pójdzie, więcej jej nie zobaczy.

Jedunow oczekiwał czegoś przeciwnego. Przechylił się przez stół, położył swoją dłoń na jej dłoni i rzekł z wesołością zbudowaną na grozie, że owszem, wie, co się ze mną stało. Nikomu o tym nie mówił. Helena jedna się dowie, jeśli da mu coś w zamian.

Czego chciał, łatwo się domyślić.

Cofnęła rękę, Jedunow obszedł stół i uklęknął przed nią. Dotknął kolana, szukał drogi do wnętrza ud. Helena miała jeszcze rybę w ustach.

Powiedział, że nie zrobi jej krzywdy, przeciwnie, wszystkie dotąd uszczęśliwił.

Zaległby na niej, ale brakło mu ręki, żeby się podeprzeć. Próbował całować, chwytał za biodro, szukał piersi przez bluzkę.

Odepchnęła go, był jednak ciężki, a gdy zawisł nad nią jak zmora, ze sprawną dłonią na brzegu stołu, krzyknęła, że prędzej poszłaby z małpą niż z taką pokraką, pewno ma pół chuja.

Uderzył ją pięścią w twarz. Rozszarpał bluzkę, chwycił flaszkę i chlusnął winem w twarz mojej Heleny. Kutas jej się nie podoba, to będzie butelka, na kutasa taka kurwa nie zasługuje. I zaraz zawył, jakby usiadł na rozżarzonych węglach.

Helena wbiła mu widelec w rękę, i to tak, że przeszedł na wylot.

Wstała, a on ciągle klęczał przed nią, ogłupiały z bólu i zaskoczony, z tą czerwoną łapą na wysokości twarzy. Patrzył na krew, na nieruchome palce tej jedynej ręki, co jeszcze chwilę temu była zdrowa.

Helena zabrała torebkę i aparat, wycofywała się w głąb domu. Ogłupiały Jedunow sunął na kolanach i przysięgał, że ją zabije.

Uderzyła go w pysk książką o Trójkącie Bermudzkim. Moja dzielna Zwiozdoczka, moja Helenka. Książka była pięknie wydana, ciężka, z mnó-

stwem zdjęć, twarda, oprawiona w płótno, została w niej dziura i pewnie jest do dziś – ślad po wybitych zębach Jedunowa.

O próbie sił

Poprosił o lekarza. I tabletki na serce z szafki w łazience.

Od tego zaczął, gdy odzyskał przytomność.

Leżał pod oknem, przywiązany krawatem do kaloryfera za rękę, tę niesprawną od harpuna. Helena chciała, by drugą miał ciągle przed oczami. Nogi skrępowała mu sznurem, fachowo, jakby pół życia spędziła na statkach. *Moja diewuszka!*

Zabrałem mu jedną dłoń, drugą kiedyś zmiażdżyłem, a teraz wzięła mu ją moja piękna, wspaniała żona.

Odparła, że rozważy te prośby, jak tylko pozna prawdę o mężu. Siedziała na krześle, bawiła się to zakrwawionym widelcem, to kluczami, które wyjęła z kieszeni Jedunowa, i paliła papierosa. Pykała. Przecież nie pali, tylko pyka.

Na stole obok stała fiolka leków na serce.

Jedunowowi z ust płynęła krew. Szarpał się, pokonany i wściekły, to miotał kurwami, to próbował brać na litość, i zarzekał się, że niczego nie powie, Helenie i tak przecież braknie odwagi, by go zabić.

Wtedy opowiedziała mu o Płatonie. Na łódce odwagi jej starczyło, a ponieważ zastrzeliła już tego głupiego donosiciela o dobrym sercu, to poradzi sobie z taką mendą jak Jedunow. Podsunęła mu też pod nos pęk kluczy. Powiedziała:

– Możesz żyć albo nie. Twój wybór.

Znów szarpnął się raz i drugi, ale opadł z sił. Poprosił o coś do picia, więc przyniosła szklankę wody i wlała mu ją do ust.

– Chcieliśmy go porwać do Moskwy – wychrypiał. – Znaczy, ja nie chciałem, tylko Jurij.

O światłach

Jedunow przerzucił ciało Amerykańca przez granicę. Czekało w kryjówce w południowo-wschodniej części Wiednia.

Pożegnałem się z żoną, włożyłem sztyblety, płaszcz z lamy i poszedłem pod kościół wotywny.

Wiatr wiał, strącał płomyk z zapalniczki.

Na stopniach przeczekałem jakieś dwadzieścia minut w towarzystwie Kate, z którą kiedyś spałem, a może nie spałem, trudno powiedzieć. Nie potrafię też określić rozmiaru własnego strachu i wstydu, przecież miałem zobaczyć Jurija.

Myślę też o delikatnym śniegu zalegającym przed kościołem, o jego posępnym wnętrzu rozjaśnionym przez świece, o bożonarodzeniowych lampkach na budynkach uniwersyteckich nieopodal i ciemnym parku, gdzie między drzewami gęstniały cienie.

Miałem broń w kieszeni i papierosa w ustach.

W końcu podjechał volkswagen, z volkswagena wysiadł Jedunow, przywitaliśmy się bez uścisku dłoni i pojechaliśmy do tej kryjówki. Za nami sunął Walter i jego ludzie w furgonetce.

Kierowca Jedunowa dodał gazu na czerwonym świetle, tak ich zgubili.

Podczas jazdy siedziałem z tyłu, bo nie wiedziałem, że nastał już jakiś Dustin, a ja będę w nim żył jak każdy ojciec w synu. Zastanawiałem się, czy strzelić w skroń Jedunowa, który siedział z przodu, potem sterroryzowałbym kierowcę i już. Takie rozwiązanie oszczędziłoby Helenie wiele kłopotu.

Przed wejściem do kryjówki zabrali mi broń, pistolet oddała również Kate.

Budynek był piaskowej barwy, z dużym garażem, otoczony murem. Przed garażem stał van, volvo. A między puszkami po farbie, przy drabinie, w chłodni zwalonej na węża ogrodowego leżał ten kosmiczny trup.

Jedunow miał pięciu ludzi, myśmy byli we dwoje.

Zrobiłem, co do mnie należało, Jedunow uniósł pokrywę chłodni i zobaczyłem Amerykańca, był długi na półtora metra, z drobnym korpusem, nad

którym skamieniał wielki, oszroniony łeb z wysokim czołem i czaszką spiętrzającą się na kształt stożka. Usta były nie dłuższe od zapałki, oczy ogromne i pozbawione powiek. Mogłem się w nich przejrzeć: obwisła gęba, spuchnięte policzki, czerwony nos.

Ręce, delikatne jak u dziecka, leżały wzdłuż ciała, każda zwieńczona dłonią o sześciu palcach. Wypatrzyłem jaśniejszy ślad po zerwanej bransolecie.

To naprawdę był on, mój lotnik z plaży w Redłowie. Potwierdziłem tożsamość, Jedunow zamknął lodówkę.

Wtedy pojawił się młody oficer wywiadu wojskowego, Jurij Nikołajewicz Narumow.

Mniej więcej wiem, o co mu szło. Wymyślił sobie, że oddadzą ciało, a mnie zabiorą do Moskwy, tam poddadzą torturom, przesłuchają i w końcu powieszą. Wówczas odzyska szacunek swoich i zrobi prawdziwą karierę w służbach. Nie będzie musiał nikomu niczego udowadniać. Dostanie swoją sprawiedliwość i zemstę za matkę – ściągnie ojca, zdrajcę, z powrotem do ojczyzny.

Taką korektę planu nam przedstawiono.

Kate wraca sama z trupem, ja skuty jadę na granicę i potem przez Pragę do Moskwy. Całkiem do rzeczy, obie strony wygrywają z jednym drobnym wyjątkiem. Ludzi jak ja się poświęca, tak dyktuje rozsądek.

Kate nie chciała się zgodzić, więc ją zastrzelili. Zastrzelił ją Jurij.

Zapewne przespałem się z nią wcześniej albo nawet zostaliśmy regularnymi kochankami. Zrobiłem to, ponieważ nie dogadywałem się już z Heleną. Nasza miłość zużyła się jak silnik lub rękawiczki, a ja potrzebowałem podziwu i zachwytu. Taki właśnie jestem. Muszę widzieć w oczach kobiety oddanie i zauroczenie, jakbym był olbrzymem, a ona narodziła się z nasiona fasoli. Dlatego oddaliliśmy się od siebie z żoną. Była mi wierna, lecz już mnie nie podziwiała, bo i nie było za co.

Z drugiej strony, mogliśmy nigdy nie pójść z Kate do łóżka, zakochała się po prostu i dusiła tę miłość w sobie tak długo, aż postanowiła o mnie zawalczyć w nietrafionej chwili. Wtedy zabił ją Jurij.

Gdy umarła, jeszcze byłem spokojny. Dostałem szału dopiero w drodze do ciężarówki.

Prowadziło mnie dwóch po bokach i trzeci z tyłu. Wyrwałem się i spróbowałem uciec, zupełnie idiotycznie, całe opanowanie, duma i siła woli przepadły, przegnane przez dziki strach. Dobrze wiedziałem, co mnie

czeka. Podłączą mi jaja do akumulatora. Wsadzą drewniany bloczek w pysk, wtedy spiłują zęby i wyruchają w dupę nogą stołka. Wolałem umrzeć niż dotrzeć do Moskwy. Z dwojga złego już lepiej, by zastrzelił mnie własny syn.

Ci trzej obalili mnie na ziemię, wykręcili ręce i szorowali mi policzkiem o betonową wylewkę, a lekarz, który im towarzyszył, bo w takich sytuacjach zawsze jest i lekarz, podał mi środek uspokajający.

Powinienem przywołać w myślach Helenę i żałować zła, które jej wyrządziłem. Myślałem jednak o sobie, bo w takich chwilach mamy tylko siebie, małych i ogarniętych grozą. Potem zapadła ciemność.

Tu kończy się moje świadectwo, pozostaje opowieść Jedunowa.

Wrzucili mnie na tył furgonetki, żywego i nieprzytomnego.

Jedunow zrugał Jurija, bo akcja powinna przebiec bez trupów. Przerzucili Kate w kąt, robiąc miejsce dla chłodni. Planowali, że ciężarówka wycofa się do garażu, załadują tę chłodnię na pasach i pojedziemy razem do Czechosłowacji, martwy Amerykaniec i ja.

Mniej więcej w połowie realizacji tego planu wysiadł prąd, pogasły światła w całym Wiedniu. Helena koiła wówczas nerwy w barze hotelu Bristol.

Jedunow z Jurijem myśleli, że to jakaś akcja, rozgonili ludzi po kryjówce, obserwowali ulicę. Ciężarówka wciąż czekała na podjeździe, już z włączonym silnikiem. W sąsiednich oknach rozpalały się latarki. Panował wczesny, grudniowy zmrok.

Z ciemnego nieba strzelił snop światła, oślepiający słup, elektryczny błysk – trącił dach ciężarówki, rozlał się w powietrzu jak fale na wodzie i zniknął.

Prąd zaraz potem wrócił. Z szoferki wytoczył się skołowany kierowca.

Jedunow natychmiast kazał otworzyć pakę. Znaleźli tylko kajdanki przyczepione do poręczy, ciągle zamknięte. Żadnego więźnia, nic. Drwina gołej podłogi.

Zniknąłem i nie ma mnie do dziś, bo zamieszkałem w świetle.

O Amerykańcu (2)

Jedunow leżał, wciąż przywiązany krawatem do kaloryfera, w zakrwawionej koszuli i bez kilku zębów. Poruszał małym palcem, reszta zrobiła się

czarna i nieruchoma, podobna resztkom osmalonych gałęzi urąbanych przy pniu. Porzucił resztki godności, błagał, zarzekał się, że powiedział prawdę. Brama wjazdowa była zamknięta, wysokiego muru nie przeskoczyłby nawet ktoś tak wysoki jak ja. Wyparowałem w gwiezdnym promieniu, połknęła mnie Andromeda, latający spodek zgarnął, co jego, i prysnął.

Bez skutku obszukali dom. Cud: ucieczka niemożliwa – więzień przeszedł przez zamknięte drzwi, rozpłynął się w powietrzu.

Na rozważanie tej niesamowitości brakło czasu, sąsiedzi z pewnością usłyszeli strzał, w garażu stygła Kate.

Załadowali Amerykańca do ciężarówki, szoferkę zajęli kierowca i Jedunow. Jurij z resztą wsiedli do volkswagena. Rozjechali się w dwie różne strony: Jurij do punktu kontaktowego w Wiedniu, Jedunow na tajne przejście graniczne.

– Nigdy tam nie dotarłem – powiedział Helenie, wbijając wzrok w martwiejące palce. – Operacja okazała się katastrofą, a mnie, cóż, twój mąż drugi raz zwiał sprzed nosa. Bałem się. Co mam powiedzieć? Pojechałem do Amerykanów, dogadałem się z Walterem.

A to mnie nazwano zdrajcą.

Skurwysyn pokochał życie w Stanach i wiedział, że za ten burdel w Sowietach oberwie po głowie. Zniszczą mu karierę, nikt nie zadrży na dźwięk jego nazwiska, bo powiedzą, że patałach z niego i wariat. Może nawet dostanie własne dwa metry piekła w piwnicy?

Postawił wszystko na jedną kartę i uciekł.

Tą kartą był kosmiczny trup.

To właśnie powiedział Helenie. Nie przekazałem ciała, więc on to zrobił, a przynajmniej spróbował. Potrzebował przecież gwarancji, na której zbuduje swój przyszły los.

Helena miała do zrobienia tę jedną, ostatnią rzecz**.**

W pokoju za gabinetem, który odkryła, przeszukując dom, zamurowano okna. Brakowało mebli, ściany były gołe. Pośrodku stała chłodnia zamknięta na kłódkę. Chwilę potrwało, nim odważyła się ją otworzyć. Tak zawsze przecież jest. Pragniemy poznać prawdę i boimy się, gdy ta martwa prawda leży sobie obok, pod kluczem i w mrozie.

Wróciła do Jedunowa i rzuciła z rozbawieniem:

– Jedna ręka by ci przecież wystarczyła. Choć, jak wiemy, czasem nawet dwie to za mało.

– Zadzwoń po lekarza – wyrzęził.

Zabrała telefon ze stolika przy sofie, pociągnęła kabel i postawiła aparat przy Jedunowie. Ten jęknął. Uderzał nogą w ścianę, bezsilny i głupi. Ledwo utrzymał słuchawkę. Bezradny palec ześlizgnął się z tarczy.

– Sam sobie zadzwoń – powiedziała Helena, rzucając Jedunowowi fiolkę leków, i poszła.

Ciągnęła za sobą lodówkę turystyczną.

O umowie

Rozpisałem się przy szklaneczce, nawet nie wiem, kiedy Jurij dzwonił.

Dzwonił też Kuba, dzwonili Klara i Olaf. Za późno na takie rozmowy.

Szkocka wchodzi miodnie. Osiągam ten rodzaj mocarnego upicia, gdy myśli jaśnieją jak odwaga, a serce rozgrzewa się do śmiałych planów na gruzach wątpliwości. Mógłbym teraz zabić smoka, muszę tylko człowieka.

Nie piłem od tak dawna. Tęskniłem za tą siłą, co gładzi kolce świata.

Jurij dzwoni ponownie, odbieram. Skurwiel nie ma pojęcia, z kim tak naprawdę rozmawia.

Proszę, żeby włączył kamerę w telefonie, swoją zostawiam zgaszoną.

Istotnie, tkwi na tym zasranym molo i jeszcze obraca się wokół własnej osi jak laleczka w pozytywce dla kagiebistów. Widzę otwarte morze z czerwonymi światłami okrętów, garb ciemnego lasu, nawet ujście Kaczej i tawernę orłowską, białe deski samego molo i latarnie o smutnych lampach.

Pyta, czy mam już to, na czym tak mu zależy, to, co Helena zabrała Jedunowowi, by kupić sobie nowe życie.

Niech go o to głowa nie boli, mówię, nie mam go przecież, lecz pozostaję dobrej myśli. Tę drugą wiadomość zatrzymuję dla siebie.

Przede mną, między komputerem a flaszką, leży zamknięta ostatnia koperta od Helenki.

Przedstawiam swoje warunki. Spotkamy się w umówionym miejscu o piątej nad ranem, przekażę mu tę bezcenną rzecz, a on w zamian zostawi w spokoju Olafa i Klarę. Nigdy się do nich nie zbliży, nie zadzwoni, nie wyśle mejla i nie zje w Fernandzie, choćby była to ostatnia knajpa na świecie. Resztę swojego zasranego życia spędzi daleko od tych dwojga, od moich ukochanych.

O własnym bezpieczeństwie milczę, bądźmy poważni, sprawy zaszły za daleko.

Jurij zgadza się po chwili udawanego wahania, jakby chciał zapytać, czy to już wszystko, no ale nie pyta.

Chce tylko wiedzieć, jakie miejsce wybiorę, gdzie się spotkamy.

Zna przecież odpowiedź.

Jest tylko jedno takie.

O kasztanowcu (2)

Otwieram kopertę od Helenki, tę ostatnią, którą syn dostał już w szpitalu, nim moja ukochana poszła na operację i zmarła.

Szkoda, że mnie tam nie było. Mógłbym ją obronić.

Wyjmuję nóż z nylonowej torby. Pijany, wciąż umiem to zrobić jednym płynnym ruchem. Dziabię powietrze przed sobą, wbijam ostrze w wyobrażone serce, wątrobę i tętnicę udową, kaleczę nieistniejące dłonie, próżno broniące drogi do widmowego gardła. Wreszcie otwieram kopertę i chowam nóż.

Ze środka wypada karteczka, na niej jedno jedyne słowo, naniesione lekarskim pismem mojej Helenki, turlają się te litery jak puenta dowcipu. Brzmi ona: kasztanowiec.

Drzewo, które zasadziła tu wiosną pięćdziesiątego dziewiątego, kiedy byliśmy prawie szczęśliwi.

Wstaję, wiruje mi w głowie. Meble rozmazują się jak na poruszonym zdjęciu. Schodząc, trzymam się poręczy. Idę na tył domu, ziemia oblepia mi buty.

Jest i nasz kasztanowiec, dziupla w tym kasztanowcu. Wysoko, więc wracam po drabinę, nie mogę znaleźć drabiny, bo nie wiem, gdzie Helena ją trzyma, zawsze chowała moje rzeczy, książki, spinki do mankietu, papierośnicę, lornetkę myśliwską, nigdy nie leżały tam, gdzie je zostawiłem, teraz podobnie. Tłukę się po domu, szukam drabiny, gdzie w ogóle ludzie trzymają drabiny, w końcu godzę się z życiem i chwytam krzesło.

Ciągnę je za sobą, a drewniane nogi tłuką się o stopnie.

Staję na nim. Próbuję sięgnąć dziupli, wsadzam rękę po bark. Chwytam. Coś tam czeka.

Spadam na trawę. Leżę chwilę. Niebo jest jasne i pełne gwiazd, jakby znów nastała wiosna.

Trzymam ciemne pudełko próżniowe w kształcie walca, długie na pół metra i ciężkie.

Przy biurku czyszczę ten pojemnik, strząsam liście i pajęczyny. W środku czeka tajemnica Heleny, ale też część mojego wielkiego sekretu.

Jedno pudełko próżniowe skrywa drugie i jeszcze worek z odessanym powietrzem. Obawiam się, że ta rzecz, gdy ją wydobędę, rozpadnie się w proch. Tak się nie dzieje.

Leży teraz na biurku z Ikei – szare przedramię amputowane przed łokciem, z jaśniejszym, prawie błękitnym pasmem wokół nadgarstka i dłonią o sześciu długich palcach.

O domu

Wróciła do Polski wkrótce potem.

Sprawę załatwił Blake.

Zagroziła, że ujawni prawdę o akcji w Wiedniu, z poświęceniem własnego agenta i handlem pozaziemskim truchłem na czele. Blake przysięgał, jakoby o niczym nie wiedział, i tylko błagał ją, by dla własnego dobra oddała rękę.

Od początku twierdziła, że ma tylko jedną.

W zamian zażądała czystej karty, bezpiecznego powrotu do Polski jako Helena Barska i pełnej ochrony przed Jedunowem, tak na wszelki wypadek.

Dustin miał dostać polskie dokumenty i akt urodzenia. Wyłożyli się na tym. Helena przypomniała sobie Forsberga, uruchomili staruszka i formalnie mój syn przyszedł na świat w Szwecji.

Sprzedała dom i gabinet, bez żalu.

Stąd dolary w drzwiach i nogach od stołu, konto bez dna i pieniądze na zakup willi.

W noc przed wylotem wrócił Płaton. Stał nad łóżkiem Dustina, w mokrym mundurze z dziurą po kuli, i gładził policzek dziecka wierzchem dłoni. Helena wykrzyczała mu, że już się go nie boi, niech zostanie, skoro musi, widocznie na niego zasługuje.

Śnił jej się potem Dustin: podnosił główkę znad gumowego tyranozaura, rozwierał te obce, cielęce oczy, wykrzywiał mordkę we wrogi uśmiech

i kwilił:

– Dzień dobry panience, co tam dzisiaj dobrego?

Nie wiem, co się stało z Arnoldem Blakiem i Jedunowem. Obaj na pewno już nie żyją.

Jedunow, brzydkie ptaszysko o wyrwanych skrzydłach, zabraliśmy mu po ręce, ja i moja Zwiozdoczka. Czy potrafił sobie strzelić w głowę?

Wiem za to, co działo się z rodzicami Heleny przez te wariackie lata.

Na sam początek starego Krefta wyrzucili ze stoczni, a jego żonę z hotelu robotniczego. Maglowali ich trochę, w końcu nawet milicja zrozumiała, że nie mieli z ucieczką nic wspólnego.

Ojciec Heleny w końcu znalazł pracę w Stoczni Gdańskiej, gdzie zrobili z niego robotnika niewykwalifikowanego. Pocieszenie znalazł w futbolu.

Kibicował Szarmachowi, nie przegapił żadnego meczu na Ejsmonda, a wcześniej zachodził do baru Pod Kandelabrami. Rozumiem go, bo sam lubiłem tam siedzieć. Kiedy wypił więcej, szedł w okolice Domu pod Murzynem i zapewne żałował, że nie zabił mnie siekierą.

Sam oberwał przypadkiem. Poszedł do pracy, gdy wybuchły strajki i milicjanci strzelali do ludzi. Maszerował jak w każdy inny dzień, o świcie, z kolejki do stoczni, aż razem z innymi robotnikami natknął się na blokadę z transporterów opancerzonych. Najpierw w ciemne niebo poszedł strzał, potem tłum ryknął, żeby bić mundurowych. Ojciec Heleny, którego nigdy nie poznałem, ale którego znał Dustin, podobnie zresztą jak tę opowieść, z nikim nie chciał się bić, po prostu znalazł się pod lufami karabinów. Strzelano w ziemię, pocisk wyrwał kawałek betonu, ten kawałek trafił ojca Helenki w usta i zmasakrował mu szczękę.

Od tego dnia mógł milczeć legalnie, nie pytano go, czemu siedzi cicho.

Mama Heleny poradziła sobie lepiej. Pozbawiona pracy zapisała się do towarzystwa przyjaźni polsko-francuskiej, opanowała trochę język i kiedy zbudowali hotel Bałtyk, a sprawa z ucieczką przyschła, zatrudnili ją jako kierowniczkę piętra.

Helena wróciła do tych ludzi, chciała, by Dustin poznał dziadków i wiedział, czym jest rodzina. Poza tym miała dosyć Ameryki.

Wylądowali w Gdańsku, na świeżo otwartym lotnisku, ona i mały Dustin. Nie od razu pojechała na Paged, zostawiła bagaże w przechowalni i pociągnęła chłopca przez Gdynię.

Dzieciak pewnie drobił kroczki. Marudził. Chciało mu się pić.

W pomieszczeniu po dworcowej restauracji hulał wiatr. Obok zbudowali estakadę i tunel. Z ulicy Władysława IV zniknęły sypiące się domy i pranie nad żwirowiskiem. W ich miejsce wyrosły bloki i tylko błękitny autobus tłukł się po staremu.

W okrąglaku po Stylowej zrobili kawiarnię. Na klientów czekały lada chłodnicza, szara waga i resztki lodów śmietankowych, które dostał Dustin.

Zaraz pojadą na Paged, Helena pomyśli tylko o tym, co będzie i żeby taksówka jechała jak najdłużej, ale osiedle wyłoni się w końcu zza nowych wysokościowców, przy świeżo wylanej ulicy. Zawieje ciepły wiatr. Na schodach miną faceta od królików, nie pozna jednak Heleny. Nie przywiozła do Polski niczego, co żyło wcześniej.

I będzie też tak, że pani Kreft otworzy jej drzwi na długość łańcucha. Znieruchomieje akurat na tak długo, by stary pan Kreft odłożył karty do remika i podniósł się z krzesła. Pani Kreft zamknie drzwi, ściągnie łańcuch, otworzy je ponownie, tym razem szeroko, i wciągnie córkę z wnukiem do środka.

Powinienem już iść, ale jeszcze piszę, przysięgam, że zaraz z tym skończę, chcę po prostu zamknąć wszystko, coś mnie jeszcze trzyma, może wreszcie puści.

Z Kamiennej Góry rozciągał się widok na zatokę, z morzem białym od słońca, chmarami mew i rzędem nowych falochronów. Helena zatrzymała się, Dustin szarpał ją za rękę.

Chciała popatrzeć na wodę i marinę, skąd prysnęliśmy motorówką. Może zrobiliśmy źle, a może dobrze, tego nikt nie wie, ale miłości nie można odpuścić, bo wróci jako potwór.

Nim pojechali taksówką na Paged, zatrzymała się jeszcze pod naszą willą. Ogródek zarósł, na podjeździe rdzewiał rower bez kół, z drzwi zwisała aluminiowa klamka i Helena obiecała sobie, że kiedyś kupi to miejsce, oczywiście nie od razu, bo musi przycupnąć na trochę, przyczaić się z tymi dolarami, które wraz z ręką zaszyła w zabawkach Dustina.

Bardzo ją kochałem. Rozpętałbym dla niej trzecią wojnę światową, tylko nie potrafiłem żyć z nią na co dzień. Zmiażdżyła nas miłość, za duża była.

Helena przystanęła jeszcze w basenie jachtowym, w miejscu, z którego uciekliśmy. Nie było już drewnianych baraków, tylko nowy pawilon, długi jak niszczyciel, z mnóstwem okien, w które waliło słońce. Za plecami miała ciężkie działa ze zdemontowanych okrętów. Patrzyła na wodę i pewno myślała o podskakującej motorówce, o światłach latarni na Helu, o tym, czy

sąsiad ciągle mieszka na Pagedzie i hoduje króliki, o rodzicach, czy ją przyjmą, czy zatrzasną drzwi przed nosem, bała się bardziej niż sowieckiego wywiadu i przybyszów z innej planety.

Wiem, że myślała też o mnie.

A Dustin, brzdąc, który jeszcze chwilę temu szarpał ją i marudził, trącił ją i zadał to pytanie, które zada prędzej czy później każde dziecko:

– Mamo, czemu jesteś smutna?

Wzięła syna w ramiona. To jego pierwsze wspomnienie.

– Kiedyś ci opowiem.

O miłości

Niemal w progu przychodzi do mnie wspomnienie Heleny i wieczoru, kiedy powiedzieliśmy sobie te dwa najważniejsze słowa. One zawsze padają w dziwnych, prostych momentach, całkiem inaczej niż w filmach, nie w ciepłym, letnim deszczu, na łące, nic z tych rzeczy.

Był grudzień, chyba koniec grudnia, Gdynię skuł mróz i szliśmy z Inter-Clubu po trzaskającym lodzie, szron pomarszczył okna, z dachów i parapetów zwisały sople, przed nami, za nami nikogo, czasem przejechał samochód, przekolibała się furmanka, nie paliła się żadna lampa, tylko zimowy księżyc i gwiazdy.

Helena marzła. Miała na sobie, doskonale pamiętam, szary płaszcz narzucony tylko na tę sukienkę ode mnie, wiele razy chciała wiedzieć, dlaczego wybrałem właśnie tę, która podobała jej się najbardziej. Wymyślałem różne odpowiedzi, ale tak naprawdę kupiłem ją, bo pasowała do Heleny i wiedziałem, że jej się spodoba. Myśleliśmy sobą. Myśleliśmy podobnie.

Więc szliśmy z Inter-Clubu Świętojańską i potem aleją Czołgistów w stronę morza, gdzie w Domu Marynarza mroził się szampan. To kawał drogi i Helena na pewno wolałaby taksówkę, ale ja chciałem się przejść, bo wypiłem sporo, a wódkę należy rozchodzić. Marzła ta moja miła pod przekrzywionym beretem, naciągnęła szalik niemal na nos, widziałem tylko jej jasne oczy i brwi jak ptaki na niebie. Jedną dłoń włożyła w moją, drugą wepchnęła w kieszeń i prześmiesznie udawała, że się nie trzęsie.

Ja gadałem. Kochałem gadać, a Helena lubiła słuchać mojego gadania i tak sobie szliśmy po lodzie. Snułem jedną z opowieści z czasów wojny albo z marynarki, sam już nie wiem, upajałem się tonem własnego głosu,

doborem przymiotników i dramaturgią tej historii, czułem się jak aktor, który walczy o oklaski publiczności, i nagle oblodzona ziemia uciekła mi spod stóp. Wywinąłem takiego orła, że zobaczyłem własne buty pod gwiazdami, głową grzmotnąłem o bruk.

Leżałem na chodniku zupełnie skołowany, pijana łajza, a jeśli Helena przeraziła się o moje życie, to nie dała tego po sobie poznać. Podała mi rękę, pomogła wstać, poprosiła, żebym się pochylił, i obejrzała tył mojej głowy. Nic się nie stało. Otrzepała mi ubranie z przodu i z tyłu, podniosła szalik, czapkę naciągnęła na skołowany łeb, stanęła przede mną, zadzierając głowę: drobny nos, oczy na pół twarzy, usta jak oszlifowany klejnot.

– Powinieneś mnie kochać za to wszystko – usłyszałem i powiedziałem, że kocham ją już od dawna, nawet nie wiem, kiedy nastała ta miłość. Może gdy siedziała tak swobodnie, naga na hotelowym łóżku, podpierając się na wyprostowanej dłoni, i patrzyła w noc, albo kiedy obserwowałem, jak nadchodzi, drobiąc kroki, od kolejki miejskiej, z nisko pochyloną głową, bo wiał na nią śnieg. Kochałem tak, że świat był jej pełen, każda myśl, słowo i uczynek ciągnęły za sobą cień Heleny, budziłem się z nią i zasypiałem, nawet jak była gdzie indziej, i rozmawiałem z nią w głowie na niszczycielu, w biurze w Waszyngtonie, podczas jazdy autem, wszędzie i zawsze, takiej miłości nie nazwiesz i nie wypowiesz, i może dlatego niepojęty Bóg jest właśnie miłością, co chętnie powtarzał nasz pop w Kowalowie. Taka była też nasza miłość. Ja upadałem, podnosiła mnie moja Helenka.

O nowej gwieździe

Rozczuliłem się, a muszę iść.

Dłoń gwiezdnego wędrowca umieszczam na dnie torby. Na niej kładę nóż. Zabiję Jurija albo on mnie zabije. Ojciec syna, syn ojca, brat brata, tak wygląda krąg życia.

Myśl o tym mordowaniu jest pewna i niedorzeczna jednocześnie, bo przecież ja jestem sobą i nie jestem, rozmywam się jak ten wczesny świt: deszcz, bryzg morza, światła samochodów dostawczych i uberowców wracających do domu.

Zimno, zostawię jednak kurtkę, żeby nie krępowała ruchów.

Świat zmienił się w tunel, nie umiem unieść łokci.

Nim pójdę, piechotą, powoli, wzdłuż pięknych willi, kamiennych ogrodzeń, łysych drzew, przy plaży szarej jak ta ręka, zrobię jeszcze jedną ważną rzecz. Zapiszę ten plik i wyślę do Klary, niech wie, co się zdarzyło. Niech wiedzą i inni, jeśli nie dam sobie rady z Jurijem.

Na podłodze pieniądze, ubrania, potrzaskane zdjęcia, wszystko, co stracone, i tylko poczucie mocy wraca, kokosi się w sercu.

Zawieszam torbę na ramieniu, lekko, zrzucę ją w odpowiedniej chwili.

Już czas.

Za oknem mokre dachy domów, czarny kasztanowiec, dalekie bruzdy Bałtyku, jest jaśniej niż zazwyczaj o tej porze.

Idę. Muszę iść. Więc idę, teraz, już.

Zobaczyłbym jeszcze raz Olafa.

Co to za nowa gwiazda?

O mnie (4)

Dustin zniknął.

Dzwoniłam do niego, nie odbierał. Nad ranem przesłał mi mejl z tym dokumentem. Przeczytałam natychmiast. Zagroziłam mu wcześniej, napisałam, że nie ręczę za siebie, co było idiotyczne. Chciałam nim potrząsnąć. Myślałam, że się opamięta, a ta groźba pomoże. Myliłam się i teraz tego żałuję. Nie wiedziałam aż do teraz, jak bardzo jest chory.

Zastanawiam się, czy złamała go choroba Heleny, praca ponad siły w Fernandzie, czy może nocne pisanie, raport z głowy z bombą w środku. Zapewne wszystko naraz.

Żałuję, że nie pojechałam do willi wcześniej, dumna, to i głupia.

Kiedy wróci, z pewnością sobie z tym poradzimy. Jak dotąd we dwoje przezwyciężaliśmy każdą trudność, tak będzie i tym razem. Tylko żeby się znalazł. Niech wróci pijany, obłąkany i wściekły, ale niech wróci.

Przeczytałam wszystko, co powyżej, zostawiłam karteczkę przy łóżku Olafa i pojechałam do willi z nadzieją, że Dustin jeszcze tam będzie. Upił się i zasnął, dobrze by było. Niestety, willa stała pusta i zdewastowana, mniej więcej tak, jak opisał to mój mąż. Ktoś wyrzucił ubrania z szaf i książki z półek, zniszczono też kuchnię i biurko w salonie. Materac w łóżku był rozpruty. Na podłodze leżały dolary, złote broszki, pierścionki, łańcuszki. Mała fortuna. Nie wiem jednak: zniszczeń dokonał Dustin czy

może ten mężczyzna, który przyprowadził Olafa, Jurij albo i nie Jurij. To Dustin był wobec niego agresywny. Tamten obezwładnił go i poszedł. Nie miałam jak go zatrzymać. Szkoda, że Olaf milczy.

Przy biurku znalazłam komputer i pustą butelkę.

Liczyłam, że Dustin wrócił do Fernanda. Przecież z człowiekiem, którego uznał za brata, właśnie tam spotkał się po raz pierwszy. Niestety, nie. Dustin, który tak kochał naszą restaurację, zostawił ją otwartą. Mogli nas okraść, co naprawdę nie jest największym problemem w tej chwili. Zastałam też opróżnioną chłodnię i mięso rozmrażające się na podłodze.

Dopiero tam mnie olśniło, dokąd poszedł mój mąż. Szukam w sobie siły, potrzebuję jasnego myślenia, jakiegoś planu. Klawisze komputera uciekają mi spod palców.

Chyba nie wierzę, że to naprawdę się dzieje, jakbym patrzyła z boku na życie jakiejś Klary i jej rodziny. Boję się, bo Dustin myślał podobnie: zobaczył w sobie ojca, bo nie dawał sobie rady z życiem. Potrzebował ojca i wreszcie go dostał.

My sobie naprawdę ze wszystkim poradzimy, tylko niech wróci.

Umówił się nad zatoką, tam, skąd Helena i Kola popłynęli do Szwecji. Pobiegłam tam. Sprawdziłam całą marinę, nawet pokłady żaglówek, ponieważ pijany Dustin mógł na którejś zasnąć. Niestety. Cofnęłam się między namioty, w których w sezonie smażą ryby i sprzedają gofry, szukałam między złożonymi parasolami ogródków piwnych, pobiegłam pod diabelski młyn i nad zatokę. Wołałam cały czas: Dustin, Dustin, Dustin! Borsuku!

Zatrzymał mnie ochroniarz z budki pod karuzelą. Zaszedł za mną aż nad wodę. On też spytał, czy może mi pomóc. Nie, nie, my sobie ze wszystkim poradzimy. Ale pokazałam zdjęcie Dustina. Powiedział, że kręcił się tutaj ktoś podobny, tylko przez chwilę, i nie wiadomo, dokąd poszedł. Zapytałam jeszcze, czy był też drugi mężczyzna, wysoki siedemdziesięciolatek w skórzanej kurtce. Ochroniarz nie widział nikogo takiego.

Było już rano. Gdybym tylko mogła, biegałabym tam do teraz i wołała męża. To nie miało sensu, a ja muszę być mądra. W domu czekał Olaf. Powinnam wrócić, nim się zbudzi. Ojciec mu zniknął, więc ja nie mogę. Muszę być mądra, chociaż bardzo nie chcę.

W taksówce zadzwoniłam do Dustina, sekretarka odezwała się natychmiast, ma już wyłączony telefon.

Wróciłam do pustego domu, Olaf jeszcze spał. Przygotowałam kilka zdjęć męża – z piętnastej rocznicy ślubu, z otwarcia Fernanda, z urodzin

syna, te, które mieliśmy wywołane i oprawione. Za chwilę zamknę ten plik, zgram na pendrive i wydrukuję. Pójdę z tym na policję i zgłoszę zaginięcie.

Jeśli policja nie pomoże, zatrudnię detektywa, uderzę do każdej gazety i do telewizji, do redakcji stron i portali, do rosyjskiej ambasady, do Itaki i Zaginionych, zrobię wszystko, co będzie trzeba, żeby go odnaleźć.

Jest tak cicho, że słyszę szum windy, czekam, czy zatrzyma się na naszym piętrze i zabrzmią znajome kroki.

Nie mogę tak siedzieć, nie wolno. Nim pójdę na policję, zrobię Olafowi śniadanie, takie jak lubi, naprawdę od mamy, tosty z samym masłem polane syropem klonowym, powiem mu, że może oglądać YouTube’a przy jedzeniu i będzie dziś grał tak długo, jak zechce. Wrócę i zajmę się nim. Będzie dobrze.

My sobie naprawdę ze wszystkim poradzimy.

Koniec

Zacząłem 19 lipca 2020, skończyłem 20 grudnia 2021, w dniu urodzin mojego Taty.

Słowniczek

» poszoł na chuj, kozioł – wypierdalaj, gnoju

» moja Zwiozdoczka – moja Gwiazdeczko

» ja by tiebie wies' mir podarił, Zwiozdoczka. Wsielennuju i griobanuju Gdyniju – dałbym ci świat, Gwiazdeczko. Kosmos i cholerną Gdynię

» oni lubomu dawali, lisz by nie prognili – dawali każdemu, żeby nie pogniły

» dawaj drat'sja na garpunach – pobijmy się na harpuny

» wsie, kromie mienia – wszyscy z wyjątkiem mnie

» lubow' da istina – miłość i prawda

» suka blat' – kurwa mać

» Zwiozdoczka to, Zwiozdoczka sio, my budiem koroli – Gwiazdeczko to, Gwiazdeczko tamto, będziemy królami

» komandowanije eto gramm pławanija da tonna pisanija – dowodzenie to gram żeglowania i tona pisania

» w etom raznica mieżdu wojennym czełowiekom i niegodiajem – tym właśnie różni się wojskowy od łachudry

» djawoł, da biez rogow – szatan, tylko bez rogów

» nie gibniet stol' głupym obrazom – nie umiera tak głupio

» ty jemu nie wier' – nie ufaj mu

» komu-nibud' mordu nabit'? – czy komuś przypierdolić?

» dawaj bieżat' otsiuda – ucieknijmy stąd

» idi so mnoj – chodź ze mną

» Boh troicu lubit – do trzech razy sztuka, dosł. Bóg trójcę lubi

» moja diewuszka – moja dziewczyna

Podziękowania

Żadnej książki nie pisze się samemu. Często powtarzam to zdanie i jestem coraz bardziej przekonany co do jego słuszności. Dawno temu, gdy zaczynałem przygodę z literaturą, uważałem, że potrafię napisać niemal wszystko w pełni samodzielnie. Dziś wiem, że droga twórcza polega na odkrywaniu i akceptowaniu własnych ograniczeń, a także na czerpaniu nie z siebie, lecz ze świata, z losów drugiego człowieka.

Chodź ze mną jest bardzo luźno inspirowane historią kapitana Nikołaja Artamonowa i Ewy Góry. Byli zupełnie innymi ludźmi niż Helena i Kola, ale rzeczywiście uciekli motorówką do Szwecji, a potem wyjechali do Ameryki. On zginął w Wiedniu, ona po jego śmierci ułożyła sobie życie. Podczas pisania powieści korzystałem z książkowego reportażu *Shardin, the Spy Who Never Came Back*, Henry'ego Hurta, powstałego we współpracy z Ewą. Zajrzyjcie tam, jeśli chcecie wiedzieć, jak było naprawdę. Ale jaka jest prawda? Dwoje ludzi kochało się tak bardzo, że nie bało się nikogo ani niczego. Pomyślcie czasem o nich.

Nie wierzę w przybyszy z innej planety, ale faktem jest, że zimą 1959 roku jakiś obiekt spadł do basenu portowego w Gdyni. Są świadkowie, pisały o tym gazety, na miejscu zdarzenia stawiła się ekipa płetwonurków, a jeszcze w latach dziewięćdziesiątych na Wybrzeże przybyła grupa ufologów z Japonii w poszukiwaniu śladów katastrofy. Po mieście krążyła też legenda o kosmicie, którego z plaży zabrano do szpitala, gdzie zmarł po tym, jak zdjęto mu z ręki bransoletkę.

Zorro również jest prawdziwy. Ujawnił się nieco później, bodaj w latach sześćdziesiątych. Przebrany jeździł na rowerze i śpiewał. Nie zapominajmy o pięknych wariatach. Ubarwiają swoją baśnią najposępniejsze czasy i najbardziej ponurą scenerię.

Dziękuję stomatologom – profesorowi Stanisławowi Majewskiemu i Joannie Janeckiej – za to, że zechcieli podzielić się wspomnieniami i wieloletnim doświadczeniem, dzięki czemu przez chwilę poczułem się, jakbym stał po bezpieczniejszej stronie wiertła. Wszelkie detale związane z pracą Heleny zawdzięczam właśnie Wam.

Paweł Martynowicz dosłownie zasypał mnie informacjami dotyczącymi prowadzenia restauracji serwującej mięso. Pamiętam, jak się zdziwił, gdy zapytałem, czy w chłodni da się schować człowieka. Wiele szczegółów, zwłaszcza w temacie noży, podsunął Jakub Kapanusch, mój druh w wędrówce ścieżką lewej ręki. Jestem Wam bardzo wdzięczny, panowie – daliście Dustinowi robotę, a może i trochę szaleństwa.

Nieoceniony Sebastian Biały stawił się na zbiórkę z płóciennym workiem pełnym opowieści z wojska. Podrzucił między innymi pojedynek na harpuny. Dariusz Eckert, inny żołnierz w stanie spoczynku, zanucił dla mnie pieśń szlifowanej siekiery. Wasze zdrowie, panowie!

Joanna Krystyna Radosz pieczołowicie przetłumaczyła fragmenty powieści na rosyjski. Michał Miegoń z Muzeum Miasta Gdyni zaciągnął mnie do miejsc, do których sam nigdy bym nie trafił, służył radą i opowieścią. Nieoceniony Jacek Dukaj zachęcił, abym użyczył głosu Klarze. Dziękuję Wam obojgu.

Joanna Laprus-Mikulska od początku wspierała tę książkę i obdarzyła mnie zaufaniem, które nie zdarza się często. Dorzućmy do tego mądre ciepło i nazbyt wiele kieliszków wina. Dzięki, Aśka. Dobrze jest mieć Ciebie wśród sojuszników.

Wyrazy wdzięczności płyną do grup Yoth Iria, Katavasia, Misþyrming, a także przyjaciół z Mgły i Kriegsmaschine. Pracowałem nad powieścią wyłącznie przy Waszej muzyce. Spędziliśmy razem dwa lata. Było ciekawie.

Nie wypada, aby pisarz dziękował innemu pisarzowi, zwłaszcza jeśli obiekt wdzięczności dawno rozstał się z życiem. Tym razem zrobię wyjątek. Podczas pracy nad *Chodź ze mną* zgubiłem cel i kierunek, znalazłem się w ciemności i naprawdę nie wiedziałem, co dalej. Z rozpaczy sięgnąłem po *Obietnicę poranka* Romaina Gary’ego, najlepszą powieść o relacji matki i syna, którą jakieś trzydzieści lat temu podsunął mi ojciec. Nie szukałem tam inspiracji i chyba nawet niewiele ukradłem. W zamian odzyskałem wiarę w siebie, skończyłem tę książkę i mogę napisać te podziękowania. Dla cieni Romaina Gary’ego również.

Skoro już przy mroku i wątpliwościach. Przez trudy prowadziła mnie też życzliwa ręka. Beata Paraszczak towarzyszyła mi podczas całej pracy nad książką. Niezwykle przenikliwa i krytyczna, na przemian opieprzała i dodawała otuchy. Wierzyła, kiedy ja przestawałem wierzyć. Zawsze będę o tym pamiętał.

Nie istnieją słowa, które oddadzą moją wdzięczność względem Arkadiusza Bileckiego i Krzysztofa Paciorka, najlepszych konsultantów pod słońcem i szczerych fanatyków Gdyni. Niezależnie, skąd wiał wiatr, zawsze byli na posterunku. Podsuwali tropy, korygowali błędy, znajdowali każdą informację, o którą poprosiłem. Pamiętam dobrze, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Nie wiedziałem jeszcze, jak długa będzie to podróż. Cieszę się, że miałem Was po swojej stronie.

Wędrowała ze mną też Joasia Mika, która umie wydobyć z mojej prozy, a przede wszystkim ze mnie, to, co najlepsze. Takie cuda potrafią uczynić tylko prawdziwi przyjaciele. Inni redaktorzy podchodzą do książek z profesjonalizmem, Ty do niego dorzuciłaś miłość. Masz – macie – i moją. Dziękuję.

Powieść powstawała w pandemii. Tak się składa, że dzielę mieszkanie z dwoma nastolatkami, Julkiem i Alanem. Chłopcy próbowali nie przeszkadzać mi w pracy, co wychodziło tak, jak wszystko wychodzi z dziećmi. Przyjmijmy jednak, za *Muminkami*, że dobre intencje są ważniejsze od efektów. Olafa utkałem z Waszej dwójki, dranie. Jesteśmy jeden – jeden.

Jestem upartym i trudnym człowiekiem z obsesją na punkcie własnej pracy. Klaudia Mynarska jakimś cudem zdołała to znieść, żyjąc ze mną, starym wariatem, który jedną nogą tkwi w krainie wyobraźni. Pomogłaś mi uwierzyć, że moi bohaterowie są prawdziwi. Tchnęłaś życie w figury, które stworzyłem. Nic bez Ciebie, a wszystko z Ciebie. Chciałbym, abyś popatrzyła na siebie moimi oczami. To Ty jesteś gwiazdą, za którą żegluje mój okręt.